

Sprytna do tego, nagatawana czyste rozgwkę...
nie sposób jej się oprzeć.

SF Review



MIKE RESNICK

04 STARSHIP: **BUNTOWNIK**

Starship: Buntownik

MIKE
RESNICK

STARSHIP: BUNTOWNIK

PRZEŁOŻYŁ
ROBERT J. SZMIDT

Dla Deborah, jak zawsze

I dla Erica Flinta,

Przyjaciela,

Współpracownika,

Współwydawcy,

Geniusza

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Gdy nadeszła wiadomość z mostka, Wilson Cole siedział sam, popijając kawę, przy stoliku w ciasnej mesie „Teodora Roosevelta”.

- Dotarliśmy na pozycję, sir - zameldowała Christine Mboya, szczupła czarnoskóra kobieta, której holograficzna sylwetka pojawiła się nagle przed kapitanem.

- Czy pan Briggs dokonał już analizy ich potencjału? - zapytał Cole.

- Dysponują działami pulsacyjnymi drugiej generacji i laserami trzeciej.

- W takim razie nie mamy się czym przejmować. Przełącz mnie na Walkirię.

Moment później nad blatem pojawiła się sylwetka trzeciego oficera, niezwykle wysokiej, rudowłosej kobiety.

- Czego chcesz? - zapytała.

- Roześlij wiadomość. Chcę, żeby wszystkie jednostki oprócz naszej zatrzymały się poza polem rażenia.

- Dlaczego? Przylecieliśmy tutaj walczyć z wrogiem, czyż nie?

- Oni nie będą w stanie uszkodzić „Teddy’ego R.”, ale bez problemu pokonają osłony wielu mniejszych okrętów.

- Nie zrobią tego, jeśli my zniszczymy ich pierwsi.

- Zrób, co ci kazałem - powiedział Cole. - Przy odrobinie szczęścia nie będziemy musieli niczego niszczyć.

- I to ma być wojna?! - prychnęła i przerwała połączenie.

- Christine?

- Tak, sir.

- Czy Cztery Oczy jest już w przedziale bojowym?

- Komandor Forrice jest w drodze - odparła dziewczyna. - Chwileczkę, sir... - przerwała na chwilę. - Już dotarł na miejsce.

- Przełącz mnie na niego.

Nad blatem pojawił się wizerunek trójnogiego, przysadzi-
stego Molarianina. Wokół niego widać było konsole kompute-
rów uzbrojenia.

- Wszystko gotowe - stwierdził Forrice. - Czekamy na roz-
kaz.

- Ilu ludzi masz w przedziale?

- Czterech, licząc ze mną.

- To powinno wystarczyć - stwierdził Cole. - Nie otwieraj-
cie ognia, dopóki nie wydam takiego rozkazu.

- Nawet w przypadku, gdy sami znajdziemy się pod
ostrzałem?

- Nawet wtedy. Oni nie posiadają broni, którą mogliby nam zaszkodzić.

- Ty tu jesteś kapitanem - odparł Forrice.

- Dzięki za przypomnienie - rzucił oschle Wilson, kończąc transmisję.

Dopił kawę, zastanawiał się przez moment, czy nie wrócić na mostek, ale uznał, że nie ma takiej rzeczy, której nie mógłby zrobić, siedząc na tyłku w mesie, więc znów wywołał Christine Mboyę.

- Tak, sir?

- Czy namierzyliśmy już kwaterę główną Matchela?

- Nie, sir. Przeciwnik nadal utrzymuje ciszę radiową i wizyjną.

- Chyba nie powinniśmy im mieć tego za złe - mruknął Wilson. - Gdybym ja był na ich miejscu, na pewno nie ujawniłbym kryjówek w obliczu tak znacznej przewagi wroga. - Wzruszył ramionami. - Dobra, negocjacje w kameralnym stylu mogą się okazać o wiele prostsze. Jedziemy z tym przedstawieniem. Przełącz mnie na możliwie najszersze pasmo audio i wideo.

- Zrobione - zameldowała. - Może pan zaczynać w każdej chwili.

Cole wybrał jedną z kamer monitorujących mesę i spojrzał prosto w jej obiektyw.

- Mówi Wilson Cole, kapitan „Teodora Roosevelta”. Kieruję te słowa do Matchela albo, jeśli to nie on wami rządzi, do osoby, która przejęła dowodzenie organizacją. Moja flota została wynajęta przez rząd gromady Pirelli, aby pozbyć się band rozbójniczych, które ją nękają. Domyślam się, że wiecie już, że udało nam się zlikwidować dwie inne floty należące do człowieka zwanego Chester Braithwaite i Canphoryty Grabiusa. Wy jesteście ostatni.

Przerwał, czekając prawie pół minuty, wystarczająco długo, by odbiorcy zaczęli się zastanawiać z niepokojem, czy ma zamiar kontynuować, czy jest już po rozmowach i zaraz zostaną wybici do nogi.

- Macie dziewięć okrętów na powierzchni i trzy w dokach na orbicie. Jestem pewien, że dokonaliście pełnej analizy naszych sił, ale na wypadek gdybyście o tym nie pomyśleli, informuję, że dysponuję flotą składającą się z czterdziestu trzech jednostek, z których większość posiada o wiele potężniejsze uzbrojenie niż wy.

Przerwał połączenie, nalał sobie następną porcję kawy.

- To już koniec? - zapytała Wal, pojawiając się ponownie nad stołem. - Nie powiesz im nic więcej?

- Powiem - odparł Cole. - Ale najpierw niech kilka minut pozostaną w niepewności.

- W tym momencie namierzają nas pewnie każdą bronią, jaką posiadają.

- Raczej liczą nasze statki i dokonują oceny ich systemów obronnych - uspokoił ją Cole. - Za jakąś minutkę dojdą do wniosku, że nie kłamałem. Wtedy przyjdzie czas na kontynuację rozmowy.

- Jak na razie to raczej monolog - zauważyła Wal.

- Jak na razie nie prosiłem, by się odzywali.

W głośnikach interkomu rozległ się niespodziewanie głos Malcolma Briggsa:

- Ostrzał! Ogień laserowy i pulsacyjny!

- Skierowany tylko na nas? - Nie, sir. Mierzą także w pa-na Sokołowa i Pereza.

- Mam nadzieję, że obie jednostki pozostają poza zasięgiem?

- Tak, sir.

- Świetnie, proszę przekazać Christine, żeby dała mnie na wizję za trzydzieści sekund.

- Namierzyłem źródła ostrzału pulsacyjnego - meldował Forrice z przedziału bojowego. - Mam je zdjąć?

- Masz siedzieć na tyłku, dopóki nie wydam rozkazu - odparł Cole.

- Właśnie pytam, czy nie masz ochoty na wydanie rozka-

zu.

- Nie mam.

- Wchodzi pan za pięć sekund, sir - poinformowała go Christine.

Kapitan odchrząknął, policzył do pięciu i zaczął mówić.

- To znowu ja. Zakładam, że zrozumieliście już, iż nie jesteście w stanie uszkodzić moich okrętów. A to oznacza, że wykończymy was w mniej niż minutę... - zamilkł na moment. - Aczkolwiek nie mamy zamiaru niszczyć waszych okrętów ani pozbawiać was życia. Nie jesteśmy zdobywcami czy lokalnymi watażkami, a co najważniejsze, nie jesteśmy zbrodniarzami. Reprezentuję flotę najemników wynajętą przez rząd gromady Pirelli, aby zakończyć waszą agresywną i nielegalną dominację kilku lokalnych systemów planetarnych. Pozwolę sobie jeszcze zauważyć, że moja flota posiada nad wami przytłaczającą przewagę. Dotarliśmy właśnie do punktu, w którym musicie podjąć decyzję. - Znow zamilkł, a potem ciągnął dalej: - Zamierzamy skonfiskować trzy jednostki znajdujące się aktualnie w dokach. Osobom przebywającym na powierzchni planety proponuję poddanie się i złożenie przysięgi na wierność mojej flocie. Jeśli tak postąpicie, daję słowo, że nikomu nie stanie się krzywda. Utraciecie jednak kontrolę nad waszymi okrętami. Dopóki nie udowodnicie, że jesteście godni zaufania, dowodzić

nimi będą moi ludzie, którzy zajmą stanowiska kapitana i pierwszego oficera. Każdy przejaw nielojalności będzie karany śmiercią. Wszyscy, którzy przyjmują moje warunki, mają natychmiast wystartować i wejść na orbitę piątej planety tego systemu. Ci, którzy nie zamierzają walczyć albo przyłączyć się do nas, mogą wywiesić stosowany tutaj ekwiwalent białej flagi i opuścić sektor poprzez landgriański tunel czasoprzestrzenny. Nie otworzymy do was ognia... pod warunkiem, że nigdy więcej nie pojawicie się w pobliżu tej gromady. Trzecim i ostatnim rozwiązaniem jest pozostanie na miejscu i podjęcie walki z nami. Daję wam dziesięć minut standardowych na podjęcie decyzji. Po upływie tego czasu zostaniecie zaatakowani.

Przerwał połączenie, rozważył wypicie jeszcze jednego kubka kawy, ale zrezygnował, decydując się ostatecznie wejść windą na mostek, na którym służbę pełnili Christine Mboya, Malcolm Briggs, Wal i Domak.

- Dostaliśmy już jakieś odpowiedzi? - zapytał po dotarciu na miejsce.

- Pięć jednostek zasygnalizowało chęć przyłączenia się do nas - odparła Christine. - Kierują się właśnie w stronę orbity piątej planety.

- Poleć Jacovicowi, żeby monitorował ich ruchy niszczył każdy okręt, który udaje się w tamtym kierunku, ale nie wej-

dzie na orbitę.

- Mamy dwie białe flagi, sir - zameldował Briggs.

- Każcie Sokołowowi zebrać kilka jednostek i eskortować je aż do wylotu tunelu czasoprzestrzennego - rozkazał Cole. - Co nam jeszcze zostaje?

- Dwa okręty, sir - powiadomiła go Domak, wojowniczką Polonoi o ciele pokrytym naturalnym pancerzem. - Jeden z nich to macierzysta jednostka Matchela.

- Mam go na celowniku - oznajmił głos Forrice'a.

- Daj spokój - powiedział Cole. - On na pewno nie będzie chciał walczyć.

- Na razie nie ruszył się z miejsca - zauważył Molarianin.

- Chce nam jedynie pokazać, jaki jest twardy. Zostało mu jeszcze kilka minut.

- Drugi z okrętów kieruje się na piątą planetę, sir - zameldował Briggs. - Zatem pozostaje nam już tylko Matchel.

- Prawdopodobnie nie lubi wykonywać rozkazów - mruknął Cole. - Obstawiam dziesięć do jednego, że raczej poleci do tunelu czasoprzestrzennego.

- Na razie nigdzie się nie wybiera - wtrącił Forrice.

- Poczekaj - uspokoił go Wilson. - To nie jego planeta. Pozostałe jednostki już go opuściły. Umierając tutaj, niczego nie udowodni. Zrobimy z nim to, co on ze swoim poprzednikiem,

tyle że w bardziej humanitarny sposób.

- Humanitarna wojna! - zachnął się Molarianin.

- Czyje życie mam zaryzykować, aby zabić Matchela? - zapytał Cole. - Twoje? Wal? Moje?

- Nie musisz nikogo poświęcać - uzmysłowił mu Cztery Oczy. - Możemy ich po prostu zniszczyć, a oni nie zdołają nas tknąć.

- Ale bez względu na to, czy go zabijemy, czy pozwolimy mu uciec, wykonamy postawione przed nami zadanie - zgaśli go Cole. - Jednak jeśli zrobimy to na mój sposób, wśród naszych przyszłych przeciwników rozejdą się pogłoski, że nie muszą walczyć do upadłego, że nie zajmujemy się karaniem ich za wszystkie grzeszki, lecz cieszą nas także bezkrwawe zwycięstwa.

- Sir? - wtrącił się Briggs.

- Tak?

- Matchel właśnie wystartował. Kieruje się na tunel czasoprzestrzenny.

- Świetnie. Każ Jacovicowi zabrać osiemnaście jednostek na piątą planetę, niech ustawią naszych nowych kompanów w ciasny szyk, otoczą ich i odstawią do bazy. To powinno ostudzić nawet najbardziej krewkich bohaterów w szeregach naszych nowych rekrutów.

Wal oderwała oczy od panelu kontrolnego.

- Naprawdę masz zamiar puścić tego dupka wolno?

- Matchela? Dałem mu przecież słowo.

- Możemy mieć z nim jeszcze sporo kłopotów - ostrzegła. -
Pozostałe jednostki weszły już w nadprzestrzeń. Jeśli teraz go zdejmujemy, nikt nie będzie o tym wiedział.

- Sądzisz, że pozostali nie zorientują się, co zrobiliśmy, jeśli szef nie pojawi się po drugiej stronie tunelu?

- Jeśli nawet, to co z tego? - zapytała.

- To z tego, że wkrótce możemy znaleźć się naprzeciwko floty nieporównywalnie potężniejszej niż jego, która będzie wiedziała, że nie dotrzymujemy słowa.

Wzruszyła ramionami.

- Rozumiem, ale gdybyś zmienił zdanie, mamy jeszcze trzydzieści sekund.

- Jakim cudem udało mi się zgromadzić na pokładzie tyle krwiożerczych istot? - zapytał retorycznie Cole. - Odczuwam palącą potrzebę porozmawiania z kimś, kto będzie zadowolony, że nie rozpieprzyliśmy właśnie dziewięciu okrętów. - Podszedł do grodzi i zapukał w nią. - Wyłaź, Dawidzie.

Część ściany odsunęła się i na mostek weszła dziwna postać, ubrana w szaty wiktoriańskiego dandysa, z trudem przypominająca człowieka. Oczy przybyłego były osadzone po bokach jajowatej głowy, trójkątne uszy potrafiły ruszać się samo-

dzielnie, całkowicie okrągłe usta nie posiadały warg, a kark był niesamowicie długi i giętki. Ponadto dziwaczny gość miał szeroki korpus, ale o połowę krótszy od ludzkiego, natomiast przy serdelkowatych nogach widać było dodatkowy przegub. Całości dopełniała skóra o lekko zielonkawym odcieniu, ale zachowania i manier tej istoty nie powstydziliby się żaden brytyjski arystokrata.

- Już po wszystkim? - zapytał Copperfield.

- Do niczego nie doszło - uspokoił go Cole.

- Im większą flotą dysponujemy, tym częściej do niczego nie będzie dochodziło - stwierdził sentencjonalnie kosmita.

- Właśnie zdobyliśmy osiem nowych jednostek - poinformował go kapitan. - Pięć z planety i trzy stacjonujące w dokach na orbicie.

- Zatem mamy ich już pięćdziesiąt jeden.

Cole skinął głową.

- Jeśli wszystkie są sprawne.

- Dzięki twoim ugodowym metodom postępowania coraz trudniej znaleźć kontrakty, które pozwolą nam pokryć wszystkie wydatki.

- Sukces ma swoją cenę - odparł Wilson. - Powinniśmy zaatakować któryś z konwojów Republiki. Dzięki temu pozbylibyśmy się sporej części kosztów.

- Mój drogi Steerforth, drwienie ze mnie jest bardzo niemiłym zachowaniem z twojej strony - stwierdził kosmita.

- Jestem otwarty na wszelkie sugestie - zapewnił go Cole. - Z kogo powinienem zadrwić, twoim zdaniem?

- Dlaczego zachowujesz się w taki sposób? - zapytał Copperfield.

- Wybacz, Dawidzie - powiedział Cole. - Wydawało mi się, że wszyscy powinni cieszyć się z tego, iż udało nam się wygrać bez jednego wystrzału. Tymczasem odnoszę wrażenie, że wszyscy oficerowie woleliby otwarte starcie.

- W końcu to okręt wojenny z personelem wojskowym na pokładzie - zauważył Copperfield. - Wojowanie to sztuka, której większość z was uczyła się przez całe dorosłe życie.

- Żaden człowiek przy zdrowych zmysłach nie chce iść na wojnę - zaprzeczył kapitan. - A moi podkomendni to nie pionki na szachownicy, które można do woli zbijać. To żywe istoty, a moim zadaniem jest chronienie ich przed śmiercią.

- To prawda - przyznał Dawid. - W związku z tym szalejesz ze strachu na myśl o przegranej bitwie.

- Mówi to osobnik, który na pierwszą wzmiankę o zagrożeniu ukrywa się w grodzi - przypomniał mu Cole.

- Odpoczywa, nie ukrywa - wypalił kosmita w odpowiedzi. - Jestem agentem „Teddy’ego R.”, nie jednym z jego ofice-

rów. I jako przedstawiciel biznesowy floty pragnę pana poinformować, że nie spodziewam się, abyśmy w najbliższej przyszłości stoczyli zażartą walkę. Nasza flota rośnie w siłę z tygodnia na tydzień.

- Tak - odparł kapitan. - Jeszcze osiem do dziesięciu milionów jednostek i będziemy mogli walczyć z Republiką jak równy z równym.

- Może pan ze mnie kpić, jeśli ma pan na to ochotę - stwierdził Dawid - ale śmiem twierdzić, że nie zobaczy pan żadnego konfliktu zbrojnego albo nic nazywam się Copperfield.

- Nie cierpię tego robić - odparł Wilson - ale pozwól, że mimo wszystko przypomnę: nie nazywasz się Dawid Copperfield.

- Panie Steerforth, jak pan może mówić coś podobnego?

- Może dlatego, że nie nazywam się Steerforth.

- To nieważne detale - zbył go Copperfield. - Na Wewnętrznej Granicy ludzie przybierają nazwiska, jakie chcą. Ja wybrałem takie.

- Ale ja nie nazwałem siebie Steerforthem - przypomniał mu Cole.

- To był mój dar dla pana, dla uczczenia nieśmiertelnego Karola.

- Możesz go sobie wsadzić razem z panem Dickensem -

rzucił Wilson. - Mam jedynie nadzieję, że potrafisz trafniej ocenić sytuację militarną, niż dobierać nazwiska.

W tym momencie opanowało go wrażenie, że jakiś beziemienny bóg bezbrzeżnych przestrzeni uśmiecha się ironicznie i wymawia bezgłośnie następujące słowa: *A miej sobie nadzieję.*

ROZDZIAŁ DRUGI

To nie był ich dom - na to miano zasługiwał jedynie „Tedy R.” - ale traktowali to miejsce jako swoją siedzibę.

Stacja Singapur, chyba najbardziej zadziwiająca konstrukcja na Wewnętrznej Granicy. Historia tego obiektu rozpoczęła się w roku osiemset osiemdziesiątym trzecim Ery Galaktycznej, czyli niemal jedenaście stuleci wcześniej. Dwie niewielkie stacje ulokowane w połowie drogi pomiędzy Genuą a Kalatiną rywalizowały o wpływy w pobliskim sektorze, co wkrótce doprowadziło do konfliktu interesów. Zdesperowani właściciele stacji zdecydowali jednak, że wolą przymierze niż walkę. Obie konstrukcje zostały przetransportowane przez holowniki do miejsca znajdującego się w połowie drogi, potem ludzie i roboty harowali ponad miesiąc, aby je połączyć w jeden spójny twór, a kiedy zakończono prace, okazało się, że interes zaczął kwitnąć jak nigdy przedtem.

Inni obserwowali jej rozwój, uczyli się i kopiowali stosowane tam rozwiązania. W czternastym wieku Ery Galaktycznej po Granicy rozsiane były dziesiątki podobnych stacji. Właściciele tych przybytków szybko zrozumieli, że im większymi obiektami

będą dysponowali, tym szerszy zakres usług mogą zaoferować. A im więcej rozmaitych interesów, tym liczniejsza klientela. Tak więc stacje łączyły się i rosły bez końca.

W chwili gdy Cole i jego załoga przycumowali do doków Singapuru, na tę gigantyczną superstację składało się już ponad dwieście mniejszych obiektów. Zamieszkiwało ją o wiele więcej istot niż niejedną skolonizowaną planetę, miała też średnicę ponad siedmiu mil. Składało się na nią dziewięć poziomów, w tym pierścień dokujący zdolny przyjąć jednorazowo nawet do dziesięciu tysięcy jednostek, począwszy od ogromnych wojennych, przez pasażerskie liniowce, skończywszy na jedno- i dwuosobowych wahadłowcach, od których roilo się na terytorium Wewnętrznej Granicy.

Stacja nie tylko była dobrze znana, ale znajdowała się też w idealnym miejscu. Singapur zapamiętano jako jedno z najbardziej niezwykłych miast starożytnej Ziemi, w którym mogli zamieszkiwać obok siebie ludzie wszystkich ras i narodowości.

Znajdowała się w połowie drogi pomiędzy Republiką a masywną czarną dziurą w centrum Drogi Mlecznej. Wszystkie wojujące imperia - a historia galaktyki nie znała czegoś takiego jak pokój - zdawały sobie sprawę, że potrzebny im jest teren neutralny, coś na wzór ziemskiej Szwajcarii, gdzie emisariusze różnych kultur będą mogli spotykać się w sekrecie, zwaśnione

imperia wymieniał waluty, a ludzie i kosmici znajdą azyl bez względu na przynależność polityczną i wojskową. I do tej roli Singapur pasował jak ulał.

Miejsce to słynęło z szerokiej gamy świadczonych usług. Miejscowe burdele pełne były osobników wszystkich znanych ras i płci, podobnie jak bary, meliny, kasyna i wielkie czarnorynkowe targowiska (na Singapurze wszystko było legalne ze względu na brak obowiązującego prawa). Zakładano tutaj luksusowe hotele, w niczym nieustępujące najlepszym placówkom tej branży z Delurosa VIII, a ze względu na charakter interesów zawieranych za zamkniętymi drzwiami ich ochrona cieszyła się ogromną sławą. Obok wykwintnych restauracji mieściły się podrzędne spelunki i firmy cateringowe, potrafiące obsłużyć w sumie, jak wieść niesie, ponad sto różnych ras.

Cztery poziomy stacji posiadały standardową atmosferę tlenową i także ciśnienie, chociaż trudno było stwierdzić, czy chodziło o standard ziemski, czy raczej dotyczący Delurosa, ale ponieważ niewiele się one różniły, nikomu to nie spędzało snu z powiek. Kolejne poziomy przystosowano do oddychania atmosferą chlorową, metanową i amoniakową. Był też jeden zupełnie pozbawiony atmosfery, na którym ludzie i kosmici, nosząc skafandry próżniowe, mogli się spotkać w równie dla siebie nieprzyjaznych warunkach. Środkowy poziom służył za automa-

tyczną bazę transportową dla wszystkich pozostałych. Cole wybrał tę stację na siedzibę swojej rosnącej w zastraszającym tempie floty w tej samej chwili, gdy po raz pierwszy do niej zawitał, jakiś rok wcześniej. To było jedyne miejsce na Wewnętrznej Granicy, w którym mógł się czuć bezpiecznie, uzupełnić zapasy, a także spotkać istoty zainteresowane usługami oferowanymi przez „Teddy’ego R.” i pozostałe okręty. Dawid Copperfield dwoił się i troił, negocjując kontrakty dla wciąż rozwijającej się floty Cole’a, ale wciąż miał zbyt mało kontaktów, by zapewnić jej wystarczającą ilość zleceń - na szczęście był tu ktoś jeszcze. Ktoś, kto posiadał odpowiednie koneksje i zarządzał całym tym interesem. Znany był pod pseudonimem Platynowy Książę, głównie za sprawą wielkiej ilości protez wykonanych z tego szlachetnego metalu - z ciała człowieka, którym kiedyś był, pozostawił sobie jedynie wargi, język i narządy płciowe - i dość szybko został partnerem Wilsona, co zapewniało obu stronom spore przychody.

Należało do niego także kasyno, noszące nazwę „U Księcia”, w nim właśnie załoga „Teddy’ego R.” miała kryjówkę. Cole i jego oficerowie zawsze byli mile widzianymi gośćmi przy wielkim prywatnym stole Księcia na samym końcu sali. Każdy mógł napić się i najeść przy nim do woli.

Wilson wkroczył właśnie do sali kasyna, minął stoły do gry

dla ludzi i kosmitów, kierując się w dobrze znane sobie miejsce. Towarzyszyli mu szefowa ochrony Sharon Blacksmith i Dawid Copperfield.

Wal przyszła do kasyna razem z nimi, ale tuż za drzwiami odłączyła się, by zagrać przy jednym ze stołów. System alarmowy Księcia powiadomił go o przybyciu gości, opuścił więc swój gabinet i wyszedł, wyglądając bardziej jak robot niż człowiek, by ich powitać, zanim dotrą do stolika.

- Słyszałem, że załatwiłeś Matchela bez oddania jednego strzału - powiedział Książę. - To już trzeci taki przypadek z rzędu.

- Wydaje mi się, że sensowniej jest zdobywać nowe jednostki i załogi, niż je niszczyć - odparł Cole, odsuwając krzesło dla Sharon i dopiero potem siadając. Gdy pojawił się zrobotyzowany kelner, zamówił drinki. - A ty czego byś się napił, Dawidzie?

- Butelkę cygniańskiego koniaku - odparł wytworny mały kosmita.

- Daj spokój - powiedział Wilson. - Przecież twój organizm nie trawi ludzkich używek.

- Wiem o tym - odparł Copperfield. - Nie muszę jej przecież otwierać. Wystarczy, że będzie stała przede mną i tworzyła odpowiednią atmosferę.

- Świetnie - ucieszył się Książę. - Jeśli jej nie otworzysz, będę mógł ją potem sprzedać.

- Musisz mu wybaczyć - wyjaśnił Cole. - Dawid robi się coraz bardziej drażliwy. Nie mogę wprost uwierzyć, że tym razem nie odwiedził żadnego burdelu.

- Dawid Copperfield nigdy nie był stałym klientem burdeli - oświecił go kosmita.

- Zgadza się - odparł Cole.

- Ile okrętów i ludzi Matchela przeszło na twoją stronę? - zapytał Książę.

- Osiem jednostek, pięćdziesięciu siedmiu ludzi i przedstawicieli innych ras - odparł Wilson.

- No, to zebrałeś już całkiem pokaźną flotę - mruknął z podziwem szef stacji. - Niedługo zabraknie wam wyzwania.

- Cały czas stajemy przed wyzwaniami - uspokoił go Cole. - Uwierz mi, są przereklamowane.

- Poza tym nie mogę pozwolić, żeby mi go zastrzelili, skoro tak dobrze go wyszkoliłam - wtrąciła Sharon.

- Przyzwoitość nie pozwala mi na zadanie pytania, w jakiej to materii kapitan został wyszkolony. - Mięliste wargi na platynowej twarzy ułożyły się w uśmiech, oczy natomiast powędrowały w stronę Walkirii. - Czy ona ma zamiar podejść tutaj i przywitać się ze mną?

- Na pewno, ale najpierw musi rozbić jakiś stół albo spleść się kompletnie - odparł Cole. - Znasz ją przecież.

- Nadal chciałbym ją mieć wśród swojego personelu. Nikt nie potrafi tak szybko wykryć oszusta jak ona. I nie widziałem jeszcze człowieka albo kosmity, który mógłby jej dorównać w walce.

- Jest niesamowita - zgodził się Copperfield.

- I dlatego potrzebuję jej tam, gdzie teraz jest - dodał Cole.

- I tak nie byłbyś z nią szczęśliwy - wtrąciła Sharon. - Ona słucha wyłącznie Wilsona.

- Ciekawe dlaczego? - zapytał Książę.

- Bo on zawsze ma rację - rzucił Dawid. - Oczywiście oprócz tych chwil, kiedy zaprzecza moim słowom.

- Zabawne. - Sharon uśmiechnęła się. - Właśnie miałam powiedzieć to samo.

- Ach! - Książę spojrzał w drugi koniec sali. - Widzę, że komandor Jacovic zamierza do nas dołączyć.

- Wrócił nieco później niż my - wyjaśnił Cole. - Zleciłem mu zadanie eskortowania nowych jednostek, na wypadek gdyby któremuś z rekrutów strzeliło coś do głowy. - Zamachał ręką, aby zwrócić na siebie uwagę Jacovica, i postawny Teroni ruszył w kierunku stolika.

- Witamy ponownie, komandorze - odezwał się Książę.

- Może mi pan mówić po nazwisku - odparł przybyły. -
Nie jestem już oficerem terońskiej floty.

- Komandorem Piątej Floty, żeby być precyzyjnym - dodał Cole.

- To już przeszłość. Nie jesteśmy już wrogami i obaj mamy za sobą kariery we flotach.

- Jeśli nie liczyć naszej własnej - wtrąciła Sharon. - Jedyna różnica pomiędzy panem a Wilsonem jest taka, że Federacja nie oferuje dziesięciu milionów nagrody za pańską głowę. Flota Republiki, jak widać, pożąda naszego kapitana bardziej niż pana.

- Nagroda za czyjąś głowę jest u nas powodem do chwały - zauważył Książę. - Prawdę powiedziawszy, uczyniła z pana bohatera. Fakt, że postąpił pan słusznie, ratując miliony istnień, co było możliwe wyłącznie po odsunięciu poprzedniego dowódcy od władzy, to drobiazg w porównaniu z tym, że jest pan najbardziej poszukiwanym przestępcą w galaktyce.

- To takie pocieszające - mruknął oschle Cole.

- A tak na marginesie, nagroda wynosi teraz dwanaście milionów - dodał szef stacji.

- Hurra! - zawołał Wilson, aczkolwiek bez widocznego entuzjazmu.

Platynowy Książę przyjrzał mu się uważnie.

- Nasz bohater nie wygląda ani na zadowolonego, ani na dumnego z siebie. Dlaczego?

- Obaj wiemy, że Republika nie wyśle tutaj floty na poszukiwania „Teddy’ego R.”, przynajmniej dopóki nie skończy się wojna z Federacją Teroni - wyjaśnił Copperfield. - Jeśli jednak będzie wciąż zwiększać tę sumę, prędzej czy później doprowadzi do sytuacji, gdy na Singapurze zaroi się od łowców nagród.

- Tutaj nic wam nie będzie groziło - zapewnił go szef stacji. - Ktokolwiek podejmie się tego zadania, będzie chciał pożyć wystarczająco długo, by wydać zarobione pieniądze.

- Możecie powstrzymać pojedynczych zabójców - wtrąciła Sharon. - Ale co zrobicie, jeśli dwudziestu zawiąże spółkę? To i tak daje ponad pół miliona na głowę.

- Sporo - przyznał Cole. - Ale i ryzyko niemałe.

Sharon zamierzała odpowiedzieć, ale umilkła, słysząc okrzyk tryumfu. - Rozbiła ci jaboba - zauważył Cole, wskazując na stół do gry dla obcych, przy którym Wal pokazywała wszystkim naręcze pieniędzy.

- Taniej by mi wyszło sownie ją opłacać, niż pozwalać grać - mruknął Książę.

Robot podał Walkirii butelkę whisky, którą kobieta natychmiast opróżniła.

- Spokojnie - Cole nie wydawał się przejęty. - Ona może obciągnąć kilka takich flaszek, a i tak oskubie każdego.

- Zdziwiająca kobieta - rzekł Książę.

- Podczas roboty często mnie wkurza - stwierdził Cole - ale kiedy przychodzi co do czego, wolałbym, żeby to ona pilnowała mi tyłka.

- I może to robić, dopóki nie zainteresuje się tym, co masz z drugiej strony - ostrzegła go Sharon.

Książę przerwał im rozmowę, wzywając automatycznego kelnera.

- Gdzież się podziały moje maniere! Czego pan sobie życzy do picia, komandorze?

- Jestem Jacovic - poprawił go Teroni - i jeśli nie będzie pan miał nic przeciwko temu, wolałbym coś zjeść.

- Moja kuchnia jest do pańskiej dyspozycji.

- Proszę nie brać tego do siebie, ale trzy poziomy niżej jest restauracja specjalizująca się w kuchni terońskiej - oznajmił Jacovic. - Wpadłem tutaj tylko, żeby powiadomić kapitana, iż powrót przebiegł bez większych problemów, i przywitać się z panem. - Komandor wstał.

- Ale wpadnie pan do nas później? - zapytał szef stacji.

- Tak.

- Proszę mi podać nazwę tej restauracji, zadbam o to, by

nie musiał pan płacić.

- Dziękuję, ale wolę regulować własne rachunki.

Teroni odwrócił się i ruszył w stronę drzwi.

- Czyżbym wyczuwał jakieś antyludzkie sentymenciki? - zapytał Księżę.

- Nie - zaprzeczył Cole - raczej dumę. - Wzruszył ramionami. - Poza tym on nie ma na co wydawać pieniędzy.

- W takim razie obaj mamy ten sam problem - usłyszeli znajomy głos.

Wilson odwrócił się i ujrzał Forrice'a, trójnogiego pierwszego oficera, wirującego z wielką gracją wokół kolejnych stołów do gry. Przsadzisty Molarianin, któremu budowa ciała uniemożliwiała siadanie na krzesłach zaprojektowanych dla ludzi, musiał poczekać, aż robot dostarczy mebel wykonany specjalnie na potrzeby jego rasy.

- A mnie się wydawało, że ty nic tylko wydajesz zarobione pieniądze - powiedział Cole, gdy Cztery Oczy w końcu usiadł.

Molarianin odpowiedział gardłowym warknięciem.

- Co się stało?

- Zgadnij - mruknął Forrice.

Usta Cole'a rozciągnęły się w uśmiechu.

- Nie ta pora roku?

- To wcale nie jest zabawne! - zachnął się Cztery Oczy. -

Ty i Sharon uprawiacie seks, kiedy macie na to ochotę, czyli bardzo często, jeśli mogę coś na ten temat powiedzieć, ale my, Molarianie, mamy w tej materii spore ograniczenia. Nasze samice są sezonowe.

- Czy w molariańskim burdelu nie ma żadnej, która akurat jest w rui?

- Ani jednej!

- Biedaczku! - Sharon odezwała się do niego tak współczująco, że ani on, ani Cole nie byli w stanie powiedzieć, czy mówi poważnie, czy tylko go drażni.

- I co teraz zrobisz? - zapytał Copperfield.

- To zależy - odparł Molarianin. - Zdołaliście załatwić z Księciem jakiś nowy kontrakt?

- Nie - powiedział Dawid. - Steerforth zażyczył sobie, aby załogi otrzymały tygodniowe przepustki na ląd. To znaczy pokład Stacji Singapur.

- W takim razie może pożyczę jeden z naszych waha-dłowców - zaproponował Cztery Oczy. - Na Braccio II muszą być jakieś molariańskie burdele. Uwinę się tam i z powrotem najdalej w trzy dni.

Książę pokręcił głową.

- Uwierz mi, Forrice, że nie chcesz tam lecieć.

- Tak? Ciekawe dlaczego?

- W okolicy pojawiło się kilkaset okrętów floty Republiki - wyjaśnił szef stacji. - Przynajmniej widziano je tam jeszcze dwa dni temu.

- Czego oni mogą szukać w takiej okolicy?

- Tego, co zwykle - odparł człowiek z platyny. - Robią przymusowy nabór do armii. Plądrują zapasy z rolniczych planet. Pozyskują materiały rozszczepialne z kopalni w trzech pobliskich systemach. Pacyfikują te światy, które im z jakichś powodów podpadły. No i tłumaczą potem wszystkim, że zrobili to dla ich dobra. Sami najlepiej wiecie, jak postępuje flota.

- Wszyscy to wiemy - mruknęła Sharon. - Służyliśmy w niej. I dlatego nie mamy wstępu na teren Republiki.

- Wracając do tematu, naprawdę nie chciałbym ci psuć życia erotycznego, mój drogi Forrisie - kontynuował szef stacji - ale na twoim miejscu trzymałbym się z daleka od tamtego sektora, przynajmniej do momentu, w którym dowiemy się, że flota odleciała.

- Jakie to szczęście, że my, Molarianie, nie wierzymy w Boga - mruknął Cztery Oczy. - W przeciwnym razie musiałbym uznać, że drań mnie zupełnie znenawidził.

- Moim zdaniem, ma trochę ubawu twoim kosztem - powiedział Cole, obejmując Forrice'a ramieniem. - Daj spokój, przyjacielu. To potrwa góra tydzień. Wytrzymałeś pół roku

standardowego, możesz poczekać odrobinę dłużej.

- Wiem, wiem. - Cztery Oczy posmutniał jeszcze bardziej i wstał od stolika. - Powalęsam się po zaułkach, litując się nad sobą. Jeśli mi szczęście dopisze, trafię na bandę rabusiów. Będę miał na kim wyładować agresję. Odwrócił się i opuścił kasyno.

- Biedny gnojek - mruknął Cole. - Natura strasznie pogrywa sobie z Molarianami. Samice są sezonowe, a samce mają chęć na okrągło.

- Bardzo go lubisz, jak widzę.

- To mój najlepszy przyjaciel od dwunastu, jeśli nie trzy-nastu lat.

- Zaskakujące.

- Dlaczego? - zdziwił się kapitan. - Molarianie to jedyna rasa oprócz ludzi, która ma poczucie humoru. Jest bystry, odważny, lojalny i - Cole uśmiechnął się - i nie przystawia się do Sharon, nawet jak go bardzo przyciśnie.

- A co powiecie na obiad? - Książę zmienił temat.

- O, tak, prawdziwe jedzenie będzie miłą odmianą po tym sojowym świństwie serwowanym na pokładzie „Teddy’ego R.” - zgodził się Wilson. - Co podajecie dzisiaj?

Szef stacji wyrecytował całe menu, Cole i Sharon wybrali coś dla siebie, a Dawid Copperfield zamówił stek, choć wszyscy obecni doskonale wiedzieli, że nie może go tknąć. Kilka minut

później dania pojawiły się na stole.

Nim minęła następna chwila, Wal przysiadła się do nich.

- Czyż to nie moja kochana, zachwycająca Walkiria! -

Księżę powitał ją na swój sposób.

- Daj se siana - odparła. - Nie mam dzisiaj nastroju.

- Już wszystko przegrałaś?

- Zamknij się i daj coś zjeść.

- Już wszystko przegrała - potwierdził Cole, uśmiechając się szeroko.

Wal obrzuciła go takim spojrzeniem, że Sharon od razu pomyślała, iż jest on jedyną osobą w tej galaktyce, która mogła powiedzieć te słowa i nie stracić głowy dwie sekundy później.

ROZDZIAŁ TRZECI

Cole wszedł do sekcji bezpieczeństwa, w której dyżur pełnił Luthor Chadwick, zastępca Sharon Blacksmith. Jego praca polegała na gapieniu się w monitory, na których widać było poczynania wszystkich członków załogi, którzy pozostawali na pokładzie.

Oficer zerwał się z fotela i zasalutował.

- Witam, sir - powiedział. - Czym mogę służyć?

Wilson powstrzymał się od zwrócenia mu uwagi, by nie witał go salutami.

- Szefowa jest w biurze?

- Tak, sir.

- Sama czy ciągle przesłuchuje rekrutów z załóg Matchella?

- Zdaje się, że jest sama, sir. - Sprawdził na jednym z monitorów. - Tak, sir. Skończyła przesłuchiwać ostatniego przed kilkoma minutami.

- Świetnie. O tym właśnie chciałem z nią porozmawiać;

Cole podszedł do drzwi, które natychmiast sprawdziły siatkówki oczu i strukturę kości, aby rozsunąć się przed nim

moment później.

- Jak leci? - zapytał.

Sharon rozpięła się w fotelu.

- Moim zdaniem, to straszna banda.

- Mogłabyś wyrazić się bardziej precyzyjnie?

- To same wyrzutki i podrzynacze gardeł.

- Czyli są tacy jak my, może za wyjątkiem tej uwagi o gardłach - odparł Wilson. - Ilu z nich się nada?

- Cóż, mamy wśród nich trzech psychopatów mogących lada moment przekroczyć ostatnią granicę i jednego, który uczynił to już lata temu. Reszta nada się, choć od biedy.

- Świetnie - ucieszył się Cole. - To daje nam pięćdziesięciu trzech nowych ludzi. Daj mi nazwiska tych czterech szaleńców.

Rozkazała komputerowi wydrukować krótką listę.

- Dzięki - rzucił, odbierając kartkę. - Im szybciej pozbędziemy się zgniłych jaj z pokładu, tym mniej powietrza zdążą nam zapaskudzić.

- Na twoim miejscu obchodziłabym się z nimi niezwykle ostrożnie - ostrzegła Sharon. - To prawdziwi urodzeni mordercy.

- Jeśli chce się trzymać kilka systemów gwiazdnych pod butem, jak Matchel, trzeba mieć na podorędziu paru naprawdę paskudnych gości.

- Co zamierzasz z nimi zrobić? - zapytała. - Nie możemy

ich ot tak wypuścić na Stację Singapur.

- Wiem - odparł Wilson. - Zastanawiałem się, czy Wal nie mogłaby ich obrabiać ze dwa razy dziennie, dopóki nie wybije im szaleństw z głowy.

- A teraz mów poważnie.

- Poważnie to zamierzam skonfiskować im broń i wysadzić na planecie, która ma naprawdę kompetentne służby policyjne. Jeśli nie mogę im pozwolić na szwendanie się po Stacji Singapur, a tego jestem pewien jak cholera, tym bardziej nie wypuszczę ich na jakiejś zapyziałej planecie rolniczej. Zabiliby pierwszą napotkaną rodzinę i tym sposobem zdobyli środek transportu.

- Dobrze, powiedz mi, który świat wybierzesz, a postaram się, aby jego władze dowiedziały się, kto do nich przybywa.

- Dobrze - zgodził się Cole. - Chyba powinienem zająć się tym od razu. Zjemy potem obiad?

- Tutaj czy na stacji?

- Na stacji serwują prawdziwe jedzenie, na pokładzie mamy tylko podróbki z soi. Co wybierasz?

Roześmiała się.

- Do zobaczenia u Księcia za kilka godzin.

- Świetnie.

Odwrócił się i opuścił biuro, potem przez sekcję bezpie-

czeństwa dotarł do windy, zjechał nią dwa poziomy, wysiadł i udał się do niewielkiego pomieszczenia przerobionego na siłownię. W jej wnętrzu natknął się na muskularnego Erica Pampasa i Walkirię. Oboje dźwigali ciężary, których nikt inny na okręcie, nawet kosmici, za nic by nie poruszył.

- Dzień dobry, sir. - Pampas odłożył sztangę na ziemię i zasalutował.

- Dzień dobry, Byku. Kończycie już?

- Jeszcze pięć minetek - burknęła Wal. - Co się dzieje?

- Sharon prowadziła przesłuchania tych nowych, robiąc im przy okazji testy komputerowe. Maszyna twierdzi, że mamy na pokładzie czterech niezłych popaprańców.

- Tylko czterech? - wysapała rudowłosa, wrywając kolejny ciężar. - To i tak lepiej niż ostatnim razem.

- Mam tutaj listę. Jacovic trzyma wszystkich nowych rekrutów na „Cichej Strzałce”, dopóki nie otrzymają przydziałów na docelowe okręty. Chciałbym, abyś wyłuskała tę czwórkę i...

- ...wlała im odrobinę oleju do głowy? - dokończyła Wal. - Dobrze. Byk potrzebuje treningu. Ja mu pomogę, jeśli zajdzie taka potrzeba.

- Chyba za bardzo wyprzedzasz fakty - pouczył ją Cole. - Chciałbym, abyś razem z Bykiem zapakowała ich na pokład „Czerwonego Sfinksa” i przypilnowała aż do momentu wysa-

dzenia. Tylko upewnij się, że nie trafią na środek pustyni albo jakiejś głuszy. Daj im też jakąś broń, żeby nie zostali z gołymi rękami, tylko nic potężnego, nie chcę, aby lokalne władze miały z nimi zbyt wiele problemów. Ostateczną decyzję pozostawiam jednak tobie. Perez odstawi was potem z powrotem na Stację Singapur.

- Dlaczego nie zabijemy ich od razu? To by nam oszczędziło masę zachodu - zaproponowała Wal. - Jeśli zostawimy ich na jakiejś trzeciorzędnej planetce, chłopcy będą naprawdę zadowoleni, a nawet urażeni.

- Dlaczego? - zapytał Wilson. - Mogliśmy ich wytłuc w gromadzie Pirelli, a zamiast tego puszczamy wolno.

- Gdyby posiadali tyle rozsądku, żeby to zrozumieć, chyba nie kazalibyś się ich pozbyć? - odparła rudowłosa.

- Nie jesteśmy pozbawionymi uczuć zabójcami - przypomniał jej Cole. - Przynajmniej nie wszyscy - poprawił się. - Zrób, o co cię proszę.

- Mam nadzieję, że odmówią współpracy przy pożegnaniu - oświadczyła.

- Byku - Wilson spojrzał na Pampasa - jeśli coś takiego się wydarzy, upewnij się, że oni sami tego chcieli.

Erie, stojący pomiędzy kapitanem a trzecim oficerem, skinął głową, ale już nie zasalutował, co miało zadowolić ich oboje.

- Dobrze - stwierdził Cole. - Dokończcie ćwiczenia, umyćcie się i zgłóście na „Cichą Strzałkę” za godzinę. Zanim dotrzecie na „Czerwonego Sfinksa”, Perez będzie już znał cel podróży.

Cole opuścił siłownię i kolejną windą wjechał na mostek, na którym wachtę przy komputerach sprawowała młoda Rachel Marcos.

- Dzień dobry, sir - powitała go, wstając i salutując przepiśowo.

- Dzień dobry. Chyba straciłem rachubę czasu. Kiedy Christine zaczyna wachtę?

- Jeszcze przez dwie godziny będziemy mieli czerwoną zmianę. Ona przyjdzie dopiero na białą.

- W takim razie muszę zdobyć kilka informacji od ciebie - stwierdził Wilson, marszcząc brwi. - Wyszukaj mi trzy najbliższe planety tlenowe, ale nie rolnicze, na których istnieją zorganizowane siły porządkowe oraz porządne placówki medyczne i systemy transportu.

Dziewczyna wypowiedziała ciąg kodów i chwilę potem komputer wyświetlił holograficzną mapę sektora, w którym znajdowała się Stacja Singapur oraz trzy podświetlone systemy gwiazdne.

- Czy na którejs z nich są ograniczenia imigracyjne?

Kolejny kod trafił do komputera.

- Tak, sir. Niarchos IV jest zamknięty dla ludzi.

- Na której z pozostałych dwóch planet jest więcej policji?

Przekazała pytanie komputerowi i nagle na mapie pozostała tylko jedna planeta.

- Na Mirbeau III, sir.

- Dzięki. To mi wystarczy.

Cole podszedł w pobliże ni to hamaka, ni to kokonu, w którym wisiał Wxakgini, pilot z rasy Bdxeni, która nigdy nie spała i mogła połączyć się bezpośrednio z systemem nawigacji okrętu.

- Pilocie - zagał kapitan, który już dawno dał sobie spokój z próbami wymówienia imienia Wxakgini - czy pomiędzy naszą aktualną pozycją a planetą Mirbeau III znajduje się jakiś tunel czasoprzestrzenny? Możesz to sprawdzić w zasobach głównego komputera?

- Tak - odparł po chwili Wxakgini, on z kolei w odpowiedzi na niezdolność wymówienia przez dowódcę jego imienia nie tytułował go nigdy zwyczajowym „sir”. - Tunel Yoriba powinien doprowadzić okręt w pobliże czwartej planety systemu Mirbeau.

- Czas tranzytu ze Stacji Singapur?

- Z wykorzystaniem tunelu czasoprzestrzennego cztery godziny siedemnaście minut - odparł pilot. - Lot w normalnej

przestrzeni z prędkością światła potrwa do czterech dni.

- Dzięki - powiedział Wilson i odwrócił się do Rachel. - Skontaktuj się z panem Perezem. Przekaż mu, że odwiedzą go Wal, Byk i czterej ludzie Matchela. Niech ostrzeże załogę, że to bardzo niebezpieczni osobnicy, żeby wszyscy trzymali się od nich z daleka. Ma skorzystać z tunelu czasoprzestrzennego Yoriba i wysadzić ich na Mirbeau III.

- Nie powinniśmy tego najpierw uzgodnić z władzami planety, sir? - zapytała Rachel.

Cole pokręcił głową.

- A jeśli nam odmówią? Przekaż Sharon, żeby wysłała ostrzeżenie zaraz po tym, jak Perez zrzuci ładunek i skieruje się na Stację Singapur.

- Tak, sir.

- Przy okazji, czy Cztery Oczy wrócił już na pokład?

- Wydaje mi się, że jest teraz w mesie, sir.

- Dziękuję - powiedział Cole i ruszył do wind. Zjechał do mesy i przyłączył się do Forrice'a siedzącego samotnie przy stole.

- Co powiesz na małą robótkę wieczorem?

- W przestrzeni nie mamy wieczorów - odparł Molarianin.

- Wiem, ale to prostsze niż mówienie: Co powiesz na małą robótkę podczas białej zmiany?

- Co ci znowu chodzi po głowie?

- Wal i Byk odwożą psycholi na jakąś niewinną, niepodejrzewającą niczego planetę - powiedział Wilson. - Chciałbym, żebyś przeczłogał resztę rekrutów i ich jednostki. Trzeba sprawdzić, co potrafią. Jacovic, Domak i Sokołow pomogą ci. Wiemy już, że ta hołota potrafiła terroryzować ludność kilku planet, zobaczymy, jak spisie się przy wykonywaniu podstawowych manewrów wojskowych.

- To chyba ma sens - przyznał Cztery Oczy. - Jeśli mamy wśród nich kolejnych nieudaczników, lepiej dowiedzieć się od razu.

- Weźmiesz okręt klasy K, ten, który nazwali „Homarem”.

- Możesz mi powiedzieć dlaczego?

Cole skinął głową.

- Ma załogę składającą się wyłącznie z ludzi. Chcę się upewnić, czy będą wykonywali rozkazy dowódcy innej rasy.

- To, co zrobią teraz, może różnić się zasadniczo od ich zachowań pod ostrzałem - zauważył Forrice.

Kapitan wzruszył ramionami.

- Może i tak, ale przecież musimy od czegoś zacząć.

- Racja - zgodził się Molarianin. - Pozwolę Jacovicowi opracować plan tych ćwiczeń. Facet potrafi wykonywać takie manewry, że nawet mnie zadziwia.

- Dlatego dano mu stanowisko dowódcy Piątej Floty Teroni. Zdaje się, że w pewnym momencie miał pod swoimi rozkazami ponad dziesięć tysięcy jednostek... - Cole przerwał. - Na razie nie korzystaliśmy z jego talentów, ale, odpukać w niemallowane drewno, przyjdzie jeszcze taka pora, że będziemy dziękować za to, iż jest z nami.

- Walczyliśmy po przeciwnych stronach przez wiele lat - zauważył Forrice. - Aż dziw bierze, że nie czuje do nas nienawiści.

- A ty do niego czujesz?

- Nie - przyznał Molarianin. - Moim zdaniem, wykonywaliśmy po prostu swoje obowiązki.

- No i masz odpowiedź - powiedział Cole.

- A kiedy spotkaliśmy się oko w oko, miał nas na widelcu, ale zachował się bardzo honorowo - kontynuował Cztery Oczy. - A to rzadkość, bez względu na rasę.

- Nigdy nie wiadomo, w którym miejscu urodzi się ktoś honorowy - rzucił Wilson - albo chociaż kompetentny.

- Może dostrzeżemy kogoś takiego podczas dzisiejszych ćwiczeń - stwierdził Forrice.

- Wątpię - odparł Cole. - Nikt honorowy nie pracowałby dla kogoś takiego jak Matchel. A gdyby był tam ktoś kompetentny, dawno odebrałby mu ten interes.

Molarianin przyglądał się przyjacielowi przez dłuższą chwilę.

- Wiesz - powiedział w końcu - nie cierpię, kiedy masz rację. Tak wiele spraw wydaje mi się o wiele prostszych, kiedy sam o nich myślę.

- Przepraszam.

- Ależ mi ulżyło - burknął Cztery Oczy.

- Widzę, że tryskasz dzisiaj optymizmem.

- Zgadnij dlaczego.

- Flota opuści poblizę Braccio II za kilka dni. Będziesz mógł się pieprzyć przez następny tydzień, i to na wszelkie sposoby.

- Dwa tygodnie.

- Nie zamierzam dopuścić, byś wrócił aż tak wycieńczony. Nikt cię nie będzie nosił na wachty.

- Dzielisz łóżę z Sharon już od niemal dwóch lat i jakoś nie wyglądasz na wycieńczonego.

- Tylko dlatego, że on sobie leży, a ja odwalam całą robotę. - Nagle pojawiło się obok nich oblicze pułkownik Blacksmith.

- Znowu podsłuchujesz? - zapytał Cole.

- Jestem szefem ochrony. Podsłuchiwanie to mój zawód.

- Zmieniłem zdanie - powiedział Wilson. - Cztery Oczy, jeśli ją chcesz, to sobie bierz.

- Jeżeli flota zostanie tam dłużej niż tydzień - odparł Forrice, pohukując ze śmiechu - będę cię trzymał za słowo.

Postać Sharon pojawiła się ponownie przed Cole'em, gdy Molarianin dokończył posiłek i opuścił mesę.

- Wiesz - powiedziała bardzo poważnym tonem - trudno mnie nazwać nieśmiałą, dziewictwa też pozbyłam się dosyć dawno, ale nasza załoga zbyt często gada o burdelach, nawet jak na mój gust. I nie chodzi mi wyłącznie o facetów. Wiem, że Wal bardzo często zagląda do tego przybytku z androidami. Nawet nasz stary, dobry Forrice nie potrafi ostatnio o niczym innym myśleć. Nie uważasz, że to wszystko jest... czy ja wiem... jakieś takie niesmaczne?

- Musisz na to spojrzeć pod innym kątem - stwierdził Wilson. - Przyjrzyj się na przykład naszej sytuacji. Nie możemy wrócić na teren Republiki. Nie możemy założyć normalnych rodzin. Żyjemy w seksualnym wszechświecie i dlatego mamy takie potrzeby. My akurat mieliśmy to szczęście, że trafiliśmy na siebie, ale dla reszty załogi burdele są namiastką normalnego życia. Kiedy mieszkasz na wyjętym spod prawa okręcie, a teraz nawet flocie, w dodatku za twoją głowę wyznaczono nagrodę, ostatnie, czego możesz chcieć, to długotrwały związek z kimś osiadłym na planecie. Chyba już rozumiesz, skąd się biorą takie zachowania?

- Wiesz - odparła po chwili - chyba muszę się zgodzić z Forrice'em.

- W jakiej sprawie?

- Nie cierpię, kiedy masz rację. Potrafisz tak zakręcić sprawę, że przestaję czuć obrzydzenie do naprawdę obrzydliwych rzeczy.

- Właśnie miałem zamiar zabrać cię do jednej z tych ekskluzywnych restauracji, które otwarto na szóstym poziomie - stwierdził Cole. - Podają tam podobno zmutowane bizony z Polluska IV. Sądzę jednak, że każde z nas powinno zapłacić za siebie, żeby uniknąć kolejnej obrzydliwej rzeczy.

- To akurat jestem w stanie przeżyć - odparła.

- Jesteś pewna? - zapytał z uśmiechem.

- Oczywiście, jeśli jesteś gotów znieść celibat przez najbliższych sześć miesięcy - rzuciła. - Twój wybór.

- Pozwól, że zanim odpowiem, najpierw zajrzę do menu i sprawdzę ceny.

Roześmiała się głośno, on też, i oboje doszli do wniosku, że mieli cholerne szczęście, nie rodząc się Molarianami.

Kilka dni później mieli okazję sprawdzić naocznie, jak wielkie było to szczęście.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Cole i Forrice minęli stoły do gry i zasiedli w prywatnej loży Platynowego Księcia.

- Powiadomiono mnie, że chciałeś porozmawiać - zagaił Wilson.

- Jak szybko będziecie gotowi na prawdziwą akcję? - zapytał szef stacji.

- To zależy. Zdefiniuj, czym jest prawdziwa akcja.

- Największym przestępcą na Wewnętrznej Granicy jest niejaki Ośmiornica... - zaczął Książę.

- Czy to człowiek? - zapytał Forrice.

- Nie mam pojęcia - odparł szef stacji. - Nikt tego nie wie, może za wyjątkiem jego zastępców.

- Dobra, jest największym przestępcą na Wewnętrznej Granicy - wtrącił Cole. - Mów dalej.

- Dziwi mnie, że jeszcze o nim nie słyszeliście.

- A niby czemu mielibyśmy słyszeć? - zapytał Cole. - Nie mieszkamy tutaj zbyt długo. „Teddy R.” wyrusza tylko w konkretnych misjach i natychmiast wraca na Stację Singapur.

- Jestem pewien, że któryś z członków naszych załóg mu-

siał o nim słyszeć - powiedział Molarianin. - Było nie było, wcieli-
liśmy do służby ponad czterysta istot. Może ci, którzy służyli na
„Teddym R.” od początku, nie mają o nim pojęcia, ale reszta
spędziła tutaj całe życie, więc powinna wiedzieć, o co chodzi.

- Pozwólcie, że powtórzę: co dalej? - Cole zaczął się iry-
tować.

- Konsorcjum składające się z czterdziestu trzech planet
pragnie, aby ktoś zakończył jego działalność.

- To trochę za mało. - Wilson pokręcił głową. - Szczegóły
proszę.

- Chcą, by go zgładzono lub schwytano, a jego flotę rozbi-
to.

- Dlaczego nikt wcześniej o to nie prosił? - zapytał Forrice.

- Niedługo minie rok standardowy od chwili, gdy staliśmy się
najemnikami.

Cole zmiażdżył go spojrzeniem z rodzaju: ale głupie pyta-
nie.

- Nikt nie przypuszczał, że zdołacie zgromadzić tak wiel-
kie siły - wyjaśnił Książę. - Wieści o tym, że wolisz wcielać nowe
jednostki, niż je niszczyć, rozchodzą się lotem błyskawicy, więc
konsorcjum uznało, iż twoja flota rozrasta się z każdym błysko-
tliwym zwycięstwem i może mierzyć się z jeszcze większymi wy-
zwaniemiami.

- Przejdźmy do konkretów - poprosił Cole.

- Zapłacą ci...

- To jest podsumowanie - przerwał mu Wilson - a ja pytam o to, co jest nad kreską.

- Nie znam dokładnych liczb - przyznał szef stacji - ale szacunki mówią, że Ośmiornica posiada trzysta do czterystu okrętów.

- Zdaje się, że znamy zupełnie inne pojęcie na temat wyrównanych szans.

- Kiedy usłyszysz, ile za to płacą...

- To może poczekać - powiedział Cole. - Najpierw chcę wiedzieć, jakim uzbrojeniem dysponuje strona przeciwna.

- Nie mam bladego pojęcia.

- Ile planet opanowali?

- Już ci powiedziałem: czterdzieści trzy.

Cole pokręcił głową.

- To miała być liczba tych, które chcą zapłacić, a ja pytam, ile jest tych, które są zbyt zastraszone, by wstąpić w szeregi konsorcjum.

- Dowiem się. Nadal nie chcesz usłyszeć stawki?

- Najpierw ustalisz rzeczy, o które pytałem, potem porozmawiamy o cenie - zdecydował Wilson. - Chociaż mam wielką ochotę poprosić cię, żebyś zapomniał o tej propozycji. Prze-

ciwnik dysponuje przewagą liczebną w stosunku sześć albo osiem do jednego, jeśli nie większą. Po naszej stronie jest wiele jednostek klasy G i H. Jeśli Ośmiornica ma stukacze czwartej albo palniki piątej generacji, a do tego odpowiednie tarcze energetyczne...

- ...stracisz w tej bitwie kilka okrętów - dokończył Książę.

- Zastąpisz je zdobycznymi jednostkami.

- Te jednostki, które skreślasz wzruszeniem ramion, mają na pokładach masę istot, które wierzą, że zrobię wszystko, by przeżyły.

- Musisz liczyć się ze stratami, Wilsonie. To jest wojna.

- Nie będzie żadnej wojny, dopóki jej nie wypowiem - odparł Cole. - Zresztą wojna nie ma nic wspólnego z umieraniem za naszą sprawę. Moim zadaniem jest zrobić tak, żeby przeciwnik ginął za swoją.

- Naprawdę nie chcesz usłyszeć, ile za to zapłacą?

- Nie teraz.

Książę wzruszył ramionami.

- Dobra, skoro nie mogę liczyć na prowizję, idźcie chociaż i zagrajcie parę razy.

- Ty chyba nie znasz Wilsona - stwierdził Forrice. - On nie uznaje hazardu. - Zaśmiał się na swój obcy sposób. - Chyba dlatego idziemy za nim jak w dym.

Cole zauważył, że Wal porzuciła stół do jacob'a i zmierza w ich kierunku.

- Uśmiecha się. Pewnie odzyskała już pieniądze.

- Powiedźcie mi, jakim cudem ta kobieta zachowuje urodę, mimo że chleje na potęgę? - dziwił się szef stacji.

- Właściwszym pytaniem byłoby: Jakim cudem ta kobieta zachowuje urodę i sylwetkę, mimo że katuje swoje ciało w tak nieludzki sposób? - dorzucił Forrice.

- Jedno jest pewne, nie znam drugiej takiej jak ona - rzekł Książę.

- Nie znasz w ogóle nikogo takiego jak ona - poprawił go Cole. - Daj mi pięćdziesiąt jej podobnych, a zdołam podbić całą Republikę.

- O ile będą miały nastrój i chęci do podboju - mruknął Cztery Oczy. - Z nią nigdy nic nie wiadomo.

- Wal zawsze uwielbiała podboje - uspokoił go Wilson. - Większym problemem jest to, że nie zawsze potrafi słuchać rozkazów... Chociaż ostatnio jest już z tym lepiej.

Wal dotarła do stolika, odsunęła krzesło i zamówiła butelkę brandy u robota-kelnera.

- Ale podzielisz się nią z nami wszystkimi? - zapytał Książę z uśmiechem sugerującym, że się z niej nabija.

- Tylko z moimi towarzyszami broni - odparła poważnym

tonem. - To twój bajzel. Możesz sobie zamówić własną flachę.

- Słuchajcie - szef stacji zmienił temat - idę o zakład, że ona o nim słyszała.

- O kim? - zapytała Walkiria.

- O Ośmiornicy.

- Kawał paskudnego sukinsyna - rzuciła z pogardą.

- Spotkałaś go kiedyś? - zapytał Cole.

- Dość dawno. Znałam go przed dziesięciu, może jedena-
stu laty.

- Jest człowiekiem?

- Do pewnego stopnia.

- Nie rozumiem - rzucił Wilson.

- To raczej dziwadło albo jakiś mutant - wyjaśniła Wal. -

Nie nosi koszuli i ma sześć zdeformowanych rąk.

- Możesz nam powiedzieć coś jeszcze na jego temat?

- Jest sprytny - stwierdziła. - Prawie tak sprytny jak ja. Ale siły nie ma prawie wcale.

- Pomimo sześciu dodatkowych rąk? - zapytał Książę.

- To raczej rączki niż ręce.

- Nadal wydaje mi się niesamowity.

- Kiedyś chciał mnie chwycić za tyłek jedną z tych swoich
łapek, ale tak mu przypieprzyłam, że więcej nie próbował -
ciągnęła dalej Wal.

- Dzięki temu udało mu się dożyć dzisiejszego dnia - stwierdził Cole.

- A jak! - Wal nadal zachowywała pełną powagę. - Dlaczego o niego wypytujecie? - Odwróciła się gwałtownie w stronę Księcia. - Chcesz nam zapłacić za jego głowę?

- Póki co sprawa utknęła na etapie negocjacji - powiedział Cole.

- Czyli nie wyrazisz zgody, dopóki nie dowiesz się, czym on dysponuje - stwierdziła Walkiria. - W tym niewiele pomogę. Jak już wspomniałam, od naszego ostatniego spotkania minęło ponad dziesięć lat.

- Nie ma pośpiechu. Forrice i Jacovic wciąż pracują nad naszymi nowymi załogami. - Wilson spojrzał na Molarianina. - Wyłowiliście już kogoś, kto nada się na dowódcze stanowisko?

- Na to jest jeszcze za wcześnie - odparł Cztery Oczy. - Wydaje mi się, że nasi ludzie jeszcze długo będą pełnić przydzielone funkcje.

- Jacovic zgadza się z twoim zdaniem?

Forrice wzruszył ramionami.

- O to jego musisz zapytać, aczkolwiek nie wyobrażam sobie, żeby było inaczej.

- Dobrze - podsumował Cole. - Jeśli uważacie, że to konieczność, przenieście na nowe jednostki ludzi z okrętów Pere-

za i Jacovica. Doszło do tego, że nie znam połowy obsady „Tedy’ego R.”. Wolę nie pogarszać tej sytuacji.

- Z tym nie powinno być problemów - przyznał Molariannin. - Zajmę się transferami po powrocie na pokład. - Wstał od stolika. - A teraz, skoro nikt nie ma nic przeciw, bo niby czemu miałby mieć, pozwolicie, że oddalę się do Świetlika, aby spróbować szczęścia przy stole do storta.

Ruszył w stronę wyjścia, kręcąc się z gracją na trzech nogach.

- Naprawdę nie wiem, co mu się podoba w tej idiotycznej grze dla kosmitów - stwierdziła Wal.

- W storcie? - Cole uśmiechnął się. - Chyba to, że wygrywa.

- Też mi coś. Powinien spróbować tutejszego jaboba.

- Miałaś szczęście, moja droga - wtrącił Książę. - Ten stół przynosi regularny dochód w wysokości piętnastu procent.

- I dlatego tak mnie pociąga - odparła. - Inne stoły dają góra dwa procent.

Do stolika przydreptał Dawid Copperfield. Z trudem wgramolił się na krzesło zaprojektowane dla ludzi.

- A ty gdzie się podziewałeś? - zapytał Cole.

- Pomyślałem, że ktoś powinien posłuchać, co w naszej galaktyce piszczy - odpowiedział mały kosmita.

- Republika nadal walczy z Federacją Teroni - rzucił Wilson. - Żeby to wiedzieć, nie musiałeś włączać radia podprzestrzennego. Walki trwają już od ponad dwudziestu lat.

- Nie trywializujmy sprawy - stwierdził Dawid, uśmiechając się szyderczo. - Spica II wygrała rozgrywki ligowe w morderballa. Giełda na Delurosie VIII zanotowała trzyprocentowe wzrosty. Pojawiło się też trzynaście nowych książek, dysków, szescianów i holo o buncie na pokładzie „Teodora Roosevelta”.

- A wszystkie równie wierne oryginałowi jak poprzednie - Cole nie wydawał się zainteresowany tą wiadomością. - Dowiedziałeś się czegokolwiek pożytecznego?

- Tak, ale nie przez radio - przyznał Copperfield. - Załoga transportowca, który niedawno wylądował na Singapurze, twierdzi, że Republika zdiesiątkowała ludność sześciu planet leżących na terytorium Wewnętrznej Granicy.

- Dlaczego dowódca floty miałby rozkazać zniszczenie sześciu neutralnych planet? - Po tej informacji na twarzy Cole'a pojawiło się obrzydzenie.

- Nie wszyscy oficerowie mają bunt we krwi - wtrącił uśmiechnięty Książę.

- No tak - mruknął Wilson. - Skoro już odlatują, możemy pozwolić Forrice'owi na szybki wypad na Braccio II. - Wstał od stolika. - Wracam na pokład. Dawidzie, wiem, że sekundę po

moim wyjściu Książę zasypie cię informacjami o trylionach, jakie możemy zarobić, jeśli podpiszemy kontrakt, nad którym teraz pracuje... - zamilkł na moment. - Po pierwsze, nie masz prawa do autoryzacji ani podpisania tej umowy bez mojej zgody. Po drugie, nie pozwalam ci na żadne wtręty na ten temat przy najbliższych dziesięciu rozmowach, żeby nie wiem jak spontanicznie wyglądały.

- Steerforth, uraził mnie pan tą uwagą do żywego.

- Zapamiętaj, co powiedziałem, bo wezmę największy nóż z kambuza i zacznę na ciebie polować.

- Idę z tobą - oznajmiła Wal, wstając i zabierając butelkę.

- Wydawało mi się, że zamierzasz spędzić tę noc na świętowaniu wygranej - zdziwił się Wilson.

- Zamierzam - odparła. - Ale najpierw muszę ukryć połowę tej sumy, na wypadek gdyby szczęście odwróciło się ode mnie.

- Mogę przechować te pieniądze, jeśli chcesz.

Rozważała przez dłuższą chwilę jego propozycję, a potem wcisnęła mu w dłonie grube pliki kredytów Republiki, rubli Nowego Stalina i dolarów Marii Teresy.

- Nikomu innemu bym ich nie powierzyła - powiedziała.

- Doceniam twój gest.

- Gdzie będziesz, gdybym ich nagle potrzebowała?

- Skoro zamierzasz nimi pokryć przegraną w kolejnych zakładach, dlaczego ich sobie nie zostawisz? - zapytał Wilson.

Pokręciła głową.

- Powiedzmy, że robię to dla zachowania pozorów.

- A jeśli odmówię wydania tych pieniędzy, kiedy przyjdiesz po nie w nocy?

- Nie radzę - odparła całkiem poważnie. - Jeśli będę totalnie wstawiona, mogę cię zabić.

- Nie możesz.

- Nie sądzę, żebym chciała, ale kto wie... - Jeszcze nigdy nie widziałem cię aż tak pijanej - stwierdził Cole. - Pozwól więc, że zaryzykuję. Dostaniesz te pieniądze z powrotem dopiero po wyruszeniu z następną misją.

Gapiła się na niego przez chwilę, a potem skinęła głową i odstawiła butelkę.

Kapitan wrócił na pokład „Teddy’ego R.”, gdzie natychmiast trafił na Rachel Marcos.

- Co się stało? - zapytał.

- Właśnie zakończyliśmy sporządzanie raportu o stratach podczas likwidacji bandy Matchela - odparła.

- Jakich znowu stratach? - zdziwił się Cole. - Przecież nie oddano nawet jednego strzału.

- Kosmiczne śmieci uszkodziły „Longshota” i „Paskudną

Penny” podczas przelotu przez tunel czasoprzestrzenny.

- Skoro zdołały dolecieć na Stację Singapur, nie doszło do rozszczelnienia kadłubów.

- Nie doszło - potwierdziła - ale jeśli nie naprawimy uszkodzeń, mogą pojawić się kolejne problemy.

- Czy Śliski poradzi sobie z taką robotą? - zapytał Wilson.

Śliskim nazywano jedynego Tolobitę w załozie „Teddy’ego R.”, kosmitę, który dzięki symbiontowi wyglądającemu jak jego druga skóra potrafił przebywać przez kilka godzin w lodowatej próżni.

- Pokazałam mu hologramy uszkodzonych części poszybia. Uważa, że powinien dać sobie z tym radę - powiedziała Rachel.

- Świetnie. Prześlij hologramy i raporty do pana Odoma.

- Mustafa Odom był pierwszym mechanikiem „Teddy’ego R.”. - Jeśli wyrazi zgodę na te naprawy, możesz pozwolić Śliskiemu wyjść w przestrzeń.

Skierował się do biura Sharon, poczekał, aż szefowa ochrony skończy pracę, i zabrał ją na kolację na Stację Singapur, gdzie nadział się na Forrice’a.

- I jak ci poszło? - zapytał.

- Wyszedłem na zero - przyznał Molarianin. - Stort to cholernie podstępna gra. Kiedy zaczynasz myśleć, że już ją rozgry-

złeś, okazuje się, że jest o wiele bardziej skomplikowana, niż myślałeś. Musiał ją wynaleźć jakiś Canphoryta. - Roześmiał się nagle. - Ale dotarła też do mnie świetna wieść. Flota przestała zabijać i wraca do domu.

- Aż do następnego razu - wtrąciła Sharon.

- Aż do następnego razu - zgodził się Cztery Oczy. - Jeśli nie macie nic przeciwko temu, wezmę jeden z wahadłowców i polecę na Braccio II.

- Możesz lecieć - odparł Cole - ale nie widzę powodu, żebyś był za tydzień jedynym uszczęśliwionym Molarianinem na pokładzie. Weź ze sobą Braxytę i Jacilliosa.

- Wezmę Jacilliosa - odparł Cztery Oczy. - Braxyta skręcił nogę, kiedy robiliśmy przebieżkę po jednym z nowych okrętów, i leży teraz w ambulatorium. Musieli mu założyć gips.

- To dajcie mu kule i zabierzcie ze sobą.

Forrice pokręcił masywną głową.

- Ludzie radzą sobie doskonale o kulach albo z protezą jednej nogi, Molarianie muszą mieć wszystkie kończyny zdrowe, żeby chodzić. Możesz mi wierzyć, większą krzywdę zrobimy mu, zabierając na Braccio II, zważywszy, po co tam lecimy.

- Rozumiem. Ty chyba wiesz najlepiej, o czym mowa - zgodził się Cole.

- Idę spakować rzeczy i powiadomić Jacilliosa, że nieba-

wem wylatujemy.

- Baw się dobrze. I uważaj na siebie.

- Nie zrobię nic, czego ty nie przetrenowałeś z naszą szacowną szefową ochrony - obiecał Molarianin. - Tyle tylko, że w moim wykonaniu będzie więcej rozmachu i finezji.

- Nie wątpię - odparł Cole. - Wspomniałem o zachowaniu ostrożności, na wypadek gdyby po okolicy wciąż kręciły się okręty Republiki.

- Jeśli trafię na jakiś, prześlę ci jego dokładną pozycję w zamian za dodatkowy dzień wolnego na Braccio II. - Forrice zaniosł się obcym śmiechem.

- Tylko mi tego nie mów - powiedział Wilson do Sharon, gdy jego pierwszy oficer zaczął się odtaczać na pokład „Teddy’ego R.”.

- Czego mam nie mówić? - zapytała.

- Że to niesmaczne.

- Nie zamierzam.

- Świetnie.

- Chociaż to smutne.

- Dlaczego?

- Nie mamy na pokładzie „Teddy’ego R.” ani jednej samicy Molarian - odparła. - Ciekawe, jak byś się czuł, wiedząc, że na statku nie ma żadnych kobiet, a na dodatek nigdy nie bę-

dziesz mógł wrócić na swoją planetę?

- Zacząłbym się pewnie przystawiać do Władimira Sokółowa albo Byka Pampasa - stwierdził Cole.

- Powiedz jeszcze słowo na ten temat, a spędzisz najbliższą noc w ich towarzystwie.

Cole zdecydował, że nie warto drążyć tego tematu.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Kolejne dwa dni niczym się nie wyróżniały. Jacovic nadzorował szkolenie rekrutów, a reszta załóg zabijała czas, korzystając z atrakcji oferowanych przez Stację Singapur, co dla większości oznaczało chłanie, uprawianie hazardu i zażeranie się prawdziwym jedzeniem (w przeciwieństwie do serwowanych na pokładzie produktów sojowych). Mało kto jednak zahaczał o liczne w tych okolicach meliny narkotykowe. Cole wyraził się bowiem bardzo jasno już w dniu przybycia na pokład „Tedy’ego R.” na temat prochów i ludzi, którzy je zażywają.

Niektórzy z załogantów znajdowali jednak zupełnie inne atrakcje. Sharon na przykład znalazła kilka ciekawych galerii sztuki. Christine spędzała długie godziny na dyskusjach o komputerach z królem tutejszego czarnego rynku. Rachel Marcos i Luthor Chadwick wpadli do niewielkiego teatru, aby obejrzeć nową wersję klasycznej sztuki sprzed tysięcy lat, niejakiego Szekspira. Przedstawienie tak im się spodobało, że w ciągu kolejnych trzydziestu sześciu godzin zaliczyli jeszcze cztery następne seanse. Nikt nie miał jednak pojęcia, co porabiała Wal, kiedy nie było jej w kasynie Księcia, ale zazwyczaj wracała na pokład

z uśmiechem na ustach, choć dało się też czasem zauważyć rozcięcie na wardze albo otarcia na kostkach.

Cole spędził ten czas, kręcąc się po poziomach przeznaczonych dla kosmitów, chociaż robił to bardziej z ciekawości niż potrzeby kontaktu. W czasie jednej z takich wycieczek, gdy przemierzał szeroki korytarz, od czasu do czasu rzucając okiem na wystawy mijanych sklepików, otarł się o niego Lodinita.

Z początku Cole nie zwrócił na to uwagi i dopiero kiedy wracał na poziomy przeznaczone dla ludzi, dotarło do niego, że w korytarzu, w którym doszło do tego zdarzenia, bardzo szerokim zresztą, był tylko on i kosmita. Lodinita mógł - i powinien - minąć go przynajmniej w odległości kilkunastu stóp. Tknięty przecuciem zaczął przetrząsać kieszenie i w jednej z nich znalazł złożony kawałek papieru.

Otworzył wiadomość, ale zobaczył, że jest napisana w nieznanym mu języku, założył więc, iż ma do czynienia z lodinickim. Natychmiast skontaktował się z Sharon, która zwiedzała właśnie kolejną galerię.

- Co się dzieje? - zapytała, ledwie jej hologram pojawił się w powietrzu.

Pokazał jej wiadomość.

- Znasz ten język?

Pokręciła głową.

- Nie. Dlaczego pytasz?

- Ktoś chce, żebym to przeczytał. Jakiś Lodinita podrzucił mi tę kartkę, ale równie dobrze mógł być jedynie posłańcem.

- Christine tak długo gapiła się na Edypa, że ledwie teraz widzi - stwierdziła Sharon - ale Malcolm Briggs ma wachtę na mostku i nie zejdzie z niego przynajmniej przez następne dwie albo trzy godziny. Jest prawie tak dobry w komputerach jak ona. Możesz go poprosić o przetłumaczenie.

- Świetnie, dziękuję - powiedział Cole i się rozłączył.

Zdecydował, że nie powinien transmitować obrazów tej wiadomości, dopóki nie pozna jej treści, na wypadek gdyby w pobliżu znajdowały się jakieś szpiegowskie urządzenia skanujące. Wezwał więc robowóz i kazał się zawieźć na „Teddy’ego R.”, zacumowanego przy siódmym ramieniu doków. Jeśli nawet Sharon się myliła i Briggs nie miał teraz służby, kapitan i tak wolał przetłumaczyć wiadomość na pokładzie okrętu. Tylko tam mógł być pewien, że ktoś przebywający poza mostkiem nie pozna treści pisma.

Zgodnie z oczekiwaniami Malcolm pełnił jednak wachtę.

- Ile potrzebujesz czasu na tłumaczenie? - zapytał Cole po wyjaśnieniu, czego oczekuje, i oddaniu oficerowi kartki.

- Najtrudniej będzie zidentyfikować język - odparł Briggs.

- Reszta to kwestia pół sekundy.

- Zaczynij od lodinickiego.

Porucznik zeskanował wiadomość i wydał polecenie.

- Nie, sir - stwierdził po chwili. - To na pewno nie jest lodinicki.

- Chyba niewiele ras może stawiać takie kulfony - zauważył Cole.

- To się okaże - powiedział Briggs. - Około osiemdziesięciu używa znaku, który przypomina nasze „o”, a kolejnych pięćdziesiąt pisze litery wyglądające jak „t” i „i”. - Wydał kolejną komendę komputerowi, która zabrzmiała w uszach Wilsona równie obco jak molariańskie albo lodinickie słowa.

Komputer pomruczał przez moment, a potem odezwał się do Briggsa w tym samym matematycznym narzeczu.

- Mam go, sir - powiedział oficer i zmarszczył brwi. - To pnathiański.

- Pnathiański? - powtórzył Cole. - Co to jest, u licha?

Briggs wzruszył ramionami.

- W życiu o nim nie słyszałem.

- Zapytaj komputer.

Malcolm wykonał rozkaz.

- Pnath jest gęsto zaludnioną planetą na skraju terytorium Republiki, tuż przy Zewnętrznej Granicy. Jej populacja liczy około czterech milionów mieszkańców. Pnathianie płacą podat-

ki, ale odmawiają służby wojskowej z przyczyn religijnych i etycznych. Niedawno osiągnęli etap rozwoju pozwalający im podróżować z prędkościami nadświatłymi. Wolą utrzymywać wymianę handlową, niż wstąpić do Republiki...

- Wystarczy - przerwał mu Cole. - Co jest w tej wiadomości?

Briggs wydrukował kopię treści i podał ją kapitanowi.

Ośmiornica przesyła wyrazy szacunku i pozdrawia kapitana Wilsona Cole'a z „Teodora Roosevelta”, prosząc jednocześnie o spotkanie w cztery oczy, które może zaowocować obopólnymi korzyściami. Może się ono odbyć na następujących warunkach - rekomenduję neutralne terytorium, każdemu z nas może towarzyszyć tylko jeden podwładny. Jeśli przyjmuje pan te warunki, proszę postawić pięć dolarów Marii Teresy na trzecim poziomie Niebieskiej Cesarzowej w grze porchii, w kasynie „U Księcia”, przed godziną dwudziestą drugą. Oczywiście lokalnego czasu. Jeśli otrzymam zapewnienie o woli spotkania, wiadomość dotycząca miejsca i czasu zostanie dostarczona przed godziną dwudziestą czwartą. Przyjęcie tych warunków proszę także potwierdzić identycznym zakładem.

- Bez podpisu - zauważył Briggs, gdy Cole pokazał mu

przetłumaczoną wiadomość.

- Z treści wynika, kto był nadawcą - przypomniał mu Wilson.

- Zamierza pan zgodzić się na jego warunki, sir?

- Muszę to gruntownie przemyśleć, ale najprawdopodobniej wyrażę zgodę. Jeśli Ośmiornica jest w stanie tak dokładnie monitorować Stację Singapur, postawienie dziesięciu dolarów za poznanie jego myśli nie wydaje mi się zbyt wygórowaną ceną.

- To może być pułapka - zauważył Briggs.

- Może być - zgodził się Cole. - Chociaż wątpię. Gdyby chciał się mnie pozbyć, ten Lodinita miał dzisiaj idealną okazję, aby strzelić mi w plecy.

- Chciałbym udać się tam z panem, sir - zaoferował się porucznik.

- Doceniam to, Malcolmie - odparł kapitan - ale na wypadek gdyby to naprawdę była pułapka, wolałbym mieć przy sobie Walkirię.

Briggsowi nie udało się ukryć zawodu.

- Nie patrz na mnie tak, jakbym ci zabił ulubione zwierzątko albo przyjaciela - poprosił Cole. - Jesteś bardzo dobry w swoim fachu, nie chwaląc się zbyt, tak samo jak ja. Nigdy jednak nie spotkałem kogoś tak biegłego w sztukach walki jak

Walkiria. Jeśli ktoś ma chronić mój tyłek, nie wspominając o rejonach od frontu, zawsze wybiorę właśnie ją.

- Wiem o tym, sir.

- Skoro już o niej mowa, spróbujmy ją namierzyć. - Sprawdził godzinę. - Mamy mniej więcej dziewiętnastą lokalnego czasu. Najwyższy czas, żeby ją powiadomić.

Briggs spędził przy konsoli komputera następne dziesięć minut, usiłując skontaktować się z Wal, ale bez skutku.

- Chyba ma zepsuty komunikator - powiedział w końcu.

- Akurat - mruknął Cole.

- Słucham, sir? - Porucznik wyglądał na zdziwionego.

- Nie, nic - odparł kapitan. - Chyba wiem, gdzie ona teraz jest. - Ruszył w stronę wind, potem zatrzymał się i odwrócił do młodego oficera. - Dopóki nie postanowię inaczej, treść tej notatki ma pozostać naszą słodką tajemnicą.

- Sekcja ochrony będzie miała do niej dostęp, sir. Oni monitorują każdy mój ruch na mostku.

- Sharon i Chadwicka nie ma na pokładzie. Istnieje też duże prawdopodobieństwo, że nie wrócą przed dwudziestą drugą, a jeśli nawet, to przecież nie będą mieli powodów do przeglądania wszystkich komend, które wydał pan komputerom. Jak się do niej dokopią, to się dokopią. Wystarczy, że pan nie będzie im w tym pomagał.

- Mogę zapytać dlaczego, sir?

- Nie chcę, żeby cała banda chętnych, ale niezbyt mile widzianych obrońców odstraszyła Ośmiornicę.

Cole wszedł do windy, zjechał do hangaru wahadłowców i wydostał się na pirs. Przywołał najbliższy robowóz i udał się do wnętrza Stacji Singapur.

Minął kasyno Księcia, potem ulubione restauracje, aby w końcu zatrzymać się przed wejściem do całkiem normalnego budynku, nad którego drzwiami palił się niewielki neon z napisem: GOMORA. Stał przed nim przez chwilę, a potem wszedł do środka.

Za skromnym kontuarem w holu, którego rzeczywiste rozmiary trudno byłoby oszacować po skromnym frontonie, stał lśniący metalowy robot.

- Pozdrawiam szanownego pana - maszyna odezwała się jedwabistym głosem. - Witam w „Gomorze”, najniezwyklejszym burdelu Wewnętrznej Granicy.

- Zatrudniacie wyłącznie androidy? - zapytał Cole.

- Wolimy myśleć o nich jak o wyidealizowanych osobnikach ludzkich, nieodróżnialnych od szanownego pana, dopóki nie wkroczymy na arenę ich sztuki, tam bowiem kończą się wszelkie możliwości porównań.

- Świetnie, zatem trafiłem w odpowiednie miejsce - ucie-

szył się Wilson. - Muszę porozmawiać z jedną z waszych klientek.

- Obawiam się, że to nie będzie możliwe, sir - stwierdził robot. - Gwarantujemy klientom, że nikt im nie będzie przeszkadzał w trakcie wizyt tutaj.

- Zanim zaczniemy się o to sprzeczać, powiedz mi przynajmniej, czy ona tutaj jest - poprosił Cole. - Nazywa się Wal, chociaż okazjonalnie korzysta pewnie z pięćdziesięciu innych imion. Bardzo wysoka kobieta, mierzy prawie siedem stóp wzrostu, rudowłosa, cholernie dobrze wyglądająca, chociaż to ostatnie mogłoby ci umknąć.

- Nie mogę udzielić panu informacji na ten temat - odparł robot.

Sekundę później jego mechaniczne oczy spoglądały prosto w wylot palnika.

- Sugeruję, abyś zrobił w tym wypadku wyjątek.

- Proszę o wybaczenie - odparł niezrażony robot - ale nie zamontowano mi obwodów samozachowawczych, więc wszelkie groźby są bezcelowe.

- Macie tu może bramkarza?

- Bramkarza, sir?

- Takiego faceta, który sprowadza klientów do pionu, kiedy zaczynają... - przerwał, by dobrać odpowiednie słowa -

zachowywać się niezgodnie z przyjętymi zasadami.

- Każdy z naszych robotów bez problemu potrafi poradzić sobie z człowiekiem, chociaż niemal nigdy nie wykorzystują tej przewagi.

- W takim razie jesteś tutaj jedynym, który nie trudni się prostytutką? - zapytał Cole.

- Oczywiście oprócz klientów, sir.

- A twoim zadaniem jest dbanie o ich prywatność i godność osobistą?

- Zgadza się, proszę pana.

- Zatem widzę, że możemy dojść do porozumienia - stwierdził Wilson, wciąż mierząc w głowę robota. - Skup się, proszę. Jeśli nie powiesz mi tego, co chcę wiedzieć, stopię ci ten metalowy kołtun na ciekłą plazmę.

- Już panu mówiłem, sir, że nie posiadam instynktu samozachowawczego.

- Pamiętam - przyznał Cole - ale powiedziałaś także, że posiadasz poczucie obowiązku. Jeśli nie powiesz mi, czy Wal jest tutaj, i nie podasz numeru pokoju, w którym przebywa, stopię ci ten metalowy kołtun na ciekłą plazmę, powtarzam, a potem zrobię to samo z każdym androidem, który stanie mi na drodze, i będę wywalał jedne drzwi po drugich, aż sam ją znajdę. Przy okazji odbiorę wszystkim waszym klientom nie tylko prywat-

ność, ale i godność osobistą. Czy wyraziłem się wystarczająco jasno?

- Pańskie warunki są nie do przyjęcia - stwierdził robot.

- W takim razie sugeruję ponowne przemyślenie tematu i dokonanie trafniejszej oceny. Co jest lepsze: udzielenie odpowiedzi na moje pytanie czy zakończenie żywota, co uniemożliwi ci dalsze pilnowanie prywatności klientów i własności należącej do szefów tego interesu?

Robot stał absolutnie nieruchomo przez ponad dziesięć sekund.

- Klientka imieniem Wal znajduje się w pokoju numer szesnaście.

- Możesz ją tu przywołać?

- Nie, sir. Musi się pan z nią skontaktować osobiście.

- Mam przeczucie, że ona nie lubi, jak jej się przeszkadza w takich sytuacjach - mruknął Cole. - A możesz przywołać tu robota, którego wynajęła?

- Androida - poprawił go automatyczny recepcjonista. - Pani Wal przebywa aktualnie z dwoma, mogę się z nimi skontaktować, ale nie jestem w stanie ich sprowadzić.

- Ale możesz sprawić, żeby któryś z nich przekazał jej moje słowa?

- Mogę przekazać treść, ale nie brzmienie głosu.

- Świetnie - ucieszył się Cole. - Oto moja wiadomość: *Wal, mówi Cole. Masz godzinę na wymęczenie swoich partnerów i zakończenie zabawy. Zgłoś się potem po instrukcje do kasyna Platynowego Księcia. Mam dla ciebie robotę, która nie może czekać.*

Robot znów znieruchomiał na kilka sekund.

- Wiadomość została przekazana.

- Znakomicie - powiedział Wilson. - Czy mogę coś zasugerować?

- Słucham szanownego pana?

- Ta kobieta będzie wściekła po opuszczeniu pokoju. Na twoim miejscu wgrałbym sobie jak najszybciej instynkt samozachowawczy i zniknął stąd na czas, aż opuści ten przybytek.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Kasyno Księcia było zatłoczone, jak zwykle zresztą.

Cole zasiadł przy stoliku, który właściciel zarezerwował dla niego i członków załogi „Teodora Roosevelta”. Dołączyli do niego Dawid Copperfield, Sharon Blacksmith i sam Platynowy Książę. Rozmawiali o galeriach, teatrze i wynikach morderballa z gromady Quinellusa, aż w końcu Sharon nie wytrzymała.

- Do cholery, Wilsonie! - zawołała. - Pitolimy o pierdołach od czterdziestu pięciu minut. To przynajmniej pół godziny dłużej, niż jesteś w stanie wytrzymać. Co tu się dzieje, u licha?

- Nic - odparł Cole. - Odprężam się.

- Spoglądając w stronę drzwi co dziesięć sekund? - nie odpuściła. - Kogo spodziewasz się zobaczyć?

- Nigdy nie wiadomo, kto może się pokazać.

- Wiesz, co ja o tym myślę? - zapytała Sharon.

- Nie mam bladego pojęcia.

- Wydaje mi się, że pozwalałeś nam na gadanie o rzeczach, które cię w ogóle nie interesują, aby odwrócić naszą uwagę od czegoś, co ci chodzi po głowie!

- Chcesz rozmawiać o seksie i jedzeniu, nie ma problemu,

podejmę temat.

- Akurat! - Sharon zerwała się z krzesła. - Idę zaczerpnąć świeżego powietrza. I tak nic nie powiesz, dopóki nie będziesz na to gotowy.

- Na zewnątrz tłoczemy to samo powietrze co tutaj - poinformował ją Książę.

- To prawda - odparła - ale na korytarzu nie będę musiała wysłuchiwać takiego pieprzenia w bambus.

Odwróciła się i ruszyła w stronę wyjścia.

- Jeśli wstaniesz od razu, masz szansę dogonić ją, zanim zdąży opuścić kasyno - rzucił Dawid.

- Niech robi, co chce - odparł Cole.

- Rozumiem! - Na obcym obliczu Copperfielda pojawiły się oznaki ekscytacji. - To sprzeczka miłosna.

- Z nikim się nie posprzeczałem.

Gdy to mówił, do sali weszła Wal.

- Wybaczenie, panowie - powiedział Cole - muszę porozmawiać z moim trzecim oficerem. Zaraz wracam.

- Pozwól jej podejść do stolika, tutaj też możecie porozmawiać - zasugerował Dawid.

- Ona zadurzyła się w tobie, mój drogi - odparł Wilson. - Nie chciałbym, żeby zrobiła z siebie głupka na oczach tłumu.

- Naprawdę? - rozpromienił się mały kosmita.

- Czy ja bym cię okłamał? - odparł Cole, wstając od stolika, by przejąć Wal, zanim ta zdąży do nich podejść.

- Czego chcesz? - zapytała bez ogródek. - Lepiej, żebyś miał dobry powód. Zapłaciłam za cztery godziny, a te gnoje nie chciały mi zwrócić pieniędzy. Wisisz mi pięćset funtów Dalekiego Londynu.

- Zapłacę ci, jak wrócimy na pokład - obiecał Wilson. - Ale najpierw będę potrzebował twojej pomocy.

- Co mam robić? - z miejsca przeszła do rzeczy.

- Ściszyć głos i słuchać - odparł Cole, a ton, jakim to powiedział, natychmiast ją zaalarmował. - W ciągu najbliższej półtorej godziny postawię pięć dolców przy stole do porchii.

- To gra dla kosmitów - zdziwiła się Wal. - Ludzie nie są w stanie pojąć jej zasad... To jakiś znak - zrozumiała po chwili.

Skinął głową.

- Tak, to znak.

- Dla kogo?

- Dla twojego dawnego przyjaciela - wyjaśnił. - Ośmiornicy.

- Czego on znowu chce?

- Pogadać. Mamy przyprowadzić po jednym ochroniarzu. Ty będziesz moim.

- Trafny wybór, do diaska - ucieszyła się Wal. - Jestem

więcej warta niż pięciu Pampasów albo dziesięciu innych członków twojej załogi.

- Ale za to skromna.

- Skromność jest dla tych, którzy nie mają się czym chwalić.

- Wracając do tematu, flota tego osobnika ma nad nami ogromną przewagę liczebną. Co więcej, udało mu się zinfiltrować Stację Singapur do tego stopnia, że zdołał mnie podejść na osobności i przekazać informację o tym spotkaniu tak, że nikt inny tego nie zauważył. Przy tym stole także będzie ktoś od niego, aby sprawdzić, czy postawię te pięć dolców w wyznaczonym czasie... - Cole przerwał. - Zważywszy na okoliczności, Ośmiornica wydaje mi się człowiekiem godnym poznania.

- Ja go już znam - odparła Wal - ale w życiu nie określiłabym go mianem „godnego” czegokolwiek. Jest największym watażką na Wewnętrznej Granicy.

- A ja jestem najbardziej poszukiwanym kryminalistą Republiki - przypomniał jej kapitan.

- Najprawdopodobniej usłyszał już o ofercie Księcia i postanowił pozbyć się ciebie cichcem, nie ryzykując przy tym utraty kilku okrętów. Albo chce cię wydać, żeby zgarnąć nagrodę. Innej możliwości nie widzę.

- I dlatego musisz iść ze mną - oznajmił Cole.

- Mam nadzieję, że gnojek spróbuje kombinować - odparła ze złowieszczym uśmiechem.

- Mam nadzieję, że nie będziesz mi miała za złe, jeśli nie podzielę tej opinii?

- Jasne - stwierdziła Wal. - Mamy jeszcze coś do omówienia?

- Nie. Kiedy masz zamiar obstawić?

- O dwudziestej drugiej.

- Czasu pokładowego czy miejscowego?

- Miejscowego.

- Zatem do zobaczenia przy stole do porchii - rzuciła. - W międzyczasie spróbuję szczęścia przy jajobie. Na wypadek gdyby mi nie poszło za dobrze, liczę, że skredytujesz mnie na pięć stówek.

Skinął głową.

- Powiedziałem, że ci je oddam.

- Świetnie - ucieszyła się. - W takim razie musisz dożyć do zrobienia tego zakładu.

Zanim zdążył odpowiedzieć, już szła w stronę stołów do gry.

- Załatwiłeś już wszystkie sprawy? - zapytał księżę, gdy Cole wrócił na swoje miejsce.

- Tak.

- Świetnie. Kupiłem właśnie pakiet kontrolny dyskretnej restauracyjki na samym końcu stacji, tuż nad poziomem transportowym. Może skoczmy tam we trójkę i sprawdzimy, czy to trafiona inwestycja.

- Może później - odparł Wilson.

- Podają tam zmutowaną wołowinę z Greenveltda - kusił człowiek z platyny.

- Nie jestem głodny. Dołączę do was za chwilę.

- Twoja strata - powiedział Książę, wstając od stolika. - Dawidzie?

- Zaczekam na mojego przyjaciela ze szkolnej ławy - odparł Copperfield. - Nie powinien jeść w samotności.

- Ale nie będziecie mi mieli za złe, jeśli sam pójdę? - zapytał rozbawiony właściciel stacji.

- Jesteś kapitalistyczną świnią - wypalił w odpowiedzi Dawid - a my jedynie skromnymi klientami.

Platynowy Książę roześmiał się.

- Na takie dictum nie ma odpowiedzi. Do zobaczenia później.

- Powinieneś z nim iść - powiedział Cole.

- Wolę zostać i zobaczyć, jak się z tobą skontaktują.

- O czym ty mówisz?

- Daj spokój, Steerforth - poprosił Copperfield. - Byłem

największym paserem na Wewnętrznej Granicy. Potajemne kontakty to moja specjalność. Siedzisz tutaj, prawie nic nie mówisz, praktycznie rzecz biorąc, przegoniłeś Sharon, rozmawiasz z Walkirią, ale tak, żeby nikt was nie słyszał, a na koniec odmawiasz wizyty w nowej restauracji Księcia. O co innego mogłoby chodzić? Siedzisz tutaj, czekając na kontakt, a Wal ma z tym coś wspólnego. Najprawdopodobniej będzie cię osłaniała.

Cole przyglądał się maleńkiemu kosmicie przez dłuższą chwilę.

- Tego nie mogłeś wyczytać u Karola Dickensa. Jesteś naprawdę niezły w te klocki, Dawidzie.

- Dziękuję, Steerforth, mój przyjacielu - odparł Copperfield. - Z kim masz zamiar się spotkać?

- Powiem ci później.

- Ciekaw jestem, czy on naprawdę ma osiem rąk.

- Dlaczego uważasz, że to będzie Ośmiornica?

- Nie należysz do ludzi przekupnych, a tylko on ma wystarczająco wielką flotę, byś się z nim liczył - wyjaśnił Copperfield.

- Przesadzasz, przyjacielu - zbył go Cole. - Bardzo łatwo mnie przestraszyć.

Dawid wydał z siebie dziwny dźwięk, odpowiednik ludzkiego prychnięcia.

- Zatem mylę się czy mam rację?

- Tak.

- Co tak?

- Tak, mylisz się albo masz rację - sprecyzował Wilson. - I na tym zakończymy ten temat.

- Ale...

- Słyszałeś, co powiedziałem.

- Tak, Steerforth.

Cole upił drinka i zajął się obserwacją gości, zastanawiając się, czy przedstawiciel Ośmiornicy jest już na sali, czy dopiero za chwilę się na niej pojawi. W końcu, gdy do dwudziestej drugiej zostało tylko kilka minut, podszedł do stołu, przy którym grano w porchii. Wal pojawiła się po drugiej stronie niespełna minutę później, udając, że nie zauważa kapitana.

W odpowiednim momencie Wilson zawołał, że chce postawić pięć dolarów Marii Teresy na trzeci poziom Niebieskiej Cesarzowej. Krupier Mollutei odebrał od niego pieniądze, zakręcił kołem, rzucił kośćmi, odwrócił karty i wykonał jeszcze kilka czynności, przygotowując się do kolejki. Gdy skończył, wokół stołu rozległy się wrzaski radości i głośne przekleństwa, jednym wypłacono pieniądze, innym zabrano postawione stawki, pionki poprzesuвано do przodu i do tyłu, potem na boki oraz w górę i w dół. Cole jednak nie temu się przyglądał. Sprawdzał, czy kto-

kolwiek, człowiek albo kosmita, odwróci się i wyjdzie w momencie obstawienia gry. Póki co nie dostrzegł nikogo takiego.

Wal dołączyła do niego chwilę później, gdy ruszył w stronę stolika Księcia.

- Zauważyłaś coś? - zapytał ściszym głosem.

- Kimkolwiek jest, nadal znajduje się przy stole - odparła.

- Dalsza obserwacja nie ma najmniejszego sensu - uznał Cole. - Jeśli nie wyszedł w momencie obstawiania, nie mamy szansy na poznanie jego tożsamości. Może być pierwszym, który teraz odejdzie od gry, albo ostatnim.

- I właśnie dlatego masz mnie - rzuciła Wal. - Pociągnij gorzałki Platynowego Księcia i czekaj spokojnie, aż się z tobą skontaktują.

- Rozsądny plan - odparł Wilson.

Gdy wrócili do stolika, siedziała już przy nim Sharon w towarzystwie Dawida.

- Zatem odzywamy się znów do siebie? - zagaił, siadając.

- Zamknij się! - wypaliła Blacksmith.

Wal zachichotała.

- Co w tym zabawnego? - zapytał Copperfield.

- On chce z nią rozmawiać, a ona wręcz przeciwnie - odparła rudowłosa. - Punkt dla ciebie, Sharon! Tak trzymaj, nie odpuszczaj!

Sharon spoglądała gniewnie na Cole'a, a potem wzruszyła ramionami.

- Pieprzyć to - rzuciła w końcu. - Wolę z tobą poznać, niż się na ciebie gapić.

- Bóg jeden wie dlaczego na chłopca nie da się patrzeć - zgodziła się z nią Wal.

- Przypieczętuujemy odnowienie naszego romansu butelką cygniańskiego koniaku?

- Czemu nie.

Cole przywołał robota-kelnera, zamówił butelkę i polecił przynieść ją z pokoju, w którym Księżę i trzymał najlepsze roczniki.

- Widziałam cię przy stoliku do porchii - odezwała się Sharon. - Nie miałam pojęcia, że znasz zasady tej gry.

- Jak widać, nie znam - odparł Cole. - Straciłem pięć docłów.

- Jak na niego to ogromny zakład - wtrąciła Wal.

- Może spróbowałbyś tej gry, w której zakochał się Forrice? - zaproponowała Blacksmith.

- Chodzi ci o storta? - zapytał Wilson.

- Tak ją chyba nazywają.

- Cztery Oczy jest szalony - prychnął Cole. - Z tej cholernej gry kasyno ma piętnaście procent pewnych wpływów.

- Dlaczego więc tak zapamiętała w nią gra?

- Ponieważ nie ma co zrobić z czasem, dopóki pracownice w jego ulubionym przybytku nie zakwitną jak kwiatki na wiosnę - wyjaśnił Wilson.

Robot wrócił z zamówieniem, postawił tacę na sąsiednim stoliku, otworzył butelkę, napełniając cztery kieliszki mniej więcej w połowie, i podał je oczekującym.

Cole i Sharon napili się po łyku, Wal opróżniła swój jedynym haustem, a Copperfield po prostu gapił się w szkło.

- Nie przejmuj się, Dawidzie - powiedziała Wal. - Jak już się nudajesz, że lubisz koniak, wypiję go za ciebie.

- Dziękuję - w jego głosie dało się wyczuć wdzięczność.

Cole pociągnął jeszcze jeden łyk i skrzywił się.

- Co się dzieje? - zapytała Sharon.

- Podaj mi swój kieliszek, Wal - poprosił kapitan.

Walkiria zrobiła, o co prosił, a on przelał koniak.

- Jest niezły - powiedział z uznaniem. - Muszę mu to przyznać. Potrafił ustawić nawet robota, żebym dostał właściwy kieliszek.

- O czym ty mówisz, u licha? - zdziwiła się Sharon.

Cole przyjrzał się dnu swojego kieliszka i odczytał wiadomość.

Alfa Benedetti, trzecia planeta, najmniejszy księżyc, jutro o szesnastej zero zero. Znasz warunki.

Poniżej widniała sylwetka człowieka o ośmiu ramionach.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

- Gdzie siadamy? - zapytała Wal, studiując zimną powierzchnię martwego księżyca na monitorach „Kermita”.

- Oni nas zaprosili, oni też pokażą, gdzie wylądować - odparł Cole. - Tutaj musi być jakaś budowla. Ten księżyc nie posiada własnej atmosfery, więc na jego powierzchni muszą panować bardzo niskie temperatury.

- Na orbicie stanowimy zbyt łatwy cel - zauważyła rudowłosa. - Powinniśmy mieć wsparcie ze strony „Teddy’ego R.”.

- Dostrzegliby go z odległości wielu lat świetlnych i zwiali stąd na długo przed naszym przylotem.

- Nie wiesz jeszcze, co Ośmiornica przygotował na swoje powitanie - ostrzegła go Wal.

- Gdyby chciał mojej śmierci, miał idealną okazję na Stacji Singapur - uspokoił ją Wilson.

- W takim razie po co mnie zabierałeś?

Cole uśmiechnął się.

- Nasz przyjaciel mógł zmienić zdanie.

- Kapitanie Cole - z radia dobiegł mocny głos - cieszę się, że przyjął pan moje zaproszenie. Proszę namierzyć ten sygnał, a

znajdzie pan miejsce lądowania.

Głos umilkł, ale transmiter nadal działał. Wilson polecił „Kermitowi” skierować się prosto na nadajnik i wahadłowiec po krótkiej chwili zszedł z orbity, kierując się w stronę geograficznego bieguna niewielkiego satelity. Moc sygnału rosła w miarę zbliżania się do celu.

- To tam. - Cole wskazał niewielki budynek z przylegającym do niego hangarem.

Pokierował pojazdem tak, by ten zawisł kilka stóp nad powierzchnią księżyca, i zwolnił znacznie prędkość przelotową. Prom zbliżał się do hangaru w żółtym tempie. Kilka delikatnych manewrów pozwoliło na zaparkowanie „Kermita” w jego wnętrzu.

- Tam jest korytarz łączący lądowisko z budynkiem - powiedział Wilson. - Dajmy im kilka minut na napełnienie go powietrzem i wyrównanie ciśnienia.

Wal nie odpowiedziała, zaczęła za to sprawdzać broń: palnik, puszczarkę, karabin plazmowy i noże ukryte w każdym z butów.

- Pamiętaj - ostrzegł ją Cole - przyleciałaś tutaj, żeby zniechęcić ochroniarza Ośmiornicy do głupich numerów, nie skrzywdzisz nikogo, dopóki nie wydam rozkazu.

- Albo nie zginiesz - dodała.

- Wiem, że nie darzysz Ośmiornicy zbyt wielką atencją, ale mogłabyś być nieco mniej optymistycznie nastawiona do tego spotkania - poprosił.

Spojrzała na niego, ale nie odpowiedziała.

Odczekał jeszcze trzy minuty, sprawdzając odczyty, by w końcu otworzyć właz „Kermita”.

- Może być nieco zimno, zanim dotrzemy do drzwi budynku - poinformował Wal - ale przynajmniej nie podusimy się z braku powietrza.

- Nikt nie wyszedł na powitanie - zauważyła rudowłosa.

- Po co mieliby odmrażać sobie tyłki? - zapytał Cole. - Wiedzą, że i tak wejdziemy do środka.

Podszedł do drzwi i poczekał chwilę, aż sensory przekażą jego dane telemetryczne na stanowisko kontrolne po drugiej stronie. Skrzydła rozsunęły się niemal natychmiast, pozwalając im wejść, a potem szybko wróciły na miejsce.

Znaleźli się w dość obszernym pomieszczeniu wyłożonym obco wyglądającymi gatunkami drewna i oświetlonym niedającymi się dostrzec źródłami światła. Całą podłogę wyścielał grubo, puszysty dywan, uginający się lekko pod stopami. Za wystrój służyło kilka krzeseł, sofa i aneks kuchenny znajdujący się po przeciwnej stronie pokoju.

Naprzeciw Wilsona i Wal stało dwóch mężczyzn.

Trudno było się nie zorientować, którego z nich nazywano Ośmiornicą. Wzrostem dorównywał Walkirii, był kompletnie ty-sy, miał przenikliwe brązowe oczy i napomadowany wąsik, który zdawał się sterczeć w cztery strony naraz. Był też bardzo barczysty, a z jego torsu wyrastało sześć dłoni, po trzy u każdego boku, choć niektóre były mocno niewykształcone. Nie miał na sobie koszuli, a Cole szczerze wątpił, by zdołał ukryć jakąś broń w tak ściśle przylegających do ciała spodniach. Towarzyszący mu ochroniarz był krępy, masywny i potężnie umięśniony.

- Kapitanie Cole! - odezwał się Ośmiornica, wyciągając na powitanie dłoń, jedną z tych, które wieńczyły jego ramiona. - Cieszę się, że przyjął pan moje zaproszenie. - Odwrócił się do Wal. - A oto i moja rozkoszna Salome, czy może zmieniłaś już imię na Kleopatrze, jak to miałaś zrobić?

- To było jakieś osiemnaście, jeśli nie dziewiętnaście zmian temu. Dzisiaj jestem Wal.

- To skrót od Walentyny?

- Nie - stwierdziła krótko rudowłosa i dodała, wskazując Cole'a: - Rozmawiaj z nim, ja tu jestem tylko po to, żebyś nie próbował niczego innego.

Przeszła przez pokój i zatrzymała się przed niskim kulturystą. Było jasne, że nie drgnie, jeśli i on nie ruszy się z miejsca.

- Szkoda - mruknął Ośmiornica, spoglądając w jej stronę.

- Miałem nadzieję, że dojrzałaś po tylu latach. - Przeniósł wzrok na Wilsona. - Zrobić panu drinka, kapitanie?

- Może później - odparł Cole. - Wolałbym, abyśmy zaczęli od wyjaśnienia powodu, dla którego mnie pan tu sprowadził.

- Wydawało mi się, że odpowiedź na to pytanie jest co najmniej oczywista - stwierdził Ośmiornica. - Pan jest najbardziej poszukiwanym człowiekiem Republiki, a do mnie należy ten sam tytuł, tyle że na Wewnętrznej Granicy. Wątpię, abyśmy mieli szansę spotkać się w publicznym miejscu.

- Bardziej mnie ciekawi, po co się spotykamy - wtrącił Cole.

- Wielcy ludzie uwielbiają rozmowy z innymi wybitnymi postaciami - stwierdził Ośmiornica.

- Żeby nie wspomnieć o wielkich egoistach - rzucił Wilson. Jego rozmówca odchylił głowę do tyłu i roześmiał się głośno.

- Wiedziałem, że pana polubię, kapitanie Cole.

- Chciałbym powiedzieć, że z wzajemnością, ale na razie nie dał mi pan powodu.

- Właśnie dlatego się spotykamy - wyjaśnił ośmioręki. - Pan i ja zostaniemy przyjaciółmi. Na pewno nie chce pan drinka?

Cole pokręcił głową.

- Może później.

- A coś do przekąszenia?

- Dlaczego nie przejdzie pan od razu do rzeczy i nie powie, po co tu przyleciałem?

- Jest pan tutaj, ponieważ cechuje się pan zdrową ciekawością, a przede wszystkim wie, że wyznaczenie nagrody za czyjąś głowę zależy bardziej od okoliczności niż charakteru.

- Zmierzenie prosto do celu nie należy do pańskiego stylu, jak mniemam - powiedział Wilson.

- Jestem zakochany w brzmieniu mojego głosu - przyznał Ośmiornica. - To jeden z moich rozlicznych grzeszków.

- Na to nigdy bym nie wpadł - mruknął Cole, a jego rozmówca znów się roześmiał. - Jeśli dalsza część rozmowy ma przebiegać w podobnym tonie, myślę, że rozsądniej będzie wysłuchać pana na siedząco.

- Do to właśnie mamy krzesła - odparł ośmioręki. - Chyba że popatrzymy na to z punktu widzenia naszej rudowłosej przyjaciółki, wtedy będą służyły do rozwalania innym ludziom głów.

Cole usiadł.

- To był naprawdę długi dzień. Proszę mnie obudzić, kiedy dojdzie pan do czegoś naprawdę interesującego.

Ośmiornica usiadł naprzeciw Wilsona i poklepał go deli-

katnie po ramieniu.

- Co to miało znaczyć? - zdziwił się Cole.

- Budzę pana.

- Świetnie. Zamieniam się w słuch.

- Wewnętrzna Granica - powiedział ośmioręki.

- Co w niej ciekawego?

Ośmiornica uśmiechnął się.

- Choćby to, że pan i ja możemy wziąć ją w posiadanie. -

Pochylił się do przodu. - Ja też mam swoje źródła informacji.

Wiem, że wykonuje pan zadania powierzone przez Platynowego Księcia i kosmitę nazywającego siebie Dawidem Copperfieldem. Pańska flotylla jest w tej chwili drugą liczącą się siłą na terytorium Wewnętrznej Granicy, przed panem jestem już tylko ja. Jeśli pańscy mocodawcy nie zaproponowali panu jeszcze konfrontacji ze mną, na pewno uczynią to w dającej się przewidzieć przyszłości. Może nawet za kilka dni albo tygodni.

- To całkiem możliwe.

- Uważam też, że gdybym zaatakował pana siły już dzisiaj, miałbym wystarczającą przewagę ogniową, aby z nimi wygrać - ciągnął dalej Ośmiornica, obserwując uważnie rozmówcę.

- To prawdopodobne.

- Ale nie zrobię tego. Proszę to wziąć pod uwagę.

- Domyślam się, że istnieje jakiś powód takiej decyzji - stwierdził Cole.

- Oczywiście. Dlaczego dwóch największych wyrzutek galaktyki miałyby toczyć ze sobą wojnę? - zapytał ośmioręki. - Czy nie lepiej połączyć siły? Tak między nami, moglibyśmy rządzić całą Wewnętrzny Granicą i splądrować ją sześć razy, zanim nastanie niedziela.

- Co to jest niedziela?

- Starodawne słowo z antycznego kalendarza - wyjaśnił Ośmiornica, niecierpliwie machając ręką. Nie spuszczał przy tym wzroku z twarzy Cole'a. - Niewiele da się wyczytać z pańskiego oblicza.

- Bo nie ma czego tam szukać.

- Ale rozważa pan taką ewentualność? - naciskał ośmioręki.

- Niezupełnie.

- A powinien pan - ostrzegł Ośmiornica. - Nasze połączone siły przerażałyby wszystkich uzurpatorów. Jestem znakomitym przeciwnikiem, ale to czyni ze mnie również idealnego partnera. Wiem, że mam reputację zimnokrwistego zabójcy, ale może mi pan wierzyć, że nie zabiłem nigdy osoby, która nie zasłużyła na śmierć, albo kogoś, kto wolał ustąpić, niż podjąć walkę. Nie wcieliłem do mojego małego imperium planety, któ-

rej mieszkańcy chcieliby walczyć potem o odzyskanie niepodległości. Wiem, że większość ludzi widzi we mnie czarny charakter, ale tak naprawdę jestem zwykłym biznesmenem. Nie wtrącam się w codzienne życie na planetach, które kontroluję. Oferuję im ochronę, a one płacą mi haracz, wiedząc, że dzięki temu mogą bezpiecznie egzystować. Wszyscy są w tym układzie szczęśliwi.

- Oprócz rządów tych planet - podrzucił Cole.

- I tu się pan myli - powiedział ośmioręki. - Tak długo, jak nam płacą, nie mieszamy się w ich sprawy i mogą uchodzić za niezwykle ważnych przedstawicieli ludu.

- A jeśli przestają płacić?

- Dlaczego porusza pan tak bolesne kwestie? Jeśli nie płacą, ich następcy czynią to z ochotą.

- To chyba skuteczna metoda.

- Jak najbardziej - zapewnił Ośmiornica. - Jeśli przyłączy się pan do mnie, możemy stopniowo poszerzać strefy wpływów, dopóki nie obejmą one całej Wewnętrznej Granicy. Studiowałem uważnie pańskie dokonania, panie Cole. Wiem, że woli pan przyłączać do siebie przeciwników, niż ich zabijać. Dzięki sojuszowi będzie pan mógł to robić na skalę masową. W ciągu dziesięciu lat damy radę przejąć kontrolę nad tysiącem światów.

- I będzie pan ścigał haracze z dziesięciokrotnie większej

ilości planet niż teraz - podsumował Wilson. - Na co wyda pan tak gigantyczne pieniądze?

- Na co zechcę - odparł niepewnie zbity nieco z tropu Ośmiornica.

Cole pokręcił głową.

- Domyślam się, że Republika nie wpuści pana na swoje terytorium, więc nie wyda ich pan na należących do niej planetach.

- Niestety nie - przyznał ośmioręki watażka i roześmiał się niespodziewanie. - Jest pan najbardziej znanym wyrzutkiem w Republice, ale na pewno nie jedynym. Kiedy się urodziłem, uznano mnie za wybryk natury, chociaż w tej galaktyce mutacje to szara codzienność. Można powiedzieć, że moje życie jest ciągiem niekończących się starań o zrekompensowanie poczucia niższości. Zadbałem o kondycję, ukończyłem też dwa fakultety, jestem całkiem niezły w sprawach łózkowych, ale mimo wszystko traktowano mnie jak odszczepieńca. Uznałem więc, że pobiorę z kilku banków to, co mi się słusznie należy za wszystkie poniżenia, i opuściłem terytorium Republiki, a trzeba przyznać, że uczyniłem to w wielkim pośpiechu, i przybyłem tutaj, gdzie człowieka ocenia się wyłącznie po jego czynach. Może moje zbrodnie przeciw Republice nie równają się z pańskimi, ale i tak jestem z nich niezwykle dumny.

- Nadal nie odpowiedział pan na moje pytanie. Jeśli nie będzie pan mógł wydawać nieuczciwie zarobionych pieniędzy na terenie Republiki, może zamierza pan to robić w Federacji Teroni?

- Jeśli wciąż toczymy z nimi wojnę, chyba nie będzie to możliwe.

- Niestety, toczymy - odparł Wilson. - Gdzie zatem zamierza pan wydawać te pieniądze?

- Odpowiedź jest oczywista - zachnął się Ośmiornica. - Wydam je na Wewnętrznej Granicy.

- Przecież będzie pan jej jedynym władcą i właścicielem. Dlaczego miałby pan płacić za coś, co będzie należało do pana?

Ośmiornica spoglądał na Cole'a przez długą chwilę, potem znów się roześmiał.

- Podoba mi się pan, panie Cole! - Nagle jego wesołość zniknęła. - A gdzie pan wydaje swoje pieniądze?

- Jesteśmy tutaj dopiero od trzech lat - wyjaśnił kapitan. - Większość zarobionych w tym czasie sum poszła na remonty i modernizacje jednostek. Płacę też odszkodowania ludziom za to, że nigdy już nie zobaczą swoich domów.

- Wydawało mi się, że tylko pan figuruje na listach gończych Republiki.

Cole zaprzeczył ruchem głowy.

- Moja załoga uwolniła mnie z więzienia, w którym czekałem na wyrok sądu wojennego. Wprawdzie nikt nie oferuje za ich głowy tak wysokich nagród jak za moją, ale zapewniam, że wszyscy są poszukiwani przez flotę.

- Nie wydaje mi się pan człowiekiem żądnym władzy - stwierdził ośmioręki watażka. - A już na pewno nie może się pan równać ze mną pod tym względem. Po jaką cholerę odsunął pan ze stanowisk, i swojego dowódcę, i to w samym środku działań wojennych?

- Żeby nie wydała rozkazu, który mógł kosztować życie pięć milionów obywateli Republiki.

- Proszę, proszę. Mamy tu prawdziwego bohatera!

- Flota postrzega mnie w zgoła inny sposób - zapewnił go Cole.

- Tak na marginesie - wtrąciła Wal. - Naprawdę uważasz, że służyłabym pod bohaterem? To wygnaniec i buntownik.

- Celną uwagę - zgodził się Ośmiornica.

- Będzie z niej jeszcze porządny oficer - stwierdził Wilson. - Na razie jednak nie potrafi wyjść z podziwu dla moich rozlicznych zalet.

Ośmioręki spojrział na niego badawczo.

- Słyszałem, że odrzucił pan tyle samo kontraktów, co

przyjął.

- Więcej.

- Dlaczego? Tylko ja posiadam flotę, której powinien się pan obawiać.

- Przez pierwsze pół roku dysponowałem tylko jednym okrętem - wyjaśnił Cole.

- Rozumiem. Zdaje się, że dotarli do mnie kiedyś informacje, iż nie radził pan sobie z pirackim stylem życia, więc zaczęliście wykonywać robotę hardziej pasującą żołnierzom do wynajęcia.

- Wątpię, abym wyraził to kiedykolwiek podobnymi słowami - powiedział Wilson - ale w gruncie i rzezy...

- Dlaczego odrzucał pan zadania, kiedy dysponował pan już znacznie większą flotą? - ciągnął dalej Ośmiornica.

- Pomagaliśmy każdemu, kto znajdował się w niebezpieczeństwie - wyjaśnił Cole i też się uśmiechnął. - Unikaliśmy jedynie wspierania ludzi, którzy zamierzali stać się kimś w rodzaju pana.

- Na pańskim miejscu zmieniłbym podejście do interesu - poradził ośmióręki. - Etyczny najemnik nie pożyje tutaj dłużej niż jego piracki odpowiednik.

- Wezmę to pod rozwagę.

Watażka znów zaczął się przyglądać Cole'owi.

- Spotkanie pana, kapitanie, było dla mnie prawdziwym zaszczytem, ale na tym kończymy rozmowę. - Wyciągnął rękę i znów uścisnęli sobie dłonie. - Mam nadzieję, że nigdy nie trafimy na siebie w walce, ale nie mogę pracować z człowiekiem, który kieruje się moralnością.

- Więc nie mamy już o czym rozmawiać? - zapytał Wilson.

- Zgadza się.

- Świetnie. Zatem poproszę o drinka.

Gdy wstał, podeszli razem do aneksu kuchennego, który stanowił zarazem barek.

- Mam też nalać dla Kleopatry?

- Czemu nie - zgodził się Cole. - Jeśli pan tego nie zrobi i tak sama sobie weźmie flaszkę.

- Co racja, to racja! - poparła go Wal.

- Jaka szkoda - powiedział Ośmiornica, polewając brandy z Antaresa. - Moglibyśmy być takimi dobrymi przyjaciółmi. Jeśli zdoła mnie pan przekonać, że ma więcej racji niż ludzie, którzy pragną się pana pozbyć, nie będzie przeszkód, abyśmy nimi zostali.

- Zatem przyjął pan już propozycję kontraktu na innie?

- Nie do końca. Zdecydowałem, że poczekam z tym, aż będziemy dysponowali zbliżonymi siłami.

Wal podniosła szklankę.

- A jemu nie należesz? - zapytała, wskazując ochroniarza.

- On nie pije - stwierdził Ośmiornica.

- A mówi?

- Kiedyś mówił. Pewnego dnia został aresztowany i odezwał się nie do tego, co trzeba. Gdy wyszedł, przyjaciele tamtego zadbali, żeby coś podobnego już nigdy się nie powtórzyło. Potem wyemigrował na Wewnętrzną Granicę. - Ośmioręki wzruszył ramionami. - Ale to było naprawdę dawno temu, zresztą, jak to mówią, musimy nauczyć się żyć z konsekwencjami naszych czynów.

- Ty też musisz? - zapytała.

- Ja też - zapewnił watażka. - Aczkolwiek w moim przypadku wygląda na to, że zdołam odsunąć czekające mnie konsekwencje przynajmniej o pół stulecia, a wtedy, przy odrobinie szczęścia, będę już martwy.

- Kolejny optymista - mruknął Cole.

Wypili po szklaneczce, Wal poprosiła o repetę i zaczęli się zbierać do wyjścia.

- To było ciekawe spotkanie - rzekł Wilson.

- Też tak myślę - przyznał Ośmiornica. - Posiada pan wiele zalet, kapitanie Cole. Gdyby nie okoliczności, naprawdę moglibyśmy stworzyć znakomity tandem.

- Tyle tylko - przypomniał mu Cole - że po połączeniu naszych flot nie znaleźlibyśmy godnych przeciwników.

Zdanie to pokazuje jednoznacznie, że kapitan był człowiekiem omylnym, jak każdy.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Cole tulił czule piwo, gdy do mesy wkroczył Dawid Copperfield.

- Forrice już się zgłosił? - zapytał mały kosmita.

- Minęły dopiero cztery dni, Dawidzie. Dostali z Jacilliosem tydzień wolnego. Idź sobie, z łaski swojej, i pozwól mi dopić piwo w spokoju.

- Lada moment możemy znaleźć się w sytuacji bojowej - zaprotestował Copperfield. - Będziemy potrzebowali pierwszego oficera. - Pochylił się konfidencjonalnie w stronę Wilsona. - Mam szczegóły.

- Weź antacyd - poradził mu Cole. - Może ci ulży.

- To bardzo nie mile z twojej strony, mój drogi Steerforth - obruszył się Dawid. - Za naszych szkolnych czasów nigdy nie byłeś aż tak nonszalancki.

Kapitan westchnął ciężko.

- Dawidzie, my nigdy nie byliśmy kolegami z jednej ławki. Ja dorastałem na Polluksie IV, a ty cholera jedna wie gdzie.

- Jesteśmy przyjaciółmi ze szkolnych lat! - upierał się Copperfield. - Nie powinieneś tracić kontaktu z tą częścią powie-

ści!

- Zdaje się, że ty właśnie tracisz kontakt z rzeczywistością
- oświadczył oschle Wilson. - Dobrze. Powiedz mi, jakież to niesamowite szczegóły poznałeś, że musisz się ze mną nimi podzielić?

- Cokolwiek Ośmiornica mówił o swojej flocie, i tak przesadził.

- Nie rozmawialiśmy o jego flocie.

- Na pewno zeszliście na ten temat - zaproponował Dawid.
- Musiał cię nią straszyć. Tylko w tym celu zwabił cię na to spotkanie. Niestety, Platynowy Książę dogrzebał się do bardzo ciekawych informacji na jego temat. Sądzę, że możemy podjąć się tego zadania.

- Wiesz, jeszcze nie widziałem zadania, którego nie byłbyś w stanie się podjąć - zauważył Wilson.

- Chcesz wiedzieć, czego się dowiedzieliśmy, czy nie? - zapytał Copperfield.

- Jeśli wysłucham cię grzecznie, pójdziesz stąd, jak tylko skończysz gadać?

- Nie rozumiem twojego nastawienia, mój drogi Steerforth
- stwierdził mały kosmita. - Ale przejdźmy do rzeczy. Prawdą jest, że Ośmiornica posiada trzysta sześćdziesiąt dwie jednostki, ale niemal trzysta z nich to jedno- albo dwuosobowe stateczki.

- To i tak masa sprzętu - zauważył Cole.
- Żadna z mniejszych jednostek nie posiada broni silniejszej niż lasery drugiej generacji, ich działa pulsacyjne są jeszcze słabsze.
- Pozostają jeszcze sześćdziesiąt dwa większe okręty, Dawidzie. Jakie jest ich wyposażenie?
Copperfield przełknął głośno ślinę.
- Nie ma na nich niczego, z czym nie mielibyśmy już do czynienia.
- Tak sądziłem. - Wilson przyglądał się wystrojonemu kosmicie przez moment. - Dalej, Dawidzie, wyduś to wreszcie.
- Siedem z nich posiada działa pulsacyjne czwartej generacji, możliwe jest też, nie pewne, tylko możliwe, że na okręcie Ośmiornicy znajduje się laser piątej generacji.
- Skoro tak, dlaczego twierdziłeś, że mieliśmy już do czynienia z podobnym uzbrojeniem?
- Na „Pegazie” było działło laserowe piątej generacji.
- Mówisz o dawnym okręcie Walkirii, tym, który trafił na złom. To działło tam było, ale nigdy nie zostało zainstalowane - przypomniał mu Cole. - Dobrze, a gdzie mieliśmy okazję zobaczyć stukacze czwartej generacji?
- Na pokładzie „Teddy’ego R.” - oświadczył Copperfield, uśmiechając się półgębkiem.

- Ile ich tam widzieliśmy?

- Dwa.

- A ile ich posiada Ośmiornica? - ciągnął dalej Cole.

- Tego dokładnie nie wiemy.

- Aż tyle?

- Dlaczego chcesz mnie znowu upokorzyć, Steerforth? - zapytał mały kosmita.

- Wolisz być upokorzony czy otoczony przez przeważające siły, ostrzelany przez nie i zabity? - zapytał kapitan.

- Ale...

- Wracaj do Platynowego Księcia i przekaz mu, że nie wchodzimy w ten kontrakt.

- Ale oni płacą...

- Wisi mi, ile oni płacą - przerwał mu Wilson. - Trzeba przeżyć, żeby móc wydawać pieniądze.

- Nie uwierzę, że podwinimy pod siebie ogon i uciekniemy! - zawołał Copperfield.

- Nie mamy ogona i nigdzie nie będziemy uciekać - odparował Cole. - Po prostu nie przyjmujemy tego kontraktu i tyle. Przy okazji - dodał - poczułem pewien sentyment do tego gościa.

- Jak mogłeś polubić kogoś takiego?

- Lubię ciebie, a przecież złamałeś o wiele więcej przepi-

sów prawa niż on.

- Tak czy inaczej, jestem zawiedziony twoją postawą, mój drogi Steerforth.

- Czuję się zdruzgotany - stwierdził kapitan. - Chyba powinieneś się oddalić, abym mógł topić moje żale w piwie.

- Jesteś nie do wytrzymania, kiedy popadasz w takie humory - odparł mały kosmita, kierując się w stronę wind. - Wracam do Księcia, zamelduję mu o twojej odmowie i zacznę topić rozczarowania w antareskiej brandy.

Cole z trudem powstrzymał się od uwagi, że organizm Copperfielda nie trawi żadnej formy alkoholu. Wiedział, że kosmita jej nie wypije, a jedynie zamówi na pokaz, aczkolwiek nawet po dwóch latach znajomości nie miał pojęcia, kogo tym sposobem chce naśladować.

- Słyszałaś wszystko? - zapytał, gdy został sam w mesie.

- Oczywiście - odparła Sharon, a jej hologram pojawił się nad stołem. - Twój przyjaciel ze szkolnej ławy nie może pojąć, dlaczego nie chcesz stawić czoła Billemu Kidowi i Docowi Hollidayowi, mając w ręce tylko pistolet na wodę.

- Nie zamierzam walczyć przeciw temu człowiekowi, koniec, kropka. Ma nad nami przewagę liczebną w stosunku siedem do jednego, a co gorsza, nie jest zapewne wiele paskudniejszy od rządowych pijawek, które kręciły interesami na terenie

jego małego imperium, zanim tam przybył. - Cole dopił piwo. - Zastanawiałem się właśnie...

- Skoro wokół taka cisza i spokój - wtrąciła Sharon.

- Mówię poważnie - zganiał ją Wilson. - Wydaje mi się, że Książę ma problem ze znalezieniem dla nas roboty, ponieważ przewyższamy liczebnie każdego możliwego przeciwnika w takim stopniu jak Ośmiornica nas. A klient nie chce płacić za dziesięć razy większą siłę ognia, niż trzeba.

- Zatem...?

- Zatem może sensowniej będzie podzielić flotę na kilka mniejszych zespołów. Dać dziesięć albo dwanaście okrętów Jacovicowi, Perezowi albo Sokołowowi czy Domak, a pozostałe piętnaście czy dwadzieścia zostawić przy „Teddym R.”. Jeśli tak postąpimy, ilość zleceń może znacznie wzrosnąć. W tej chwili Książę usiłuje negocjować kontrakty, które będą wystarczająco wysokie, by utrzymać flotę składającą się z ponad pięćdziesięciu jednostek. Nie mieliśmy podobnych kłopotów, gdy operowaliśmy w znacznie mniejszej skali.

- To brzmi logicznie - przyznała. - Nie potrzebujemy aż tak wielkiej floty, jeśli nie zamierzamy mierzyć się z Ośmiornicą.

- Porozmawiam o tym z Księciem podczas następnej wizyty w kasynie - obiecał Cole. - A tak przy okazji, jak się miewa Braxyta?

- Nadal leży w izbie chorych. Lekarz twierdzi, że doszło do uszkodzenia chrząstek, ale, niestety, nie jest specjalistą od molariańskiej fizjologii i dlatego nie może operować uszkodzonego stawu. Obawia się, że otwarcie nogi Braxyty może skutkować kilkumiesięczną rekonwalescencją i okulawieniem do końca życia. Zalecił więc dużo odpoczynku i środki antyzapalne do czasu, aż trafimy na molariańskiego lekarza.

- Szkoda - mruknął Cole. - Ale nie możemy mieć na pokładzie osobnego lekarza dla każdej rasy. Czy Braxycie dokuczają ostre bóle?

- Jeśli cierpi, to raczej psychicznie, kiedy wyobraża sobie, co wyczyniają teraz Forrice i Jacillios.

- Skoro o tym mowa, czy Cztery Oczy kontaktował się już, podając termin powrotu?

- Zapewne jest zbyt wyczerpany, by myśleć o czymś takim.

- A co mi tam - powiedział Cole. - Zasłużył sobie na to. No i pomyśl, jak będziemy się z niego nabijali, kiedy wróci. - Wstał i przeciągnął się. - Kolejny nudny dzień w porcie. Chyba się zdrzemnę.

- Obudzę cię za kilka godzin na obiad.

- Brzmi nieźle - rzekł, ruszając w stronę wind.

Wydawało mu się, że spał zaledwie kilka minut, gdy

obudził go natarczywy damski głos:

- Kapitanie Cole? Jest pan tam, kapitanie Cole?

Podniósł się z pościania.

- Już czas na obiad?

- Mówi Christine Mboya. Jestem na mostku.

Otworzył oczy i spojrzał na jej hologram.

- Co się dzieje?

- Otrzymaliśmy przed chwilą transmisję. Wydaje mi się, że powinien pan rzucić na nią okiem.

- Skąd przyszła?

- Z systemu Braccio, sir.

- Od Forrice'a? - ucieszył się Cole. - Kiedy wraca?

- Nie, to nie jest przekaz od naszego pierwszego, sir - zaprzeczyła Christine. - Dam panu moment na obudzenie się i zebranie myśli.

- Jestem ubrany, zaraz przyjdę na mostek, a zanim tam dotrę, z pewnością się rozbudzę.

Zerwał się z łóżka, przepłukał twarz, opuścił kajutę, wszedł do windy jadącej na mostek i zamarł na widok tego, co tam zastał. Naturalnej wielkości hologram unosił się na samym środku wielkiego pomieszczenia. Forrice siedział na krześle, do którego ktoś go przywiązał. Jego twarz była jedną krwawą miazgą, wydłubano mu przynajmniej jedno z czterech oczu. Wi-

dać było też wyraźnie, że ma złamania na dwóch nogach i jednej ręce. Ktoś zmiążdżył mu także palce u jednej dłoni. Tors przypominał bardziej mielone mięso niż korpus żywej istoty.

Obok niego stała kobieta w mundurze kapitana republikańskiej floty.

- Jak długo to odbieracie? - zapytał Cole.

- Transmisja dotarła do nas jakieś trzy minuty temu, sir - zameldowała Christine. - Rozesłano ją po całej Wewnętrznej Granicy na wszystkich pasmach. Sądzę, że odebrały ją wszystkie planety dysponujące odbiornikami nadprzestrzennymi, czyli jedna trzecia tego sektora galaktyki.

- Oto osławiony komandor Forrice z załogi zbuntowanego „Teodora Roosevelta” - przemówiła kobieta w mundurze. - Republika wyznaczyła nagrodę w wysokości trzech milionów kredytów za jego głowę, którą zaraz po odcięciu od reszty ciała z największą przyjemnością dostarczę odpowiednim władzom. Część nagrody zostanie rozdzielona wśród lojalnych obywateli, którzy poinformowali mnie o jego obecności w tym systemie. - W chwili gdy Cole wchodził na mostek, Forrice zakrztusił się, próbując zaczerpnąć tchu, ale teraz jego oddech był bardzo płytki, wręcz niezauważalny dla obserwatorów. - Nie ma takiej siły, która sprawiłaby, że ten przestępca odzyska wolność, ale istnieje możliwość utrzymania go przy życiu. Zadałam mu py-

tanie o miejsce pobytu buntownika nazwiskiem Wilson Cole oraz uprowadzonego przez niego „Teodora Roosevelta”, ale, jak widzicie na załączonym obrazku, nie okazał się specjalnie chętny do współpracy. Podobnie jak jego towarzysz. - Kamera przejechała na bezwładne ciało Jacilliosa, tak zmasakrowanego, że z trudem go rozpoznali. - Zapytam go o to po raz ostatni. Jeśli odmówi odpowiedzi, wszyscy przekonacie się na własne oczy, jak Republika postępuje z przestępcami i zdrajcami... - przerwała na moment. - Wilsonie Cole, jeśli odbierasz tę transmisję, będziesz miał szansę na uratowanie swojego towarzysza. Wystarczy, że skontaktujesz się ze mną w ciągu najbliższej standardowej minuty i podasz mi koordynaty miejsca, w którym się znajdujesz. Jeśli tego nie zrobisz, cóż, znajdziemy cię sami.

Christine spojrzała na kapitana.

- Sir?

Cole wpatrywał się w hologram, jego twarz pozostawała nieprzeniknioną maską.

- Sir? - powtórzyła. - Czy mam nawiązać kontakt?

Cole pokręcił głową.

- On i tak już nie żyje.

- Nie, sir - zaprzeczyła. - Wciąż oddycha.

- Ale umrze za kilka minut, nawet jeśli nie dotkną go palcem.

- Sir! - odezwał się Briggs zza konsoli. - Namierzyłem ich pozycję.

- Wezwijcie wszystkich członków załogi. Mają piętnaście minut na powrót ze stacji. Jeśli nie zjawią się w tym czasie na pokładzie, zostawimy ich tutaj. Proszę przekazać koordynaty pilotowi - powiedział Cole. - Ten okręt nie może opuścić Wewnętrznej Granicy, zanim go dopadniemy. Bez względu na koszty.

- Tak jest.

Wilson nie spuszczał oka z hologramu najlepszego przyjaciela.

- Komandorze Cole - odezwała się kobieta w mundurze - pana czas się kończy. - Przyłożyła piszczałkę do głowy Molari-nina. - Pański też, komandorze Forrice.

Strzeliła. Cztery Oczy wydał z siebie pojedynczy jęk. Krew popłynęła mu z uszu, ciało drgnęło mocno, a potem znieruchomiało.

- To koniec - wyszeptał Cole. - Przerwać połączenie.

- Tak jest. - Christine natychmiast wykonała polecenie.

- Pilocie - kapitan wywołał Wxakginiego - startujemy za piętnaście minut. Nie obchodzi mnie, ile paliwa zużyjemy, jak bardzo przeciążymy silniki ani z jakich tuneli nadprzestrzennych skorzystamy, ale masz mnie dostarczyć w pobliże tej jednostki,

zanim zdąży uciec na teren Republiki.

- On się nigdzie nie wybiera, sir - zameldował Briggs.

- Słyszałeś! - Cole spojrzął na Wxakginiego. - Podaj mi spodziewany czas przylotu.

- Jeśli cel pozostanie w okolicach systemu Braccio, a tunel nadprzestrzenny Mishwalter nie zmieni w tym czasie położenia, będziemy na miejscu w siedemdziesiąt dziewięć minut od startu. Ostrzegam jednak, że przeciążymy silniki w znacznym stopniu.

- Wykonać! - rozkazał kapitan i rozejrzał się po mostku. - Gdzie jest Wal?

- Prawdopodobnie śpi - odparła Christine. - Mamy teraz czerwoną wachtę.

- Obudźcie ją i każcie zejść do przedziału bojowego. To samo dotyczy Byka Pampasa, gdziekolwiek teraz jest.

- Tak jest.

- A teraz dajcie mi pana Odoma.

Hologram pierwszego mechanika pojawił się kilka stóp od twarzy kapitana.

- Słucham, sir?

- Za chwilę będziemy musieli znacznie obciążyć nasze silniki - powiedział Cole. - Pańskim zadaniem będzie utrzymanie ich na chodzie przez najbliższe dwie godziny, bez meldowania

co chwilę, jak wielkie uszkodzenia grożą im w przyszłości. Gdy wydam rozkaz, przekieruje pan też całą moc z tarcz energetycznych na nasze uzbrojenie. Czy to jasne?

- Tak jest - odparł Odom - ale...

- Nie ma żadnego ale - przerwał mu obcesowo Cole. -
Czy to jasne?

- Tak jest.

Kapitan przerwał transmisję i odwrócił się do Malcolma.

- Panie Briggs, ma pan godzinę na rozpoznanie tej jednostki i podanie mi nazwiska jej kapitana. Christine, powiadomisz załogę i każesz jej zająć stanowiska bojowe najdalej za sześćdziesiąt minut. - Odwrócił się i ruszył w stronę wind.

- Gdzie pan będzie, sir? - zapytała Mboya.

- W mojej kajucie. Ale wrócę, zanim wyjdziemy z tunelu nadprzestrzennego.

Sharon czekała na niego, gdy wszedł do swojej kwatery.

- Tak mi przykro, Wilsonie - powiedziała.

- Wiem.

- To był czysty fuks - kontynuowała. - Flota nie traciłaby czasu na ściganie nas, mieliśmy tego liczne dowody w ciągu ostatnich dwóch lat. Jakiś sukinsyn rozpoznał go i pomyślał, że zarobi część nagrody.

- I jakiś sukinsyn pożałuje, że to zrobił - oświadczył Cole z

ponurą miną. - To był naprawdę paskudny czterooki Molarianin, ale został moim najlepszym przyjacielem wkrótce po tym, jak wstąpiłem do marynarki.

- Chcesz o tym porozmawiać?

Zaprzecił ruchem głowy.

- A o czym tu mówić.

- Chcesz posiedzieć w samotności?

- To nie ma znaczenia - odparł Cole. - Mam zamiar spędzić najbliższą godzinę, opłakując mojego najlepszego przyjaciela, i następną - mszcząc jego śmierć.

Sharon przypatrzyła się dobrze jego twarzy i dostrzegła głęboko pod bólem i żalem coś, co kazało jej pomyśleć, że jedyną osobą w tej galaktyce, z którą nie chciałaby się dzisiaj zamienić miejscami, jest kobieta dowodząca tamtym republikańskim okrętem.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Cole opuścił swoją kajutę godzinę później. Zajrzał do me-
sy, nalał sobie kawy, a potem wjechał na mostek. Obsada nie
zmieniła się w tym czasie, do załogi dołączyła jednak Domak,
przejmując konsolę kontrolującą systemy obronne okrętu. Kapi-
tan podszedł prosto do Briggsa.

- Jak blisko jesteśmy? - zapytał.

- Wyjdziemy z tunelu nadprzestrzennego za sześć minut -
zameldował Malcolm.

- Nasz cel nadal pozostaje w okolicy?

- Nie jestem pewien, sir. Instrumenty pokazują, że tak, ale
nie można im w pełni ufać, gdy leci się w nadprzestrzeni.

- Sir? - Christine zwróciła na siebie jego uwagę.

- Tak?

- W czasie gdy był pan w swojej kabinie, poprosiłam ko-
mandora Jacovica i pana Pereza, aby przyłączyli się do nas. Jeśli
pan ich nie potrzebuje, mogę wydać rozkaz, aby wrócili na Sta-
cję Singapur.

- Kto panią prosił o wzywanie posiłków? - zapytał Cole.

- Pan był nieosiągalny, a komandor Forrice nie żyje. Je-

stem następną w łańcuchu dowodzenia, a my ruszamy na okręt wojenny klasy M, więc pomyślałam...

- Dobrze pani zrobiła - przerwał jej. - Tak, powinniśmy skorzystać z każdej dostępnej pomocy... - zamilkł na moment. - Czy udało się zidentyfikować tę jednostkę?

- Tak, sir - odparła Christine. - Do przekazu podprze-strzennego dołączono jej numer taktyczny, Ścigamy „Nieskończoną Noc”.

- Jak się nazywa kapitan?

- Manfred Baltimore.

- Panie Briggs, co wiemy na temat jego systemów obronnych?

- Zakładam, że są standardowe dla tej klasy - odparł porucznik.

- Zatem jego najsłabszym punktem jest dok wahadłowców?

- Tak sądzę, sir. Ale wątpię, by ktokolwiek przebywał w tamtym rejonie podczas ataku, a nowoczesne jednostki tego typu potrafią odciąć rozszczelnione sekcje kadłuba w ciągu dwóch, trzech sekund.

- Wiem o tym.

- Atakowanie doków nie wydaje mi się zatem sensownym posunięciem, sir - podsumował Briggs.

- Rozważamy tylko wszystkie możliwości - uspokoił go Wilson. - Christine, czy to nie ty wspomniałaś, że ten przekaz poszedł na spory kawałek Wewnętrznej Granicy?

- Ja, sir.

- Czy transponder nie jest przypadkiem ulokowany w pobliżu doków?

- Zaraz to sprawdzę, sir - zaoferował się Briggs i wywołał nad swoją konsolą trójwymiarowe plany okrętu klasy M. - Tak, wygląda na to, że jest połączony z komorą doków.

- Świetnie - ucieszył się Cole. - Sprawdźmy, czy potrafi pan zidentyfikować sensory okrętu klasy M.

Briggs wydał krótką komendę i trzy sekcje kadłuba zaczęły miarowo błyskać.

- Widzę trzy skupiska sensorów. Czy są jeszcze jakieś?

- Nie ma, sir - odparł Briggs. - Chociaż powinienem raczej powiedzieć, nie powinno być żadnych. Kapitan Baltimore mógł coś zamontować na własną rękę.

- Trzy minuty - powiadomił ich Wxakgini.

- Pilocie, ile czasu po wyjściu z tunelu będziemy potrzebowali na dół do systemu Braccio? - zapytał Cole.

- Sześć minut na pełnej prędkości - odparł Bdxeni.

- Christine, jak tylko wynurzymy się z nadprzestrzeni, połączysz mnie z Jacovicem i Perezem na kodowanym kanale.

- Tak jest, sir. Oni lecą tuż za nami - poinformowała go. - Zaraz, to znaczy, że nie powinniśmy mieć problemów z łącznością, dopóki któryś okręt nie opuści tunelu?

- Zgadza się, sir.

- Świetnie. Łącz mnie od razu.

Kilka minut później przed Cole'em pojawiły się hologramy Jacovica i Pereza. Nie były tak czyste jak zazwyczaj, ale obaj dowódcy zaszalutowali, czekając na słowa kapitana.

- W ciągu ostatniej godziny zdołaliśmy ustalić, że w okolicach systemu Braccio znajduje się okręt wojenny klasy M - powiedział Wilson. - Domyślam się, że wiecie już, iż na jego pokładzie zabito Forrice'a i Jacilliosa. Jednostka ta jest celem naszego ataku. Nosi nazwę „Nieskończona Noc”, a jej dowódcą jest niejaki Manfred Baltimore.

- Jaką taktykę pan sugeruje, sir? - zapytał Perez.

- Uderzymy z trzech stron i spróbujemy go oślepić - odparł Cole. - Zniszczymy sensory i rozwalimy komorę doków.

- Tam nikogo nie będzie - zauważył Teroni.

- Lecimy tam, aby zniszczyć okręt i zabić załogę, która zamordowała Forrice'a - oświadczył dobitnie Wilson. - Nie chcę, by ktokolwiek mógł zbiec z tej jednostki. Komora doków nie będzie chroniona polami energetycznymi, ponieważ znajduje się tam transponder, który nie może wysyłać sygnałów, jeśli znajdzie

się za tarczami.

- Oni i tak będą mieli nad nami przewagę ogniową - zauważył Perez. - Jeśli nawet zdołamy oślepić i uszkodzić ten okręt, jego systemy uzbrojenia nadal będą sprawne. Bez sensorów nie będą w stanie namierzyć nas na dystansie powyżej pięćdziesięciu tysięcy mil, ale i my z tej odległości niewiele zrobimy ich systemom obronnym, sir.

- Wiem.

- W takim razie czegoś tu nie rozumiem - oświadczył Perez.

- W ładowni „Teddy’ego R.” znajdują się dwa tuziny min samonaprowadzających, które zaprogramowano tak, by ignorowały nasze jednostki. Jeśli uda nam się uszkodzić „Nieskończoną Noc” z odległości ponad pięćdziesięciu tysięcy mil, zawrócimy, markując ucieczkę, i zaczniemy wyrzucać miny. Jeśli ruszą za nami bez sprawnych sensorów, istnieje duże prawdopodobieństwo, że nadzieją się na przynajmniej jedną z nich.

- A jeśli to się nie uda? - zapytał Perez.

- Wtedy utrzymamy dystans i spróbujemy wymyślić coś innego.

- Powiedział pan, że chce zniszczyć ten okręt... - zaczął Jacovic.

- Zgadza się.

- A jeśli wywieszają białą flagę?

Twarz Cole'a stężała.

- Okażemy im tyle litości, ile oni mieli dla Forrice'a.

- W takim razie proszę o rozważenie zdegradowania mnie albo zastąpienia na tym stanowisku, zanim rozpoczniemy tę akcję, sir.

- Dlaczego?

- Nie zaatakuję okrętu, którego załoga się poddaje.

- Nie zamierzam odbierać panu dowodzenia - zapewnił go Cole. - Jest pan znakomitym kapitanem i etycznym oficerem. Dlatego powierzono panu dowodzenie Piątą Flotą Federacji.

- I dlatego też z niej odszedłem - przypomniał mu Teroni.

- To osobista sprawa - ciągnął dalej Wilson. - Nie zamierzam pana prosić o nic, czego nie będzie pan chciał zrobić. Proszę trzymać się swoich zasad. Jeśli zajdzie taka konieczność, sam wezmę na siebie wszelkie nieetyczne działania.

- Sir... - z tyłu dobiegł głos Briggsa.

- O co chodzi?

- Za dwadzieścia sekund wrócimy do normalnej przestrzeni.

- Dziękuję. - Cole znów spojrzał na hologramy. - Nie kontaktujemy się drogą radiową, dopóki „Teddy R.” nie złamie ciszy. Jeśli my będziemy słyszeli przekaz, na „Nieskończonej Nocy”

też poznają jego treść. Do dzieła, panowie.

Skinął głową w stronę Christine, a ona natychmiast przerwiała połączenie. Cole wywołał przedział bojowy.

- Co tam na dole, Wal?

- Jesteśmy gotowi. Podlećcie bliżej tego drania, żebyśmy go dobrze widzieli.

- Zaczynicie niszczyć sensory, a jeśli Perez i Jacovic nie zdążą wykonać swojej części zadania, zajmijcie się też komorą doków.

- Rozumiem.

- Byku?

- Tak, sir?

- Aktywuj miny i przygotuj je do wystrzelenia na mój rozkaz. Jedna idzie co trzy sekundy.

- Tak jest!

- Mamy ich! - zawołał Briggs.

- Możemy dostać ten okręt na wizję? - zapytał Cole.

Młody porucznik pokręcił jednak głową.

- Są jeszcze zbyt daleko, ale nie mogą ukryć przed nami emisji neutrino.

- Gdzie się teraz znajdują?

- Po zewnętrznej stronie orbity Braccio V.

Cole zmarszczył brwi.

- To gazowy gigant. Tam nie ma nic ciekawego.

- Tam jest coś bardzo ciekawego, sir... „Nieskończona Noc” - powiedział Briggs.

- To prawda - odpowiedział po chwili Wilson. - Oni wiedzą, że mamy zamiar przybyć do tego systemu. Sądzą też, że skoro jedyną zamieszkaną planetą Braccio jest Beta, tam właśnie skierujemy się na samym początku. „Teddy R.” nie może lądować na powierzchniach globów, więc wyślemy ekipę wahadłowcami, a sami pozostaniemy na niskiej orbicie, wystawiając się na łatwy strzał... - przerwał na moment. - Gdzie jest Jacovic?

- Jestem pewien, że także już namierzył „Nieskończoną Noc” - stwierdził Briggs. - Znajduje się teraz po drugiej stronie gwiazdy, kierując się na Braccio VII, drugiego gazowego giganta.

- A Perez?

- Chwilowo zgubiłem jego odczyt... Zaraz! Tutaj jest! Poleciał na Braccio II.

- Cholera! „Nieskończona Noc” zdmuchnie go jedną salwą.

- Nie sędzę, sir - uspokoił go Malcolm. - Nie wszedł na orbitę. Chyba też już namierzył cel za piątą. Dał im się obejrzyć w pełnej krasie, a potem ukrył się w cieniu drugiej. Wydaje mi się,

że chce ich tam zwabić, żeby ułatwić robotę panu i Jacovicowi, kiedy Republikanie skoncentrują się na nim i „Czerwonym Sfinksie”.

- Sprawdźmy, czy ma pan rację. Pilocie?

- Tak? - zapytał Wxakgini.

- Jeśli „Nieskończona Noc” wejdzie poza orbitę trzeciej, leć za nią. Jeśli zobaczysz, że komandor Jacovic wykonuje podobny manewr, wykonaj podejście do przeciwnika z przeciwnej strony.

- Zrozumiałem.

- Co teraz? - zapytała Christine.

- Teraz poczekamy i sprawdzimy, czy Perez zdoła ściągnąć „Nieskończoną Noc” na Braccio II - odparł Cole, przypominając sobie w końcu, że trzyma kubek kawy. Upił łyk, upewniając się, że jest już wystudzona, i wrzucił kubek wraz z zawartością do najbliższego atomizera.

- Czy mamy aktywować wszystkie ekrany i tarcze, sir? - zapytała Domak.

Cole zaprzeczył ruchem głowy.

- Jeszcze nie zniszczyliśmy im sensorów. Jeśli aktywujemy osłony, od razu wychwycą naszą obecność. Zaczekajmy jeszcze chwilę, może dzięki temu uda nam się dokonać większych szkód, jeśli przeciwnik w ostatniej chwili postanowi zmienić cel.

Wkrótce okazało się, że „Nieskończona Noc” nie zamierza zmieniać celu. Ruszyła prosto na Braccio II, analiza kursu świadczyła jednoznacznie, że okręt Republiki zamierza wyjść poza płaszczyznę ekliptyki, by zaskoczyć przeciwnika ukrytego po drugiej stronie planety. Miał tylko dwadzieścia tysięcy mil do celu, gdy Jacovic zaatakował z boku, niszcząc dwa z trzech skupisk sensorów. Wal wyeliminowała ostatni kilka sekund później. Perez mógł spokojnie odlecieć z kryjówki, utrzymując bezpieczny dystans siedemdziesięciu tysięcy mil pomiędzy „Czerwonym Sfinksem” a „Nieskończoną Nocą”.

- Nadal nie wystali żadnego sygnału - zameldowała Wal.
- Zabieram się teraz za doki i transponder.

- Zostaw to Jacovicowi. Jest na lepszej pozycji.

- Lepiej niech się pośpieszy - powiedziała. - W okolicy wciąż pęta się kilkaset okrętów Republiki.

Zanim skończyła to mówić, Teroni zniszczył hangary wahadłowców. „Nieskończona Noc”, zupełnie oślepiąca, zatrzymała się i zaczęła obracać wokół swojej osi, jak pies, który usiłuje wywąchać ofiarę w kompletnych ciemnościach.

- Dobrze, Walkirio, odpalaj, co tam masz.

- Po co? - zapytała. - Nic nam z tego nie przyjdzie. Tarcze im nie przebijemy, a Jacovic już rozwalił doki.

- Wykonaj rozkaz! - wrzasnął Cole. - Chcę, żeby polecili

za nami, a nie za którymś z nich. Tylko my mamy miny na pokładzie.

Wal użyła stukacza czwartej generacji. Zaraz potem zobaczyli błyski energii rozchodzące się po tarczach „Nieskończonej Nocy” i republikański okręt natychmiast ruszył w pogoń za „Teddym R”.

- Byku - rozkazał Wilson - zacznij wystrzeliwanie min.

- Tak jest!

- Pilocie, trzymaj nas w odległości sześćdziesięciu tysięcy mil od nich.

- Rozumiem - odparł Wxakgini.

- Co teraz? - zapytała Christine.

- Teraz poczekamy, trzymając kciuki.

- A jeśli nie trafią na miny?

- Tu raczej chodzi o to, żeby miny trafiły w nich. Zostaną przyciągnięte wydzielanym przez „Nieskończoną Noc” promieniowaniem neutrino.

- A jeśli to nie zadziała?

- Nie mogą osiągnąć prędkości nadświetlnej bez sensorów, więc będziemy mieli sporo czasu, żeby wymyślić coś innego - uspokoił ją Cole.

- Minęli trzy pierwsze miny - meldowała tymczasem Domak. - Minęli czwartą.

- Jeśli pochwyć ślad, polecą za okrętem - powiedział kapitan.

- Minęli piątą... szóstą... siódmą - wyliczała dalej Polonoi.

Nagle zobaczyli jasny błysk i okręt Republiki zawisł bezradnie w pustce.

- Najserdeczniejsze życzenia od Forrice'a - mruknął Cole, odwracając się od ekranu.

- Co teraz, sir? - zapytała Christine.

- Oczekamy pół godziny, na wypadek gdyby pozostałe miny chwyciły cel, po upływie tego czasu każesz Jacovicowi i Perezowi dokończyć robotę. Ja idę do mesy wypić piwo dla upamiętnienia komandora Cztery Oczy.

Dwadzieścia minut później nad blatem stołu pojawiła się twarz Christine.

- Co znowu? - zapytał Wilson.

- Potrzebujemy pańskiej interwencji, sir.

- O czym pani mówi?

- Cztery statki medyczne przybiły do wraku „Nieskończonej Nocy”, sir. Dwa pierwsze odleciały puste, ale nasze sensory wykryły, że na pozostałych znajdują się ocaleni. Pierwszy z nich już leci w kierunku planety.

- A drugi?

- Zdaje się, że zamierza opuścić system, udając się w stro-

nę terytorium Republiki.

- Tego gnoja musieliśmy nieźle urządzić - podsumował Cole. - Na terytorium Republiki mamy szpitale, przy których tutejsze placówki medyczne wyglądają jak dzieło jaskiniowców.

- Chcemy wiedzieć, co mamy z nimi zrobić, sir - zapytała Christine. - Sugerował pan, że nikt nie ma przeżyć tego ataku, ale jeśli zestrzelimy okręt medyczny, zabijemy też niewinną załogę, która przybyła na pomoc ofiarom.

Cole westchnął ciężko.

- Nie zniszczymy okrętu szpitalnego. Niech leci. - Uśmiechnął się ironicznie. - Chyba spędzam zbyt wiele czasu w towarzystwie Jacovica.

- Dziękuję, sir - powiedziała Christine. - Chyba nawet Wal miałaby opory przed ostrzelaniem jednostki medycznej.

- Ale tylko dlatego, że ambulanse rzadko odpowiadają ogniem - rzucił kapitan. - Niech to będzie nasz dobry uczynek na ten miesiąc.

Wtedy jeszcze tego nie wiedział, ale jego akt łaski nie był jedynie błogosławieństwem dla załogi okrętu medycznego, ale czynem, który odmienił losy Wewnętrznej Granicy i samej Republiki.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Wrócili na Stację Singapur bez większych problemów, tam Cole dał każdemu z członków załogi, którzy wzięli udział w akcji, po trzy dni wolnego. Sam pozostał na statku, trzy dni później Sharon natknęła się na niego w zagraconym gabinecie kapitana.

- Wszystko w porządku? - zapytała zaraz po wejściu.

Skinął głową.

- Nic mi nie jest.

- Na pewno?

- Na pewno.

- Nie musisz rozpaczać w samotności - zapewniła. - Nam też go brakuje.

- Wiedział, jakie ryzyko podejmuje, zostawiając okręt i stację, aby polecieć tam z Jacilliosem - głos mu się załamał.

- Wiemy, z jakiego powodu go zabito - odparła Sharon. - Zostaliśmy wyjęci spod prawa, za nasze głowy wyznaczono nagrody. Ale dlaczego zrobili coś takiego...? To przecież nasza pierzona Republika! Byliśmy jej obywatelami. W taki sposób nie powinno się traktować nawet wrogów.

- Po prostu próbowali wykurzyć „Teddy’ego R.” z kryjówek - stwierdził Cole. - I to im się udało.

- Czy ty wykurzałbyś ukrywający się okręt w taki sposób?
- zapytała.

- Nie, ale...

- Ale co?

- Ale ja już nie jestem obywatelem Republiki.

- Aż trudno uwierzyć, że wszyscy jej służyliśmy - wymamrotała Sharon.

- „Nieskończona Noc” to nie Republika - zauważył Wilson.

- To tylko pojedynczy okręt z kapitanem, który powinien trafić pod sąd wojenny.

- Jeśli nawet - odparła - to i tak czuję się parszywie, pamiętając, że służyłam w tej samej flocie.

Nie odpowiedział, a ona obeszła biurko i usiadła mu na kolanach, zarzucając ręce na ramiona.

- Tak mi go brakuje, do cholery.

- Mnie też - mruknął Cole.

- Ale po tobie tego tak nie widać - powiedziała. - Jesteśmy tutaj sami. Przede mną nie musisz udawać niewzruszonego, stoickiego kapitana.

- Tu nie chodzi o zachowanie albo wygląd - odparł Wilson - tylko o moją konstrukcję psychiczną. Był moim najlepszym

przyjacielem, ale zginął i został pomszczony. Będzie mi go brakowało, ale mam pod opieką okręt i załogę.

- Ja się nie martwię o los twojej załogi - przypomniała mu Sharon - tylko twój. Wszyscy muszą rozpaczać, nawet ty.

- Odkładam to sobie na później - zapewnił ją Cole.

- A co zamierzasz robić teraz?

- To zbyt świeże wspomnienia. Kiedy przypominam sobie, co mu zrobili, nie chcę go opłakiwać, ale zabijać - westchnął głośno. - A to nie jest dobre podejście, zważywszy, że wróg jest miliony razy silniejszy.

- Wolałbyś, żebym sobie poszła? - zapytała.

- Nie, cieszę się, że jesteś tutaj ze mną - odparł Wilson. - Tyle tylko, że nie będę dobrym kompanem przez najbliższych kilka dni.

- Kiedy ostatni raz jadłeś?

Spojrzał na nią zdziwiony.

- Nie pamiętam.

- Na czerwonej wachcie? A może na wczorajszej niebieskiej?

Wzruszył ramionami.

- Chyba muszę zorganizować ci jakiś posiłek. Nie pozwolę, żeby mój dowódca zagłodził się na śmierć.

Marszczył czoło przez chwilę, jakby rozważał jej propozy-

cję.

- Wiesz, ja naprawdę jestem głodny - przyznał w końcu.

- Znalazłam z Ideną uroczą nową restauracyjkę na drugim poziomie stacji - powiedziała. - Serwują tam prawdziwą wołowinę importowaną z Greenveltda. I mus czekoladowy, który dodaje człowiekowi pięć centymetrów w pasie. - Zerwała się i pociągnęła go delikatnie za rękę. - Chodź. Ja stawiam.

Opierał się tylko przez kilka sekund.

- A co mi tam. I tak nie mam tutaj nic do roboty. Prowadź.

Przeszli do wind, zjechali do śluzy w hangarze wahadłowców i wyszli na ramię pirsu. Znajdowali się prawie pół mili od kadłuba stacji. Cole zastanawiał się przez chwilę, czy nie przejść tego dystansu na własnych nogach, ale zatrzymał się obok nich wagonik kolejki, więc skorzystali z niego i w niespełna pół minuty dotarli do wnętrza Singapuru.

- Gdzie jest lokal, o którym wspomniałaś? - zapytał Wilson.

- Na drugim poziomie, jak powiedziałam - odparła.

Poszedł za nią do wewnętrznych wind i już po chwili siedzieli w niewielkim bistro zwanym „Drugim Domem”, którego właściciel uczynił wszystko, by goście zapomnieli, że znajdują się we wnętrzu połyskującej metalem stacji kosmicznej. Krzesła, po-

dobnie jak stoły, wykonano z prawdziwego drewna, podłogi wyłożono samoczyszczącymi się dywanami, fototapety przedstawiały pięć rozmaitych wzorów, które nie zmieniały się jak w kalejdoskopie, tylko przenikały bardzo powoli. Na blatach stały prawdziwe popielniczki, choć od tysiącleci nikt już nie palił tytoniu. W większości lokali na Singapurze obsługę stanowiły roboty, tylko w kilku można było spotkać skąpo ubrane dziewczęta, ale w „Drugim Domu” do stołu podawali wyłącznie mężczyźni ubrani w wykrochmalone białe marynarki.

- Kiedy otworzono tę restaurację? - zapytał Cole, gdy kelner przyjął od niego zamówienie na napoje.

- Przed trzema tygodniami - odparła Sharon.

- W takim razie musieli kupić te stroje w sklepie z antykami.

- Przyznasz chyba, że to miejsce ma niesamowity klimat - stwierdziła Blacksmith.

- Jest w porządku.

Kelner przyniósł drinki, zamówili jedzenie, potem Sharon opowiedziała Cole'owi o nowej galerii, którą odkryła, a on słuchał jej grzecznie, nie przerywając. W końcu podano im posiłek, który zaczęli natychmiast pałaszować.

- I co ty na to? - zapytała Blacksmith.

- Niezłe.

- Nieźle? - powtórzyła. - Jest znakomite!

- Pewnie tak - zgodził się od razu. - Musimy przyjść tutaj, kiedy mniej mi będzie leżało na wątrobie.

- Znowu o nim myślisz?

Pokręcił głową.

- Forrice nie żyje. Mam flotę, którą muszę dowodzić. A skoro już o tym mowa, gdzie jest Jacovic?

- Gdzieś na stacji - odparła. - Pewnie zajrzy później do kasyna Księcia.

Cole skinął głową, a potem zaatakował swoje danie ze znacznie większym entuzjazmem. Stał się też o wiele bardziej rozmowny. Po wyjściu z restauracji wjechali na główny poziom i chwilę później wkroczyli do kasyna Księcia. Cole precyzyjnie się od razu do stolika na końcu sali, przy którym siedzieli już człowiek z platyny, Dawid Copperfield i Wal.

- Witam - powiedział szef stacji. - Słyszałem, co się stało. Chciałbym wyrazić najszczerze kondolencje z powodu śmierci komandora Forrice'a.

- Wszystkim nam go brakuje - odparł Cole. - Żałuję jedynie, że nie udało mi się rozpieprzyć całej tej cholernej floty za jednym zamachem... - przerwał, rozglądając się po kasynie. - Jest tu gdzieś Jacovic?

- Na razie nie podszedł, żeby się przywitać - odparł Książ-

zę.

- Zdaje się, że widziałem go w restauracji dla Teroni, kiedy tutaj szedłem - wtrącił Dawid.

- Wracam na pokład - oświadczył Wilson. - Jeśli ktoś z was go spotka, powiedzcie, że czekam na niego w moim biurze.

- Nie zostaniesz, żeby spróbować nowego trunku? - zapytał szef stacji takim głosem, że Cole natychmiast wyobraził sobie smutną minę, którą Książę by zrobił, gdyby nie platynowa maska na twarzy.

- Nie dzisiaj - przeprosił. - A może nie tej nocy?

- Tutaj zawsze mamy noc.

- Chodźmy. - Sharon wstała i ujęła Cole'a za rękę.

- Możesz zostać, jeśli chcesz - powiedział. - Wiem, że nie nadaję się dzisiaj do towarzystwa.

- Będę tańczyć jak mi zagrasz, że się tak wyrażę - odpowiedziała.

Wzruszył ramionami.

- Jak chcesz.

Ruszyli do wyjścia, a pięć minut później wysiedli z kolejki, by przejść przez śluzę „Teddy'ego R.". Cole wpadł na moment do mesy po kawę - nie potrafił sobie przypomnieć, w którym momencie uzależnił się od kofeiny - a potem pojechał na mostek, na którym służbę pełniły Christine i Domak. Upewnił się, że

wszystko jest w porządku, i wrócił do swojego gabinetu.

Sharon towarzyszyła mu aż do drzwi.

- Mam jeszcze masę roboty - powiedziała - a ty wyglądasz mi na kogoś, kto chce być sam.

- Niekoniecznie.

- W takim razie wezwij mnie, jak skończysz rozmawiać z Jacovicem - poprosiła i odeszła.

Cole zasiadł za biurkiem, popijając kawę i gapiąc się bezmyślnie na wzorki światła przebiegające po niewielkim wyświetlaczu. Okręty przylatywały i odlatywały, setki jasnych punkcików krążyło w nieustannym ruchu, tworząc niemal hipnotyzujący efekt. Wilson odprężył się, obserwując tę krzątaninę. Zatracił przy tym zupełnie poczucie czasu, do świadomości przywołało go pukanie.

- Wejść.

Drzwi rozsunęły się i do biura wkroczył Jacovic.

- Dawid Copperfield przekazał mi, że chce się pan ze mną widzieć, sir - powiedział szczupły Teroni.

- Tak - odparł Cole. - Proszę usiąść.

Jacovic przysunął sobie krzesło, zajmując miejsce po drugiej stronie biurka.

- Wie pan, że Cztery Oczy nigdy nie mógł tego swobodnie uczynić? Nie wyobraża pan sobie, jak trudno znaleźć przed-

miot, na którym można usiąść, jeśli posiada się trzy nogi.

- Był naprawdę dobrym oficerem - powiedział Teroni. -
Wiem, że byliście sobie bliscy...

- Ale już go nie ma - przerwał mu Cole. - A ja potrzebuję
pierwszego oficera. Pan jest najlepszym kandydatem, jakiego
znam. Chciałbym, aby przekazał pan dowodzenie „Cichą
Strzałką” swojemu zastępcy i przeniósł się na „Teddy’ego R.”

- Jak zareagują członkowie pańskiej załogi na to, że ktoś
z mojej rasy będzie im wydawał rozkazy? - zapytał Jacovic.

- Nie mieli problemów z przyjmowaniem rozkazów od
Molarianina - odparł Wilson.

- Nigdy też nie prowadzili wojny z jego ziomkami - zau-
ważył Teroni. - A Republika walczy z Federacją już od ponad
dwudziestu lat.

- Opuściliśmy Republikę ponad trzy lata temu - przypo-
mniał mu Cole. - A Wewnętrzna Granica jest ziemią niczyją. Tu-
taj nie ma Republiki ani Federacji. Będą wykonywali pańskie
rozkazy, ponieważ współpracujemy już od ponad roku i wszyscy
zdążyli się przekonać, z jak honorowym i kompetentnym ofice-
rem mają do czynienia.

- Nie wolałby pan raczej awansować na to stanowisko
Walkirii?

Cole pokręcił głową.

- Potrzebuję pierwszego oficera, a nie napalonego rewolwerowca, bez względu na to, jak bardzo lojalnego i skutecznego.

- W takim razie przyjmuję pańską propozycję, sir.

- Świetnie - ucieszył się kapitan. - Jak szybko może pan przenieść swoje rzeczy na pokład?

- A jak szybko mnie pan potrzebuje?

- Za dzień, dwa - powiedział Wilson. - Na razie nie przyjmujemy nowych zleceń, więc powinniśmy zostać na stacji przynajmniej przez kilka najbliższych tygodni, ale wydaje mi się, że oswojenie załogi z nowym pierwszym nie będzie głupim pomysłem.

- Dobrze - zgodził się Jacovic. - Jutro przeniosę się na „Teodora Roosevelta”... - zamilkł na moment. - Czy Walkiria nie będzie wściekła, że to ja zostałem awansowany?

- Jeśli nawet, jej złość skrupi się na mnie - uspokoił go kapitan. - Ale szczerze powiedziawszy, wątpię, by ją to ruszyło. Dopóki pozwalamy jej strzelać do złych ludzi, wydaje się zadowolona z tego, co robi. Obejmuje pan to stanowisko, ponieważ potrzebuję pierwszego oficera, któremu mogę naprawdę zaufać. A ją trzymam wyłącznie dlatego, że musimy mieć niszczycielską broń, którą mogę kontrolować... - przerwał na chwilę. - Był pan już trzecim oficerem, w czasie gdy ona dowodziła włą-

snym okrętem, więc zna pan rozkład pomieszczeń. Od tego czasu skład załogi uległ tylko niewielkim zmianom. Przydzielam panu czerwoną wachtę, zaczynając od pojutrze. Ma pan jakieś pytania?

- Nie, sir.

- W takim razie to już wszystko. Zadbam, by przystosowano kajutę Forrice'a do pana potrzeb, chyba że chce pan inną?

- Jestem pewien, że ta mi wystarczy - powiedział Jacovic, zasalutował i wyszedł.

Cole przeszedł na mostek, zastał na nim Christine pracującą przy konsoli komputera.

- Kiedy ma pani zamiar skorzystać z udzielanych przepustek? - zapytał ją.

- Niedługo, sir.

- Zdaje się, że identyczną odpowiedź słyszałem już cztery razy.

- Na tej stacji nie ma niczego, co by mnie interesowało, sir.

- Może mają tam kilka naprawdę wypasionych komputerów z przemytu - zasugerował Wilson.

- Tutaj czuję się dobrze, sir.

- Mają tam też galerie, ogrody botaniczne... - urwał, bo spojrzała na niego wymownie. - Wiem, wiem, gadam od rzeczy.

Ale uważam, że powinna pani wziąć trochę wolnego i się odprężyć.

- Ale ja odprężam się właśnie w taki sposób. Naprawdę.

- Zauważyła pani, że od momentu przycumowania do tej stacji codziennie przeprowadzamy podobną rozmowę? - powiedział Cole.

- I o tym też już wcześniej mówiliśmy - przypomniała mu z uśmiechem.

- Zgadza się - przyznał. - Tym razem pani wygrała, ale...

Nagle jej wzrok powędrował w stronę strumienia holograficznych kodów, które pojawiły się nad jej konsolą.

- To dziwne - powiedziała.

- Co takiego?

- Chwileczkę, sir. - Zaczęła mówić do komputera, używając języka zupełnie obcego Cole'owi. W końcu odwróciła się znów do kapitana. Na jej twarzy malowało się zdumienie.

- Co się dzieje? - zapytał.

- To bardzo dziwna sprawa, sir - powiedziała Christine. - W systemie Braccio znajduje się sześć okrętów Republiki, ale tylko jeden z nich wszedł na orbitę Braccio II, a to przecież jedyna zamieszkała planeta tego systemu.

- Kiedy się tam pojawili? - Wilson podzielał jej zdumienie.

- Właśnie zauważyłam wzmiankę o tym na ekranie, sir,

więc nie dalej niż kilka minut temu. - Znów zagapiła się na linie kodów, które pojawiły się nagle nad konsolą. Zadała kilka pytań komputerowi i poczekała na odpowiedź.

- Co się dzieje, poruczniku? - zapytał Cole.

- To nie ma najmniejszego sensu, sir - odparła. Jeden z tych okrętów, „Odległe Werble”, wysłał wahadłowiec na powierzchnię planety, ten podjął dwoje pasażerów i wrócił natychmiast na pokład... - zmarszczyła brwi. - Wydawało mi się, że na Braccio II przewieziono tylko jednego ocalonego.

- Zgadza się, był tylko jeden.

- Może zabrali też opiekującego się nim lekarza?

Cole pokręcił głową.

- Jeśli mają tam sześć jednostek, nie potrzebują lekarzy z zewnątrz.

- Zatem kim jest ta osoba?

- Ja znam lepsze pytanie - powiedział Cole. - Dlaczego wysłano po dwie osoby aż sześć okrętów?

- Nie mam pojęcia, sir.

- Ja też nie. - Kapitan zmarszczył brwi.

- To bardzo nietypowe, sir.

- Więcej niż nietypowe - przyznał Wilson. - Bardzo niebezpieczne. Ale za nic nie jestem w stanie sobie wyobrazić, co oni tam robią. Jednego z ocalonych przewieziono na terytorium

Republiki. On albo pilot czy lekarz statku medycznego z pewnością powiadomili władze, że sprawcą zniszczenia „Nieskończonej Nocy” był „Teodor Roosevelt”, nie mogą więc chcieć niczego od mieszkańców Braccio II. Przecież to ktoś będący w burdelu, który odwiedził Cztery Oczy, musiał powiadomić władze o jego obecności. Powinni być raczej wdzięczni takiej osobie.

- Może są.

- I dlatego wysłali sześć okrętów wojennych? - wypalił kapitan, a potem zaraz dodał: - Czy Briggs jest teraz na pokładzie?

- Zdaje się, że poszedł już spać, sir.

- Poruczniku Domak, proszę obudzić pana Briggsa i powiedzieć mu, żeby brał dupę w troki i natychmiast się tutaj pojawił.

- Tak jest! - Polonoj uruchomiła nową sekcję komputera.

- Proszę mieć oko na rozwój sytuacji w systemie Braccio - dodał, kierując te słowa do Christine. Chcę wiedzieć o każdej zmianie.

- „Odległe Werble” opuścił już system, sir - zameldowała.

- Pozostałe pięć okrętów nie rusza się z miejsca, ani nie wchodzi na orbitę, ani nie próbuje lądować.

- Coś tam jest mocno nie tak - mruknął Cole.

- Nadal utrzymują pozycje, sir.

Malcolm wpadł na mostek z potarganymi włosami i nie-
dbale narzuconą tuniką.

- Tak, sir? - zameldował się, mrugając szybko oczami.

- Obawiam się, że będzie pan potrzebny, panie Briggs -
powiedział Cole. - Poruczniku Domak, proszę przekazać Mal-
colmowi stanowisko. Bez urazy, ale potrzebuję teraz na mostku
obu moich najlepszych analityków komputerowych, a on jest
jednym z nich. Panie Briggs, w systemie Braccio pojawiło się
sześć okrętów wojennych Republiki. Christine monitoruje już ich
ruchy, chciałbym, aby pan zajął się śledzeniem ich komunikacji.
Z pewnością będziemy mieli do czynienia z zakodowanymi
przekazami.

- Tak jest! - odparł Briggs, zajmując miejsce zwolnione
przez Domak.

- A co ja mam robić, sir? - zapytała Polonoj.

- Proszę usiąść przy rezerwowym stanowisku i pomagać
Malcolmowi - odparł Cole. - Skoro jego zadaniem jest monito-
rowanie komunikacji okrętów Republiki, pani zajmie się całą
resztą. Mam w biurze cholernie potężny komputer, z którego
praktycznie rzecz biorąc, nie korzystam. Może pani na nim pra-
cować.

Zasalutowała i opuściła mostek.

- Nadal nie wykrywamy żadnego ruchu, sir - powiedziała po dłuższej chwili Christine.

- Jeśli przesyłają między sobą zakodowane wiadomości albo w ogóle się komunikują, używają do tego celu częstotliwości pozostających poza naszym zasięgiem - dodał Briggs.

- To niemożliwe - stwierdził kategorycznie Cole. - Ten okręt jeszcze trzy lata temu należał do floty Republiki. Powinniśmy odbierać wszystkie transmisje nadawane z innych jednostek.

- W takim razie te okręty wiszą sobie pomiędzy orbitami czwartej i piątej planety, nie nadając żadnych wiadomości i nikomu nie grożąc - podsumowała Christine. - Dlaczego zachowują się w tak dziwny sposób, sir?

- Nie mam pojęcia, Christine.

- Ja też nie - dodał Briggs.

- A ja wiem - usłyszeli głos Domak transmitowany z gabinetu kapitana.

- Zatem słuchamy. Co tam się dzieje? - zapytał Cole.

- Wahadłowiec odebrał z planety rozbitka z załogi.

- Na pokładzie znajdowało się dwoje pasażerów przypomniała Christine.

- Drugą osobą była molariańska prostytutka, która powiadomiła flotę o obecności komandora Forrice'a w burdelu.

Zażądano ewakuacji tej właśnie pary... - Domak zamilkła na moment. - Dowództwo już wie, że za zniszczeniem „Nieskończonej Nocy” stoi „Teodor Roosevelt”. Nikt nie wie, gdzie się podzialiśmy, ale admiralicja uważa, że ktoś na Braccio II musi znać odpowiedź na to pytanie. Flota dała planecie standardową godzinę na zdradzenie naszej kryjówki.

- Nie odebrałem żadnej wiadomości na ten temat - zdziwił się Briggs.

- Bo monitoruje pan okręty Republiki. Ja wysłuchałam właśnie transmisji wysłanej do frachtowca, który wracał na planetę. Ktoś z kapitanatu opisał pilotowi ostatnie wydarzenia. Kazali mu się trzymać z daleka, dopóki sytuacja nie zostanie wyjaśniona. Wydawali się przy tym całkowicie pewni, że Republika nie każe wymordować dwóch milionów istot tylko dlatego, że nie dowie się od nich, gdzie jest nasza kryjówka.

- Ja bym się o to nie założył - oświadczył z ponurą miną Cole.

- Przecież to okręty Republiki - zaprotestował Briggs. - Nasi nie...

- A jednak zabili Forrice'a - przypomniał mu Wilson.

- Za jego głowę wyznaczono wysoką nagrodę, i to ludność cywilna.

- Niech pan zacznie używać mózgu, panie Briggs. i idyby

to były czcze pogrożki, nie wystaliby na Braccio sześciu okrętów.

- Przecież tam mieszkają dwa miliony istot: ludzi, Molarian, Lodinitów, zgodnie z danymi populacja składa się z przedstawicieli piętnastu ras sprzymierzonych z Republiką.

- To jest Wewnętrzna Granica - przypomniał mu Cole. - Ich status nie ma najmniejszego znaczenia, skoro zabijamy ludzi i Molarian służących we flocie, wymordowanie tych, którzy od tego uciekają, nie powinno nikogo dziwić.

Na mostku pojawił się Jacovic.

- Pułkownik Blacksmith poinformowała mnie o sytuacji - powiedział. - Sądziłem, że powinienem tutaj przyjść.

- Dobrze pan zrobił - powitał go Cole, a potem lekko podniósł głos: - Doskonały pomysł, Sharon.

- Czy mogę w czymś pomóc? - zapytał Teroni.

Cole spojrzał na zegarek.

- Nikt z nas nie może w niczym pomóc, dopóki nie przekonamy się, czy to blef.

Na mostku zamigotał hologram Sharon.

- Chcesz, żebyśmy posłała po kogoś jeszcze?

- Nie, chyba że mamy kogoś z załogi, kto pochodzi z Braccio II.

- Nie mamy - odparła.

- To dobrze - mruknął Wilson. - Mostek i tak jest już wy-

starczająco zatłoczony.

- Przecież oni mogą kłamać - stwierdziła Christine po kilku minutach ciszy. - Mam na myśli rząd tej planety.

Cole pokręcił głową.

- Każdy, kto zdecyduje się odpowiedzieć na to ultimatum, zostanie podpięty do wykrywacza kłamstw, a ten przy pierwszym słowie nieprawdy wypali mu wszystkie neurony w mózgu.

- Nie widziałam czegoś takiego na pokładzie „Teddy’ego R.”, sir. Może oni także go nie mają.

- Mają - zapewnił ją kapitan. - To standardowe wyposażenie.

- A gdzie jest nasz?

- Kazałem go wystrzelić w przestrzeń kilka lat temu.

- Przed czy po?

- Przed czy po czym?

- Przed czy po opuszczeniu Republiki?

- Przed.

Uśmiechnęła się.

- Powinnam się domyślić.

Znów zapadła cisza. W końcu Domak zameldowała, że rząd planety wysłał w przestrzeń ostatnie ostrzeżenie, nakazując wszystkim jednostkom trzymać się z daleka od tego systemu.

- Jak widać, oni podchodzą do tej sprawy poważnie - zauważył Cole.

- My też wkrótce dowiemy się, czy to blef - wtrącił Briggs.
- Zostało jeszcze dziesięć minut.

- Przepraszam, sir... - odezwała się Christine.

- Tak?

- Okręty Republiki podchodzą na odległość strzału. Trzy zajęły pozycje wokół równika, dwa skierowały się nad bieguny.

- Rząd nadaje z planety na wszystkich częstotliwościach, sir - zameldował Briggs. - Czy mam puścić wiadomość na głośniki?

- Nie trzeba - odparł Cole. - Wszyscy wiemy, jaka jest treść tego przekazu: Nie mamy pojęcia, gdzie przebywa „Teddy R”, mówimy prawdę, nie zabijajcie nas.

- Oni tego nie zrobią - mamrotał pod nosem Briggs. - Nie zabiją dwóch milionów istot, które nie mają z nami nic wspólnego.

- Podziwiam pański optymizm - powiedział Cole.

- Ci ludzie byli szkoleni w Republice, podobnie jak my - Malcolm nie dawał za wygraną. - Nikt nam nigdy nie kazał robić takich rzeczy.

- Na wypadek gdyby wyleciało to panu z pamięci, zostałem postawiony przed trybunałem wojennym za to, że nie po-

zwoliłem doprowadzić do masakry dwa razy większej ilości istot.

- To była wyjątkowa sytuacja.

- Wszystkie ludobójstwa tłumaczy się wyjątkowością sytuacji - stwierdził Wilson. - Co nie zmienia faktu, że wciąż mamy do czynienia z kolejnymi.

- Pół minuty - zameldowała Christine.

Wypowiedziała krótką komendę i holograficzny obraz systemu Braccio pojawił się dwie stopy nad konsolą jej komputera.

Przez kilka sekund nic się nie działo. Potem powierzchnia Braccio II pokryła się morzem płomieni, powoli zmieniając się w rozpalone do białości piekło. Okręty, niewidoczne z tej odległości, nie mogły prowadzić ognia dłużej niż przez dwie, trzy sekundy, ale blask bijący z planety raził oczy jeszcze po godzinie.

- Zrobili to! - zawołał zszokowany Briggs. - Naprawdę to zrobili!

- A czego pan się spodziewał? - usłyszeli głos Sharon. - To flota.

- Tak po prostu zabili dwa miliony niczemu niewinnych biedaków! - Malcolm żołądkował się dalej.

- Nie potrafili nas znaleźć, a odczuwali ogromną potrzebę zabicia kogoś - powiedziała Sharon.

- To... To... - Briggs był tak wściekły, że nie potrafił znaleźć właściwych słów.

- A najgorsze, że w tej sprawie nikt nie kiwnie nawet palcem - oznajmiła pułkownik Blacksmith. - Jesteśmy na pieprzonej Wewnętrznej Granicy. Cholerna flota może przylecieć, gdzie ma ochotę, i zabijać, kogo zechce. A tym gnojom wszystko ujdzie na sucho, jak zawsze zresztą.

Cole spoglądał na rozpaloną kulę ognia, która jeszcze przed chwilą była tętniącą życiem planetą. Na jego twarzy nie było widać żadnych emocji.

- Nie ujdzie - oświadczył grobowym głosem. - Nie tym razem.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Cole uznał, że czas najwyższy na rozmowę z Platynowym Księciem. Nie zdziwiłoby go, gdyby szef stacji już spał, ale okazało się, że jeszcze jest na nogach i próbuje kolejnych środków na kaca. Niektóre wyglądały tak odrażająco, że niejeden pijus pozostałby trzeźwy do końca życia, byle ich nie tknąć.

- Siedzi pan tutaj już od dłuższego czasu - zagaił Wilson. - Zna pan też większość swoich klientów.

- Tak, zwłaszcza tych stałych.

- I o nich chciałem porozmawiać - rzekł Cole. - Z tego, co zauważyłem, nie cierpi pan naszej floty. Domyślam się więc, że wielu gości podziela pańskie poglądy.

- Oczywiście.

- Chciałbym dostać listę tych, którzy mają to samo zdanie albo przynajmniej mogliby je poprzeć.

Ludzkie oczy spojrzały na Cole'a uważnie z nieruchomej platynowej twarzy.

- Pan naprawdę podchodzi poważnie do tej sprawy. Tu nie chodzi o jeden, dwa ataki dla dokonania zemsty, tylko o większą akcję?

- Tak. To już nie jest Republika, którą nauczono mnie szanować, to już nie jest flota, której przysięgałem wierność.

- Nigdy nią nie była - wtrącił Książę.

- Możliwe - zgodził się Wilson. - Ale jeśli nie przegonimy ich teraz z Wewnętrznej Granicy, zniszczą populacje tuzina planet, aby nas dopaść, i kolejnych dwóch, jeśli zaczniemy się bronić. Ktoś powinien wstać i powiedzieć: *Dość tego dobrego!*

- Na razie nikt tego nie zrobił.

- Bo do tej pory na terytorium Granicy nie stacjonował okręt wojenny z doskonale wyszkoloną załogą - odparł Cole.

- Podziwiam pana, Wilsonie - stwierdził szef stacji. - Przypomina mi pan o wszystkich powodach, dla których chciałbym ujrzeć śmierć Susan Garcii. Ciekawe, czy ona nadal jest admirałem floty?

- Była nim jeszcze trzy i pół roku temu - zapewnił Cole.

- Sądzi pan, że wiedziała o akcji na Braccio II?

Kapitan pokręcił głową.

- Wątpię. Ona zajmuje się sprawami wojny. To jest dodatkowa atrakcja.

- Cholera! - jęknął Książę. - Z taką chęcią bym ją obciążył!

- Może pan.

- Przecież powiedział pan, że... - Powiedziałem, że nie

powinna wiedzieć o Braccio - stwierdził Wilson - ale to wcale nie znaczy, że nie zachęcała swoich podwładnych do popełniania podobnych czynów.

- Zatem podzegała do rzezi, a kiedy odmówił pan zniszczenia zamieszkałej planety, wtrąciła pana do więzienia. Świetnie, jak to miło znów jej nienawidzić.

Cole uśmiechnął się.

- Cieszę się, że mogłem rozweselić pana choć odrobinę, ale tak między nami, ona jest tylko kolejną ofiarą. W ciągu ostatnich lat za nikłe postępy w wojnie czterokrotnie zmieniano głównodowodzącego. Teraz nastąpiła jej kolej i albo wygra, albo zostanie wywalona na zbity pysk, chociaż oczywiście zostanie to ogłoszone w znacznie łagodniejszy sposób. Wydaje mi się, że ona działa teraz pod taką presją, że przed niczym się nie cofnie. A taka sytuacja potrafi sprowadzić człowieka do parteru.

- Jest pan dla niej zbyt wyrozumiały.

- Raczej podchodzę realistycznie do tej sprawy. Sytuacja towarzysząca jej dojściu do władzy nie stanowi żadnej okoliczności łagodzącej. Garcia jest moim wrogiem... - przerwał na moment. - Potrzebuję miejsca, w którym mógłbym przeprowadzić zebranie wszystkich moich podwładnych.

- Posiadam niewielki teatr, może pan z niego skorzystać - odparł Książę. - Ma sześćset miejsc na widowni.

- To wystarczy. Zdaje się, że mam pięciuset czterdziestu członków załóg - szybko obliczył Wilson. - Poza tym musimy porozmawiać o finansach.

- Tego właśnie się obawiałem - stwierdził ironicznie Książę.

- Jest pan najbogatszym człowiekiem, jakiego znam - ciągnął Cole. - Musi pan wspomóc nas finansowo, przynajmniej na starcie.

- Tylko na starcie?

- Tylko na starcie - zapewnił go kapitan. - Dopóki nie będę potrzebował wszystkich moich okrętów, Dawid dopilnuje, aby część sił wykonywała kolejne kontrakty, dzięki czemu otrzyma pan swoją prowizję. Ponadto dam panu prawo do ograbienia każdego okrętu, który zniszczymy.

- Chcę czegoś jeszcze - powiedział Książę.

- Proszę mówić.

- Chcę otrzymać status handlowy Najbardziej Uprzywilejowanego Państwa na każdej planecie, którą oswobodzi pan spod tyranii Republiki.

- Przecież nie ma pan żadnego państwa, to tylko stacja kosmiczna.

- Ale za to posiadająca niemal osiemdziesiąt tysięcy stałych mieszkańców, pół miliona gości i więcej handlarzy czarno-

rynkowych, niż mogę sobie wyobrazić. Są moimi partnerami w biznesach albo wkrótce nimi zostaną, i z pewnością zażądają jakiejś części zysków z nowych rynków zbytu. Czy to panu pasuje?

- Pasuje, ale tylko do momentu, kiedy nie zaczną się wy-muszenia albo nie złamię pan warunków otrzymania statusu.

Książę wyciągnął dłoń, a Cole mocno ją uściśnął.

Rozpuszczono wieści, że wszyscy członkowie załóg Cole'a mają się zebrać następnego dnia w teatrze, dokładnie o godzinie dwunastej zero zero.

- Jest mi przykro z powodu tego, co się stało, jak chyba każdemu na pokładzie - powiedziała Sharon, gdy jedli tego wieczora kolację w „Drugim Domu” - ale nie możesz wszczynać wojny z Republiką. Flota dysponuje prawie trzema milionami okrętów.

- Ma ich więcej - stwierdził Cole.

- A my mamy ze sześćdziesiąt.

- Mniej nawet.

- Czyli ile?

- Jutro o tym porozmawiamy. Każdy dostanie szansę wy-rażenia swojej opinii. - Kelner przyniósł do ich stolika zamówione dania. - Teraz cieszymy się jedzeniem.

Jedli w kompletnej ciszy przez kilka minut. W końcu Sha-

ron odsunęła talerz.

- To niedorzeczne! - stwierdziła. - Informujesz mnie o planie zaatakowania milionów jednostek przeciwnika i uważasz, że będę mogła potem ględzić o niczym?

Wilson uśmiechnął się.

- Do tej pory uważałem, że tylko Wal potrafi odmówić wykonania rozkazu.

- Rozkazujesz mi nie mówić na ten temat?

- Prosiłem, żebyś tego nie robiła - powiedział Cole. - Zamordowano dwa miliony niewinnych istot. Dzisiaj uczymy ich pamięć. Jutro porozmawiamy o tym, jak je pomścić.

- To szaleństwo.

- To konieczność - poprawił ją. - Coś mi się wydaje, że oni nie poprzestaną na Braccio.

Wyglądała na zaskoczoną.

- Dlaczego tak sądzisz?

- Ponieważ nie zdobyli tego, na czym im zależało, czyli informacji o miejscu naszej kryjówki.

- O tym nie pomyślałam - przyznała. - Dobrze, Wilsonie. Dzisiaj czcimy pamięć zabitych.

- Dzięki.

Skończyli jeść, Sharon wróciła na pokład, a Cole poświęcił kilka minut na obejrzenie teatru, w którym następnego dnia

miało się odbyć zebranie. Potem on także udał się na „Teddy’ego R.”. Nie czuł zmęczenia, ale nie chciał się fraternizować z podwładnymi głównie dlatego, by nie pytano go o temat narady. Udał się więc do swojej kabiny, puścił odmóżdżające muzyczne holo i oglądał je, dopóki nie zapadł w sen.

Obudził się w pełni wypoczęty, ale gdy wstał, zauważył, że nie zdjął nawet munduru. Wziął suchy prysznic, założył nowe rzeczy, potem udał się do mesy, aby wypić kubek sztucznego soku owocowego i kawę. Siedział tam w całkowitej izolacji, gdyż członkowie załogi z rozmysłem omijali jego stół - widocznie Sharon skutecznie odradziła im próby zbliżenia się do dowódcy - by w końcu, niespełna pół godziny przed terminem rozpoczęcia spotkania, wsiąść do wagonika kolejki, a potem przespacerować się prosto do teatru.

Na widowni siedziało pięćdziesięciu kapitanów oraz podlegli im ludzie. Byli także wszyscy członkowie załogi „Teddy’ego R.”. Wilson zarezerwował cztery fotele w pierwszym rzędzie dla Jacovica, Christine, Wal i Dawida Copperfielda. Reszta miejsc w dwóch początkowych rzędach była przeznaczona dla kapitanów pozostałych jednostek.

Gdy wszyscy zajęli miejsca, Cole wszedł na scenę.

- Jestem pewien, że wszyscy wiedzą już, że komandor Forrice oraz chorąży Jacillios zostali schwytani przez flotę Repu-

bliki na Braccio II. Torturowano ich, ale woleli śmierć niż zdradę i nie wydali miejsca stacjonowania „Teodora Roosevelta”. Byli naszymi towarzyszami broni i dlatego powinniśmy uczcić ich poświęcenie... - przerwał na moment, a potem podjął drugi temat: - Większość z was nie wie jednak, co wydarzyło się wczoraj. Republika wysłała sześć okrętów wojennych do systemu Braccio. Jeden z nich ewakuował z powierzchni zamieszkałej planety dwie osoby - ocalonego członka załogi „Nieskończonej Nocy” oraz obywatelkę, która poinformowała flotę o obecności naszych Molarian. Wszyscy pozostali mieszkańcy planety zostali wymordowani. - Na sali rozległy się głosy zaskoczenia. Część ludzi słyszała już o zniszczeniu Braccio II, ale przynajmniej jedna piąta zebranych nie miała o niczym pojęcia. - Wewnętrzna Granica miała być ziemią niczyją, miejscem, w którym można mieszkać, nie okazując poddaństwa żadnemu z imperiów, federacji czy innych politycznych tworów. Republika ignoruje jednak regularnie te postanowienia. Co więcej, mam powody twierdzić, że większość rajdów na terytorium Granicy jest inicjowana ze względu na profity z nich płynące. Republika zyskuje na naszym terytorium załogi dla swoich okrętów, rekwiruje także różnorakie dobra. Konfiskuje żywność oraz surowce, których brakuje po tamtej stronie granicy. Ale to tylko jedna ze stron tej operacji. Druga jest taka, że do tej pory pozwalano flo-

cie na bezkarne przeprowadzanie podobnych działań. Za mojego i waszego życia nikt nawet nie kiwnął palcem, aby to ukrócić albo chociaż przypomnieć, że nie ma prawa wkraczać na nasze terytoria. Ale to już przeszłość... - zamilkł, rozejrzał się po zebranych. Większość słuchaczy wyglądała na bardziej niż przestraszonych. - Będę z wami szczerzy. Komandor Forrice był moim najbliższym przyjacielem i jednym z najważniejszych elementów załogi „Teodora Roosevelta”. Ale nawet po jego śmierci nie miałem zamiaru podejmować tak szeroko zakrojonej akcji. Był oficerem, służył na okręcie wojennym, wiedział, co ryzykuje, oddalając się tak bardzo od macierzystej jednostki, i zapłacił za to wysoką cenę. Wczoraj jednak unicestwiono dwa miliony niewinnych cywilów, i to nie dlatego, że nie chcieli wyjawić miejsca naszej kryjówki. Oni tego po prostu nie wiedzieli, taka arogancja i agresja ze strony Republiki nie powinna i nie może być dłużej tolerowana.

Jeden z ostatnio mianowanych kapitanów wstał, prosząc o głos. Cole pozwolił mu przemówić.

- Czy pan sugeruje, byśmy ruszyli w pięćdziesiąt okrętów przeciw flocie Republiki? - zapytał oficer.

- Nie - odparł Cole. - Może jestem wściekły i oburzony, ale na pewno nie można mnie nazwać samobójcą. Nie wdrzemy się nawet na centymetr poza granice Republiki. Niech

sobie robią, co chcą, na swoim terytorium, ale od tego dnia okręty floty nie będą miały wstępu na Wewnętrzną Granicę. Nie pozwolimy im na kolejne Braccio II.

Teraz wstał Perez.

- Jak mamy ich przed tym powstrzymać? Możemy zniszczyć dziesięć okrętów floty, ale co zrobimy, jeśli następnym razem przyleci ich pięćdziesiąt albo i trzysta? Możemy bronić kilku zamieszkałych planet przed ich zemstą, ale mamy ich tutaj tysiące. Jak uchronić wszystkie?

- Zaczniemy od wyboru celów - wyjaśnił Cole. - Nie będziemy atakowali wszystkich okrętów Republiki, przynajmniej nie od początku. Uderzymy na te formacje, które zdołamy unicestwić, tyle tylko, że dopóki nie urośniemy w siłę, nie przyznamy się do ataków. Pozwolimy, by Republika zamartwiała się pytaniem, kto niszczy jej jednostki wkraczające na terytorium Wewnętrznej Granicy.

- Wtedy wyślą tutaj Dziesiątą albo Jedenastą Flotę - rzucił któryś z pozostałych kapitanów. - Obie stacjonują w pobliżu.

- Komandorze Jacovic, będzie pan tak uprzejmy i wyjaśni, dlaczego podobna rzecz nie nastąpi?

- Republika jest zaangażowana w pełnowymiarowy konflikt z Federacją Teroni - wyjaśnił pierwszy oficer „Teddy’ego R.”, stając twarzą do widowni. Obie strony dysponują porównywal-

nymi siłami. Jeśli Republika przeniesie tutaj te dwie floty, odstąpi przed wrogiem sektory, w których znajdują się trzy tysiące zamieszkałych planet.

- Na pewno nie zaryzykują wystawienia się Teroni na odstrzał dla zniszczenia kilku, przynajmniej w ich mniemaniu, zbuntowanych jednostek z Wewnętrznej Granicy - dodał Cole.

- Chwilowo - powiedział Perez. - Jeśli zniszczymy wystarczającą ilość ich okrętów, będą musieli zwrócić na nas uwagę.

- Racja - przyznał Wilson. - Ale my też nie będziemy siedzieli bezczynnie, czekając na ten moment. „Teodor Roosevelt” przyleciał na Wewnętrzną Granicę w pojedynkę. Dzisiaj dysponuje flotą składającą się z pięćdziesięciu jeden jednostek. Jeśli będziemy rekrutowali nowe okręty i załogi mające coś przeciw Republice, a takie chyba nietrudno tu znaleźć, nadejdzie taki dzień, że sami zechcemy, aby flota dowiedziała się, z kim tańczy. Póki co Platynowy Książę, który, jak wiecie, niespecjalnie lubi Republikę, a jeszcze mniejszym sentymentem darzy jej siły zbrojne, zaoferował nam pomoc i pozwolił uczynić ze Stacji Singapur naszą kwaterę główną.

- Wątpię, aby zdołał pan zgromadzić tysiąc okrętów, jeśli nawet będzie pan na to miał pięć lat - oświadczył jeden z kapitanów. - Ale flota i tak może pośłać przeciw nim pięć razy większe siły.

- Tak się jednak składa, że Wewnętrzna Granica zajmuje prawie piątą część naszej galaktyki, a my znamy ją o wiele lepiej niż oni - odparł Cole. - Poza tym znajdziemy na każdej planecie ochotników, którzy będą meldowali o każdym ruchu przeciwnika.

W tym momencie wstał wysoki kapitan z drugiego rzędu.

- Póki co mamy inny problem, tylko że on nie ma nic wspólnego z Republiką - oznajmił.

- Czekałem, kiedy ktoś poruszy ten temat - mruknął Wilson z ponurą miną. - No, dalej.

- Cieszę się z tego, że zostałem wcielony do pańskiej floty - zaczął oficer. - To całkiem lukratywne zajęcie, pan zaś okazał się znakomitym dowódcą. Nie znałem jednak nikogo na Braccio II i nie zamierzam narażać mojego okrętu i załogi, aby pomścić tych nieszczęśników, zwłaszcza że nie wiąże się z tym żaden zarobek. - Spojrzał prosto w oczy Wilsonowi. - Domyślam się, że nie zakłada pan plądrowania Republiki?

- Nie zakładam.

- To może chociaż światów leżących tuż za jej granicami?
- naciskał kapitan.

- Nie - powtórzył Cole. - To nie jest demokracja i nie będziemy głosowali mojego wniosku. Zrobicie dokładnie to, co wam każę. Ale nie chcę nikogo przymuszać. Daję każdemu

kapitanowi, okrętowi i członkowi jego załogi standardowy dzień na podjęcie decyzji. Możecie się wycofać bez żadnych konsekwencji do jutra w południe. Kto zostanie, podda się automatycznie mojemu zwierzchnictwu. A moim celem jest uczynienie z Wewnętrznej Granicy terytorium wolnego od okrętów Republiki. Mam nadzieję, że wszyscy to dobrze zrozumieli.

Z sali dobiegły twierdzące pomruki.

- I jeszcze jedno - dodał Wilson. - W związku ze śmiercią komandora Forrice'a nowym pierwszym oficerem na „Teodorze Roosevelcie” został komandor Jacovic. Jeśli zginę podczas akcji albo w inny sposób stanę się niezdolny do dowodzenia, macie wykonywać jego rozkazy. Jeśli ktoś ma z tym problem, sugeruję, by się wycofał... - przerwał w tym momencie, aby sprawdzić, czy ktoś opuści salę. Zgodnie z jego oczekiwaniami trzech kapitanów wyprowadziło swoje załogi. - Ci ludzie podjęli szczerą decyzję, dlatego nie chcę, by ktokolwiek z was miał im to za złe - stwierdził, gdy ostatni z wychodzących opuścił salę. - A teraz kilka słów o naszych najbliższych posunięciach. Po wyznaczonym na jutro terminie rozproszymy się po terytorium Granicy, aby rekrutować zwiadowców na wszystkich możliwych planetach. Zaoferujemy im bezpieczne środki łączności, aby informowali nas o każdorazowym przybyciu i odlocie okrętów Republiki. Roześliśmy też wieści o tym, że rekrutujemy nowe za-

łogi i okręty. Nie obchodzi mnie, co ci ludzie robili w przeszłości. Powitam ich jak równych nam, jeśli złożą przysięgę i będą wykonywać rozkazy. A skoro już zaczynamy działać - kontynuować - jedna ważna sprawa. Musimy wybierać cele z wielką ostrożnością. Dzisiaj flota ma nad nami miażdżącą przewagę, nawet tutaj, na Granicy, nie mówiąc już o terytorium Republiki. Na razie nikt z nich nie może przeżyć ataków, a w każdym razie nikt, kto zdoła powrócić na teren wroga. Za wcześnie jeszcze, żeby przeciwnik zorientował się, z kim walczy. Kiedy przyjdzie właściwy czas, sam zadbam, aby jeden albo dwóch ocalałych znalazło się za Granicą z wyraźnym przekazem, że dalsi goście nie będą tutaj mile widziani... - przerwał na moment, aby uporządkować myśli. - Żebyśmy się dobrze zrozumieli. Nie wydaję wam rozkazu zabijania tych, którzy się poddali albo zostali poważnie ranni podczas walki. Uwięzimy ich w miejscach, z których komunikacja z wrogiem będzie niemożliwa. Posiedzą do momentu, w którym uznamy, że mogą wracać do domu.

- Chyba znam planetę, która może posłużyć za takie więzienie - rzucił jeden z kapitanów.

- Świetnie - ucieszył się Cole. - Porozmawiamy o tym po zakończeniu spotkania... - przerwał. - Prędzej czy później flota znajdzie nas, dlatego musimy uczynić ze Stacji Singapur miejsce

niezdobyte, uzbrajając ją i otaczając tarczami dziesięć razy potężniejszymi niż przy ataku ludzi Csontiego sprzed kilku miesięcy. Część z was będzie nadal wykonywała zadania zlecane przez Dawida Copperfielda i Platynowego Księcia, abyśmy mieli czym zapłacić za te udoskonalenia. - Wilson rozejrzał się po widowni. Jeśli nie ma dalszych pytań, zakończymy na tym nasze spotkanie.

- Ja mam jedno pytanie - odezwał się ktoś z końca sali. - Flota napadała na Wewnętrzną Granicę na długo przed naszym urodzeniem. Co zrobiono komandorowi Forrice'owi, że musimy odpowiedzieć w tak zdecydowany sposób?

- Tu nie chodzi o to, co zrobiono Forrice'owi - odparł Cole - ale o to, co stało się na Braccio II.

- Może pan odpowiedzieć na moje pytanie?

- Dobrze - zgodził się kapitan. - Zadbam o to, by holo z egzekucji komandora Forrice'a dotarło na wszystkie nasze jednostki. Sami będziecie mogli wysnuć z niego wnioski.

Mam tylko nadzieję, że to nie odstraszy przynajmniej potowy z was, dodał w myślach.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

- Co słyhać? - zapytał Cole, wchodząc następnego ranka na mostek. - Jakież złe wieści?

- Straciliśmy kolejne osiem jednostek, sir - zameldowała Rachel Marcos stojąca za konsolą głównego komputera.

- Nie mogę ich winić za to, że odchodzą - stwierdził Wilson. - Nie znali Forrice'a, w dupie mają Republikę, a przede wszystkim nie zarobią na tej wyprawie złamanego grosza.

- Nadal dysponujemy flotą składającą się z czterdziestu okrętów - przypomniała mu Rachel.

- Tak, nieźle wypadamy na tle milionów jednostek przeciwnika. W naszym wypadku różnica pomiędzy czterdziestoma a pięćdziesięcioma okrętami jest niezauważalna - powiedział Cole z przekąsem. Tak na marginesie, czy czerwona wachta już się skończyła?

- Tak, sir.

- Gdzie zatem jest Jacovic?

- Wydaje mi się, że nie wrócił jeszcze ze stacji, sir.

- Pierwszy dzień na służbie i już zdezerterował - mruknął kapitan. - Widywałem lepsze początki kariery.

- Jestem, jestem - usłyszeli obco brzmiący głos i zobaczyli sylwetkę nadchodzącego komandora.

- Zaczniemy od tego, że nie powinien pan wychodzić - zganiał go Cole.

- Okręt stoi w doku, a ja dostrzegłem okazję powiększenia naszej floty - usprawiedliwił się Teroni. - Ubiegłej nocy na stację przybyły dwa nasze okręty. Pozwoliłem sobie odwiedzić ich pokłady i uzyskałem obietnice poparcia naszej sprawy.

- Co mnie wcale nie dziwi - przyznał Wilson. - W końcu będą niszczyli okręty Republiki.

- Jeśli źle pana wczoraj zrozumiałem - zaczął Jacovic - mogę im przekazać, że...

- Postąpił pan słusznie - przerwał mu kapitan. - Lubię, kiedy moi oficerowie wykazują się inicjatywą, sugeruję, aby spędzał pan więcej czasu w kasynie Księcia i restauracjach dla innych ras. Tam powinien pan trafić na kolejnych Teroni. Może uda się panu nakłonić kapitanów do przejścia na naszą stronę. Będziemy potrzebowali każdej pomocy.

- Tak jest.

- A skoro o tym mowa, przecież mamy w załogach pewną ilość Lodinitów, Mollutei i kilku innych ras dodał Cole. - Proszę im zasugerować, aby spędzili więcej czasu na stacji, poszukując rekrutów wśród swoich ziomków i znajomych.

- Zajmę się tym, jak tylko odzyskam pozostałych Teroni przebywających teraz na Singapurze - obiecał Jacovic.

- Proszę zająć się tym już teraz - polecił mu kapitan, a gdy komandor posłał mu pytające spojrzenie, wyjaśnił: - Jest pan teraz na służbie.

- Tak jest.

Kapitan odwrócił się do Rachel.

- A pani spotyka się z kimś na stacji?

- Nie, sir.

- Taka śliczna młoda blondynka nie ma adoratorów? - zdziwił się Cole. - Wielka szkoda. Tracę przez to jeden z najlepszych sposobów rekrutacji.

- Dziękuję, sir - odparła. - Zastanowię się nad tym.

Wilson przeniósł wzrok na Domak, wojowniczkę Polonoi posiadającą na sobie więcej naturalnego opancerzenia, niż zdolaby udźwignąć człowiek w sile wieku. Zdecydował jednak, że nie wygląda ona na obiekt czyichś westchnień, a przynajmniej nie widział do tej pory nikogo, kto by ją traktował w podobny sposób.

Nagle pojawiło się przed nim holograficzne oblicze Platynowego Księcia.

- Jak przebiegło spotkanie? - zapytał.

- Proszę nie udawać, iż pan nie wie - odparł Cole. - Wi-

działem kontrolki holokamer umieszczonych na balkonie.

- Były tam, na wypadek gdyby powiedział pan coś godnego zapamiętania.

- Świetnie. Proszę przesać nagrania na „Teddy’ego R.”, Christine przygotuje z nich doskonały materiał rekrutacyjny.

- Nie ma sprawy.

- Zakładam, że już je pan obejrzał.

- Oczywiście - zapewnił go Książę. - Mógł pan opisać swoją rolę jako fundatora w nieco bardziej heroiczny sposób. Na przykład powiedzieć, że ofiarowałem Stację Singapur dla waższej sprawy.

- Czyli że pogodził się pan ze stratą kilkuset drinków i przypadkowych graczy - dodał Cole z uśmiechem na ustach.

- Dobrze powiedziane - przyznał człowiek z platyny. - Nie widziałem jednak Dawida Copperfielda podczas pańskiego przemówienia. Zastanawiam się, gdzie był w tym czasie.

- Mnie proszę nie pytać. - Wilson wzruszył ramionami. - Wiem tylko tyle, że nie siedzi w kryjówce za grodzią. Zazwyczaj chował się tam podczas bitew, ale dość szybko zauważył, że nasze sensory potrafią wykryć jego obecność. Najprawdopodobniej przebywa gdzieś na terenie stacji.

- Jakim cudem taki tchórz mógł zostać największym paserem Wewnętrznej Granicy?

- Jest cholernie dobrym biznesmenem.

- Nie przerażali go ludzie, z którymi robił interesy? - zapytał Książę.

- Spotykał się z nimi wyłącznie na swoim terenie - wyjaśnił kapitan i nagle się roześmiał. - Kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy, miało mnie na muszce ośmiu albo dziewięciu jego ochroniarzy. Dzięki temu czuł się pewnie pomimo wrodzonego tchórzostwa.

- I przyłączył się do pana, ponieważ użył pan nazwiska Steerforth?

- Raczej dlatego, że zaoferowałem mu ochronę, choć skorzystanie z nazwiska bohatera „Dawida Copperfielda” na pewno też miało jakiś wpływ na jego decyzję. A został z powodu sporych dochodów, jakie dawały mu prowizje z naszych zadań.

- Ciekawa postać z niego, zawsze ubiera się jak jeden z bohaterów książek Dickensa?

- Cóż mogę na to odpowiedzieć? Nie każdy z nas może olśnić innych tak idealną, metaliczną powłoką - stwierdził Cole.

- Myli się pan - zapewnił go Książę. - Wystarczy mieć sporo czasu i jeszcze więcej pieniędzy.

- Tych może mi chwilowo zabraknąć. Jeśli pan jeszcze nie zapomniał, mamy zamienić Stację Singapur w prawdziwą fortecę.

- To nie zajęło aż tak wiele czasu i nie kosztowało fortuny, kiedy robiliśmy taki zabieg podczas pamiętnej potyczki z flotą Csontiego.

- Może dlatego, że to była naprawdę niewielka potyczka - odparł Wilson. - Csonti miał niewiele ponad trzydzieści statków do dyspozycji, a sporo jego ludzi trudno było określić mianem lojalnych podwładnych. Republika może przysłać tutaj setki okrętów, a każdy z nich będzie dysponował pięćdziesięciokrotnie większą siłą ognia niż flota tego watażki.

- Celna uwaga - przyznał Książę. - Jak się przed nimi zabezpieczymy?

- Wyślę do pana jeszcze dzisiaj Mustafę Odoma, to mój pierwszy mechanik. Może jest małomówny i nie wygląda zbyt wiarygodnie, ale jest naprawdę znakomitym fachowcem w swojej dziedzinie. Nie ma w okolicy innej osoby, której zaufałbym bardziej w kwestii zabezpieczeń. Wyślę też do pana Wal. Choć z niej nie będzie za wiele pożytku.

- Może postawimy ją na końcu jednego z ramion dokujących ze stukaczem i karabinem laserowym. To powinno wystarczyć za całą obronę stacji - zażartował człowiek z platyny.

- Przez najbliższych kilka tygodni nie będzie panu potrzebna żadna dodatkowa obrona - zapewnił go Cole. - Kłopoty zaczną się dopiero wtedy, gdy ukąsimy Republikę wystarcza-

jąco boleśnie. Wtedy zapragnie pan mieć na stacji tysiąc Walkirii.

- Kiedy powinniśmy spodziewać się pierwszych ataków?

- Nie mam pojęcia. Nikt nie zaatakował tamtych okrętów, więc zdążyły spokojnie wrócić na terytorium Republiki. Chciałbym, aby to właśnie one stały się naszym celem, ale równie dobrze mogą się nigdy więcej nie pokazać na Wewnętrznej Granicy... - przerwał i przeczesał dłonią włosy. - Nadal jednak w okolicy pozostaje kilkaset innych jednostek należących do Republiki. Postaramy się wyłuskać jakiś samotny okręt i zniszczyć go szybko, zanim zdoła nadać wezwanie o pomoc. Nie jesteśmy jeszcze gotowi na to, by Republika zaczęła nas ścigać.

- Zapomniał pan o czymś, Wilsonie.

- Tak?

Książę skinął głową.

- Oni wiedzą już, że „Teodor Roosevelt” przebywa na terytorium Wewnętrznej Granicy, wiedzą także, że to pan zniszczył „Nieskończoną Noc”. Nie sądzi pan zatem, że jedynym logicznym wnioskiem, do jakiego dojdzie admiralicja, analizująca kolejne zniknięcia swoich jednostek, będzie, iż to właśnie pan stoi za atakami?

- Niewykluczone. Ale dopóki będziemy uderzali precyzyjnie, nie zostawiając żadnych śladów, nie pozwalając wysłać

komunikatów, nie widzę żadnego sensownego ruchu, jaki będą mogli wykonać, oprócz wysłania kilku tysięcy okrętów do przeczesania tego fragmentu galaktyki, a na to brakuje im teraz sił.

- Zbyt dużo niewiadomych jest w pańskich równaniach - zauważył Książę.

- Narysujemy linię na ziemi, no dobrze, w przestrzeni kosmicznej, i powiemy jednej z największych potęg galaktyki, że nie wolno jej przekroczyć - odparł Cole. - Nie wyobrażam sobie, by można uczynić coś podobnego, mając wszystko szczegółowo rozpracowane.

- Nie wspominając o wątpliwościach.

- Tak - przyznał Cole. - Nawet o nich nie myśląc.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Następnego dnia Książę pokazał Cole'owi pusty lokal i zaproponował, by tam mieściła się jego kwatera główna, miejsce będące układem nerwowym operacji. Stąd mogłyby wychodzić wszystkie rozkazy i wiadomości. Wilson grzecznie podziękował za tę ofertę, ale odmówił.

- Dlaczego? - zdziwił się szef stacji. - Przecież wie pan doskonale, jak ważne będzie utrzymywanie kontaktu z wszystkimi jednostkami i szpiegami.

- Wiem - przyznał Cole. - Ale jeszcze lepiej wiem, że bezpieczniej być celem ruchomym niż stacjonarnym. Christine i Briggs poradzą sobie z tą robotą, pozostając na pokładzie „Tedy'ego R.”.

- W takim razie proszę mi wytłumaczyć, dlaczego pański pierwszy mechanik ogląda każdy centymetr mojej stacji, nie wyłączając najdalszych zakątków doków, by spisać najdrobniejsze elementy naszych systemów obrony oraz zaznaczyć miejsca ich pozbawione?

- Bo tutaj będą przylatywać nasze okręty, aby uzupełnić paliwo i amunicję. Nie utrzymamy tego zbyt długo w tajemnicy,

dlatego musimy poświęcić najwięcej uwagi wzmocnieniu waszej obrony.

- Ciekaw jestem, ile to mnie będzie kosztowało... - mruknął człowiek z platyny.

- Jeśli coś będzie zbyt drogie w pańskim mniemaniu, wystarczy wspomnieć panu Odomowi, że pan za to nie płaci i ma tego nie instalować.

- Wspominałem już, co sądzę o tego rodzaju poczuciu humoru? - zapytał Książę.

- Od wczoraj nie.

- Cóż, nic się w tej materii nie zmieniło.

Nagle pojawił się przed nimi hologram Christine.

- Przepraszam, sir, ale otrzymałam właśnie pilną wiadomość od kapitana Velasqueza.

- To jeden z tych, którzy przyłączyli się do nas po akcji na Slocombie III? - zapytał Cole.

- Zgadza się, sir.

- Dobrze, daj go na wizję.

Jej miejsce zajęła twarz wspomnianego kapitana. Był to człowiek w średnim wieku, wcześniejsze doświadczenia z Wewnętrznej Granicy zostawiły na jego twarzy i ciele sporo blizn.

- Mówi kapitan Marco Velasquez, dowódca „Purpurowej Smugi”.

- W czym mogę pomóc? - zapytał Cole.

- Właśnie zauważyliśmy samotny okręt Republiki lecący z Mariano II do systemu Stromboli. Nasze sensory wskazują, że ma na pokładzie stukacze i palniki czwartej generacji.

- Zdołacie przetrzymać napór tak wielkiej siły ognia?

- Zdecydowanie nie - odparł pośpiesznie Velasquez. - Ale w pobliżu znajdują się dwie inne nasze jednostki. Wydaje mi się, że jeśli weźmiemy go w trzy ognie, zostanie zniszczony, zanim ktokolwiek zorientuje się, że atakujemy.

- Czy jego załoga dokonała jakichś zniszczeń w systemie Mariano?

- Nie zrobili tam nic, co mogłyby wykryć nasze sensory, sir.

- Zostańcie poza zasięgiem, lećcie za nim, ale nie podejmujcie akcji, dopóki nie wydam wyraźnego rozkazu - polecił Cole.

- Tak jest!

- Meldujcie natychmiast, jeśli zaatakuje kogoś albo znacznie rekwizycję.

- Tak jest!

Wilson przerwał połączenie.

- O co znowu chodzi? - zapytał Książę. - Mamy tam trzy okręty, a to pojedyncza jednostka na zwykłym patrolu. Dlaczego nie zniszczymy jej od razu?

- Dlatego, że na razie nie zachowuje się agresywnie, Jeśli zacznie rekwirować żywność albo inne dobra, zajmiemy się nią. Chcę, aby kilka pierwszych okrętów floty, które zaatakujemy, było zamieszanych w akty przemocy, grabieże albo nękanie ludności Wewnętrznej Granicy.

- Zamierza pan puścić ten okręt wolno? - zapytał szef stacji.

- Spokojnie - pocieszył go Cole. - Czego jak czego, ale celów nam nie zabraknie.

- Mam tylko nadzieję, że nie ściągnie pan tutaj miliona nowych.

- Nie ściągnę - uspokoił go Wilson. - Jeśli wyślą tutaj flotę, za miesiąc cała Republika będzie mówiła językiem Teroni.

- A ile czasu upłynie, zanim pańscy piraci wrócą do dawnej profesji?

- Jeśli zapewnimy im trochę akcji i łupów, zostaną z nami. Jeśli nie, polecimy w teren i znajdziemy na ich miejsce nowych rekrutów.

- Nie wydaje się pan tym zaniepokojony - zauważył szef stacji.

- Podjąłem decyzję i dobrze się z tym czuję - wyjaśnił Cole. - Załoga „Teddy’ego R.” miała się wielu zajęć, do których nie była szkolona. Byliśmy buntownikami, piratami, najemnikami.

Ale to okręt wojenny i wszyscy na jego pokładzie wciąż wierzą w te bzdury, które wciska ludziom armia. Wstąpiliśmy do wojska, by bronić słabszych, pomagać pozbawionym nadziei i stawiać czoło złu. Ale po jakimś czasie wszyscy odkryliśmy w Republice to samo, co sprawiło, że Jacovic porzucił Federację Teroni. To my jesteśmy złem, z którym trzeba walczyć. Wyruszyliśmy przeciw oprychom, takim jak Csonti czy Matchel, wyłącznie dla pieniędzy. A teraz zamierzamy walczyć za słuszną sprawę. Tę samą, dla której wstępowaliśmy do armii. Wokół nas dzieją się bardzo złe rzeczy i ktoś musi z tym zrobić porządek.

- Wiem, że dzięki takiemu myśleniu czuje się pan bardzo komfortowo - rzucił Książę - ale tam, na zewnątrz, jest mrowie wrogów i bardzo niewielu swoich.

- To akurat wiedzieliśmy od dnia, w którym zdecydowaliśmy się opuścić Republikę - odparł kapitan. - Gdybyśmy poświęcili tej kwestii nieco więcej uwagi, może Cztery Oczy żyłyby do dzisiaj, podobnie jak dwa miliony mieszkańców Braccio II.

- Za to pana już by między nami nie było.

Cole wzruszył ramionami.

- Możliwe - przyznał. - Wybory nigdy nie są proste, a człowiek nie dowiaduje się od razu, czy w danym przypadku postąpił dobrze, czy źle.

- Wszystko jest dziełem przypadku - stwierdził Książę. -

Gdyby jedna molariańska dziwka weszła w sezon tylko o tydzień wcześniej, Forrice zostałyby na stacji. Przeżyłyby, podobnie jak jego kolega, załoga „Nieskończonej Nocy”, obywatele Braccio II i ludzie z kolejnych okrętów, które pan zniszczy. Wszystko to stało się wyłącznie dlatego, że nie miała sezonu. Proszę o tym pamiętać.

- Wolę o tym nie myśleć - odparł Cole. - Jeśli zacznę patrzeć na to wszystko od tej strony, zaraz najdą mnie wątpliwości, czy Republika jest winna, i czy Cztery Oczy nie zginął zupełnie przypadkiem, i dojdę do wniosku, że to wszystko wydarzyło się za sprawą losu, a nie kapitana „Nieskończonej Nocy”. - I warz mu stężała. - To nie los zamęczył go na śmierć i nie on spalił żywcem dwa miliony istot na Braccio.

Nagle tuż przed nimi znów pojawił się hologram Marco Velasqueza.

- Co znowu? - zapytał Cole.

- Okręt Republiki, który mieliśmy obserwować, dotarł do systemu Stromboli i wszedł na orbitę wokół czwartej planety. Nie aktywowano jednak żadnej broni, nie podniesiono osłon ani nie skontaktowano się z mieszkańcami.

- Po prostu prężą mięśnie i pokazują wszystkim, że wciąż tam są - uznał Wilson. - Dobrze, kapitanie. Miejcie ich na oku i trzymajcie się poza zasięgiem broni.

- Co mamy robić, jeśli zawrócą w stronę Republiki? - zapytał Velasquez.

- Pozwólcie im odlecieć - odparł Cole. - Tym razem im darujemy.

- Tak jest!

Transmisja została zakończona, a Wilson znów odwrócił się do Księcia.

- Dziękuję raz jeszcze za pokazanie tego miejsca, ale jak już wspomniałem, zajmiemy się komunikacją z pokładu „Tedy’ego R.”.

- Na wszelki wypadek nie będę go wynajmował - oświadczył szef stacji. - Nie wiadomo, czy jednak się nie przyda.

- Pozostawiam tę sprawę w pańskich rękach - stwierdził Cole. - A teraz pozwoli pan, że wrócę na pokład mojego okrętu.

- A po co? - zdziwił się człowiek z platyny. - Czy jest coś, czego nie może pan zrobić ze stacji?

- Sharon by się spłoniła, gdybym panu powiedział - odparł Cole z łobuzerskim uśmiechem.

- Nie wygląda na taką, która potrafi się spłonić - uznał Księzę.

- Skoro już o tym mówimy... - zaczął Wilson.

- Śmiało - usłyszeli bezcielesny głos Sharon - rozmawiajcie swobodnie, jakby mnie tam nie było.

- Nie ma cię tutaj - powiedział Cole. - Czy twoje szpiegowanie nie powinno się kończyć na luku okrętu?

- Ja nie szpieguję, to się nazywa monitoring.

- Zakładam, że masz lepsze wytłumaczenie dla tego, co robisz, niż źle pojęta zazdrość?

- Wypowiedziałeś wojnę Republice, a potem odmówiłeś pozwolenia na zaatakowanie pierwszego okrętu wroga, jaki spotkaliśmy - rzuciła Sharon. - Byłam po prostu ciekawa, dlaczego to robisz.

- Cóż, niedługo nakryjemy któryś na *flagrante delicto* - wyjaśnił Cole. - Przecież po to przylatują na Wewnętrzną Granicę.

- Wracasz na obiad?

- Tak, już do was idę.

- Wybacz, Książę, że ci go porywam - powiedziała Sharon.

- Ależ nie ma problemu - odparł właściciel stacji. - Zapraszam do mojego kasyna. Wczoraj zatrudniłem nowego szefa kuchni.

- Jasne, czemu nie - ucieszyła się Blacksmith. - Za dziesięć minut?

- Będzie w sam raz.

Sharon rozłączyła się, a Cole i Platynowy Książę ruszyli

korytarzami stacji, kierując się prosto na kasyno. Gdy tam dotarli, Sharon już na nich czekała.

Byli właśnie w połowie posiłku, gdy kapitan odebrał kolejne połączenie. Tym razem od Władimira Sokołowa.

- Co się dzieje?

- Namierzyliśmy jeden z naszych celów, sir - zameldował oficer. - „Bajia” opuściła Nową Brazylię.

- Gdzie jesteście?

- Tuż za systemem Rogentus, sir. Cel znajduje się na trzeciej planecie.

- Co tam robią?

- Konfiskują plony przeznaczone na eksport.

- Jest pan tego pewien? - zapytał Cole.

- Tak, sir - odparł Sokołow. - Okręt pana Moyera, który także patroluje ten rejon, potwierdza nasze obserwacje.

Kapitan spojrzał przez stolik na Księcia i Sharon.

- Mówiłem, że nie trzeba będzie długo czekać.

- Nie rozumiem, sir - odezwał się Sokołow.

- Przepraszam - odparł szybko Cole. - Mówiłem do kogoś innego. Czy ta jednostka posiada aktywne ekrany albo inne osłony?

- Nie, sir.

- Świetnie. Znacie z Moyerem jej słabe punkty, zezwalam

na przeprowadzenie ataku. Dopuszczam wzięcie jeńców, ale macie ich natychmiast dostarczyć na stację... Nikt nie może wam uciec. Czy to jasne?

- Tak, sir. Złapać, kogo się da, a resztę zabić.

- Dokładnie. I żadnych wyjątków.

- Proszę się nie rozłączać, zdam raport za minutkę - powiedział Sokołow.

- Dobrze.

Przez chwilę panowała cisza, potem znów usłyszeli głos Władimira:

- Rozwaliliśmy go tam, gdzie przyziemił, sir.

- Ktoś przeżył?

- Wątpię, sir. Niech sprawdzę... Nie, sensory Moyera także nie wykazują śladów życia, sir.

- Zaczekajcie w okolicy i sprawdźcie dokładnie, czy nie zostawiliście świadków. Jeśli znajdziecie kogoś, kto przeżył atak, pakujcie go do celi i wracajcie do bazy.

Sokołow zmarszczył brwi.

- Do jakiej bazy, sir?

- Przecież nie wymienię jej nazwy w otwartej transmisji. Ktoś mógłby ją przechwycić - wyjaśnił Cole. - Czy nazwanie jej kwaterą główną rozjaśni sprawę?

- Tak jest! - Władimir przerwał połączenie, uśmiechając

się przepraszająco.

- No i się zaczęło - oznajmił Cole, gdy hologram Sokołowa zniknął. - Na dobre i na złe walczymy z Republiką.

- Zniszczył im pan jeden okręt... z ilu milionów, jeśli może mi pan przypomnieć? - zapytał Książę, chichocząc pod nosem. - Ile czasu musi upłynąć, zanim to zauważą?

- Mniej, niż pan myśli - odparł Wilson całkiem serio.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Trzy dni później Perez zaskoczył inny okręt Republiki, gdy ten wylądował na jednej z planet, by rozpocząć przymusowy pobór. Rozwalił go na atomy, a potem przywołał cztery bliźniacze jednostki, aby dopadły wszystkich ocalonych z pogromu. Nikt nie przeżył tego ataku.

Następnego ranka na „Teddy’ego R.” dotarła wiadomość, że załoga innej jednostki rozrabia po pijanemu na Pamiatce, niewielkiej planecie leżącej w pobliżu Stacji Singapur. Cole udał się tam, wysłał dwa wahadłowce: „Kermita” i „Edith”, polecił im wylądować w pobliżu kupieckiej miejscowości zwanej Moritat. Gdy jego ludzie znaleźli się na miejscu, ujrzeli dwie płonące tawerny, zrujnowany burdel i dwa tuziny ciał miejscowych górników, szulerów i poszukiwaczy przygód zalegających przyległe uliczki. Ocaleni poinformowali ich, że na planecie wylądowała spora grupa ludzi z okrętu, upiła się, naćpała, a gdy w jednym z lokali zabrakło ich ulubionego trunku, zaczęli roznosić wyposażenie. Gdy kilku innych klientów próbowało ich uspokoić, przez miasteczko przetoczyła się niewielka wojenka. Po zabicu części gości przybysze puścili z dymem okoliczne przybytki.

- Przekażcie mieszkańcom, żeby jak najszybciej wrócili do własnych domów i zabarykadowali się w nich - powiedział Cole do tych kilku osób, które znalazł. - Zajmiemy się tym problemem.

Zanim skończył mówić, jeden ze stojących przed nim mężczyzn chwycił się za głowę, jęknął i padł na ziemię, brocząc krwią z uszu. Wilson rozejrzał się szybko i dostrzegł w oddali refleks odbijający się od lufy sporej puszczarki. Natychmiast wyciągnął palnik i postawił promień lasera w kierunku mężczyzny z karabinem sonicznym. Przeciwnik krył się właśnie za węglem pobliskiego budynku, więc Cole nie miał pewności, czy trafił. Miejscowi rozbiegli się, szukając kryjówek, a sześcioro pozostałych pasażerów wahadłowców utworzyło krąg, starając się osłonić dowódcę. Z bronią gotową do strzału wypatrywali kolejnych przeciwników.

- Dajcie spokój! - zawołał kapitan. - Nie osłonicie mnie przed tą bronią samymi ciałami. Skoncentrujcie się raczej na odnalezieniu wroga.

- Jest pan dowódcą - odpowiedział Jaxtaboxl. - Naszym zadaniem jest osłanianie pana.

- A moim jest wydawanie rozkazów! - odciął się Wilson. - Jeśli tego nie potraficie, natychmiast wracajcie do wahadłowca. Stopę nad ich głowami świsnął impuls energetyczny, trafiając w

kępę drzew mniej więcej ćwierć mili za nimi.

- Wracać do wahadłowca! - wydarł się Cole. - Musimy założyć pancerze!

Wbiegł do kabiny „Kermita” i ruszył w stronę niewielkiej zbrojowni, ale drogę zastąpiła mu Sharon.

- Kapitan nie opuszcza okrętu na terytorium wroga - obwieściła. - Wiesz o tym.

- Już opuściłem okręt - odparł. - Jestem na pokładzie pieprzonego wahadłowca.

- Wszyscy wiemy, kto powinien kierować akcją wyłapania tych gnoi - nie dała się zbić z pantałyku. - Ty byś ją tylko spowalniał.

Chciał zaprotestować, ale zdał sobie sprawę, że Sharon ma rację. Spojrzał na Wal, która tak rwała się do bitki, że niemal wyskakiwała z butów.

- Dobrze - powiedział. - Bierz pancerz, Byka i Domak do osłony, ale pamiętaj: nie ryzykuj niepotrzebnie.

Wyszczrzyła zęby w uśmiechu i minęła go, za nią poszli pozostali wskazani.

- Pancerz by mnie tylko spowolnił - uspokoiła go. - I bez obaw. Znajdziemy ich.

- W to nawet przez moment nie wątpiłem - odparł Cole, a gdy opuściła wnętrze wahadłowca, dodał jeszcze: - Niech Bóg

ma w opiece ich biedne dusze. - Spojrzał na Jacovica. - Jak tylko zamelduje, że oczyściła przedpole, proszę wziąć ludzi i udać się na okręt Republiki. Jeśli jest na nim wciąż szkieletowa załoga, może pan użyć dowolnych środków, aby ją wykurzyć.

- Mam uziemić tę jednostkę czy ją zniszczyć? - zapytał Teroni.

- Nic z tych rzeczy. Znajdziemy doskonałe zastosowanie dla w pełni sprawnego okrętu wojennego. Pana zadanie polega na opanowaniu tej jednostki i niewpuszczaniu nikogo na pokład, a już zwłaszcza dotychczasowych właścicieli. Na pewno znajdzie pan tam kilka działek laserowych, proszę je aktywować i namierzać wszystkie zbliżające się obiekty.

- Bez kodów dostępu niewiele zdołamy - przypomniał mu Jacovic. - A znając Wal, wiemy, że nie oszczędzi nikogo, kto mógłby je nam podać.

- Zatem będziemy musieli improwizować - odparł Cole. - Poza tym wyciągnięcie z nich tych kodów oznaczałoby poddanie jeńców torturom, a my wyznaczyliśmy sobie bardzo szlachetne granice postępowania podczas naszej małej krucjaty.

- To była tylko luźna uwaga - zastrzegł się Jacovic.

- I została przyjęta.

Usłyszeli cztery paniczne okrzyki i przekleństwo i rzucone przez Wal.

- Zdaje się, że już czas. Mam już tylko trzy osoby na „Kermicie”. Proszę wziąć ludzi z „Edith” do tego zadania.

Jacovic pobiegł, by zebrać ludzi, a Cole skontaktował się z Christine, obserwującą rozwój sytuacji z mostka na „Teddym R.”

- Christine, poproś pana Odoma, żeby sprawdził, czy nie mamy czegoś, co pozwoli stłumić ten ogień, zanim rozniesie się po całym mieście.

Przez moment panowała cisza.

- Mówi, że ma, sir. To jakiś spray, będzie najbardziej skuteczny, jeśli spryskamy nim teren pożaru z wahadłowca.

- Dobry pomysł. Wyślij Rachel i Jabola, aby ugasili ogień, ale dopiero wtedy, gdy dam znak.

- To istne piekło, sir - odezwała się Christine. - Widzę płomienie na jednym z monitorów. Jest pan pewien, że mają z tym czekać?

- Nic by mnie tak nie uszczęśliwiło jak możliwość wysłania ich od razu do akcji - odparł Cole - ale nie możemy na razie ryzykować utraty choćby jednego człowieka.

- Od takiego ognia? - zdziwiła się Mboya. - Przecież będą we wnętrzu wahadłowca.

- Od ognia, ale żołnierzy Republiki - wyjaśnił. - Zaczekaj, aż Wal zamelduje, że ich zlokalizowała i... - zamilkł, szukając odpowiedniego słowa - zneutralizowała. To nie potrwa długo.

Cole wrócił na tył „Kermita” i przygotował sobie w niewielkim kambuzie kanapkę. Zanim skończył, podeszła do niego Sharon.

- Co zrobimy, jeśli Wal nie znajdzie wszystkich? - zapytała i zaraz się poprawiła: - To znaczy wszystkich, którzy opuścili pokład.

- W czasie takiej operacji naprawdę wiele rzeczy może pójść nie tak - odparł Wilson. - Ale nie mam wątpliwości co do tego, czy Wal ich zdoła wybić. Już bardziej się boję, że zostawili kilka osób na pokładzie swojej jednostki. Jacovic może mieć problem z wywabieniem ich na zewnątrz.

- Zamelduje, gdyby miał jakiś problem.

- Pewnie tak.

- Mówię poważnie, Wilsonie. Naprawdę uważasz, że flota nie zacznie nas ścigać po wydarzeniach ostatnich dwóch dni?

- Nie będą nawet szukać tych okrętów, które stracili. Żaden z nich nie miał szans nadać sygnału SOS, a na terytorium Wewnętrznej Granicy mamy ponad osiemnaście miliardów gwiazd. Trzeba by wielu jednostek i jeszcze więcej czasu, żeby znaleźć obiekt, który z jakiegoś powodu przestał nadawać sygnały.

- A jeśli ten tutaj nada wezwanie o pomoc i zidentyfikuje nas?

- Wtedy będziemy improwizowali. - Wilson skrzywił się. -
Do cholery, już improwizujemy.

- Naprawdę nie martwi cię to ani trochę? Nie mówię o tym, co robimy dzisiaj, tylko o... atakowaniu Republiki. Powtarzamy z uporem maniaka, że floty nie stać na wysłanie tutaj kilku tysięcy okrętów, aby zrobić porządek, ale prawdę powiedziawszy, nie wiemy tego na pewno.

- Mów za siebie - burknął Cole. - A jeśli mimo wszystko odważą się na taki krok, będzie mi z tego powodu niezwykle przykro.

- Bądź w końcu poważny! - wrzasnęła.

- Widziałaś, co zrobili z Forrice'em i Braccio - odparł Wilson, robiąc groźną minę. - To było poważne. A ty opowiadasz mi o jakichś fantazjach. Nie mogą wysłać tutaj takiej ilości okrętów, dopóki nie skończy się wojna z Teroni. Ja to wiem, ty to wiesz, nawet oni to wiedzą. - Westchnął i pokręcił głową. - Spójrz na ten ekran - poprosił, wskazując na płomień i leżące ciała. - Nie mogę uwierzyć, że składałem przysięgę wierności takim ludziom, że narażałem za nich życie.

Hologram Christine pojawił się przed jego twarzą.

- Sir, komandor Jacovic melduje, że zajął okręt nieprzyjaciela.

- Napotkał opór? - zapytał Wilson.

- Na straży zostawiono tylko dwóch ludzi - odparła. - Zaoferował im możliwość poddania się, ale odmówili.

- I dobrze.

Transmisja została przerwana.

- Dlaczego to powiedziałeś? - zapytała Sharon. - Mamy spore więzienia. Wiem, że planeta więzienna nie jest jeszcze gotowa, ale moglibyśmy ich przewieźć na któryś z niezamieszkałych globów i wrócić tam po zakończeniu walk.

- Mamy czterdzieści okrętów i zaatakowaliśmy Republikę, a przynajmniej tę jej część, którą reprezentują okręty wojenne buszujące po terytoriach Wewnętrznej Granicy. Istnieją spore szanse, że ta walka skończy się, dopiero gdy któraś ze stron odpuści albo przegra, a ja nie mam zamiaru się poddawać... - przerwał. - Republika posiada więzienne planety, my ich nie mamy. Gdybym miał wybierać, czy zostawić tych dwóch na pustym globie bez jedzenia, picia, broni, schronienia i szansy na uwolnienie, to chyba wybrałbym zabicie ich na miejscu.

Sharon spoglądała na niego z powątpiewaniem, ale postanowiła nie brnąć dalej. Ku jej radości hologram Briggsa odciągnął uwagę Cole'a.

- Chciałem osobiście przekazać panu dobrą wiadomość, sir. Sokołów przyszpilił kolejny cel.

- Gdzie?

- Tuż za gromadą Quinellusa. Nie znam jeszcze szczegółów, ale chyba poszło im nieźle. Twierdzą, że za dziesięć godzin ukończą naprawy.

- Czy w okolicy były inne jednostki floty republikańskiej? - zapytał Cole.

- Z tego, co wiemy, nie było żadnych w tamtym sektorze - odparł Briggs.

- Świetnie, cieszę się, że i inni mają szczęście. Teraz kolej na nasz sukces na Pamiątce.

Dwadzieścia minut później miał swój sukces. Wal wróciła na „Kermita” z tryumfalnym uśmiechem i zameldowała, że wszyscy członkowie załogi intruza zostali zneutralizowani, a ponieważ wciąż była sobą, dodała, że większość z nich z pewnością nie będzie się mogła pokazać w niebie.

- Dziękuję - powiedział kapitan. - Ilu ich było w sumie?

- Jedenastu mężczyzn, osiem kobiet i trzech kosmitów - wyliczyła. - Byk będzie potrzebował opieki medycznej, ale to raczej nic poważnego.

- A co z Domak?

- Przez te jej pancerze nic się nie przebije.

- Jesteś pewna, że nie pominęliście nikogo? - Nawet na niego nie spojrzała. - Widzę, że jesteś... dobrze, idź odpocząć. Dobrze się spisałaś.

- Najpierw wypiję dwanaście szklaneczek za zwycięstwo
- stwierdziła, kierując się w stronę włazu. - Mają tu jeszcze kilka barów, które nie spłonęły doszczętnie.

Cole wydał rozkaz ugaszenia pożarów. Dopiero pół godziny później udało się wykonać polecenie i „Kermit” mógł wrócić na pokład „Teddy’ego R.”. Wilson od razu skierował się do swojego ciasnego biura, w którym zastał Idenę zastępującą na stanowisku komunikacyjnym Christine Mboye. Poprosił, aby połączyła go z Jacovicem.

- Słucham, sir - odezwał się Teroni, widząc przed sobą twarz dowódcy.

- Misja została zakończona powodzeniem - powiedział Cole. - Czas zamykać sklepik i wracać.

- Możemy wrócić na pokład „Edith” i...

- Pan Chadwick zajmie się sprowadzeniem „Edith” na „Teddy’ego R.” - przerwał mu kapitan. - My będziemy towarzyszyli panu, na wypadek gdyby ktoś pomyślał, że Republika nadal kontroluje ten okręt. Po dotarciu na miejsce proszę przycumować tuż obok nas.

- Tak jest.

Wrócili na Stację Singapur bez żadnych incydentów. W tym czasie Christine i Briggs wychwycili wszystkie krążące w podprzestrzeni przekazy na temat wydarzeń ostatnich dni.

- Taka jest przewaga mrówki atakującej dinozaura - zauważył Cole, gdy siedział w towarzystwie Księcia w jego kasynie.

- Dinozaur dopiero po dłuższym czasie zauważył, że jest atakowany.

- Republika prędzej czy później też się o tym dowie odparł Książę. - Po to przecież pan ją kęsa.

- Tak, ale na wszystko przyjdzie czas - odparł Cole. - Najpierw musimy zebrać wystarczającą ilość okrętów i ludzi.

- Jeśli wkurzy ich pan dostatecznie, nie będzie różnicy, czy dowodzi pan tuzinem, czy tysiącem jednostek.

- Są już wkurzeni na Federację Teroni, zaczyna ich irytować Imperium Canphoryckie, że nie wspomnę o Unii Streków, bo ten konflikt na razie dojrzewa - wyliczył kapitan. - Nawet oni nie mogą przekroczyć limitu tych, na których są jednocześnie wkurzeni.

- Dlaczego? - zapytał Książę. - Wydawało mi się, że przyspieszył pan swoją kampanię właśnie ze względu na brak jakichkolwiek limitów.

- Cóż, im więcej wkurzających Republikę, tym mniej okrętów, które może wysłać na Wewnętrzną Granicę. Nie chcemy niszczyć Republiki. Nie mielibyśmy na to szans, nawet gdybyśmy bardzo chcieli. Pragniemy jedynie, by ktoś po tamtej stronie w koń - c u zrozumiał, że nie mają wstępu na We-

wnętrzną Granicę.

- Nie zawsze dostaje się to, czego się pragnie - stwierdził człowiek z platyny. - Jeśli będzie pan miał szczęście, zwrócą na pana uwagę i doczekamy się inwazji na tę część galaktyki. A jeśli nie będzie pan szczęściarzem... cóż, proszę pomyśleć o tym czasie, pieniądzach i istnieniach, które pójdą na marne.

- Dlaczego udziela nam pan schronienia, skoro nie widzi sensu w moich działaniach? - zapytał Cole.

- Nie kocham Republiki podobnie jak pan, a jeszcze bardziej nienawidzę admirała Garcii - odparł Książę. - Fakt, że jestem realistą i dostrzegam wszelkie słabości, nie oznacza wcale, że nie mogę być też idealistą i popierać słusznego buntu.

- To nie jest żaden bunt, nie uważam się za buntownika - zaprotestował Wilson. - Chcemy ich jedynie powstrzymać przed rządzeniem się na skrawku galaktyki, do którego nie posiadają żadnych praw.

- Mają tyle władzy, ile im potrzeba, Wilsonie - powiedział człowiek z platyny - nawet tutaj, a raczej zwłaszcza tutaj, by stanowić prawa.

- Na Ziemi żyją wciąż miliony mrówek - odciął się Cole. - Ale dinozaurów ostatnio nikt nie widuje.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Cole ogłosił dwutygodniowe zawieszenie broni w swojej niewypowiedzianej wojnie.

- Przy takiej intensywności działań nawet oni mogą się zorientować, że coś tu nie gra, jeśli będą tracili jeden albo dwa okręty dziennie - wyjaśnił.

Przejęta jednostka, nosząca nazwę „Spadająca Gwiazda”, nie zdradziła żadnych nowych tajemnic dotyczących Republiki ani jej najnowszej broni, ale nikt się temu nie dziwił, zważywszy, że „Teddy R.” był jednym z ogniw tej samej floty niepełna cztery lata wcześniej. Cole powierzył dowodzenie Danowi Moyerowi i wybrał załogę. Śliski, Tolobita potrafiący dzięki symbiontowi przebywać w próżni nawet kilka godzin, dokonał inspekcji kadłuba i kilku kosmetycznych poprawek.

Wilson nie zamierzał jednak marnować całych dwóch tygodni. Po siedmiu dniach namówił do wstąpienia w szeregi floty kolejne dwadzieścia jednostek, głównie niewielkich jedno- i dwuosobowych jachtów, choć trafiło się też kilka dużych, głównie dzięki temu, że Jacovic, Braxyta, Jaxtaboxl, Domak oraz pozostali kosmici z jego załogi zdołali namówić do współpracy swo-

ich ziomków. Tak więc jego niewielka, choć wciąż rosnąca flota powiększyła się o całkiem sporą liczbę okrętów.

Braxyta zebrał kilku Molarian, by odprawić rytuał religijny, dzięki któremu dusza Forrice'a powinna trafić na wyższy poziom istnienia - w ich języku nie było odpowiednika nieba - i pozwolił Cole'owi wziąć w nim udział. Kapitan nie miał pojęcia, co mówi kapłan Molarian - Braxyta usiadł tuż obok niego i tłumaczył, ale cały koncept tej ceremonii był równie obcy dla człowieka jak język, w którym ją odprawiano. Okazało się jednak, że po zakończeniu Wilson mógł przespać całą noc, nie mając koszmarów, w których znów obserwował ostatnie minuty agonii swojego najlepszego przyjaciela.

Od czasu do czasu meldowano mu o pojedynczych okrętach Republiki, ale Cole trzymał się ustalonego harmonogramu i nie podejmował żadnej akcji militarnej przez dwa tygodnie, nie robił nic, co mogłoby zaalarmować Republikę o zmianie sytuacji na Wewnętrznej Granicy. „Teddy R.” nie ruszał się z doku na Stacji Singapur.

Sytuacja zaczynała niepokoić Dawida Copperfielda. Mały kosmita nie cierpiał konfliktów zbrojnych bez względu na ich skalę, a teraz było już jasne, że flota Cole'a przygotowuje się do prawdziwej wojny.

- Dawidzie, nikt cię nie zmusza do pozostawania na po-

kładzie - zagaił kapitan, gdy któregoś ranka Copperfield zaczął go niezręcznie sondować, kiedy zaczną się kolejne polowania na okręty Republiki. - Zostań na stacji. Nikt nie będzie miał ci tego za złe.

- Moje miejsce jest u twego boku - odparł twardo kosmita.

- A skoro jest pewne, że nie pozostaniesz w porcie, pójdę za tobą w piekło bitwy... To i tak będzie o wiele szlachetniejsze od tego, co robiłem do tej pory.

- Naprawdę w to wierzysz? - zapytał Cole.

- Ani trochę - przyznał Copperfield. - Ale chociaż raz w życiu chciałem wypowiedzieć tę kwestię.

- Jest jeszcze jedno powiedzenie warte przypomnienia - rzucił Wilson. - Ci, którzy uciekają w porę, zachowują życie, aby móc walczyć dalej.

- To jak odwołanie wizyty u stomatologa - zauważył mały kosmita. - Prędzej czy później i tak się do niego trafi.

- Tak, przypuszczam, że w ten sposób też można na to patrzeć.

- Skoro nie mam szans, by cię od tego odwieść, może pozwolisz mi na maleńką sugestię?

- Nadawaj.

- Zamierzasz rozpętać wojnę z Republiką. Federacja Teroni już walczy z twoim wrogiem. Dlaczego nie połączycie sił?

- Ponieważ wróg mojego wroga niekoniecznie musi być moim przyjacielem - wyjaśnił Cole. - Poza tym oni mają miliony okrętów, a ja mogę im oferować zaledwie sześćdziesiąt, może siedemdziesiąt jednostek. Stalibyśmy się nic nieznaczącą częścią floty Teroni, a szczerze powiedziawszy, ich sprawa jest mi równie obca jak Republiki. Po obu stronach jest już ze czterdzieści milionów ofiar, a mogę się założyć, że przynajmniej połowa polityków i żołnierzy zapomniła już, o co walczy.

Copperfield spoglądał na niego twardo i długo.

- Do tej pory nie miałem pojęcia, że jesteś aż tak zgorzkniała, mój drogi Steerforth.

- A jaki ty byłbyś, gdybyś miał rodzinę na Braccio II? - zapytał Cole.

- Flota pacyfikuje planety od tysiąca lat.

- Wiem, że to tylko kwestia semantyki, ale moim zdaniem jest jednak różnica pomiędzy pacyfikowaniem planety a jej unicestwieniem... - zamilkł, zaciskając mocno szczęki. - Gdybyś posiadał niezwykle ważne dla mnie informacje i odmówił ich podania, nigdy nie zrobiłbym ci tego, co oni Forrice'owi. Myślę, że mój pierwszy oficer, choć Teroni, postąpiłby tak samo.

Mały kosmita spojrział mu prosto w oczy i uznał, że pora zmienić temat:

- Jak sądzisz, kiedy flota zorientuje się, że to my jesteśmy

jej wrogiem?

- Już to wiedzą. Chyba pamiętasz, że oferują dziesięć milionów za moją głowę?

- Chodziło mi raczej o to, kiedy damy im do zrozumienia, że to my stoimy za ostatnimi atakami?

Cole wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia. Chyba dopiero w momencie, gdy będziemy w stanie powstrzymać atak kilkuset okrętów.

Copperfield wyraźnie się rozluźnił.

- To znaczy, że mamy przed sobą przynajmniej rok spokoju, a może i więcej.

- Wszystko jest możliwe - odparł wymijająco Cole.

- Jakoś mi ulżyło - przyznał mały kosmita. - Chodźmy do Księcia, chętnie podzielę się z tobą flaszką najlepszego szampa.

- Czemu nie - odparł Wilson. - Spędziłem całe lata, gnieżdżąc się w ciasnych kabinach, z sufitem wiszącym stopę nad głową. Nie widzę powodu, by w nich przebywać, kiedy nie ma takiej potrzeby.

Pojechali na stację kolejką, zbliżali się właśnie do kasyna „U Księcia”, gdy przed kapitanem pojawił się hologram Rachel Marcos.

- Przepraszam, że przeszkadzam, sir - powiedziała chorą-

ży - ale kazał mi pan meldować, jeśli namierzymy okręt Republiki na terytorium Wewnętrznej Granicy.

- Co mamy tym razem? - zapytał Cole.

- Dwanaście jednostek pojawiło się przed chwilą. Sześć w okolicy gromady Quinellusa, sześć przy Pamiętce.

Wilson skinął głową.

Zapewne szukają zaginionych statków. „Spadającej Gwiazdy” na pewno nie znajdą, a Władimir, jeśli dobrze pamiętam, rozpylił swój cel na atomy... - zamilkł na moment, zastanawiając się nad możliwym rozwojem sytuacji. - Miejcie na nich oko, Rachel. Powiadom pana Briggsa albo porucznik Domak, jeśli będziesz potrzebowała pomocy, powiadom też o wszystkim Christine, gdy obejmie służbę. I nie zapomnij o Wal. Dopóki prowadzą poszukiwania w przestrzeni, mogą robić, co zechcą, ale jeśli wylądują gdziekolwiek i rozpoczną akcję odwetową albo zaczną brać jeńców, żeby ich przesłuchiwać jak Cztery Oczy, masz natychmiast meldować.

- Tak jest - odparła, salutując. Jej hologram zniknął sekundę później.

Cole spojrzał na Copperfielda.

- Idź do „Księcia”, ja mam jeszcze coś do zrobienia.

- Wracasz na pokład?

- Nie od razu.

- Zatem do zobaczenia - powiedział Dawid, gdy kapitan ruszył w głąb metalowego korytarza.

Cole pojawił się na okręcie godzinę później. Towarzyszyły mu dwa roboty, które przenosiły jego zakupy z kolejki do luku. Oparł się pokusie dania im napiwku i nie mówiąc słowa, udał się od razu na mostek, gdzie Rachel Marcos nadal obserwowała ruchy wrogich okrętów.

- Wydarzyło się coś ciekawego? - zapytał.

Pokręciła głową.

- Na razie nie, sir!

- Gdyby co, daj mi znać.

Sharon Blacksmith dołączyła do niego, gdy wchodził do gabinetu.

- Widziałam, że przyniosłeś coś ze sobą - powiedziała. - Mogę wiedzieć co?

- Mały prezent dla Republiki.

- Daj spokój, Wilsonie - zachnęła się. - Jestem szefem twojej ochrony. Jeśli mi nie powiesz, każę rozpakować te paczki.

- Jeśli nie wykażesz należytej ostrożności, mogą eksplodować.

Coś ty znowu wykombinował?

- Kilka min.

- Takich jak te, którymi zniszczyliśmy pierwszy okręt?

Przecież mamy ich wystarczająco wiele.

- Tak, ale to standardowe zabawki z Republiki. A ja potrzebuję takich, które mają przynajmniej pięćdziesiąt lat i zostały skonstruowane przez... jak by to powiedzieć... złote rączki.

- Po co ci one?

- Republika wysłała tuzin okrętów na poszukiwanie „Spadającej Gwiazdy” i tego okrętu, który Władimir rozwalił w gromadzie Quinellusa. Mam nadzieję, że nic nie znajdą i odlecą w cholerę, ale mogą też zacząć węszyć, uznając, iż coś jest jednak nie tak, albo, nie daj Boże, przesłuchiwać miejscowych w podobny sposób, jak to zrobili z Forrice'em. Jeśli nawet zostanie tam tylko jeden odizolowany okręt, nie będziemy mogli otworzyć do niego ognia. Tym razem nie zdołamy powstrzymać go od kontaktu z pozostałymi jednostkami floty, a przecież bardzo nie chcemy, żeby Republika zorientowała się już teraz, co jej szykujemy. Chcę załadować te miny na nasze najmniejsze jednostki, te jedno-, dwuosobowe, by w momencie gdy któryś z okrętów wroga zacznie nam sprawiać problemy, wpuścić go na jedną z nich. Tym sposobem, gdy na miejscu katastrofy pojawi się eskadra ratunkowa, znajdzie szczątki pięćdziesięcioletniej miny, sądząc z wyglądu i wieku, pozostałość poprzedniej wojny... Wszyscy wrócą do domu, nie mając bladego pojęcia o tym, co naprawdę się stało. - Na jego ustach pojawił się nikły uśmie-

szek. - Tak przynajmniej wygląda mój scenariusz.

- Komu chcesz je dać?

- Mam ich sześć - odparł Cole. - Planuję przekazać po dwie Moyerowi, Bujandi i któremuś z Teroni.

- Zaraz się z nimi skontaktuję.

- Świetnie. Te cholerstwa są dawno przeterminowane, więc muszę im pokazać, w jaki sposób można je zdetonować.

Godzinę później umieszczono podwójne ładunki na trzech niewielkich jednostkach i wysłano je kolejno w przestrzeń. Dwie skierowały się do gromady Quinellusa, jedna na Pamiątkę.

Cole kontaktował się z obsadą mostka co godzinę. Okręty Republiki rozdzieliły się i przeczesywały przestrzeń, ale do tej pory żaden z nich nie wylądował. Sytuacja nie ulegała zmianie, więc kapitan zdecydował, że może iść spać.

Trzy godziny później obudziła go Christine, informując, że jeden z okrętów połączył się z Pamiątką, prosząc o koordynaty potrzebne do lądowania.

- Kogo mamy w okolicy?

- Okręt pana Moyera, sir.

- Połącz mnie z nim.

- Tak jest.

Na zabudowanej komodzie pojawiła się twarz byłego pirata.

- Dan, jeden z okrętów Republiki zamierza lądować na Pamiątce. Wiesz, co masz robić.

- Tak jest - odparł Moyer. - Wyjaśnił pan to bardzo dokładnie.

- Świetnie. Powodzenia. - Cole przerwał połączenie. - Melduj na bieżąco o rozwoju sytuacji - poprosił Christine.

- Na razie nic się nie dzieje, sir. Okręt Republiki o nazwie „Johannesburg” otrzymał koordynaty pozwalające na lądowanie na Pamiątce. - Zamilkła na chwilę. - Pan Moyer przeciął trajektorię „Johannesburga”. Okręt Republiki zmienił kurs i ruszył za nim w pościg. Pan Moyer skręca i odciąga go od planety.

- To tylko przykrywka - powiedział Cole. - Wykonał ten manewr, by ukryć postawienie min. Zostały tak zaprogramowane, by nie lecieć w ślad za nim.

- Nic się nie dzieje, sir. Teraz! - zawołała. - „Johannesburg” został zniszczony!

- Świetnie - ucieszył się Cole. - Teraz pora na drugi krok. Połącz mnie ze Slade'em McNeilem, Slade'em McBainem, czy jak się nazywa właściciel wielkiego kasyna w Moritacie.

- W Moritacie, sir?

- Chodzi mi o to miasto na Pamiątce.

- Tak jest.

Chwilę później twarz Christine zastąpił hologram korpu-

lentnego mężczyzny o siwawych włosach i okazałym wąsie.

- Dobry wieczór, Slade - powitał go Cole. - Widziałeś, co się stało?

- Mamy tu dopiero popołudnie, kapitanie, ale tak, widziałem. Światło na niebie, niesamowicie piękny widok.

- Gdyby Republika pytała, co się tam wydarzyło, nic nie wiecie, wasze urządzenia zarejestrowały tylko eksplozję.

- Jakim cudem mamy tego nie wiedzieć? - zapytał korpulentny mężczyzna.

- Musicie ich przekonać, że jakieś pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt lat temu dwóch lokalnych watażków walczyło o waszą planetę. Jeden z nich zaminował teren, a gdy walka dobiegła końca, zwycięzca zebrał większość z nich. Od tamtej pory straciliście kilka jednostek na minach, które nie zostały wtedy dezaktywowane. Wydawało wam się, że już po wszystkim, ale najwidoczniej jest inaczej.

- Nieźle pomyślane - przyznał Slade. - Jest pan pewien, że oni to kupią?

- Uwierzą, kiedy znajdą odłamki miny. Wyłączę się teraz, ale nie przerwę połączenia. Porucznik Mboya poda panu kody, na wypadek gdyby coś poszło nie tak i Republika zaczęła się na was odgrywać.

- Nie omieszkam was o tym powiadomić.

- Christine - poprosił Cole - przejmij to połączenie.

- Tak jest.

Gdy kapitan położył się ponownie na koi, zobaczył oczami wyobraźni oblicze Forrice'a i uśmiechnął się do niego.

- Byłbyś z nas dumny dzisiaj - wymamrotał, zasypiając. - Użycie tych starych min jest w twoim pokręconym stylu. Flota zrekonstruuje wydarzenia i ostrzeże pozostałe załogi, by trzymały się z dala od Pamiątki, dopóki jej okolice nie zostaną całkowicie oczyszczone z błakających się min. Tak, na pewno by ci się to spodobało...

Po raz pierwszy od dłuższego czasu Cole zasnął spokojnie, jak niewinne dziecko.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Następne trzy dni spędził na Stacji Singapur, głównie przesiadując w kasynie Księcia, rekrutując załogi i nowe jednostki do swojej floty. Pod koniec trzeciego dnia dysponował już siedemdziesięcioma dwoma okrętami, co mogło wyglądać naprawdę imponująco, dopóki nie wgłębiło się w szczegóły, a te były bezlitosne. Niemal połowa z nich nie mogła pomieścić na pokładzie więcej niż trzech ludzi, a jeszcze większa ich liczba nie była w stanie przetrzymać ostrzału pulsacyjnego ze stłaczaczy drugiej generacji.

- Gdybym tylko mógł przekonać siebie, że rekrutacja tych maluchów naprawdę przysłuży się naszej sprawie - powiedział Cole do Sharon i Dawida Copperfielda, gdy zasiedli przy stoliku w kasynie Księcia.

- Uzbrój je tak jak tę stację - poradził mu mały kosmita.

- Nie mamy na to środków, Dawidzie - przypomniał mu Cole. - Każdy kredyt, który zarobimy, idzie na instalacje obronne Singapuru.

Copperfield zamilkł na dłuższą chwilę, a potem spojrzał na Wilsona.

- Możliwe, że dysponuję pewnymi funduszami, o których nie wspominałem ci do tej pory, mój drogi Steerforth.

- Wcale bym się nie zdziwił - odparł Cole.

- Mogę wyłożyć pięćset tysięcy dolarów Marii Teresy i identyczną kwotę funtów Dalekiego Londynu na dozbrojenie twojej floty. Czy to ci w czymś pomoże?

- Dziękuję, Dawidzie. Czemu mogę zawdzięczać tak ogromny przyływ twojej hojności?

- Nie będę potrzebował pieniędzy, jeśli przegramy tę wojnę.

- Jesteś jedynym przedstawicielem swojej rasy, jakiego kiedykolwiek widzieliśmy - wtrąciła Sharon. - Mógłbyś powiedzieć, że cię trzymaliśmy dla okupu.

Copperfield pokręcił głową.

- Mogła pani wspomnieć o tym, zanim zaoferowałem wam pomoc finansową - burknął rozdrażniony.

- Zawsze możesz się z niej wycofać - powiedział Cole, uśmiechając się od ucha do ucha.

- A ty z czego rżysz? - zdziwiła się Sharon.

- Kapitan uśmiecha się dlatego, że czytał dzieła nieśmiertelnego Karola i wie, iż Dawid Copperfield nigdy nie cofał raz danego słowa - wyjaśnił mały kosmita.

- Sam sobie jesteś winien, że zakochałeś się w Dickensie -

odparł Wilson. - Mogłeś wybrać Dostojewskiego.

- Żaden dobrze urodzony Anglik nie sięgnąłby po teksty tak ponurego Rosjanina - oświadczył Dawid, prychając z pogardą.

- W takim razie dziękuję ci za ten dar i obiecuję, że wykorzystamy twoje pieniądze w naprawdę szczytnym celu.

- Oby tak było, do licha - wymamrotał Copperfield.

- To nie był cytat z Dickensa - zauważył kapitan.

- Jak zapewne wiesz, czytywałem też innych brytyjskich autorów.

Nagle przy jednym ze stołów do gry zrobiło się spore zamieszanie. Gdy odwrócili się, by sprawdzić, o co chodzi, Cole dostrzegł w tłumie rude włosy Wal. Kilka sekund później w powietrzu przefrunęło ciało potężnie umięśnionego faceta, lądując na podłodze z okrutnym chrzęstem łamanych kości. Wal postać przy nim wystarczająco długo, by przekonać się, czy przeżył, a potem spokojnie podeszła do stolika. Siadała, gdy z biura na zapleczu wyłonił się Książę.

- Co tu się dzieje? - zapytał.

- Na podłodze leży oszust - oznajmiła Wal, kręcąc głową.

- Chciał mnie załatwić błyskaczem, wyobrażacie sobie?

- Jesteś pewna?

Sięgnęła do kieszeni, wyjęła miniaturowe lustro i rzuciła

je w jego kierunku.

- Jeśli go nie zastrzelisz, daj mu przynajmniej dożywotni zakaz wstępu tutaj.

Książę obejrzał uważnie błyskacz.

- Widywałem już mniejsze.

- I mniej błyszczące. Zauważyłam światło odbijające się od jego powierzchni.

- Powinienem być zatrudnić cię jako kierownika sali, kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy, dwanaście czy trzynaście lat temu.

- Nie miałeś na to szans - odparła. - Przychodzę tutaj zagrać i wypić. Bić się mogę wszędzie.

- Cała Wal, mówi szczerze i bez ogródek - stwierdził Cole.

- Bawcie się dobrze tego wieczora, ale ja muszę być na pokładzie o siódmej.

- Czyżbyśmy wreszcie ruszali zapolować na okręty Republiki? - zapytała rudowłosa.

Kapitan zaprzeczył ruchem głowy.

- Musimy pójść nieco dalej w procesie rekrutacji. Nie wszyscy mieszkańcy Wewnętrznej Granicy odwiedzają Stację Singapur.

- O siódmej? - powtórzyła.

- Zgadza się.

- W takim razie wymieniam żetony i lecę do „Gomory”, póki mam jeszcze na to czas.

- Ale bądź delikatna - poprosił Cole. - Są zrobieni tylko ze stali i tytanu.

Roześmiała się i odeszła w stronę kas.

- Zwykle mawiać, że gdybym miał pięćdziesiąt kobiet takich jak ona, to mógłbym podbić całą galaktykę - rzucił Wilson, przyglądając się odchodzącej Wal. - Ale wygląda na to, że muszę się zadowolić tylko jedną. A to znacznie zawęża moje możliwości, także finansowe.

- Naprawdę wyruszamy o siódmej? - zapytała Sharon.

- Tak. Christine ma powiadomić całą załogę. Źródło na stacji dość szybko wysycha. Spróbujemy znaleźć tu rekrutów za kilka tygodni, kiedy klientela znowu się wymieni. - Spojrzał na Księcia. - Czy mógłby pan przesłać Christine namiary na miejsca, w których ludzie są wrogo nastawieni do Republiki?

- Może pan lecieć gdziekolwiek - odparł człowiek z platyny.

- Wie pan, kogo szukam. Ludzi posiadających okręty, załogi i nienawidzących Republiki do tego stopnia, że gotowi będą przyłączyć się do nas, nie żądając żadnej zapłaty.

- Powinien im pan zapłacić choć trochę - odparł Książę.

- Jeśli zapłacę jednemu, będę musiał dać tyle samo pozo-

stałym, a na to mnie nie stać. Poza tym każdy, komu poleci mi pan zapłacić, odda panu część tej kwoty w formie łąpówki, a ja wolę przeznaczyć te pieniądze na wzmocnienie instalacji obronnych stacji.

- Uraził mnie pan do żywego, Wilsonie.

- Naprawdę?

Książę wzruszył ramionami.

- Uraziłby mnie pan, gdyby choć jedno słowo, które pan wypowiedział, nie było prawdą. - Roześmiał się serdecznie. - Dostarczę listę Christine, zanim wylecicie.

- Dziękuję. - Cole spojrzał na Dawida. - Możesz tu zostać, jeśli chcesz.

- Porzucić druha ze szkolnej ławy? - powiedział Copperfield. - Nie uczynię tego, chociaż ustawicznie zabawia się moim kosztem. Poza tym to tylko misja rekrutacyjna. Nie sądzę, aby doszło do prawdziwej walki.

- Co racja, to racja - odparł Wilson. - A skoro mowa o kosztach, może dokonałbyś przelewu części obiecanej sumy, aby kapitanowie mogli przystosować swoje małe jednostki do działań wojennych, w czasie gdy my wyruszymy na poszukiwanie kolejnych okrętów, które wyposażymy za resztę twoich pieniędzy.

- Uwielbiasz mnie dręczyć, Steerforth?

- Gdybym nie lubił, tobym tego nie robił - odparł Cole.

- Przynajmniej jesteś ze mną szczery - stwierdził Copperfield i westchnął ciężko.

Zostali u Księcia jeszcze pół godziny, potem wrócili na pokład. Cole obudził się pięć po siódmej i odebrał komunikat, że na pokład wrócili wszyscy prócz Wal.

- To tylko misja rekrutacyjna - powiedział. - Nie musimy na nią czekać.

Ogolił się, wziął prysznic, założył nowy mundur i udał się do mesy na zwyczajowy kubek kawy. Po drodze natknął się na rozchełtaną Walkirię.

- Spóźniłaś się - zauważył.

- Wytlumaczyłabym dlaczego, ale wyglądasz tak głupio, kiedy się czerwienisz - odparła, nie zatrzymując się nawet.

- Tak, chyba wyglądam głupio, kiedy się czerwienię - mruknął, gdy zniknęła mu z oczu. - A pewnie bym się zaczerwienił.

Nalał sobie kawy, po chwili wahania uznał, że nie musi iść na mostek, i z mesy wydał rozkaz opuszczenia doku i obrania kursu na Freeport, centrum handlowe odległe o około dwieście lat świetlnych. Wxakgini poinformował go, że najkrótsza droga wiedzie przez tunel nadprzestrzenny MacAllistera, a podróż zajmie około sześciu godzin i dwóch minut, w przeciwi-

stwie do ponad siedemnastu dni, gdyby wybrali drogę przez normalną przestrzeń.

Lot przebiegł bez przygód i wyłonili się z tunelu pół roku świetlnego od systemu Beyer, na którego trzeciej planecie znajdowało się Freeport. Rozpoczęli podejście do lądowania, ale gdy mijali orbitę piątej planety, Briggs zameldował, że widzi niewielki prywatny statek ścigany przez dwa okręty Republiki. Został już trafiony ze stukacza i leciał bardzo chwiejnym kursem, jakby miał uszkodzone żyroskopy.

- Czy mają jakieś szanse na ucieczkę? - zapytał Cole, po tym jak dotarł na mostek ze swojego gabinetu.

Briggs pokręcił głową.

- Tracą tlen. Gdyby nawet mogli lecieć, nie wystarczyłoby go na opuszczenie tego systemu. Wątpię też, by mogli skorzystać z tuneli nadprzestrzennych. Umrą, zanim zdołają z nich wylecieć.

- Kto jest w przedziale bojowym? - zapytał Cole.

- Nie wiem, sir - odparł natychmiast Briggs.

Christine Mboya sprawdziła na komputerze.

- Pan Pampas, sir.

- Obudźcie Wal i kaźcie jej dołączyć do Byka w bojowym - rozkazał Cole.

- Tak jest.

- Czy Jacovic już śpi?

- Tak. Skończył wachtę, zanim weszliśmy do tunelu nadprzestrzennego.

- Obudźcie go i wezwijcie na mostek.

- Tak jest.

- Malcolmie, jaką bronią dysponują te okręty?

Briggs dokonał analizy obu jednostek.

- Stukacze trzeciej albo czwartej generacji oraz palniki piątej.

- Jesteśmy w stanie wytrzymać atak tych palników i stukaczy trzeciej generacji, ale jeśli oba uderzą czwórkami, wpadniemy po uszy w gówno, więc lepiej, żeby ich jednak nie mieli. - Przyglądał się przez moment holoe ekranowi. - Malcolmie, ty zajmiesz się systemami obrony. Wiem, że możemy używać broni z mostka, ale Wal i Pampas poradzą sobie z tym o wiele szybciej z przedziału bojowego.

- Czy mamy nadać sygnał ostrzegawczy, żeby mogli się wycofać? - zapytała Christine.

- I tak nie posłuchają, więc nie marnujmy niepotrzebnie efektu zaskoczenia. Czy Wal dotarła już na dół?

- W tej chwili - odparła Christine.

- Przełącz mnie na nią. - Poczekał kilka sekund, aż Mboya ustanowi nowe połączenie. - Wal, Byku, podejźmy do

tych okrętów tak blisko, jak tylko się da. Nie możecie otwierać ognia do momentu, w którym będziecie mieli pewność, że je unieruchomicie. Mają o wiele lepsze uzbrojenie od naszego, więc musi się to udać za pierwszym razem.

- Rozumiem - odparła Wal.

Skinął głową, pozwalając Christine zakończyć połączenie w chwili, gdy Jacovic pojawił się na mostku.

- Pilocie, zakładam, że słyszałeś ostatnią wymianę zdań, obierz kurs zbliżeniowy i podprowadź nas tak blisko tych okrętów, jak tylko zdołasz.

- Możemy nie zdążyć, zanim wykończą ściganą jednostkę - odparł Wxakgini.

- Tym się nie przejmuj. Jak tylko się zorientują, że „Teddy R.” siedzi im na ogonie, natychmiast o tamtych zapomną... - zamilkł, jakby spodziewał się usłyszeć w tej chwili głos Forrice'a mówiącego: *Trudno się z tym nie zgodzić* i towarzyszące im gwizdy śmiechu. Nagle zesztyniał i zawołał: - Pilocie, odwołuję poprzedni rozkaz! Nie zbliżaj się do nich!

Okręt natychmiast wyhamował i zawisł w przestrzeni.

- Wal?

- Tak? - zapytała. - Co się dzieje?

- Nie spostrzegli nas jeszcze - powiedział - co znaczy, że skupiają całą uwagę na uciekającej jednostce.

- I co z tego?

- To, że nie będą mieli włączonych osłon i tarcz. Jeśli ty i Byk wystrzelicie jednocześnie, trafiając...

- Zgadza się.

- Nie spieszcie się więc i namierzajcie ich dokładnie, drugiej szansy na złapanie ich z opuszczonymi tarczami nie będziemy mieli.

- Zostaw to nam - powiedziała dziarsko Wal.

- Malcolmie, nie włączaj osłon, dopóki Wal i Byk nie oddadzą pierwszej salwy.

- Słucham?

- Jeśli na którymś z nich dostrzegą w pobliżu okręt tej wielkości, z podniesionymi osłonami, na wszelki wypadek aktywują też swoje ekrany, nawet jeśli nie zorientują się, że mają do czynienia z „Teddym R.”.

- Ekrany opuszczone, sir.

- Czemu nie strzelamy? - zapytała podenerwowana Christine.

- Usiłują namierzyć szybko poruszające się cele manewrujące na skraju pola rażenia - wyjaśnił Jacovic. - Wiedzą, że mają tylko jedną szansę, na dodatek muszą wystrzelić jednocześnie.

- To prawda - przytaknął Cole. - Jeśli uszkodzimy albo

zniszczymy tylko jeden okręt, nasze pociski odbiją się od osłon drugiego.

Nagle ekrany wypełniły się oślepiającym blaskiem i pierwszy z okrętów przestał istnieć, zamieniając się w chmurę wirujących odłamków. Drugi został trafiony i otworzył ogień na ślepo, wchodząc w ciasny korkociąg. Działo pulsacyjne „Teddy’ego R.” wystrzeliło ponownie, ale energia rozproszyła się po osłonach republikańskiej jednostki. Promień lasera przesunął się po jej kadłubie i trafił w końcu słaby punkt - miejsce, w które trafił pierwszy strzał. Krótka poprawka wystarczyła, by działo pulsacyjne posłało w to miejsce kolejny ładunek, i tak został zniszczony drugi z okrętów.

- Jak z podręcznika - stwierdził z uznaniem Jacovic.

- Pilocie, lepiej podejmy ten stateczek, który ścigano.

Za moment skończy im się powietrze.

Wxakgini milczał przez chwilę, gdy sprzężony z jego umysłem komputer dokonywał obliczeń, aby ustalić kurs na przejęcie, i wykonał stosowne poprawki, aby dotrzeć do stateczka w niespełna dwie minuty.

Byli na miejscu dopiero po stu siedemdziesięciu sekundach. Nadali uprzednio wiadomość, że są przyjaźnie nastawieni, chociaż trudno było oczekiwać wrogości od kogoś, kto właśnie zlikwidował zagrożenie, ale nie otrzymali odpowiedzi, na-

wet potwierdzenia odbioru sygnału.

- Albo nie mogą wysłać wiadomości, albo nam też nie ufają - stwierdziła Christine.

- Albo już im się skończył tlen - dodał Briggs.

- Sprawdźmy - zaproponował Cole.

„Teddy R.” zbliżył się do stateczka i zmniejszył prędkość, aby lecieć równo z nim. Wilson wysłał na zewnątrz Tolobitę Śliskiego, aby ten zabezpieczył przejście. Gdy zadanie zostało wykonane, otwarto włazy i Cole wraz z Jacovicem przedostali się na pokład uszkodzonego statku.

- Jezu, jaki burdel! - mruknął kapitan, spoglądając na jedynego pasażera, wciąż przytomnego, ale leżącego na podłodze.

- Zdaje się, że będzie potrzebował natychmiastowej opieki medycznej - powiedział Teroni, przyglądając się zakrwawionej twarzy chłopaka i jego strojowi, przez który przebiły się ostre końce połamanych kości. Zawiadomił szpital „Teddy’ego R.”, że za kilka minut dostarczą pacjenta.

- Możesz stać? - zapytał rannego Cole.

- Nie wiem - odparł młody człowiek. Spróbował poruszyć kończynami, a potem pokręcił głową. - Chyba mam połamane kości. - Po kolejnej próbie zemdlął.

- Proszę mi pomóc, panie Jacovic - powiedział Wilson. -

Podnieśmy go razem.

- Ostrożnie, sir - usłyszeli głos Briggsa. - Właśnie sprawdziliśmy rejestrację jego statku. Jest podrobiona.

We dwójkę udało im się wynieść chłopaka, choć z wielkim trudem, za włazem czekali już z lotonoszami Luthor Chadwick i Braxyta.

- Sądzi pan, że on z tego wyjdzie, sir? - zapytała Rachel, która pojawiła się właśnie na mostku, by zluzować Christine.

- Mam nadzieję - odparł Cole. - Każdy wróg republikańskiej floty staje się automatycznie naszym przyjacielem... - Zamyślił się na moment. - Ten dzieciak całkiem nieźle wygląda. Ciekawe, kim jest i skąd pochodzi?

Niedługo musiał czekać na odpowiedź.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Spędzili we Freeport zaledwie kilka godzin, ponieważ mieli świadomość, że oba okręty Republiki zameldowały o podjęciu pościgu za statkiem młodzieńca, a potem zamilkły i przestały odpowiadać na wezwania. Cole chciał pozostawić rannego na planecie, ale zrozumiał dość szybko, że tutejsza społeczność wyda go w momencie, gdy pojawi się kolejna republikańska jednostka i zacznie o niego wypytywać. Zdecydował więc, że na razie nie będzie go przenosił ze szpitala pokładowego. Stateczek był tak mocno uszkodzony, że pozwolili mu dryfować w stronę tutejszej gwiazdy.

Kapitan uznał też, że odwiedzenie w drodze powrotnej któregoś z bardziej zaludnionych światów Wewnętrznej Granicy może nie być takim złym pomysłem. Spróbowali więc pozyskać nowych rekrutów na Binderze X, Greenveldcie, Ranchero, Nowej Kenii i Desdemonie IV. Na przedostatniej z tych planet znajdowała się bardzo nowoczesna placówka medyczna, ale pacjent nalegał, aby zabrano go na Stację Singapur, na co Cole przystał, ponieważ stan rannego powoli się stabilizował.

Kapitan siedział w mesie, czule tuląc w dłoniach zimne

piwo i zastanawiając się, gdzie by tu jeszcze polecieć, kiedy podszedł do niego Jacovic.

- Witam - powiedział Cole. - Proszę siadać.

Teroni zajął miejsce po drugiej stronie stolika.

- Obawiam się, że przynoszę złe wieści, sir.

- Dajmy spokój z tymi tytułami - poprosił Wilson. - Jestem kapitanem jednego okrętu, a pan dowodził całą Piątą Flotą Federacji Teroni.

- Tak było, ale się skończyło - odparł Jacovic.

Cole westchnął.

- Dobrze, cóż to za zła wiadomość?

- Właśnie dostaliśmy informację od Księcia, że straciliśmy kolejnych dwanaście okrętów.

- Straciliśmy? - powtórzył Cole, marszcząc brwi.

- Opuściły nasze szeregi w poszukiwaniu lepszych zarobków.

- Nie możemy ich za to winić - stwierdził Wilson. - W okolicy nie ma chyba mniej popłatnego zajęcia, ale za to zdobyliśmy kolejne dwadzieścia sześć jednostek od momentu opuszczenia stacji... - przerwał na moment. - Wydaje mi się, że pora wrócić na Singapur i przypomnieć tym ludziom, iż zobowiązali się do czegoś, a czas, kiedy mogli się spakować i odejść, minął kilka tygodni temu.

- Przeniesienie naszego młodego pacjenta do normalnego szpitala też mu nie zaszkodzi - stwierdził Jacovic. - Nie mamy na pokładzie sprzętu, który pozwalałby na leczenie kogoś w jego stanie.

- To twardy dzieciak. Nigdy się nie skarży. Gdybym miał syna, chciałbym, aby był taki jak on, może jedynie nieco bardziej rozmowny.

- Ma jakieś nazwisko? - zainteresował się Teroni.

- Z dziesięć, jeśli nie piętnaście - odparł Cole. - Nie reaguje jednak na żadne z tych, które znaleźliśmy w paszportach i na dyskach.

- Zdaje się, że mamy do czynienia ze złodziejaszkiem - zauważył Jacovic.

- Tutaj, na Wewnętrznej Granicy, to bardzo szanowane zajęcie - przypomniał mu kapitan. - Złodzieje w tych okolicach kradną jednak z pewnym wyrafinowaniem. Na terenie Republiki nie zauważyłem, żeby byli wrażliwi na los innych... - Zamyślił się. - Zastanawiam się tylko, po co mu aż dziesięć paszportów? Wydawać by się mogło, że dwa albo trzy wystarczą w zupełności.

- Możemy go zapytać.

Cole pokręcił głową.

- Chłopak już dość się wycierpiął. Lepiej odstawmy go do

szpitala na stacji. Możemy porozmawiać o tym później. Nie ucieknie nam, trochę czasu minie, zanim ponownie stanie na nogi przy tak licznych złamaniach.

Wxakgini znalazł kilka dobrze umiejscowionych tuneli czasoprzestrzennych i mogli przycumować do Stacji Singapur niespełna dziewięć godzin później. Cole i Jacovic przypilnowali przenosin pacjenta, potem dołączyli do Dawida Copperfielda i razem udali się do kasyna Księcia, gdzie Wal brylowała już przy jednym ze stołów. Chyba połowa załogi zajrzała tutaj, aby zagrać, upić się albo robić obie te rzeczy naraz.

- Witam w domu - zawołał na ich widok Platynowy Książę. - Mam nadzieję, że podróż była udana.

- Zdobyliśmy pewną ilość nowych jednostek i zniszczyliśmy dwa okręty wroga - odparł Cole. - Jedno i drugie nas satysfakcjonuje.

- To aż się prosi o butelkę najprzedniejszego alkoholu - stwierdził szef stacji. Rzucił polecenie przechodzącemu obok robotelnerowi i chwilę później pojawiła się przed nimi srebrna taca z czterema szklankami.

- Ja nie absorbuje alkoholu - zastrzegł się Jacovic.

- Nie ma problemu - rzucił Cole. - Jeśli ten trunek jest choć w połowie tak dobry, jak mówi Książę, z przyjemnością osuszę tę szklaneczkę za pana.

- Proszę spróbować - zachęcił go człowiek z platyny. -
Powiedz, co o nim sądzisz?

Kapitan upił łyk.

- Czy to jest to, o czym myślę?

Księżę rozpromienił się.

- Siedemsetletnia szkocka whisky ze starej Ziemi. Wyciągam ją raz na rok.

- Aż dziw bierze, że człowiek wymyślił podróże międzygwiazdne albo koło, mając pod ręką coś tak dobrego.

- Cieszę się, że panu smakuje.

- Ja też - dodał Copperfield. - Jaki ma bukiet!

- Wydawało mi się, że wolisz zapach win albo brandy - zauważył Cole.

- Tak mało o mnie wiesz - odparł Dawid, a potem podniósł do nozdrzy szklankę napoju, którego nie potrafiłby strawić.

- Wyśmienita.

- Słyszałem, że ktoś postanowił zdezerterować - kapitan zmienił temat.

- Oni już odeszli. Jeśli nie masz ochoty zawrócić ich siłą, sugeruję, abyś zapomniał o sprawie.

- Nie są warci tego, żeby ich przekonywać - stwierdził Wilson. - Skoro walczą wyłącznie dla pieniędzy, nie mógłbym na nich liczyć, kiedy zaczniemy mieć prawdziwe kłopoty z gotów-

ką.

- A to może nam grozić szybciej, niż myślimy - oświadczył Jacovic. - Zakładamy, że okręty Republiki nie rozpoznały nas i nie zdołały wysłać wiadomości, zanim je zniszczyliśmy, ale nie wiemy tego na pewno. No i wysłaliśmy wahadłowiec do Freeport, żeby przeprowadzić rekrutację. Ktoś z mieszkańców może poinformować flotę o naszym pobycie im planecie w tym samym czasie. Wtedy nietrudno im będzie odgadnąć, kto stoi za zniszczeniem tych dwóch jednostek.

- Jeśli tak będzie - powiedział Cole - możemy się spodziewać przybycia gości. I to niedługo.

- Dlaczego więc tracimy czas na gadanie? - zapytał Książę. - Musimy wzmocnić obronę stacji!

Wilson zachichotał.

- Tutaj tak szybko nie dotrą.

- Oby - mruknął człowiek z platyny. - Dowiedliście się już, dlaczego ścigali tego chłopaka?

Cole zaprzeczył ruchem głowy.

- Zdaje się, że mamy do czynienia ze złodziejem, ale to jeszcze nie tłumaczy wszystkiego.

- Przyznam, że nie rozumiem - oświadczył Książę.

- Ten dzieciak ma zbyt wiele fałszywych tożsamości. Za dużo, jak na zwykłego złodzieja. Jeśli jest złodziejem, to co

kradł? Nie znaleźliśmy niczego cennego na jego stateczku. Zresztą, gdyby ukradł coś cennego, flota starałaby się to odzyskać. A tego nie da się zrobić, rozpieprzając ściganą jednostkę na atomy przy prędkości porównywalnej do świetlnej.

- Aha! - zawołał szef stacji. - Tajemnica w zagadce ukrytej w sekrecie!

- I na razie pozostanie jednym z naszych małych sekretów - powiedział Cole. - Przynajmniej do momentu, kiedy chłopak odzyska siły na tyle, żeby nam wreszcie o tym opowiedzieć.

- Pytanie tylko, czy będzie chciał?

- A dlaczego miałby nie chcieć? - zdziwił się Cole. - Przecież uratowaliśmy mu życie.

- Wdzięczność nie jest powszechnie znanym uczuciem tutaj, na Granicy - stwierdził Książę.

- Nie ma sensu martwić się albo kłócić o to za wczasu - uciął dyskusję Wilson. - Porozmawiamy z nim, jak już wydobrzeje, i będziemy wiedzieli, kto ma rację... - zamilkł na moment. - Ale te jego paszporty były naprawdę dobrze podrobione.

W tym momencie do ich stolika podeszła Wal.

- Co pijecie, chłopaki? - zapytała.

- Paskudztwo - odparł Cole. - Na pewno ci nie podejdzie.

Roześmiała się.

- Jest aż taka dobra? Nalejcie szklaneczkę.

- Weź moją - zaoferował się Jacovic.

Chwyciła szkło, opróżniła zawartość jednym haustem i odstawiła na blat.

- Smacznutki, czuję, jak rozlewa się po mnie ciepłko - stwierdziła. - Co to jest?

- Szkocka ze starej Ziemi - odparł Książę. - Zatrudnij się u mnie, a dam ci resztę butelki.

- Też mi interes - prychnęła. - Potrafię obciągnąć flaszkę w pięć minut.

- Toż to świętokradztwo! - oburzył się Copperfield.

- Pohamuj się, Dawidzie - zgaśniła go Wal, którą wybuch małego kosmity najwyraźniej rozbawił. - Jeszcze dostaniesz wylewu.

Popatrzył na nią z wyrzutem, ale nic nie powiedział, więc wróciła pomiędzy stoły do gry. Cole posiedział w kasynie jeszcze pół godzinki, potem zdecydował, że czas wracać na pokład i zażyć odrobiny snu.

- Wypije pan jeszcze jednego na drogę? - zapytał szef stacji.

- Ta droga to tylko ćwierć mili, jaka dzieli nas od doku H, ale co mi tam...

Człowiek z platyny nalał mu ostatniego drinka, kapitan

upił niewielki łyczek.

- To jest naprawdę niezłe - stwierdził Wilson. - gotów byłbym zestrzelić kilka wrogich okrętów Republiki, żeby dostać jeszcze jednego.

Nagle w sali zapanowała cisza. Krupierzy przestali nawoływać, gracze umilkli, pijący odstawili szklanki, wszystkie oczy zwróciły się w stronę drzwi, w których pojawiła się postawna sylwetka Ośmiornicy. Watażka wszedł swobodnym krokiem, choć nie towarzyszyła mu żadna ochrona. Rozejrzał się po kasynie, dostrzegł Cole'a i ruszył w stronę jego stolika.

Zdążył pokonać dwie trzecie odległości, gdy na jego drodze wyrosła Wal.

- Dalej nie wejdiesz - powiedziała, choć z jej tonu można było wyczytać, że marzy, by jej oponent uczynił kolejny krok.

- Nic do ciebie nie mam - stwierdził Ośmiornica. - Chcę porozmawiać z twoim szefem.

Pokręciła głową.

- Nie ma mowy.

Bardzo powoli sięgnął po palnik i piszczałkę. Oddał je Wal, kolbami do przodu.

- Przechowaj je do końca rozmowy.

Tego się chyba rudowłosa nie spodziewała. Posłała pytające spojrzenie w stronę Cole'a.

- W porządku - powiedział kapitan. - Przepuść go.

W jej oczach widać było zawód, ale odsunęła się na bok, pozwalając Ośmiornicy podejść do stolika Księcia.

- Zatem spotykamy się ponownie - stwierdził kapitan, gdy olbrzymi łysy mężczyzna zatrzymał się tuż przed nim.

- Owszem, Wilsonie Cole.

- Jeśli dobrze słyszałem, przybywasz, aby porozmawiać ze mną?

- Zgadza się - przyznał watażka.

- Dobrze. Porozmawiajmy zatem. W czym problem?

- Nie przybywam z problemem, mam dla pana ofertę.

Kapitan zmarszczył brwi.

- Jaką znowu ofertę?

- Jedenaście dni temu ocalił pan młodego chłopaka przed atakiem dwóch okrętów Republiki.

- Zgadza się - przyznał Cole. - Razem z Jacovicem umieściliśmy go w tutejszym szpitalu, zaraz po przylocie.

- Ale nie macie pojęcia, kim on jest?

- Najmniejszego.

- Ten chłopak jest moim synem - oświadczył i ośmiornica.

- Przyleciałem, aby go zobaczyć.

- Teraz przynajmniej wiemy, skąd miał tak znakomite podróbki paszportów - stwierdził Cole. - Cieszę się, że mogliśmy

zrobić panu przysługę.

- Przysługę? - Ośmiornica o mało nie krzyknął. - Republika zabiła moją żonę i dwoje dzieci. Ten chłopak jest wszystkim, co mi zostało.

- Tym bardziej się cieszę, że go uratowaliśmy.

- Kapitanie Cole, poinformowano mnie, że zamierza pan usunąć okręty Republiki z terytorium Wewnętrznej Granicy. Czy to prawda?

Wilson skinął głową.

- Tak, to prawda.

- To się panu nigdy nie uda. Ma pan zaledwie czterdzieści jednostek do patrolowania kilku sektorów galaktyki.

- Mam ich już dwa razy tyle.

- Czterdzieści, osiemdziesiąt, na jedno wychodzi! - rzucił Ośmiornica, prychnąwszy pogardliwie, a potem zamilkł na kilka sekund. - A co pan powie na flotę składającą się z czterystu okrętów?

- Brzmi zachęcająco - stwierdził ostrożnie Cole.

- Nie wątpię. - Ośmiornica odwrócił się w stronę sali i podniósł głos. - W związku z tym, że kapitan Cole ocalił mojego syna, oddaję siebie i całą moją flotę pod jego rozkazy. - Nagle pochylił się, zabrał ze stołu szklanicę i wznosił ją wysoko nad głowę. - Czas skopać kilka republikańskich tyłków!

ROZDZIAŁ OSIEMASTY

- Po co chłopakowi aż tyle lewych dokumentów? - zapytał Cole.

Siedział w towarzystwie Ośmiornicy w prywatnym gabinecie Księcia. Wal stała za drzwiami, aby mieli pewność, że nikt im nie przeszkodzi. Wystarczyło jedno spojrzenie na jej twarz, by każdemu przeszła na to ochota.

- Wysłałem go z poufną misją - wyjaśnił watażka, zaciągając się bezdymnym cygarem. - Jakkolwiek dobre były te podróbki, ktoś z Freeport domyślił się, że nie ma do czynienia z oryginałami. Gdyby nie pan, byłoby już po nim.

- A my cieszyliśmy się z rozwalenia dwóch okrętów Republiki - powiedział Wilson. - Ocalenie pańskiego syna było jedynie bonusem w tej sprawie... - przerwał na moment. - Ale on za żadną cholere nie wygląda na pańskiego potomka.

- Chodzi panu o to. - Ośmiornica wskazał głową na rączki wyrastające z jego tułowia. - Jak widać, ta wada nie jest dziedziczna, co czyni ze mnie raczej dziwadło, a nie mutantą. - Wzruszył ramionami. Ale tym lepiej dla chłopaka. Wiele się wycierpiałem z ich powodu w młodości.

- Jak ma na imię? - zapytał Cole. - Nie będziemy wiecznie nazywali go dzieciakiem.

- Jonasz.

- To dość rzadkie imię.

- Skoro mnie nazwano Ośmiornicą, nadałem mu imię kojarzące się z morzem. Myślałem wprawdzie o Ahabie, ale on, jak wiadomo, przegrał walkę z wielorybem. A potem wpadłem na to, że Jonaszowi udało się uzyskać remis w starciu z bestią, czyli wypadł o wiele lepiej. Chciałem mieć syna, który dorównywałby mi siłą i rozumem, ale nie zniósłbym nikogo ode mnie lepszego, nawet gdyby to była krew z mojej krwi.

- Czy nie oddał się pan przypadkiem pod moje rozkazy? - zapytał kapitan.

- Ale z własnego wyboru. Gdyby propozycja wyszła z pańskiej strony, skończyłoby się to otwartą wojną.

- W takim razie cieszę się, że zrobił pan to na ochotnika - stwierdził Cole, upijając kolejny łyk.

- Myślę, że to dobry układ - odparł Ośmiornica. Pan zna się na machinacjach floty lepiej niż ja, a ja potrafię zabijać i niszczyć nie gorzej niż wy.

- Tyle że tutaj nie chodzi o zabijanie i niszczenie - przypomniał mu Wilson. - Przynajmniej nie na dłuższą metę. Moim celem jest przekonanie admiralicji, że bardziej opłacalne, zwa-

żywszy na straty w ludziach i sprzęcie, będzie trzymanie się z dala od terytoriów Wewnętrznej Granicy.

- W każdym razie będziemy mogli pobawić się z nimi choć przez chwilę.

- Mówi pan, jakby ta wojna miała wybuchnąć lada dzień - zauważył Cole.

- Może tak będzie.

Nie wydaje mi się, żebyśmy mogli odnieść łatwe zwycięstwo nad flotą Republiki.

- Podzielam pańską opinię - odparł Ośmiornica. I Sądzę, że będziemy ich wyłuskiwali pojedynczo albo parami, dopóki się nie wkurzą. A wtedy niebo o poranku zrobi się czarne od ich okrętów.

Cole pokręcił głową.

- Nie zrobią tego, dopóki mają na karku Federację Teroni.

- Mogą uznać, że warto dać pięciu tysiącom okrętów kilka dni wolnych od działań wojennych.

- Nie zrobią tego - zapewnił go Wilson. - A jeśli nawet, my znamy Wewnętrzną Granicę o wiele lepiej niż oni. Możemy ganiać się po okolicy przez cały miesiąc, jeśli będziemy musieli. A jeśli podzielą siły, dadzą nam szansę na zastawienie kilku morderczych pułapek.

- Myślę, że mógłbym postawić kilka tysięcy dolarów Marii Teresy albo kredytów Republiki na to, że jednak przylecą, chociaż to rozwiązanie byłoby naprawdę niepomysłne dla nas obu, dlatego wolę wierzyć, że ma pan jednak rację. - Znow zaciągnął się cygarem. - Lepiej, żeby tak było, w przeciwnym razie wykopię pana choćby z grobu.

- Jeśli się mylę - odparł Cole - nie będzie pan musiał daleko szukać. Pochowają nas w sąsiednich kwaterach.

Ośmiornica zachichotał i nalał sobie drinka.

- Podoba mi się pan, panie Cole. Wiedziałem to już w momencie, w którym pana ujrzałem.

- Ja też nie czuję do pana odrazy - przyznał Wilson. - Ale wolałbym raczej porozmawiać o Jonaszu. Czym się zajmował, że potrzebował aż tak wiele paszportów?

- Wysłałem go na terytorium Republiki, by poznał rozkłady lotów i schematy działania linii pasażerskich i towarowych, które obsługują także Wewnętrzną Granicę - wyjaśnił Ośmiornica. - Jest tam z pół tuzina nagród wyznaczonych za moją głowę, więc nie mogłem tego zrobić osobiście. Bez względu na to, jak dobrze podrobię dokumenty, wystarczy jeden rzut oka, by ludzie wiedzieli, z kim mają do czynienia. Dlatego wysłałem Jonasza. Jego zadaniem było zatrudnienie się w jednej z tych firm i pozostanie tam do chwili, aż zdobędzie plan lotów na następny

rok. Mam kilku ludzi, którzy wyglądają, jakby im ktoś wszczepił komputery w tyłek. Naprawdę dobrze wyszkolili mojego chłopaka.

- Znam takich - mruknął Cole, mając na myśli Christine i Briggsa.

- W każdym razie miał się zwolnić w momencie uzyskania tych planów. Ze względu na zły stan zdrowia, sprawy rodzinne czy z innego wiarygodnego powodu. Nie chciałem, by zniknął bez słowa, W takim wypadku mogliby się wszystkiego domyślić i pozmieniać rozkłady.

- To wyjaśnia posiadanie jednego lewego paszportu - zauważył Cole. - A co z pozostałymi?

- Nie chciałem, by ryzykował, zatrudniając się w innej firmie na tej samej planecie, więc zleciłem mu odwiedzenie siedmiu albo ośmiu różnych systemów. Miał spędzić w każdej pracy tydzień albo dwa, włamać się do baz komputerowych, a potem zrezygnować. Zabezpieczyłem go, na wypadek gdyby ktoś nabrał jednak podejrzeń, dając na każdą podróż inne nazwisko. Na koniec, po zdobyciu wszystkich potrzebnych informacji, ponieważ nie chcieliśmy ich transmitować przez radio podprzestrzenne, miał wrócić do naszej bazy. - Ośmiornica skrzywił się. - Freeport było czwartą planetą, na jakiej wylądował. Albo paszport miał jakąś niedoróbkę, albo tamtejsze służby są o wiele

ważniejsze niż inne. W każdym razie to, co udało mu się do tej pory wykraść, pozostało we wraku. Mam nadzieję, że wykazał się pan rozsądkiem i kazał go zniszczyć.

- Oczywiście - odparł Cole. - Nie mieliśmy czasu na dokładne przeszukiwanie całego statku, ale uważaliśmy, że jeśli na jego pokładzie znajduje się coś cennego, lepiej, żeby Republika nie położyła na tym łapy.

- Lepiej, żeby ta wiedza została zniszczona - przyznał ośmioręki. - I tak nie zajmuję się już rozbojami i nielegalnym handlem. Stałem się buntownikiem.

- Ale my się nie buntujemy przeciw komukolwiek - zauważył Wilson.

- Jak pan sądzi, do kogo należą te wszystkie okręty, które mamy zamiar zniszczyć? - zapytał Ośmiornica.

- Do Republiki - odparł Cole. - Ale nam nie zależy na zmianie rządzących. Staramy się jedynie wymusić respektowanie traktatu, na mocy którego Republika nie ma zwierzchności nad terytoriami Wewnętrznej Granicy. Proszę mi wierzyć, to będzie wystarczająco trudne zadanie... - Dopił drinka. - Czy mógłbym spotkać się z pańskim fałszerzem najszybciej jak to tylko możliwe?

- Po co?

- Chciałbym, aby wykonał dla mnie kilka takich paszpor-

tów.

- Wybiera się pan na terytorium Republiki? - zapytał

Ośmiornica.

Cole skinął głową.

- Po jaką cholere?

- Muszę dostać się do jednej z baz floty i sprawdzić rozkład patroli na Wewnętrznej Granicy.

- Nie uda się panu ich anulować. W końcu flota przylatuje tutaj, by nas grabić.

- Nie zamierzam ich anulować - zapewnił go Wilson. - Ale może uda mi się tak je pozmienić, by poleciały tam, gdzie będzie na nie czekało trzysta albo czterysta naszych jednostek.

- To mi się podoba! - stwierdził ośmiórki, uśmiechając się szeroko.

- Wiedziałem, że tak będzie.

Nagle uśmiech zniknął z twarzy Ośmiornicy.

- To się nie uda. Nie damy rady.

- Dlaczego pan tak sądzi? W przypadku Jonasza dokumenty się sprawdziły. Przynajmniej w trzech pierwszych przypadkach.

- Tak, ale on urodził się na Wewnętrznej Granicy. Nie mieli żadnych zapisów na jego temat. A pan nazywa się Cole Wilson i jest najbardziej poszukiwanym przestępcą Republiki.

Każdy kosmoport, urząd celny i posterunek służb imigracyjnych ma pańskie zdjęcia, odciski palców, wzorce DNA, strukturę szkieletu, po prostu wszystko. Moi fałszerze są niezli, ale nie potrafią zmienić baz danych Republiki.

- Te rzeczy da się obejść - rzucił Cole. - W czasie gdy zajmowaliśmy się piractwem, dwukrotnie przekraczałem granice Republiki.

- To tylko oznacza, że sposoby, z których pan wtedy korzystał, tym razem nie zadziałają. Co więcej, omińcie służb imigracyjnych po lądowaniu na planecie jest najmniejszym problemem. Pan chce przedostać się na teren bazy wojskowej w czasie trwania wojny i uzyskać połączenie z doskonale zabezpieczonymi sieciami komputerowymi. Jak pan zamierza tego dokonać?

- Wystarczy, że zabierze mnie pan do swojego fałszerza - odparł Cole.

Ośmiornica wybałuszył oczy.

- Rozumiem, że ma pan wszystko przemyślane i opracowane - powiedział w końcu. - Naprawdę uważa pan, że można uzyskać dostęp do tych komputerów?

- Tak właśnie myślę.

- W pojedynkę?

- Nie - odparł Wilson. - Z pańską pomocą.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Ośmiornica zaprosił Cole'a do niewielkiego biura znajdującego się dwa poziomy niżej niż kasyno Księcia.

- On pracuje tutaj, na Stacji Singapur? - zdziwił się kapitan.

- Dlaczego nie? - odparł watażka. - Widział pan tu kiedyś policję?

- Nie - przyznał Cole - ale nie widzę także tego dobrego fałszerza.

- Zaraz przyjdzie. Już wie, że pana przyprowadziłem.

Drzwi biura otworzyły się jak na zawołanie, przepuszczając dziwnie wyglądającego kosmitę. Miał może z pięć stóp wzrostu i tak szeroki korpus, że z trudem posuwał się do przodu. Cole nie widział jednak na jego ciele jednego grama tłuszczu. Istota ta miała za to naprawdę długie ręce i smukłe palce. Jej usta były tak zbudowane, że nie mogły wydawać dźwięków zrozumiałych dla człowieka, dlatego też na szyi miała zawieszono T-tora. Zamiast nosa na samym środku szerokiej twarzy widać było dwie szczeliny. Uszy o dzwonkowatym kształcie mogły się poruszać niezależnie od siebie, ale najdziwniej wyglądały

oczy - wielkie, jasnoczerwone, miały chyba z pięć centymetrów średnicy.

- Picasso, przywitaj się z panem Cole'em.

- Pańska reputacja wyprzedza pana, kapitanie powiedział kosmita. Tłumaczenie jego słów brzmiało jak zawsze: mechanicznie i płasko.

- Twoja za to nie wykracza poza progi tego pomieszczenia - zauważył Wilson. - Co, jak sądzę, jest raczej mile widziane w tym fachu.

- Jestem znany w kręgu osób, które korzystają z moich usług. Cieszę się też ich wielkim szacunkiem - stwierdził Picasso.

- I to mi wystarcza. Nie wszyscy muszą być tak sławni jak mój imiennik.

- To ja go tak nazwałem - wyznał z dumą Ośmiornica. - Tylko osobnicy jego własnej rasy potrafią wymówić jego prawdziwe imię.

- Czym mogę służyć, kapitanie Cole? - zapytał kosmita.

- Potrzebuję dwóch paszportów i dwóch dowodów. Moja twarz znajduje się na listach gończych w całej Republice, więc kiedy zabierze się pan za holo, proszę dorobić mi wąsy i brodę. Już dzisiaj zacznę je zapuszczać.

- Proszę o tym zapomnieć. To zbyt oczywista zmiana. Zaczniemy od czasowej zmiany koloru oczu. Dam też panu ta-

bletki, po których zmieni się pigment skóry. Będzie pan miał też więcej zmarszczek na twarzy, niż może pan sobie to wyobrazić. Kiedy znikną całkowicie w dwa dni po zażyciu ostatniej tabletki. A skoro postarzemy pańską skórę o dwadzieścia albo trzydzieści lat, musimy także zadbać u posiwienie włosów.

- Czy te tabletki nie mają jakichś efektów ubocznych - zaniepokoił się Cole. - Będę potrzebował wszystkich zmysłów i pełnej sprawności fizycznej.

- Nic panu nie będzie - uspokoił go Picasso. - Będę też potrzebował też pana danych.

- Proszę pytać.

- Zacznijmy od wagi, wzrostu, wieku, blizn i wszelkich złamań kości, które wykażą skanery.

- Nie ma sprawy - odparł Wilson. - A co z kartoteką dentystryczną?

- Do tego też dojdziemy - zapewnił go Picasso.

Cole spędził kolejny kwadrans, odpowiadając na szczegółowe pytania kosmity. Potem pozwolił na zdrapanie odrobiny naskórka, żeby DNA zgadzało się z danymi zapisanymi w dokumentach.

- Proszę wymienić trzy planety na terytorium Republiki, które pan odwiedził jako turysta bądź oficer floty.

- Deluros VIII, Pollux IV i Goldenrod.

- Zapiszę je w pańskim paszporcie jako najczęściej odwiedzane porty docelowe - wyjaśnił Picasso.

- Chwileczkę - poprosił Wilson. - Na Polluksie nie ma bazy wojskowej, proszę zmienić go na Spinę VI.

- Nie ma sprawy. - Kosmita zanotował jego uwagę.

- Kiedy papiery będą gotowe? - zapytał Cole.

- Za dwa dni - odparł fałszerz. - I jeszcze jedno, Muszę zrobić panu holo, zanim pan wyjdzie, oczywiście w mundurze, ale chyba lepiej będzie, żeby miał pan niższy stopień niż kapitan czy komandor.

Cole pokręcił głową.

- Zrobimy to, gdy tu wrócę.

- To zajmie nam tylko kilka sekund.

- Wiem. Niedługo przyjdę - zapewnił kosmitę Wilson. -

Czy to już wszystko?

- Tak.

- W takim razie do zobaczenia za kilka godzin. Cole wyszedł za drzwi w towarzystwie Ośmiornicy.

- Niech zgadnę - odezwał się watażka. - Wraca pan na pokład.

- Zgadza się.

- Zamierza pan założyć własny mundur.

- Nie - odparł Wilson.

- Nie? - powtórzył za nim zaskoczony Ośmiornica.

- Zamierzam pożyczyć mundur od kogoś innego - No tak, oczywiście - mruknął ośmioręki. - Nie może pan mieć stopnia kapitana. To by ułatwiło Republikanom zabawę z identyfikacją.

Cole uśmiechnął się.

- Szybko pan myśli.

- No cóż, jest się szefem przestępczego półświatka - powiedział Ośmiornica.

- Sztuczka polega na tym, by znaleźć jakąś małą jednostkę - kontynuował Wilson. - Zamierzam odegrać rolę jedynego ocalałego z załogi, więc muszę mieć możliwość doprowadzenia jej do portu w pojedynkę, a tego nie da się zrobić z trzydziestoosobowym okrętem. Musimy go też ostrzelać...

- Ostrzelać? - Ośmioręki roześmiał się. - Przecież rozwalimy go tym sposobem na milion kawałków.

- Myślę o sześć-, góra ośmioosobowej jednostce. Musimy też znaleźć sposób na pozbycie się bądź schwytanie załogi bez poważnego uszkodzenia okrętu.

- Zawsze może pan ich zmusić do poddania i przetransportować do swojej bazy. Tu nie chodzi o bycie jedynym ocalałym, ale o to, by pozostali także znajdowali się na pokładzie.

- Nie chciałbym pokazywać się tam w towarzystwie pię-

ciu albo sześciu ciał - stwierdził Cole. - Przesłuchania trwałyby całą wieczność. Tu raczej chodzi o to, by mieć wokół siebie taką ilość poważnie rannych członków załogi.

- Tam znajduje się cała masa baz wojskowych, nawet na obrzeżach Republiki - zauważył Ośmiornica. - Jest pan pewien, że znajdzie tę właściwą?

- Byłem oficerem tej pieprzonej floty, odkąd pamiętam - odparł Wilson. - Republika nie marnuje najnowocześniejszych jednostek na pilnowanie Wewnętrznej Granicy. Jeśli zdobędziemy jakiś okręt, na pewno poradzę sobie z odszyfrowaniem logo i dyrektyw, a jeśli okaże się wystarczająco niewielki, bez problemu doprowadzę go do celu.

- Mógłby pan wziąć ze sobą jedną albo dwie osoby, tak na wszelki wypadek - zasugerował watażka.

- Nie - powiedział Cole. - To by oznaczało więcej możliwych zagrożeń po wylądowaniu. Zagrożenie rozpoznaniem wzrosłoby trzykrotnie, no i zawsze mogłoby się zdarzyć tak, że któryś z nas zeznałby coś innego podczas osobnych przesłuchań.

- Potrząsnął głową. - Nie, za dużo rzeczy mogłoby pójść nie tak.

- Zakładam więc, że pańska wcześniejsza sugestia o mojej pomocy dotyczyła przechwycenia i uszkodzenia potrzebnego okrętu i schwytania jego załogi?

- Tak. - Wilson uśmiechnął się niespodziewanie. - Mam nadzieję, że nie pomyślał pan, iż chcę pana zabrać ze sobą. Obawiam się, że przy całej maestrii Picassa nie udałoby mu się otworzyć przed panem drzwi do Republiki.

- To zależy, o jakich drzwiach mowa. Nie jestem tak bardzo poszukiwany jak pan, przynajmniej w Republice.

- Proszę zorganizować mi okręt, a ja zajmę się całą resztą - obiecał Cole. - Wysłałbym po niego „Teddy’ego R.”, ale obawiam się, że zdążyłby nadać sygnał SOS, a wolałbym na razie pozostawać w cieniu. Szansa na schwytanie bądź zniszczenie „Teddy’ego R.” to chyba jedyna okoliczność, która kazałaby im wysłać w te okolice przynajmniej kilkaset okrętów. A jeśli zgłoszą innego agresora, to tylko bardziej uprawdopodobni moją opowieść, kiedy doprowadzę uszkodzony okręt i jego ranną załogę do pierwszej lepszej bezpiecznej przystani.

- Brzmi nieźle, ale mam jeszcze jedno pytanie.

- Wal pan śmiało.

- Założmy, że wszystko ułoży się po pańskiej myśli, uszkodzimy okręt, poranimy mocno załogę, ale pozwolimy jej przeżyć, dostanie się pan do wnętrza bazy bez dodatkowych przygód, nawet zdobędzie pan potrzebne informacje... - Ośmiornica zamilkł na moment. - Jak pan zamierza z nimi wrócić?

- Kiedy będę gotowy do powrotu, dokonam stosownego wyboru.

- Wydawało mi się, że dobry oficer zawsze ma na podorzędziu porządną strategię wyjściową.

- Mam trzy albo i cztery - zapewnił Cole. - Ale nie jestem w stanie powiedzieć, która z nich okaże się najsensowniejsza, dopóki nie znajdę się na miejscu.

Dotarli do stacji kolejki, gdzie Wilson wsiadł do wagonika, aby dojechać pod kadłub „Teddy’ego R.". Po drodze przeanalizował dostępne możliwości i znał, że Luthor Chadwick ma najbardziej zbliżone wymiary, dlatego zajrzał, od razu do jego kabiny, przerywając młodemu oficerowi oglądanie holo.

- Słucham, sir?

- Mam do ciebie prośbę, Luthorze - powiedział.

- Czym mogę służyć, sir?

Czy mógłbyś mi pożyczyć jeden ze swoich mundurów sierżanta? Tych z okresu służby na Timos III.

- Mój mundur sierżanta? - powtórzył Chadwick, marszcząc brwi.

- Masz go chyba jeszcze?

- Tak, ale...

- Raczej nie będę mógł ci go zwrócić - ciągnął dalej kapitan, gdy jego podkomendny zaczął grzebać w szafie - dlatego

powiedz od razu, ile mam za niego zapłacić?

- Nic, sir - odparł Luthor. - I tak nie miałem zamiaru go nosić.

- W takim razie dziękuję - powiedział Cole, odbierając od niego mundur. - Jestem ci naprawdę wdzięczny.

Zostawił zdziwionego Chadwicka i udał się natychmiast do własnej kajuty. Sharon wparowała do środka, gdy zaczął się przebierać, aby sprawdzić, czy wszystko będzie pasowało.

- Wygląda na to, że odzwyczailiśmy się już na dobre od pukania - wymamrotał.

- Dobra, Wilson, kończymy z pieprzeniem w bambus i mówisz mi, co tu jest grane.

Cole westchnął.

- A co mi tam, i tak nie zdołałbym ukryć tego przed tobą. Mam zamiar udawać podoficera floty Republiki.

- Gdzie?

- Na niewielkiej jednostce, którą niedługo przechwycimy i wykorzystamy do własnych celów.

- Jacy „my”?

- My, czyli nasza strona tego konfliktu.

- Masz zamiar udawać członka załogi i przeniknąć na terytorium Republiki - stwierdziła oskarżycielskim tonem.

- Nie mam zamiaru nigdzie przenikać - zaprzeczył. -

Wejdę tam w pełnym blasku.

- W takim razie chcę wiedzieć o wszystkim - stwierdziła Sharon.

Wyłuszczył jej cały plan, nieco zaskoczony tym, że nie wydarła się na niego, zanim zdążył dokończyć.

- Niech cię cholera, Wilson - rzuciła, gdy wreszcie zamilkł. - Ile razy mam ci jeszcze przypominać naczelną zasadę: kapitan nie opuszcza pokładu okrętu na terytorium nieprzyjaciela, a chyba nie ma bardziej wrogiego miejsca niż baza okrętów Republiki.

- Muszę to zrobić - odparł. - Nikt inny nie wiedziałby, czego szukać albo jakich kodów użyć, aby uzyskać dostęp do danych. Cztery Oczy poradziłby sobie z tym, ale już nie żyje. Jacovic nigdy nie będzie miał wstępu na terytorium Republiki. Wal, zanim przyłączyła się do nas, była piratką od dziesięciu lat. Christine nie nadaje się do tego rodzaju roboty. A to wyczerpuje dostępną mi listę oficerów. Chyba że masz jakieś propozycje.

- Wyślij tam Malcolma albo Luthora. Nie możemy cię stracić.

- Bzdury. Jacovic dziesięć razy bardziej nadaje się do tej roboty niż ja. Na litość, był przecież dowódcą całej floty.

- Tyle tylko, że nasza załoga nie porzuciła dla niego Republiki i swoich karier - odparła. - Zrobiliśmy to dla ciebie.

- Doceniam twoją troskę, ale nikt inny nie może wykonać tego zadania - upierał się Cole. - Byłem starszym oficerem przez piętnaście lat. Znam kody, znam protokoły, wiem, jak się zachowywać, i co najważniejsze: tylko ja mam pojęcie, jak zmienić programy, do których chcę uzyskać dostęp. Spójrz mi prosto w oczy i powiedz, że na pokładzie naszego okrętu albo jakiegokolwiek innej jednostki znajdziesz kogoś, kto nadawałby się do wykonania tej roboty lepiej niż ja.

Sharon milczała przez dłuższą chwilę, a potem odpowiedziała:

- Nigdy o to nie pytałam, ale ile ty właściwie masz lat?

- A co to ma z tym wspólnego? - odpowiedział pytaniem na pytanie.

- Aż tyle?

- Mam czterdzieści jeden - rzucił.

- Naprawdę sądzisz, że dożyjesz kolejnego roku, zabawiając się w te szpiegowskie gierki?

- Problemem dwudziestodwuletnich ciał jest to, że posiadają dwudziestodwuletnie mózgi - odparł Cole. - Jeśli znasz kogoś, kto poradzi sobie z tym zadaniem, chętnie mu na to pozwolę.

- Podobnie jak ty, wiem, że to niemożliwe. - Sharon nie spuszczała z niego oka. - Nikt z naszych nie podolał temu zada-

niu.

- Nie podoba.

- Szlag by to... - powiedziała Blacksmith. - Dlaczego nie zakochałam się w Briggsie albo którymś z innych młodszych oficerów, którzy nie opuszczają nigdy pokładu, chyba że dasz im przepustkę do kasyna, żeby się schlali albo splukali przy grze.

- Prawdopodobnie z tego samego powodu, dla którego ja nie zakochałam się w kimś tak młodym i niewinnym jak nasza blond Rachel - odparł Cole, uśmiechając się do niej. - Oboje mamy spaczony gust.

- Lepiej dla ciebie będzie, jeśli wrócisz w jednym kawałku.

- Z powrotem nie będzie problemu - stwierdził. - Gorzej z tą częścią o jednym kawałku. - Nagle dostrzegł łzę spływającą po jej policzku. - Hej, żartowałam...

- W tym, co robisz, nie ma niczego zabawnego, głupi stary dziadu!

- Miejmy nadzieję, że nasz przeciwnik myśli w taki sam sposób.

Gdy zaczął zdejmować tunikę, Sharon roześmiała się przez łzy.

- Wybrałaś sobie niewłaściwą porę, Wilsonie.

- Mam zamiar założyć mundur Chadwicka - wyprowadził ją z błędu. - Muszę zrobić sobie kilka zdjęć do lewych doku-

mentów.

- Teraz?

Wyciągnął dłoń i otarł jej łzę z policzka.

- W sumie mogą poczekać kolejną godzinkę.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Trzy dni później przyszła wyczekiwana wiadomość. Cole, który dzięki medykamentom i wytrwałej pracy postarzył się w tym czasie o dobre dwadzieścia pięć lat, jadł właśnie obiad w towarzystwie Sharon i Dawida Copperfielda, gdy pojawił się przed nim hologram Rachel Marcos.

- Sir, Ośmiornica melduje o kontakcie z przeciwnikiem - powiedziała.

- Możesz mnie na niego przełączyć?

- Tak jest.

Sekundę później kapitan zobaczył twarz ośmiorękiego watażki.

- Co pan ma dla mnie? - zapytał Wilson.

- Zdaje się, że to, na co pan liczył najbardziej - odparł Ośmiornica. - Dziewięcioosobowy okręt klasy K na samotnym patrolu. Z tego, co mogę powiedzieć, w promieniu parseka nie ma innej jednostki należącej do Republiki.

- Brzmi nieźle - ucieszył się Cole. - Gdzie jest?

- Minął właśnie Nową Boliwię. Nie wiem, jak długo zamierza tutaj pozostać albo gdzie się skieruje, więc lepiej nie

zwlekajmy z działaniem.

- Zapytam mojego pilota, jak szybko dołamy tam do-
trzeć.

- Ja już lecę w tamto miejsce - powiadomił go ośmioręki.

- Nasz pilot rekomenduje tunel Bonetta.

- Przekażę to mojemu.

- Jeśli dolecimy na miejsce pierwsi, nie będę na pana cze-
kał - ciągnął dalej watażka. - Zabrałem ze sobą sześć jednostek
i wezwałem dwie następne operujące w okolicach Nowego
Ekwadoru, który dzieli od Nowej Boliwii tylko rok świetlny. Nie
możemy pozwolić mu uciec tylko dlatego, że pan będzie miał
kilkuminutowe spóźnienie.

- Proszę jedynie pamiętać, iż większość załogi musi prze-
żyć atak, a okręt ma być na tyle sprawny, by doleciał do naj-
bliższego portu.

- Wiem - uspokoił go Ośmiornica. - Zbliżamy się do tune-
lu czasoprzestrzennego. Stracimy łączność lada mo... - Sygnał
zaniknął, gdy jego okręt zanurkował w nadprzestrzeni.

Cole pojechał windą na mostek i podszedł pod gródź, z
której zwisał kokon zawierający ciało Wxakginiego. Wystawały z
niego jedynie grube przewody biegnące do komputerów nawigacyjnych.

- Pilocie, lecimy na Nową Boliwię - obwieścił kapitan. -

Powiedziano mi, że tunel czasoprzestrzenny Bonetta jest najkrótszą drogą w tamto miejsce.

- O ile się nie przesunął - stwierdził Bdxeni. - Jest bardzo niestabilny. Zaraz sprawdzę... - Na moment zapadła cisza. - Wygląda na to, że dzisiaj jest spokojny. Możemy z niego skorzystać.

- Czas tranzytu na Nową Boliwię?

- Trzy godziny i jednaście minut.

- Świetnie. Ruszamy.

- Sir - wtrąciła Christine - będę potrzebowała około godziny na sprowadzenie załogi na pokład.

- Lecimy bez nich. Ośmiornica zajmie się strzelaniem. „Teddy R.” ma mnie tylko dostarczyć na miejsce.

Gdy okręt skierował się do tunelu czasoprzestrzennego, Cole wezwał Jacovica i Wal do swojego biura.

- Domyślam się, że oboje wiecie już co się święci... - zaczął.

- Wybryk natury namierzył pojedynczy okręt Republiki - przerwała mu Wal.

- Taktowna jak zawsze - zauważył Wilson. - Za kilka minut wejdziemy w tunel czasoprzestrzenny, wynurzymy się w pobliżu systemu gwiazdowego Nowa Boliwia za mniej więcej trzy godziny. Ośmiornica powinien być już na miejscu, z siedmioma

albo ośmioma okrętami. Do czasu naszego przybycia powinni już poradzić sobie z republikańską jednostką i jej załogą... - Cole przerwał na chwilę. - Oboje macie zapewne jakieś podejrzenia względem mojego planu. Pan, komandorze Jacovic, obejmie dowodzenie „Teddym R.” na czas mojej nieobecności, Wal, nie próbuj przeciwstawiać się nowemu dowódcy na oczach załogi, nawet gdyby, twoim zdaniem, nie miał racji. Jeśli wyda rozkaz, wykonaj go bez gadania i komentarzy. Przy mnie możesz robić takie rzeczy, ponieważ mam specjalną więź z załogą. Większość z nich porzuciła wszystko, co miała, aby przybyć tutaj ze mną. Jacovic jest przybyszem z zewnątrz, więc nie obrażaj go i nie sprawiaj mu kłopotów Będzie to odbierane jako niesubordynacja, a nie twoje humory. - Spojrzał na nią twardo. - Mówię i całkiem serio.

- Jestem oficerem „Teddy’ego R.” - oświadczyła ironicznym tonem. - Znam zakres swoich obowiązków.

Cholernie wiele czasu potrzebowałaś, żeby wypowiedzieć pierwsze sensowne zdanie na ten temat, pomyślał Cole.

- Dobrze - rzekł już na głos. - Jacovic, może pan zacząć przyzwyczajać się do roli kapitana. Oddaję panu dowodzenie już teraz.

Teroni zasalutował.

- W takim razie udam się na mostek - oświadczył. -

Wiem, że osiem jednostek powinno załatwić sprawę, ale wolę być przygotowany, żeby udzielić im wsparcia, jeśli sytuacja będzie tego wymagała... - zamilkł na moment. - Nie ma pan chyba nic przeciw temu?

- Pan tu teraz dowodzi - odparł Wilson. - Kimże jestem, by podważać pańskie decyzje?

Jacovic opuścił biuro żegnany chichotem Walkirii.

- Co cię tak bawi? - zapytał Cole.

- Kim jestem, by podważać pańskie decyzje? - powtórzyła z uśmiechem na ustach. - Zdaje się, że tym właśnie sposobem zostałeś kapitanem, podważyłeś zasadność decyzji swojego przełożonego.

- Właśnie o tym mówiłem, Wal. Ze mną możesz się przekomarzać, ale nie rób tego z Jacovicem. Jest nowy w załodze i na dobitkę należy do rasy, do walki z którą byliśmy szkoleni całymi latami. Będzie potrzebował całego wsparcia, jakie możesz mu dać.

- Wiem - powiedziała.

- Świetnie. Teraz muszę pogadać z Sharon.

- Ostatni szybki numerek przed misją? - zapytała Wal. - To mi się podoba.

- Ty myślisz tylko o jednym - zganił ją kapitan. Ona ma moje nowe dokumenty i sfabrykowaną biografię. Jeszcze jedno,

Wal.

- Tak?

- Wybacz, jeśli zraniłem twoje uczucia.

- Od tego jesteście wy, kapitanowie - rzuciła, wychodząc z biura.

Sharon pojawiła się kilka minut później, przynosząc mu nową tożsamość.

Nazywał się Leslie Ainge, był sześćdziesięcioletnim sierżantem z planety Roanoke II. Nie miał żony, brał za to udział w bitwie o Veronę, otrzymał odznaczenie za odwagę i naganę za pijaństwo. Gdy zapamiętał dokładnie wszystkie te fakty, uznał, że powinien spokojnie przejść przez rutynową kontrolę, a nawet nie powinien bać się ostrzejszej.

Posiedział w zaciszu biura jeszcze przez godzinę, aby obsada mostka przyzwyczaiła się do tego, że teraz dowodzi Jacovic, potem udał się do mesy, by zjeść kanapkę. Na koniec włączył rozrywkowe holo i oglądał je do momentu, w którym pojawiła się przed nim twarz Rachel, oznajmiając, że właśnie wyszli z tunelu czasoprzestrzennego.

- Jak tam sytuacja? - zapytał.

- Ten, no... Ośmiornica chce z panem rozmawiać.

- Świetnie, przełącz go tutaj.

Twarz watażki natychmiast pojawiła się przed ekranem.

- Jest pan gotowy do działania? - zapytał ośmiornica.

- Na to tylko czekam - zapewnił go Wilson. - Jak wam poszło?

- Załoga dziewięcioosobowa. Trzech nie żyje, sześciu rannych, wprawdzie nie są to śmiertelne obrażenia, ale pozwoliliśmy sobie na zaczerpnięcie krwi ze zwłok, żeby wyglądali jak trzeba.

- A co z okrętem?

- Prędkości światła raczej nie rozwinie, ale możemy zaholować go do tunelu czasoprzestrzennego Bassinger, który doprowadzi go na odległość pół roku świetlnego od Chambon V.

- Ile to zajmie? - zapytał Cole.

- Jakieś dwie godziny. Jeśli mówimy o skorzystaniu z tunelu.

- Ranni przetrzymają podróż?

- Aż tak bardzo nie są poranieni - odparł Ośmiornica - ale możemy ich uśpić albo zamrozić do momentu przylotu.

Cole pokręcił głową.

- Nie. Służby medyczne zorientowałyby się w kilka sekund, a ostatnie, czego potrzebuję, to ciągnące się godzinami przesłuchania. Przy odrobinie szczęścia wypuszczą mnie, zanim pierwszy z rannych opuści salę operacyjną, i będę mógł zniknąć w trzewiach bazy.

- Jedna dobra wiadomość w tym wszystkim - dodał Ośmiornica. - Z danych, jakie zgromadziliśmy, wynika, że na Chambon V stacjonuje prawie trzydzieści tysięcy ludzi i kosmitów. To ułatwi zniknięcie w tłumie. Obawiałem się, że tak niewielki okręt może być przydzielony do jakiegoś posterunku na zadupiu, gdzie wszyscy wszystkich znają.

- Świetnie - ucieszył się Wilson. - Wydam polecenie pilotowi, by podszedł do tego okrętu. Zanim dolecimy, proszę zadbać, by ranni stracili przytomność, tylko mi ich nie pozabijacie.

- Obniżymy im poziom tlenu - zaproponował ośmioręki. - I tak nie potrzebują go aż w takiej ilości... - zamilkł na moment. - Dlaczego chce pan, żeby byli nieprzytomni?

- Jeśli któryś z nich zobaczy, jak wchodzę na pokład, może to zapamiętać i zeznać podczas przesłuchań. Najlepiej więc, jeśli odzyskają przytomność później, kiedy odlecimy stąd, a ja przejmę kontrolę nad wszystkim. Są ranni, zamroczeni, brakuje im tlenu, kiedy zobaczą, że ktoś w mundurze Republiki krząta się wokół nich, przestaną myśleć o czymkolwiek i skupią się na swoich ranach.

- Jest pan pewien, że to zadziała? - zapytał z powątpiewaniem w głosie Ośmiornica.

- Powinno - odparł Cole. - Jediną alternatywą jest poza-

bijanie ich wszystkich.

„Teddy R.” podszedł do uszkodzonego okrętu Republiki kilka minut później i Wilson zaczął się przygotowywać do transferu.

- Jeszcze jedna sprawa - powiedział.

- Co takiego? - zapytał Ośmiornica.

Musimy ustalić jakieś hasło. Zakładając, że przeżyję, będę musiał ukraść inny okręt należący do floty albo przynajmniej zarejestrowany na terenie Republiki. Wolałbym nie zostać rozwalony na atomy, gdy będę nim wracał do domu.

- Proszę wybrać hasło.

- Cztery Oczy - powiedział Cole.

- Mogłem się domyślić - rzucił Ośmiornica. - Dobrze. Jak tylko wrócę na Stację Singapur, powiadomię o tym hasle wszystkie jednostki naszej floty.

- Dziękuję. Mam nadzieję, że nie będzie mi potrzebne.

Zgodnie z tradycją bóg opiekujący się wszystkimi astronautami uśmiechnął się gdzieś tam cynicznie i mruknął: *Tak, możesz mieć nadzieję.*

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Cole poczekał, aż Wxakgini podprowadzi „Teddy’ego R.” bliżej uszkodzonego okrętu. Gdy obie jednostki zrównały się prędkościami, rozpostarto rękaw, który połączył kadłuby i pozwolił otworzyć włazy. Kapitan przedostał się do wnętrza mniejszej jednostki i natychmiast rozkazał uszczelnić śluzę, aby „Teddy R.” mógł się powoli oddalić.

Cole rozejrzał się po wnętrzu zdobytego okrętu, Zauważył wejścia do czterech kabin, założył więc, że ranni członkowie załogi spoczywali w swoich kojach. Przeszedł do pomieszczenia sterowni - była zbyt mała, by zasłużyć na miano mostka. Z danych wyświetlanych na panelu kontrolnym wynikało, że okręt jest już holowany w kierunku tunelu czasoprzestrzennego. Znajomienie się z pozostałymi przyrządami zajęło mu kolejne kilka minut. Niewiele różniły się od wyposażenia innych jednostek klasy K, na których kiedyś służył. Dowiedział się też, że okręt nosi nazwę „Gwiazda Polarna” i został oddany do służby przed trzydziestu laty. Sprawdził przedział bojowy i połączył się z Ośmiornicą.

- Już ma pan problemy? - zapytał watażka. - Dałbym

głowę, że wszystkich uśpiliśmy.

- Nie, nie mam problemów - uspokoił go Cole. - Ale zauważyłem, że oni nie oddali nawet jednego strzału. Wydaje mi się, że moja historyjka byłaby wiarygodniejsza, gdybym mógł powiedzieć, że rozwalilem jeden albo dwa okręty wroga. Wolałbym uniknąć sądu polowego za narażenie własności Republiki na niebezpieczeństwo albo ucieczkę w obliczu wroga.

- W takim razie może pan pozbyć się części amunicji.

- Nie. Zamierzam postrzelać w przestrzeń. To pozwoli im stwierdzić podczas inspekcji, że broń była ostatnio używana. Chciałem tylko ostrzec pana i pozostałe jednostki, żebyście nie uznali przypadkiem, że załoga odzyskała kontrolę i zabiera się do rewanzu.

- Nie ma sprawy - stwierdził Ośmiornica. - Proszę dać mi trzydzieści sekund, a potem strzelać do woli. Niech mnie licho, pan myśli o wszystkim!

- Skoro Bozia nie dała mi pary w rękach, kompensuję sobie te braki, używając mózgu - odparł Cole.

Ośmiornica wybuchnął głośnym śmiechem.

- Wiedziałem, że pana polubię, Wilsonie Cole! A teraz proszę brać się do roboty, ma pan pięć minut do wejścia w tunel nadprzestrzenny. Lepiej, żeby pan nie zrobił czegoś takiego wewnątrz, te dziury dziwnie reagują na podobne przypadki.

Cole wystrzelił ze wszystkich dział po trzy, cztery razy.

- To powinno wystarczyć - stwierdził.

- W takim razie zostawiamy pana samego - odpowiedział Ośmiornica. - Trajektoria lotu doprowadzi pana do tunelu nadprzestrzennego za trzy i pół minuty. Okręt nie jest mocno uszkodzony, więc w razie kłopotów skoryguje pan kurs bez większego trudu.

- Dzięki.

- Powodzenia! I do zobaczenia po powrocie na Stacji Singapur.

Cole spojrział na ekran wizyjny. Nigdy wcześniej nie widział tunelu nadprzestrzennego. Teoretycznie nikt nie mógł go zobaczyć, choć Wilson podejrzewał, że Wxakgini i inni członkowie rasy Bdxeni potrafili obserwować podobne anomalie. Gdy zbliżał się do wylotu studni grawitacyjnej, wszystko zaczęło połyskiwać, a gdy wszedł w nią, wyglądało to tak, jakby cały wszechświat rozpadł się na strzępy. Mgnienie oka później wszystko znów wróciło do normy, widział nawet co jaśniejsze gwiazdy, ale niewyraźnie, jakby przez welon mrocznej mgły.

Poinstruował komputer pokładowy, aby ten powiadomił go na chwilę przed wyjściem z nadprzestrzeni, i ruszył w stronę kabin, aby sprawdzić stan rannych.

Wszyscy odnieśli paskudne kontuzje, nie musiał więc

obawiać się z ich strony jakiegokolwiek zagrożenia, kiedy wyjdą ze śpiączki. Spojrzał na nich raz jeszcze i westchnął głośno. Byli tacy młodzi. Ta dziewczyna mogłaby być Rachel, ten chłopak wyglądał zupełnie jak Chadwick, z kolei tamten to wykapany Morales, dzieciak, którego Cole stracił podczas pirackiego etapu kariery. Czy oni nie mieli tu jednego doświadczonego oficera, który znałby swoje rzemiosło na tyle, by zauważyć pułapkę zastawioną przez Ośmiornicę? Bezsensowne pytanie, gdyby był tutaj ktoś taki, Cole nie stałby teraz we wnętrzu tej jednostki, przyglądając się poparzonemu ciałom załogi.

Znalazł też ładownię, w której złożono zwłoki trójki poległych, skorzystał z krwi zabitego sierżanta, by wysmarować sobie mundur i twarz. Zapamiętał jego numer identyfikacyjny, a potem wystrzelił zwłoki w próżnię. Może uda mu się przejść wszystkie kontrole z lewymi dokumentami, a może nie, ale jedno było pewne - wpadłby od razu, gdyby po przeliczeniu załogi okazało się, że okręt wyleciał z dziewięcioma osobami na pokładzie, a z powrotem doliczył dziesięć.

Wrócił do sterowni, wprowadził dane sierżanta Leshego Ainge'a do komputera i wykasował zapisy dotyczące usuniętego członka załogi. Następnie zaczął studiować banki danych bazy na Chambon V. Była olbrzymia, o wiele większa, niż sądził, miała też doskonałe systemy zabezpieczeń - ale nimi nie musiał

się przejmować, zostanie odstawiony prosto do celu, daleko za linie obrony, pod silną eskortą. Znalazł też holo z projektem bazy, ale, niestety, była to raczej wizja architektów niż jej obraz finalny. Zakładał jednak, że wszystkie budynki, ulice i przejścia znajdowały się w tych samych miejscach, tyle tylko, że na planach brakowało ich opisów. Rozpoznał bloki koszar, stołówki, plac apelowy i lądowiska, ale zastosowania pozostałych piętnastu sporych budynków nie potrafił rozszyfrować. Skoro nie był w stanie ustalić lokalizacji centrum komputerowego, postanowił przyjrzeć się ewentualnym drogom ucieczki.

„Gwiazda Polarna” wydostała się w końcu z tunelu czasoprzestrzennego i po mniej niż pół minucie lotu w normalnej pustce została otoczona przez sześć okrętów Republiki.

Cole zobaczył przed sobą twarz oficera floty.

- Co tam się stało, do cholery? - zapytał.

- Wpadliśmy w zasadzkę na Granicy - zameldował Cole.

A niech to! - sklął się w duchu. Powinienem być pokryty krwią i zabandażowany. A tak dałem im dodatkowe pół godziny na obserwację mojej twarzy i porównywanie, czy odciski palców pasują do kogoś w bazach danych, na przykład do Wilsona Cole'a. Nie do wiary, przyskrzynili mnie w trzydzieści sekund po wyjściu z tunelu.

- Czy to był „Teodor Roosevelt”? - zapytał oficer.

- Tak mi się wydaje.

- Gdzie reszta załogi?

- Ponieśliśmy spore straty, sir. - *Czy tytułowałem go od początku rozmowy? Chyba nie. Ciekawe, czy to zauważył?* - Mamy sześciu rannych i dwóch zabitych.

- A co z wami? Odnieśliście jakieś obrażenia?

- Czuję straszny ból w głowie - odpowiedział Cole. - Chyba zaraz zemdleję...

Upadł na pokład.

Dobra, teraz przynajmniej nie będą się gapić na moją twarz. No i zyskuję tym jeszcze jedno. Skoro jestem nieprzytomny, zaholują mnie na odpowiednie lądowisko.

Słyszał wciąż głosy dobiegające z drugiego okrętu.

Przez te trzy lata uważaliśmy, że nie warto było go ścigać, ale to się chyba zmieni.

Czego ten człowiek chce, u licha? Cały czas trzymał się z dala od nas, a teraz zaczął nagle kęsać.

Ten sukinsyn najwyraźniej nie zamierza odpuścić! Może wydaje mu się, że tam, na Wewnętrznej Granicy, jest bezpieczny, ale damy mu popalić, jak każdemu buntownikowi.

Następne kilka minut Cole wysłuchiwał, czego to Republika nie robi kapitanowi „Teddy’ego R.”, jak już go dorwie. Potem wylądowali i wyniesiono go razem z pozostałymi rannymi

mi do szpitala na terenie bazy i umieszczono w sąsiadujących ze sobą izolatkach.

Cole przestał udawać nieprzytomnego, więc od razu przeniesiono go na salę wypełnioną podstarzałymi lekarzami, którzy natychmiast przystąpili do badań.

- Nie jestem ranny - powiadomił ich. - Walnąłem tylko głową o gródź, gdy trafił w nas strumień energii z działła pulsacyjnego.

- My jesteśmy od tego, żeby to ocenić, sierżancie - odparł jeden z medyków, podpinając go do kolejnych urządzeń.

- Chcę wrócić na kwaterę. Wyśpię się porządnie i będzie po krzyku.

- Puls w normie, ciśnienie krwi w normie, serce w normie, płuca w normie. Brak uszkodzeń twarzy i czaszki. Koordynacja ruchów w normie.

Doktor sprawdził jeszcze dziesięć innych odczytów, a potem, gdy Cole był pewien, że lada moment zostanie odesłany, starszy mężczyzna zmarszczył brwi.

- To dziwne - powiedziało.

- Co takiego?

- Twoja siatkówka oka. Nie pasuje do żadnego z zapisów, jakie mamy w bazach danych.

- Przeniesiono mnie do tej bazy na dzień przed lotem -

wyjaśnił Cole, ciesząc się, że odłączono go już od urządzenia mierzącego puls.

- Musimy je gdzieś mieć - mruknął lekarz. - Jak się nazywacie, sierżancie?

- Zaraz pokażę dokumenty - rzucił Wilson, Dzięki tej wymówce mógł zejść z kozetki, aby wyjąć lewe papiery z kieszeni spodni.

Doktor natychmiast podstawił je pod skaner.

- Nie mamy pana w naszych bazach danych, sierżancie Ainge - powiedział, marszcząc brwi. - Muszę wezwać ochronę, żeby zajęła się wyjaśnieniem tej sprawy.

- Proszę - odparł Wilson. - To powinno wyjaśnić wszystko. Wysunął w stronę lekarza kolejny podrobiony paszport i przeklinając pod nosem swoją niezdarność, upuścił go na podłogę w momencie, gdy medyk sięgał po niego. Doktor pochylił się od razu, by go podnieść, a Cole powalił go celnym ciosem w kark. Staruszek padł na podłogę, nie wydawszy żadnego dźwięku.

Wilson zdawał sobie sprawę, że jego upaprany krwią mundur będzie rzucał się w oczy. Sprawdził, czy doktor wciąż oddycha, potem rozebrał go, założył na siebie medyczny uniform i wyszedł na korytarz. Był pusty, wszystkie ekipy medyczne zajmowały się sześcioma rannymi marynarzami, mógł więc spokojnie opuścić budynek, wybierając drzwi znajdujące się na

drugim końcu korytarza.

Zdawał sobie sprawę, że ma zaledwie kilka minut, zanim doktor się ocknie albo ktoś wejdzie przypadkiem do gabinetu. Danych, po które przybył, z pewnością nie przechowywano w jednym miejscu. Cała baza była jedną gigantyczną siecią podłączoną do jednostki centralnej. Cole opuścił szpital, udał się spokojnym krokiem do sąsiedniego budynku, zsalutował przepisowo dwóm oficerom udającym się w przeciwnym kierunku, a potem uznał, że ma wystarczającą ilość czasu, aby pokonać jeszcze czterdzieści jardów i dotrzeć do kolejnych zabudowań - jeśli poszukiwania rozpoczną się za chwilę, najpierw zostanie sprawdzona najbliższa okolica. Wybrał więc za cel wielopiętrowy kompleks budynków.

Starał się zachowywać swobodnie, jakby miał pełne prawo przebywać w tym miejscu. Przeszedł przez hol, salutując każdemu napotkanemu oficerowi, i wjechał windą na trzeci poziom. Wysiadł z niej i ruszył graniastym korytarzem, zaglądając przez okienka w drzwiach do każdego mijanego biura. W końcu znalazł jedno puste.

Sprawdził drzwi, a gdy okazało się, że nie były zamknięte, wszedł do środka i przymknął lekko ciężkie skrzydło - wolał nie zatrząskiwać zamka, nie znając tutejszych kodów głosowych. Włączył komputer.

Niestety, do jego uruchomienia potrzebne było hasło. Christine udzieliła mu szybkiej lekcji na temat obchodzenia podobnych zabezpieczeń, ale za nim uporał się z tym prostym zadaniem, minęły długie denerwujące minuty, chociaż był pewien, że Mboya poradziłaby sobie z tym problemem w kilka sekund. Potem nie miał już żadnych problemów, odnalazł bez trudu rozkład lotów i wprowadził stosowne zmiany; było to możliwe dzięki temu, że Republika wciąż korzystała z tych samych kodów, jakich używano w czasach, zanim „Teddy R.” stał się wrogiem numer jeden każdego mundurowego.

Kilka chwil później usunął cyfrowe ślady włamania, dokładnie tak, jak go tego nauczyła Christine, wyłączył terminal, wrócił na korytarz i skierował się do wyjścia. Szło mu lepiej, niż przypuszczał. Musiał teraz dotrzeć do hangaru, w którym przechowywano niewielkie myśliwce, i odlecieć, zanim ktokolwiek zorientuje się w całym tym zamieszaniu.

Usłyszał krzyki dochodzące z budynku szpitala, zatem ktoś trafił już na ogłuszonego lekarza. Skierował się więc w przeciwną stronę, z trudem powstrzymując się od chęci podbiegania i pamiętając, aby salutować każdemu napotkanemu oficerowi. Wiedział, że w tak wielkiej bazie musi być kilka hangarów i w końcu za kolejnym zakrętem natknął się na jeden z nich.

Nikt nie pilnował tego budynku, co wydało mu się zaskakujące i nieco niepokojące. Wrzaski za jego plecami stawały się jednak coraz głośniejsze. Zamieszanie dawno już wykroczyło poza mury szpitala. Szukali go, a to znacznie ograniczało możliwości wyboru. Musiał skorzystać z tego właśnie hangaru i dokującej w nim jednostki.

Podszedł do wejścia, obejrzał się tylko raz, aby sprawdzić, czy nikt go nie widzi, i wszedł do środka.

Nagle usłyszał ryk syren alarmowych. Drzwi zamknęły się, zamki zaskoczyły, okna zostały przesłonięte tytanowymi płytami, a mechaniczny głos zaczął powtarzać:

- Wykryto skażenie wirusem. To człowiek, mężczyzna, pięć stóp dziewięć cali wzrostu, sto sześćdziesiąt funtów wagi, nieuzbrojony. Potrzebna pomoc.

- Szlag! - mruknął Cole. - Pięć lat temu nie mieliśmy takich systemów!

Wiedział, że pozostała mu co najwyżej minuta. Rozejrzał się. Najbliżej niego stał czteroosobowy myśliwiec. Podbiegł do niego, wspiął się do kabiny, włączył zasilanie i sprawdził uzbrojenie. Miał na pokładzie tylko działko laserowe pierwszej generacji, które nie było mocniejsze niż zwykły pistolet laserowy, tyle że miało o wiele większy zasięg.

Wiedział, że drzwi takich hangarów bywają wzmocnione,

obrócił więc okręciak wokół osi i wymierzył w ścianę, modląc się, by nie zbudowano jej ze zbyt trwałych materiałów. Nacisnął spust i przyciągnął manetkę gazu w tym samym czasie, mając nadzieję, że ściana wyparuje tuż przed tym, jak jego myśliwiec doleci do miejsca, w którym się znajdowała.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Cole spodziewał się podświadomie uderzenia w ścianę, ale ta zniknęła kilka mikrosekund wcześniej, nim do niej dotarł. Przeleciał jeszcze kilkaset metrów, trzymając się tuż nad powierzchnią ziemi, a potem wyprysnął prosto w stratosferę. Nie mógł wprost uwierzyć, że nie został jeszcze zestrzelony, ale najwyraźniej nikt się nie spodziewał, że dotrze do tego hangaru i zdoła z niego wylecieć. Pierwsze promienie laserów minęły kadłub o włos, gdy wylatywał poza atmosferę planety, gdzie mógł przyspieszyć powyżej prędkości światła, nie narażając się na spalenie.

Wiedział, że będą się spodziewali jego ucieczki w kierunku Wewnętrznej Granicy, miał też świadomość, że dysponuje zbyt wolnym przyspieszeniem, by ująć ewentualnej pogoni, i za słabymi osłonami, aby przetrzymać ostrzał, nie mówiąc już o sile broni. Skierował więc myśliwiec głębiej w terytorium Republiki i kazał komputerowi nawigacyjnemu wyświetlić hologram otaczającego go sektora. Zaczął szukać miejsca, w którym mógłby wylądować i zdobyć mniej rzucającą się w oczy jednostkę.

Najbliższą zamieszkaną planetą była Serena II, ale znaj-

dowało się na niej zaledwie kilka wielkich farm. Na powierzchniach dwóch następnych planet tlenowych mieściły się jedynie kopalnie. Cole potrzebował czegoś większego, miejsca, w którym mógłby ukryć okręt i zdobyć nowy środek transportu, i na którym sam mógłby się ukryć, gdyby zaszła taka potrzeba. Skierował się na Piccoli III, planetę posiadającą dziewięćdziesiąt osiem procent standardowej grawitacji, normalną zawartość tlenu i wielki port handlowy, w którym mieszkało około trzystu tysięcy ludzi i przynajmniej kilka tysięcy kosmitów różnych ras.

Flota ruszyła za nim w pościg, to było pewne, ale przy prędkości światła nie mógł widzieć tych okrętów na ekranach ani potwierdzić ich obecności innymi urządzeniami pokładowymi. Znalazł odpowiedni tunel czasoprzestrzenny, wleciał w niego i kilka chwil później wynurzył się opodal systemu Piccoli. Od razu skierował się na trzecią planetę i wszedł w jej atmosferę.

- Komputer - odezwał się - gdzie znajdę mechanizm katapultujący?

- Ten okręt nie został wyposażony w taki mechanizm.

- Cudownie - wymamrotał Cole. - A mamy na pokładzie tego pieprzonego złomu choć jeden spadochron?

- Nie.

- Musisz mieć jakieś systemy bezpieczeństwa - powiedział

Wilson. - Co ma robić załoga, kiedy okręt zostanie uszkodzony podczas walki?

- Posiadam na wyposażeniu cztery skafandry próżniowe na wypadek ewakuacji w przestrzeni kosmicznej i cztery plecaki odrzutowe do użycia w obrębie atmosfery.

- Gdzie znajdę te plecaki?

Komputer wskazał mu drogę do właściwego magazynu. Cole wyjął jeden i natychmiast założył, polem wyszukał w przyległej zbrojowni pistolet laserowy i przytroczył go sobie do uda.

- Czy twoje sensory są w stanie namierzyć rejon, w którym nie ma ludzkich siedzib przynajmniej w promieniu dziesięciu mil?

- Jest taki górski szczyt na trzydziestym siódmym stopniu, osiemnastej minucie i czwartej sekundzie...

- To mi wystarczy - przerwał mu Cole. - Wejdz w atmosferę, skieruj się na to miejsce i daj mi znać na sześćdziesiąt sekund przed przylotem.

Komputer pokładowy milczał przez niemal trzy minuty, a potem zameldował:

- Znajdujemy się o sześćdziesiąt sekund lotu od szczytu góry.

- Otwórz właz.

Polecenie zostało wykonane.

- Chcę, abyś rozbił się o tę górę! - zawołał Wilson.

- Nie mogę wykonać tego rozkazu. Wbudowano mi instynkt samozachowawczy.

- To rozkaz o priorytecie R1.

- Uderzenie nastąpi za czterdzieści dwie sekundy.

Cole wyskoczył na zewnątrz kadłuba. Gdy opadł na wysokość piętnastu tysięcy stóp, aktywował silniki plecaka. Pozostał w miejscu wystarczająco długo, by zobaczyć eksplozję na stoku góry, a potem od razu skierował się na południe. Nie miał pojęcia, jak daleko było do najbliższego miasta, ale przypuszczał, że dotrze w jego pobliże na długo przed tym, nim skończy się paliwo. Zdecydował też, że będzie leciał na wysokości około dwustu stóp. Nie obawiał się namierzenia przez sensory, wołał być bliżej ziemi, na wypadek gdyby ktoś go ostrzelał. To dawało mu szansę na szybkie lądowanie i znalezienie kryjówki.

Wydawało mu się, że ta podróż zabrała pół dnia, chociaż tak naprawdę nie mogła trwać dłużej niż godzinę, ale w końcu ujrzał miasto na horyzoncie. Nie było wprawdzie zbyt wielkie, mogło liczyć co najwyżej czterdzieści tysięcy mieszkańców, ale i tak musiał wylądować. Flota z pewnością śledziła jego lot w stronę Piccoli III i na pewno znalazła już wrak rozbitego okrętu. Kolejną godzinę albo i dwie zajmie im odkrycie, że wewnątrz nie ma ciała, a wtedy ruszą na poszukiwania. Wołał nie być

zbyt łatwym celem, gdy znajdą się w tej okolicy.

Mniej więcej milę po prawej od trasy przelotu dostrzegł farmę hodującą wielkie, zmutowane pomidory. Skierował się prosto na nią. Na polu zobaczył pracującego człowieka - te owoce były zbyt delikatne, by ich zbieranie powierzyć maszynom - ale gdy wylądował obok niego, okazało się, że ma do czynienia z robotem.

Zbieracz zamarł, spoglądając w jego kierunku, jakby oczekiwał na wydanie polecenia.

- Kto tu rządzi? - zapytał Cole, zdejmując plecak.

- Musi pan zadać bardziej konkretne pytanie - odparł robot. - Chodzi panu o farmę, miasto, planetę, sektor czy Republikę?

- O farmę.

- Firma McDade z siedzibą na Dalekim Londynie, proszę pana.

- Spróbujmy z innej strony - zaproponował Wilson. - Kto wydaje ci polecenia?

- Dozhin, proszę pana.

- Dozhin - powtórzył kapitan. - To człowiek czy kosmita?

- On nie jest człowiekiem, proszę pana.

- A jest gdzieś w pobliżu?

- Tak.

- W takim razie pozwolisz, że użyję mojego ulubionego powiedzenia na takie okazje: zabierz mnie do swojego przywódcy.

- Nie rozumiem tego rozkazu, proszę pana - stwierdził robot. - Jestem tu sam. Nikt mi nie przewodzi.

Zabierz mnie do Dozhina.

- Proszę za mną.

Robot ruszył przed siebie różnym krokiem, a Cole poszedł jego śladem. Po pokonaniu mniej więcej pół mili dotarli do niewielkiej kopulastej struktury. Miała nie więcej niż dwadzieścia stóp średnicy.

- Proszę wejść - powiedział robot, odsuwając się na bok.

- Dlaczego nie wejdiesz tam i nie zapowiesz mu gościa? - zapytał Wilson, rzucając plecak w krzaki.

- Robotom nie wolno wchodzić do prywatnych pomieszczeń Dozhina, proszę pana - wyjaśnił mechaniczny przewodnik.

- Świetnie. W takim razie dalej dam sobie radę sam - stwierdził Cole. - Dziękuję za pomoc... Masz jakieś imię?

- Nie wiem, proszę pana. Dozhin woła na mnie HT23. Większość ludzi mówi do mnie chłopcze albo robocie.

- Cóż, w takim razie dziękuję ci, HT23.

- Nie ma za co, proszę pana. Czy mogę już wracać do pracy?

- Tak.

Robot odwrócił się i ruszył na pole, a Wilson podszedł do drzwi kopuły. Te wyczuły jego obecność, pojawiła się nad nimi holokamera, aby przekazać obraz gościa gospodarzowi tego niewielkiego domku.

- Wejść - zza drzwi dobiegł syczący, obco brzmiący głos.

- Dziękuję - odparł Cole, przekraczając próg.

Znalazł się przed niewielką, bardzo smukłą istotą o brązowoczerwonej skórze. Humanoidalną, ale na pewno niemożliwą do pomylenia z człowiekiem, Oczy miała wąskie, pionowe, nos tak długi, że wydawał się chwytny, usta idealnie okrągłe. Całą jej skórę pokrywały rdzawe wypustki, im bliżej podchodził Wilson, tym mniej przypominały włosy.

- Nazywam się Leslie Ainge - powiedział. - Zepsuł mi się pojazd. Chciałem zapytać o drogę albo, jeśli to możliwe, o podwiezienie do najbliższego astroportu.

- To możliwe - odpowiedziała istota. - Ale nie dla Leshego Ainge'a, który nie istnieje, przynajmniej na Piccoli III.

- Mogę okazać paszport.

- Wiem, że możesz - zgodził się kosmita. - Tak jak wiem, że pewnie przeszedłbyś z nim każdą kontrolę na okolicznych planetach, no, może za wyjątkiem dwóch albo trzech, kapitanie Cole.

W tej samej sekundzie Dozhin spoglądał w wylot lufy pistoletu laserowego.

- Odlóż to, kapitanie Cole - poprosił kosmita. - Nie darzę cię nienawiścią i nie mam powodów, by kochać Republikę.

- Dlaczego uważasz, że nazywam się Cole?

- Przejąłem transmisję floty mówiącą o tym, że DNA jakiegoś zbiega, który trzy godziny temu opuścił system Chambon, pasowało do poszukiwanego listem gończym Wilsona Cole'a. Wiem, że żaden statek nie wylądował dzisiaj w naszym astroporcie. Wiem też, że jesteś obcy na Piccoli III. Czy mógłbym wyciągnąć z tych faktów inne wnioski? - Spojrzał na kapitana. - Czy możesz opuścić broń?

Cole wsunął pistolet do kabury na prawym udzie.

- Dobrze - powiedział. - I co teraz?

- Teraz zaoferuję ci schronienie na tak długo, jak zechcesz - poinformował go Dozhin. - Osiadłem tutaj, ponieważ ludzie zmienili klimat na Cicero VII, która prócz tego, że zносиła waszą kolonię, była także moim domem, tam się bowiem urodziłem.

- Pamiętam, mówiono o tej sprawie, kiedy jeszcze służyłem Republice - stwierdził Wilson. - Słyszałem, że tam było prawdziwe piekło. Masz szczęście, że przeżyłeś.

- Straciłem rodziców, żonę, dzieci i dom - wyliczył kosmita. - Mam gdzieś takie szczęście.

- Przykro mi to słyszeć.

- Przykro mi to przeżywać. Dlatego zaoferowałem ci schronienie przed Republiką.

- Ale pracujesz na planecie należącej do Republiki.

- Trudnię się rolnictwem. Oni zniszczyli moje pola. Jeśli mam kontynuować moją pracę, muszę mieszkać na planecie, która wydaje plony. Ofiarowali mi tę chatkę jako rekompensatę. Z przyjemnością będę ją dzielił z tobą.

- Jestem niezmiernie wdzięczny za tę ofertę, ale muszę uciekać z Piccoli. Okręt, którym tutaj przyleciałem, rozbił się. Potrzebuję statku, który zabierze mnie na pokład macierzystej jednostki, albo chociaż na terytorium Wewnętrznej Granicy.

- To może być trudne - przyznał Dozhin. - Wiem, że okręty floty leciały za tobą aż na Piccoli III. Zniszczenie okrętu, aby pomyśleli, że nie żyjesz, tylko odwleka w czasie moment odkrycia prawdy. Niedługo zorientują się, że wewnątrz nie ma ciała, a jeśli zadbałeś o to, by tam było, zwykłe porównanie DNA wykaże, że nie należało do ciebie. Na pewno roześlą po całej planecie patrole, aby cię znaleźć. Co gorsza, na pewno będą pilnowali jej z orbity, mając rozkaz zestrzelenia każdego statku, którego kapitan, załoga albo ładunek wydadzą im się podejrzane.

- Znając flotę, już sam fakt opuszczenia planety sprawi,

że każda jednostka wyda się podejrzana - powiedział Cole.

- Mogę cię zaprowadzić do statku albo do jego właściciela czy wypożyczalni - ciągnął kosmita - ale jest bardziej niż pewne, że zostaniesz w nim zestrzelony.

- Nie mogę zostać tutaj do końca życia. Wolę już spróbować szczęścia na pokładzie statku...

- Zdaje się, że nie rozumiesz powagi sytuacji - przerwał mu Dozhin. - Reszta twojego życia może być równie dobrze liczona w godzinach, co i minutach, jeśli opuścisz te planetę teraz, gdy otacza ją kordon okrętów floty.

- Jeśli jest choć cień szansy, spróbuję. Muszę wrócić na mój okręt. Wszedłem w posiadanie bardzo ważnych informacji. Nie miałem szans na transmitowanie ich z bazy, a stąd nie odważę się tego zrobić. Mogą przejąć wiadomość, złamać, a potem przesłać dalej zmienioną, aby wciągnąć w pułapkę „Teddy’ego R.” i resztę mojej floty.

- Powiedzieliś: floty? - zapytał kosmita.

- Tak.

- Ile okrętów masz pod swoim dowództwem?

Cole wzruszył ramionami.

- Trochę więcej niż czterysta.

- Czterysta... - mruknęła istota. - Interesujące.

Wilson posłał jej pytające spojrzenie.

- Znam kogoś, człowieka, który może ci pomóc. Ale może też zaszkodzić. Za twoją głowę wyznaczono wysoką nagrodę. Ona może go skusić do wydania cię. Ale jeśli tego nie zrobi, może być pomocny.

- Zdaje się, że nie jesteś zbyt pewny tego typu zauważył Cole.

- Nie jestem. Ale ty nie masz zbyt wielkiego wyboru. Możesz spróbować ukraść statek i nie dać się zestrzelić. Możesz ukryć się tutaj, licząc na to, że rewizje nie obejmą tej farmy. Albo możesz podjąć ryzyko spotkania z człowiekiem, który przy sprzyjających okolicznościach potrafi ci pomóc. Co wybierasz?

- A jak sądzisz? Idę na całość - stwierdził Wilson. - Prowadź mnie do tego przyjaciela.

- To nie jest mój przyjaciel - zapewnił go Dozhin. - Nie lubię go nawet... - Zamyślił się na chwilę. - Prawdę powiedziawszy, wątpię, by ktokolwiek na Piccoli III żywił wobec niego przyjazne uczucia.

Świetnie, pomyślał Cole. Jak pech, to pech. Na całego.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Dozhin odprowadził Cole'a do niewielkiego miasteczka. Była to typowa miejscowość, tak charakterystyczna dla kolonizowanych powoli planet, czyli, prościej mówiąc, rozbudowywana bez żadnego pomysłu i planu. Na początku składała się z zaledwie kilku domów - niemal wyłącznie kopuł geodezyjnych - potem dostawiono skład towarów, bank, drugi, większy i lepszy sklep, salon sprzedaży pojazdów, hurtownię zaopatrzenia rolniczego, a wkrótce po nich wszystko to, bez czego nowoczesne miasto nie potrafi się obejść: restauracje, hotele, lokale rozrywkowe i sklepy branżowe - ale na tym etapie rozwoju wszyscy szli już na żywioł. Oryginalne kopuły wciąż stały, kolejne domostwa i firmy stawiano tam, gdzie znaleziono skrawek przyjaznej ziemi. Uliczki były kręte, w morzu parterowej zabudowy co rusz odznaczały się wysokie domy. Chociaż Cole wiedział, gdzieś tutaj znajduje się kosmoport, nie był w stanie go wypatrzeć.

- Jak nazywa się to miejsce? - zapytał, gdy zbliżali się do granic miasta.

- Piccoli III - odparł Dozhin.

- Chodziło mi o miasto.

- Płatek.

- Nie widzę tutaj żadnych kwiatów, nie mówiąc już o płatkach - zauważył Cole.

- Tak nazywał się pierwszy osadnik - wyjaśnił kosmita. - Prawdę powiedziawszy, krąży taka legenda, że nazywał się Płatekieszyński, ale kiedy robotnicy zaczęli wypisywać jego nazwisko na szyldzie sklepu, który założył, zorientowali się, że zrobili to zbyt dużymi literami. Zamiast wziąć się do roboty raz jeszcze, skrócili mu nazwisko do Płatek.

- Zdaje się, że zmieniacie tutaj nazwiska równie łatwo jak mieszkańcy Wewnętrznej Granicy.

- Może on właśnie stamtąd pochodził.

- A jak nazywa się człowiek, z którym zamierzamy się spotkać? - zapytał Cole.

- Lafferty.

- Czy on ma jakieś imię?

- Prawdopodobnie ma - odparł Dozhin - ale uległo zapomnieniu, skoro nikt go od tak dawna nie używał.

- Gdzie go znajdziemy?

- W takiej niewielkiej księgarence, około ćwierci mili stąd.

- Powiedziałaś: księgarence?

- Sprzedaje tam książki, taśmy, dyski, sześciany, holo. Książek to zbyt wielu u niego nie znajdziesz, ale zjeżdżają się tu

po nie kolekcjonerzy z całego sektora i nie tylko.

- Coś czuję, że jednak dojdę z nim do porozumienia.

- Nie dojdiesz - zapewnił go kosmita. - Nikomu się to nie udaje.

- Zobaczysz.

Przebyli resztę drogi w milczeniu i weszli do niewielkiego sklepiku, nie miał więcej niż czterdzieści metrów kwadratowych. W jego wnętrzu nie było nikogo, więc Wilson zabrał się do oglądania wystawionych towarów, ale Dozhin ani na moment nie odstępował drzwi. W panczernej gablocie zgromadzono około trzydziestu książek, cała reszta oferty była zwykłą rozrywkową tanioczą.

Zanim Cole oderwał wzrok od grzbietów książek, usłyszał za plecami głos:

- Czym mogę służyć?

- Szukam pierwszego wydania „Dumy i uprzedzenia” - odparł Wilson.

- Nie pan jeden - odparł żylasty, siwowłosy mężczyzna. - Ile planet zamierza pan za nią oddać?

- A co pan powie o oryginalnej limitowanej edycji „Siedmiu filarów mądrości”?

- Dlaczego nie poprosi pan o coś prostszego, na przykład o jakieś królestwo dla siebie?

- Dobrze - zgodził się Cole. - Niech będzie bezpieczny transport na Wewnętrzną Granicę, abym mógł wrócić na mój okręt.

Oczy starca zrobiły się szersze, gdy spoglądał uważnie na twarz Wilsona.

- Czy pański okręt nazwano po jednym z pisarzy?

- Między innymi.

- Wiele o panu słyszałem, panie Cole.

- A ja o panu naprawdę niewiele, panie Lafferty.

- Co każe panu przypuszczać, że mu w tym pomogę? - zapytał księgarz.

- Nie co, a kto. Dozhin mi to doradził - odparł Wilson.

- Nie jestem za dobry w słownych gierkach stwierdził starszek. - Dlaczego uważa pan, że po mogę skazanemu buntownikowi?

- Może dlatego, że obaj nie darzymy Republiki sympatią.

- Ja głównie za to, jak traktuje się w niej inne rasy - przyznał Lafferty. - Zatem rodzi się kolejne pytanie: Dlaczego miałbym pomóc komuś, kto zbuntował się przeciw swojemu dowódcy, kosmicie?

- Stacjonowaliśmy w gromadzie Kasjusza... - zaczął Cole.

- Nic mi o tym nie wiadomo - przerwał mu księgarz.

- Jak większości obywateli Republiki - zgodził się kapitan.

- Jest tam tylko kilka zamieszkaných planet, jedynie dwie posiadają spore populacje. Na obu rozmieszczono gigantyczne składy paliwa. Rozkazano nam, abyśmy za wszelką cenę uniemożliwili przejęcie ich flocie Teroni. - Mięśnie na twarzy Cole'a stężały, gdy przypomniał sobie tamto zajście. - Byliśmy jedyną jednostką Republiki w tej pieprzonej gromadzie, a tu niespodziewanie pojawia się uzbrojona po zęby Piąta Flota Federacji. Mój dowódca, Polonoi imieniem Podok, uznała, że jej nadrzędnym celem jest uniemożliwienie wrogowi przejęcia zapasów paliwa. Ale nie mieliśmy szans na powstrzymanie dwustu ogromnych okrętów wojennych klasy M, więc skierowała działa na jedną z tych planet. Wyszadziliśmy zgromadzone tam zapasy, a przy okazji trzy miliony mieszkańców. Chciała zrobić to samo z drugą planetą, na której żyło ponad pięć milionów ludzi. Wtedy odebrałem jej dowodzenie i dogadałem się z komandorem Jacovicem, który dowodził flotą wroga, że może przejść paliwo pod warunkiem, że nikomu na planecie nie spadnie włos z głowy, a my dostaniemy gwarancję bezpiecznego opuszczenia gromady. Zgodził się na te warunki i tak się rozstaliśmy.

- Powinni panu dać za to medal, a nie skazać na śmierć - zauważył Lafferty po dłuższej chwili.

- Też mi się tak wydawało - przyznał Cole. - Tyle tylko, że Podok poszła z tym do prasy, a ta podchwyciła historyjkę o tym,

jak człowiek zbuntował się przeciwko kosmicie tylko dlatego, że tamten awansował szybciej, i stało się jasne, że oczyszczenie mnie z zarzutów i przywrócenie na stanowisko dowódcy może doprowadzić do szeregu buntów i zamieszek międzyrasowych. Nie miałem szans na uczciwy proces, więc moi ludzie wykradli mnie i więzienia i razem zbiegliśmy na Wewnętrzną Granicę.

- To stawia sprawę w zupełnie nowym świetle - przyznał księgarz.

- Zatem pomoże mi pan? - zapytał Wilson.

- To zależy.

- Od czego?

- Od tego, czy osiągniemy qui pro quo - odparł Lafferty.

- Przyznam, że nie rozumiem.

- Pomożemy panu, jeśli i pan nam pomoże.

- Jacy my? - zdziwił się Cole.

Lafferty spojrzał na Dozhina.

- Możesz zostać tutaj i posłuchać, o czym rozmawiamy, albo wyjść na zewnątrz i udawać dalej, że nie wiesz, co się tutaj dzieje. Bez względu na to, co zrobisz, nie pożyjesz dłużej niż godzinę, jeśli ktoś inny usłyszy moje słowa.

- Zostanę - odparł kosmita.

- Nie chce pan najpierw zamknąć sklepiku? - zapytał kapitan.

- Wszyscy widzieli, jak pan tu wchodzi. Po co ściągać na siebie dodatkową uwagę, udając, że to nie miało miejsca?

- Skoro pan tak mówi... - Wilson musiał przyznać, że starszek znał się na rzeczy.

- Dobrze, panie Cole - powiedział Lafferty. - Pan i ja mamy jedną wspólną cechę: obu nam Republika nie jest do niczego potrzebna. Nie wiem, co pan tu robi, ale mogę się domyślać. Dysponuje pan okrętem wojennym...

- Prawdę powiedziawszy, czterystoma okrętami - poprawił go kapitan.

- Proszę, proszę. A ja mówię o komórkach organizacji działającej na dziesiątkach planet. Naszym celem jest obalenie Republiki.

- Daj pan spokój - zachnął się Cole. - Wy macie kilka dziesiątek komórek, a oni kilka milionów okrętów wojennych.

- Od czegoś trzeba przecież zacząć - uspokoił go księgarz. - A skoro mowa o konkretach, zapewniam pana, że chcemy to zrobić bez oddania jednego strzału.

- Nie jestem rewolucjonistą - przerwał mu Wilson - tylko zbiegiem, za którego wyznaczono wysoką nagrodę.

- Podobnie jak Robin Hood.

- Robin Hood nigdy nie istniał. Ja dysponuję czterystoma jednostkami, z których co najwyżej dwadzieścia można uznać

za okręty wojenne. Mam też ze dwa tysiące ludzi, których nie zamierzam poświęcać dla zasady, żeby nie wiem jak była szlachetna. Naszym celem jest przeżycie, a nie zapisanie się w jak najbardziej krwawy sposób przed własną śmiercią.

- Musimy obalić tyranię Republiki - naciskał Lafferty. - U podstaw jej założenia leżały naprawdę szlachetne cele, ale dzisiaj jest nieludzko opresyjna i przeżarta korupcją.

- Nie chcecie jej obalać - zapewnił go Cole. - Tylko flota Republiki może was obronić przed agresją Teroni.

- Dlaczego pan sądzi, że Federacja będzie gorsza od Republiki?

- Choćby dlatego, że nie zażąda kontrybucji za każdą utraconą jednostkę i każdego zabitego Teroni. Federacja może to zrobić. Może mi pan wierzyć, że jej straty w ciągu minionego ćwierćwiecza były gigantyczne.

- No dobrze - burknął księgarz. - Twierdzi pan, że nie chce obalać Republiki. Nie jest pan też złodziejem. Dlaczego więc zakrada się pan na naszą stronę granicy?

- Nie zamierzam obalać Republiki - wyjaśnił Cole - ale chcę, aby jej flota wyniosła się z terytorium Wewnętrznej Granicy. Rząd nie ma tam żadnej władzy ani interesu, a my nie zamierzamy tego dłużej tolerować.

- Aha! - zawołał Lafferty, uśmiechając się od ucha do

ucha. - W takim razie myślę, że mimo wszystko dojdziemy do porozumienia.

Wilson popatrzył na niego pytająco.

- Zatem słucham.

- Mogę zapewnić panu kolejne czterysta, jeśli nie pięćset jednostek, jak również nieprzerwany strumień wiadomości, i to nie tylko ze zwykłych źródeł wewnątrz Republiki. Mamy pewną ilość tajnych agentów, oczywiście nie podam panu ich nazwisk, którzy służą we flocie.

- Ile litrów krwi mam oddać w zamian? - zapytał podejrzliwie Cole.

- Ani jednego - zapewnił go księgarz.

- Doprawdy? Zatem zrobi pan to z czystej dobroci serca?

- Nie. Skoro nie zaatakuję pan floty tutaj, niech pan to robi po drugiej stronie Granicy.

- Republika toczy wojnę. Może wypadaloby się zastanowić przez chwilę, kto jest prawdziwym wrogiem?

- Proszę nie moralizować - stwierdził Lafferty. - Właśnie usłyszałem historię pańskiego życia, z której wynika, że pana prawdziwym wrogiem był dowódca okrętu Republiki i tak zwana wolna prasa.

Cole już zabierał się do udzielenia naprawdę dosadnej odpowiedzi, ale powstrzymał się i wrzucił ramionami.

- Masz rację, stary draniu. Każdy z nas ma swojego wroga i przy tym pozostajemy.

Księgarz uśmiechnął się i wyciągnął kościstą dłoń, którą Wilson od razu uściskał.

- Zabiorę pana do kosmoportu - oznajmił Lafferty. - Pożyczę panu mój statek, razem z pilotem.

- Brzmi nieźle - przyznał kapitan.

Staruszek zaprowadził go razem z kosmitą do wielkiego pojazdu.

- Proszę wsiadać. Dozhin bywa moim kierowcą, jeśli uda mi się go oderwać od molestowania tych biednych robotów.

W niespełna dziesięć minut dotarli do niewielkiego kosmoportu. Statek Lafferty'ego został już wyprowadzony z hangaru i wyglądało na to, że jest gotowy do natychmiastowego startu.

- A gdzie pilot? - zapytał Cole.

- Pewnie w barze. Chodźmy, przedstawię go panu. To też spiskowiec.

- Ilu was jest?

- W tym sektorze kilkuset. Wolę nie wiedzieć, jak się rzeczy mają w innych rejonach i kto tam dowodzi, na wypadek gdyby Republika chciała wyciągnąć ze mnie tę wiedzę torturami, ale szacujemy, że jest nas już dziesięć tysięcy.

- Republika zazwyczaj nie torturuje wrogów - powiedział Wilson. - Nie wmówi mi pan, że coś takiego ma tu miejsce.

- Nie zamierzam niczego panu wmawiać - zapewnił go księgarz. - Jeśli nie da się pan złapać, będzie mógł pan żyć dalej w tym przeświadczeniu.

- Nie piję ludzkiego alkoholu - wtrącił Dozhin, gdy zbliżyli się do baru.

- W takim razie zajrzyj do sali dla kosmitów, jest tam za rogiem.

- Przybywam tutaj w interesach - zaprotestował czerwonoooki, wyciągając rękę.

- Wydawało mi się, że gramy w tej samej pieprzonej drużynie - mruknął Lafferty, sięgając do kieszeni i wyciągając sporą garść dolarów Marii Teresy. - Masz, mały krwiopijco. I przynieś resztę.

Dozhin przyjął banknoty, przeliczył je skrupulatnie, a potem oddalił się szybko za róg.

- Pozwoli pan, że zapytam, tak z ciekawości, ile okrętów floty zniszczyliście do tej pory?

- Kilka - odparł Cole. - Nie za wiele.

- Trzeba to zmienić.

- Racja.

- Przynajmniej na jakiś czas - dodał Lafferty.

- Flota nigdy nie przypuści frontalnego ataku na Granicę
- odparł Wilson. - Nie może pozwolić sobie na wycofanie wielkiej ilości okrętów z teatru wojny.

- Jest pan tego pewien?

- Tak.

- I będzie pan nadal, do momentu, w którym Republika uzna, że stanowi pan dla niej zagrożenie większe niż Teroni.

- Nie wyślą na Granicę tak wielu okrętów, by można im zadać naprawdę poważne straty.

- Owszem, wyślą, kiedy tylko stanie się jasne, że pan stoi za tymi atakami - stwierdził Lafferty. - Gdybym nie był o tym przekonany, nie pomagałbym panu i nie narażał się na wydatki, sponsorując paliwo, jakie zużyje pan w ciągu najbliższych dwóch dni. - Dotarli pod drzwi baru. - To tutaj.

Przy kontuarze stał samotny młodzieniec. Księgarz i Cole podeszli prosto do niego.

- Haroldzie, przywitaj się z najbardziej poszukiwanym zbiegiem w Republice.

Mężczyzna zmierzył Wilsona wzrokiem i wrzucił ramionami.

- Wybacz, nie zrozumiałem żartu.

- To Wilson Cole.

Harold pokręcił głową.

- Wiem, jak wygląda Wilson Cole. Wiele razy widziałem jego twarz na plakatach i holo... - Raz jeszcze obrzucił go wzrokiem. - Jest podobny, ale to nie on. - Muszę pogratulować mojemu charakteryzatorowi - stwierdził kapitan, uśmiechając się szeroko.

- To naprawdę pan? - zapytał podekscytowany chłopak.

- To naprawdę ja.

- Przybywa pan, aby poprowadzić nas do boju przeciw Republice? - zapytał Harold z żarliwością w głosie.

- Moja wojna z Republiką ogranicza się do terytorium Wewnętrznej Granicy - wyjaśnił Cole.

- Jeśli oczyści pan swoje terytorium z Republikanów, może zrobi pan to i tutaj?

- Hm, widziałeś kiedyś bazę wojskową na Chambon V? - zapytał Wilson.

- Tak.

- Robi wrażenie, nieprawdaż?

- Gdyby nie to, już by nie istniała - zapewnił go pilot.

- Pozwól, że coś ci powiem - zaczął Cole. - Republika ma ponad trzysta takich baz rozsianych po galaktyce, a większość z nich jest trzy-, a nawet dziesięciokrotnie większa od waszej. Nie zdołacie pokonać Republiki ani zmusić jej floty do poddania się.

- Przecież większość jej sił będzie nadal zaangażowana w konflikt z Teroni - odparł chłopak.

- Jeśli sytuacja wewnętrzna zrobi się wystarczająco niebezpieczna, rząd natychmiast wygasi konflikt i zajmie się ukręceniem waszych głów. Wystarczy, że odda trzecią część terytorium, w tym wszystkie zewnętrzne światy, takie jak wasz, i w pięć minut zapanuje pokój. Obawiam się jednak, że pod władzą Federacji Teroni nie będziecie szczęśliwsi niż teraz.

Harold spojrział na Lafferty'ego.

- Jest pan pewien, że to facet, którego flota usiłuje zabić od kilku lat?

- Jestem realistą i tyle - oświadczył Cole. - A jeśli uda mi się wybić wam z głowy jakiegokolwiek samobójcze misje, będzie lepiej dla nas wszystkich.

- Facet gada do rzeczy - stwierdził księgarz. - Musimy zmiękczyć flotę, zanim zgromadzimy odpowiednie siły. On tak właśnie postępuje.

- Wydawało mi się, że mówił wyłącznie o terytorium Wewnętrznej Granicy - zauważył Harold.

- Bo mówił - zgodził się Lafferty. - Od czegoś musimy zacząć. A flota na Granicy jest słabsza niż gdziekolwiek indziej.

- Co on robi w takim razie na terytorium Republiki, bo jedno jest pewne, że nie przybył tutaj, by rekrutować ludzi?

- Ukradł flocie ważne dane - wyjaśnił staruszek. - Pożyczam mu mój statek, by mógł wrócić na Granicę.

- Już go nie zobaczysz - mruknął Harold.

- Podziwiam zaufanie, jakim mnie darzysz - wtrącił rozżalony Cole.

- Byłeś jednym z moich bohaterów - wyznał chłopak. - Ale nie zachowujesz się jak bohater.

- Flota go dopadła, ale jej uciekł - przypomniał mu Lafferty. - I ciągle żyje. To chyba dość heroiczny wyczyn.

W tym momencie do baru wszedł Dozhin.

- Jesteście już gotowi do odlotu? - zapytał.

- Umiesz pilotować statek? - odparł pytaniem na pytanie Cole.

- Jasne. Tak właśnie dotarłem na Piccoli III.

Wilson spojrzał na Lafferty'ego.

- Chcę, żeby to on odwiózł mnie na Stację Singapur.

- Ale moim pilotem jest Harold...

- Twoim, ale nie moim.

- A co mi tam... - mruknął księgarz. - Chcesz go, jest twój.

- Masz ten statek dopiero od roku - wtrącił się chłopak. - Jesteś pewien, że chcesz go oddać w ręce kosmity?

- Zamknij się! - zganiał go Cole.

- Co takiego?

- Wyobraź sobie, że Republika traktuje każdego kosmitę dziesięć razy gorzej niż ciebie. Jeśli zbierzesz flotę za jakiś czas, czy to będą wieki, czy tylko dziesięciolecia, i zechcesz obalić władzę, będziesz do tego potrzebował każdego kosmity, jakiego znajdziesz. Pamiętaj jednak, że żaden nie pójdzie za tobą, jeśli będziesz traktował ich z taką samą pogardą jak Republika. - Spojrzał groźnie na młodzieńca. - Dopóki się tego nie nauczysz, nie jesteś godzien walczyć o tę sprawę.

- O co ci chodzi, u licha? - zapytał Harold, robiąc minę niewiniątka.

- Najlepszy oficer, jakiego znałem, był Molarianinem - ciągnął dalej Cole. - Flota pojmała go kilka tygodni temu, został poddany torturom i zamordowany. Lepiej udowodnij mnie i pozostałym kosmitom zamieszkującym terytoria Republiki, że nie byłbyś zdolny do tego samego, zanim poprosisz nas o pomoc. - Odwrócił się do Lafferty'ego. - Chodźmy.

Cole już podczas kontroli wpadł w grobowy nastrój. Jednak ani jego paszport, ani inne dokumenty nie wzbudziły podejrzeń urzędników floty odprawiających pasażerów odlatujących z planety. Przygnębienie nie minęło, nawet gdy wsiedli już na pokład statku. Dozhin wyczuwał to instynktownie, nie odzywał się więc, dopóki nie przeszli wszystkich procedur i nie wystartowali.

We flocie służy sporo szlachetnych ludzi, myślał tymczasem Wilson, wpatrując się w nieskończoną pustkę kosmosu widoczną na ekranach kokpitu. Wśród cywilów też jest wielu zwykłych dupków, nawet wśród tych, którzy zdecydowali się walczyć przeciw Republice. Westchnął głośno. Ale czy to właśnie dla nich zginął Cztery Oczy, a ja porzuciłem dotychczasowe życie? Czy dla nich wszyscy ryzykujemy śmiercią?

Ponieważ nie miał w zwyczaju okłamywać siebie, przyznał bez wahania, że tak właśnie było, że walczył w imieniu takich właśnie ludzi. Oprócz nich byli też porządni obywatele, precyzyjniej rzecz ujmując, były ich miliardy, ale Cole zdawał sobie sprawę, że za każdym razem, gdy ktoś z jego podwładnych zginie, będzie miał przed oczami obraz Harolda i jemu podobnych oraz całej masy bezimiennych obywateli, którzy starali się przeżyć kolejny dzień, nie szkodząc swoim bliskim.

Tych ostatnich było naprawdę wielu, dlatego Cole wiedział, że jego podwładni pogodzą się z wszelkimi stratami, mając pewność, że ponoszą je dla dobra gigantycznych rzesz uczciwych i porządných istot zamieszkujących Republikę. Tak, to była rzecz, za którą ludzie będą chcieli walczyć.

I tylko ja, kapitan „Teodora Roosevelta”, będę znał całą prawdę, pomyślał z goryczą.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

- Póki co nieźle nam idzie - stwierdził Cole, gdy zbliżyli się do granic Republiki.

- Nadal spodziewam się, że okręty wojenne zatrzymają nas do kontroli - odparł Dozhin.

Wilson pokręcił głową.

- Flota już nas sprawdziła. Wydaje mi się, że Republika bardziej pilnuje tych, którzy przylatują, niż opuszczających jej granice.

- To mi nie przyszło do głowy - przyznał kosmita. - Czy mogę zadać panu jedno pytanie?

- Śmiało.

- Nigdy nie widziałem prawdziwej bitwy. Jak to jest, gdy prowadzi się okręt wojenny na wroga?

- Odczuwasz wielki niepokój - powiedział w zamyśleniu Cole. - „Teodor Roosevelt” został zbudowany niemal wiek temu. Powinien pójść na złom przed siedemdziesięciu laty, ale Republika toczyła nieustannie wojny i potrzebowała każdego mięsa armatniego, zwłaszcza takiego jak ja.

- Słyszałem o pańskich wyczynach - stwierdził Dozhin. -

Otrzymał pan cztery medale za odwagę.

- Trzy z nich zdobyłem podczas służby na innych okrętach - sprecyzował Wilson. - Odbierano mi dowodzenie za niesubordynację.

- Niesubordynację?

- Nie wykonywałem idiotycznych rozkazów, kiedy wróg miał mnie na muszce - wyjaśnił Cole. - Czwarty medal zdobyłem za akcję na powierzchni planety. „Teddy R.” nie miał z tym nic wspólnego.

- Czym jest teddyer? - zapytał Dozhin.

- To skrót nazwy „Teodor Roosevelt”. Masz jeszcze jakieś pytania?

- Przepraszam. Czy uraziłem nimi pana?

- Nie, dzięki rozmowie nie zasypiam, a nie spałem od... już jakieś dwie noce. Mój gatunek potrzebuje codziennej dawki snu.

- Może się pan przespać teraz - zasugerował mu Dozhin.

- Zaprogramował pan już komputer nawigacyjny i kierujemy się na tę stację sin-coś-tam.

- Wiesz, chyba skorzystam z twojej rady. Za dwie godziny wlecimy w tunel czasoprzestrzenny Nesterenko. Lot nim potrwa nie dłużej niż trzy i pół godziny i wylecimy w pobliżu Stacji Singapur.

Tak mała jednostka nie posiadała kabin, za to na grodzi znajdowały się niewielkie wgłębienia, które mogły służyć za coś w rodzaju koi. Cole położył się na jednej z nich. Nie spał jednak dłużej niż minutę. Obudziło go delikatne dotknięcie w ramię.

- Już dolecieliśmy? - zapytał, opuszczając nogi na pokład.

- Nie.

- Dlaczego więc mnie obudziłeś?

- Namierzają nas trzy okręty wojenne Republiki, jeden z nich wysłał już sygnał nakazujący zatrzymanie się i przygotowanie do inspekcji. Coś mi się wydaje, że mają nas za przemytników.

- Niby dlaczego? Lecimy zgodnie z planem, nie jesteśmy uzbrojeni, nie...

- Obawiam się, że pan Lafferty od czasu do czasu prze-myca broń na pokładzie tej jednostki. Zwłaszcza z Wewnętrznej Granicy - wyjaśnił Dozhin.

- Mógł mi o tym wspomnieć wcześniej - wymamrotał Cole. - Dobra, gdzie oni są?

Kosmita wydał krótką komendę i komputer wyświetlił hologram pokazujący pozycje wszystkich jednostek. Jeden okręt siedział im na ogonie, dwa ustawiały się po bokach, by wziąć statek w trzy ognie.

- Za ile dolecimy do wylotu tunelu Nesterenko? - zapytał

kapitan.

- Siedemnaście minut i trzydzieści siedem sekund - odparł

komputer.

Cole skrzywił się.

- Tym stateczkiem nie uda nam się uciekać tak długo.

- Może powinniśmy stosować uniki - zaproponował Doz-

hin.

Wilson pokręcił głową.

- Jak tylko pomyślą, że staramy się uciekać, rozwalą nas na kawałki.

- Co pan zatem proponuje? - zapytał kosmita.

- Zróbmy, o co proszą, i wpuśćmy ich na pokład. Nie mają pojęcia, kim jestem, więc skupią się na poszukiwaniu broni albo narkotyków. Jeśli niczego nie znajdą, powinni nas puścić i będziemy mogli lecieć dalej.

- Harold od razu zacząłby do nich strzelać - zauważył Dozhin.

- To by mu skróciło życie do kilku sekund - odparł Cole. - Po tym czasie zacząłby mocno krwawić na ten przepięknie czysty pokład. - Spojrzał na kosmitę. - Bezmyślna brawura bywa bardziej zabójcza niż bezrozumne tchórzostwo. A Harold nie wygląda mi na człowieka, który potrafi robić użytek z mózgu. - Znów przyjrzał się obrazom widocznym na ekranach. - Kompu-

ter, przekaż wiadomość najbliższej jednostce, że zatrzymujemy się i nie mamy nic przeciw kontroli. Potem wymaż wszelkie dane dotyczące celu podróży.

- Wykonuję... polecenie wykonane - oznajmił bezosobowy głos.

- Dobrze, że nie mamy broni - zauważył Dozhin. - W przeciwnym wypadku musielibyśmy wystrzelić ją w przestrzeń.

- Jeśli te jednostki zajmują się poszukiwaniem przemytników, na pewno sprawdzą, czy się czegoś nie pozbywamy - zapewnił go Cole. - Rozluźnij się, pozwól im zrobić swoje, jeśli nie znajdą kontrabandy, zostawią nas w spokoju.

- Wejdą na pokład za mniej niż dwie minuty zameldował kosmita.

Nagle twarz Cole'a stężała.

- Szlag!

- Co się stało? - zapytał przestraszony Dozhin.

- Mamy problem - powiedział kapitan. - Byłem zbyt zaspany i nie przemyślałem wszystkiego.

- To znaczy czego?

- Skoro nie dbają o to, kto wyjeżdża i co się przemyca z terytorium Republiki - wyjaśnił Wilson - interesuje ich wyłącznie ruch w przeciwną stronę, więc na pewno nie będą szukali broni czy narkotyków.

- Nie mogą wiedzieć, że jest pan na pokładzie - zauważył Dozhin.

- To prawda - przyznał Cole i natychmiast zmarszczył brwi. - Czego w takim razie mogą szukać?

- Nie mam pojęcia.

- Nie mamy czasu na zastanawianie się - rzucił kapitan. - Może tylko chcą nas postraszyć. - Sprawdził odczyty na komputerze. - Dotrą do nas za dziewięćdziesiąt sekund.

- Co teraz zrobimy? - zapytał kosmita, w jego głosie dało się wyczuć panikę.

Cole rozejrzał się po kabinie. Nie miał niczego, co mogłoby posłużyć za broń, zwłaszcza przeciw ludziom posiadającym pistolety laserowe, soniczne i pulsacyjne, nie mówiąc już o zbrojach. Wydał krótkie polecenie komputerowi nawigacyjnemu, a potem szybko wrócił do głównego.

- Wyłącz komunikację radiową na następne dziesięć minut - polecił.

- Wykonuję... polecenie wykonane.

- No, pięknie! Teraz nie będziemy mogli wezwać pomocy!
- narzekał Dozhin.

- Przyspiliły nas trzy okręty floty. Jak sądzisz, kto mógłby nam przyjść z pomocą?

- Ale po co...

- Zamknij się i słuchaj - rzucił Cole. - Nie mam czasu na awantury. Kiedy najbliższy okręt podejdzie do nas, ustawi się na kurs równoległy, połączy rękawem włazy, otworzy swój i zażąda, abyśmy uczynili to samo.

- Skąd pan się o tym dowie? - zdziwił się kosmita. - Przecież wyłączył pan radio.

- Tylko transmisje wychodzące, nie przychodzące - uspokoił go Wilson. - Mamy tam dwa okręty klasy H i jeden klasy J. Jednostki klasy H mają trzyosobowe załogi. Na „Jotach” służy od siedmiu do dziesięciu ludzi. W chwili obecnej wszystkie te jednostki znajdują się mniej więcej w tej samej odległości od nas. Spróbuję tak pokierować statkiem, żeby podszedł do nas jeden z mniejszych.

- I co dalej?

- To, że na moją komendę pognasz przez właz tak szybko, jakby od tego zależało twoje życie, co zresztą jest zgodne z prawdą.

- I to wszystko? - zdziwił się kosmita. - To cały plan?

- Raczej jego pierwszy etap - uspokoił go Cole. - Co ty byś wymyślił w pół minuty?

- Na pewno coś więcej!

- Dobrze - zgodził się Cole. - Jestem otwarty na wszelkie propozycje. Ale lepiej się pośpiesz, zostało nam najwyżej dwa-

dziesiątka sekund.

- To nie miało być tak! - jęczał Dozhin. - Miałem zabrać pana na Stację Singapur i wrócić.

- Rób, co ci powiem, a zobaczysz, że tak się to skończy - powiedział Cole, gdy poczuł silny wstrząs. - Mamy towarzystwo - zauważył. - Przycumują do nas za dziesięć sekund. Stań tam, obok włazu.

Kosmita ustawił się w miejscu wskazanym przez Cole'a. Moment później na pokład statku weszło dwóch żołnierzy.

- Nazwisko - zapytał jeden z nich.

- Leslie Ainge - odparł Cole.

- Miejsce urodzenia?

- Roanoke II.

- Po co lecicie na Wewnętrzną Granicę?

- Mój syn pracuje na jednej z górniczych planet. Zamierzam go odwiedzić.

- A ten kosmita?

- Nazywa się Dozhin. Jest moim osobistym sługą.

- Proszę o dokumenty.

Cole podał je żołnierzowi.

- Przepuścimy je przez komputer. Jeśli okażą się prawdziwe, puścimy was wolno.

- Czy coś się stało? - zapytał Wilson.

- Kryminalista poszukiwany listem gończym uciekł z planety Chambon V. Mamy powody sądzić, że wylądował na Piccoli III. Przeszukujemy wszystkie jednostki opuszczające tę planetę. - Nie mamy nikogo takiego na pokładzie - zapewnił Cole.

- To się okaże - odparł żołnierz i odwrócił się do swojego kompana. - Przeszukaj za grodziami.

Drugi z marynarzy zaczął przetrząsać zakamarki. Cole zszedł mu z drogi, tak by znaleźć się o krok od wjazdu. Gdy któryś z kontrolujących spoglądał w jego stronę, udawał, że kaszle. Potem spojrział nagle w najodleglejszy kąt kabiny.

- A to co, u licha? - wymamrotał.

Obaj żołnierze odwrócili się jak na komendę, by sprawdzić, co zobaczył.

- Teraz! - wrzasnął Cole.

Dozhin rzucił się do wjazdu, a Wilson ruszył pół sekundy za nim. Znał doskonale ten typ okrętu, trafił więc bezbłędnie dłonią w klawisz zamykania wjazdu tuż przed tym, gdy wpadł na trzeciego, ostatniego członka załogi. Wziął go z zaskoczenia. Jeden celny cios w szczękę, kopniak w jądra, uderzenie kantem dłoni w kark i facet padł bez przytomności, zanim zdążył wyjąć broń.

- Wiesz, jak odłączyć rękaw? - zapytał Dozhin.

- Nie promuję cię do stopnia komandora, jeśli nie bę-

dziesz znał na pamięć planów okrętów wszystkich klas - zapewnił go Cole. - A kodów nie zmienili ani razu w czasie mojej piętnastoletniej służby, Miejmy nadzieję, że ostatnio nie przyszła im na to ochota. - Wydał krótki rozkaz i jednostki rozdzieliły się.

- Co teraz? - zapytał kosmita. - Teraz wyślemy paru dzielnych ludzi do grobu - odparł Cole tonem dalekim od tryumfalnego. - Dopóki transponder statku Lafferty'ego jest wyłączony, i chłopcy znajdujący się na jego pokładzie nie będą mogli porozumieć się i złożyć raportu z ostatnich wydarzeń. Załogi pozostałych okrętów nie dostrzegą niczego dziwnego, nadal będą uważały, że ich kompani kontrolują ten, na którym się teraz znajdujemy. Wiem jedno: nie zdołamy uciec przed nimi do tunelu czasoprzestrzennego. Mamy do czynienia z okrętem klasy J, który na pewno dogoni nas i zestrzeli, więc nie pozostaje nam nic innego, jak uprzedzić atak i otworzyć do niego ogień teraz, kiedy niczego się nie spodziewa.

- A co z tymi dwoma na pokładzie statku Lafferty'ego?

- Silniki są sprawne, transponder włączy się za siedem minut, na pewno zdołają jakoś wrócić do bazy.

- A co z tym? - Dozhin wskazał nieprzytomnego mężczyznę leżącego u jego stóp.

- Zabierz mu broń, przynieś ją do mnie, a potem zwiąż go mocno - rozkazał Wilson. - Nie mam zamiaru zabijać go ani

wyrzucać w próżnię, przynajmniej do momentu, w którym się ocknie. Później się nim zajmiemy... - przerwał na moment. - A teraz przejdźmy do interesów. Komputer, czy któryś okręt zespołu ma podniesione osłony?

- Nie.

- Wyceluj działo pulsacyjne w mostek bardziej odległej jednostki.

- Wykonano.

- Na mój rozkaz otwórz ogień, a potem przekieruj działo na mostek bliższego okrętu i wystrzel ponownie. Ognia!

Impuls energii wytrysnął z działa i uderzył w kadłub niszczyciela klasy J. Zanim ktokolwiek zdążył na to zareagować, podobny los spotkał drugą, mniejszą jednostkę. Bitwa została zakończona po niespełna trzech sekundach.

- Niesamowite - wymamrotał Dozhin.

- Bułka z masłem - odparł Cole głosem wypranym z emocji. - Lećmy do tunelu Nesterenko. Transmitter statku Lafferty'ego zacznie działać za kilka minut, a ostatnie, czego nam teraz trzeba, to konfrontacja z kolejnymi przeciwnikami.

- Dlaczego go nie zniszczymy? Lafferty i tak go nie odzyska.

- Choćby dlatego, że to byłoby morderstwo - odparł Cole.

- Może nie znajdowaliśmy się w wielkim zagrożeniu, ale te dwa

okręty, które zaatakowaliśmy i zniszczyliśmy, miały na pokładach uzbrojenie. A ludzie uwięzieni na pokładzie statku Lafferty'ego nie mogą nam przeszkodzić w doleceniu do wylotu tunelu nadprzestrzennego.

Dozhin obdarzył go spojrzeniem, które zdawało się mówić, że Cole nie zachowuje się jak bohater z legend, które o nim opowiadano, ale nie odpowiedział i kapitan mógł spokojnie rozkazać komputerowi pokładowemu, aby skierował okręt w stronę wylotu tunelu Nesterenko. Weszli w niego kilka minut później.

- No i po wszystkim - powiedział kosmita.

- Mamy za sobą najłatwiejszą część zadania - odparł Wilson.

- Nie rozumiem ludzkiego poczucia humoru.

- Ja nie żartowałem. Wylecimy z tunelu czasoprzestrzennego za trzy godziny.

- I będziemy bezpieczni na Wewnętrznej Granicy.

Cole spojrzął mu prosto w oczy.

- Będziemy samotnym okrętem Republiki na terytorium, gdzie takie jednostki są bezwzględnie niszczone. Posiadam wprawdzie odpowiednie kody i będę je nadawał w stronę każdego zbliżającego się statku, ale ryzyko, że któryś z nich wystrzeli, zanim zdążę to zrobić, jest spore.

Nagle Dozhin poczuł ogromny ból żołądka.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

- Komputer, jak się, u licha, nazywa ten okręt? - zapytał Cole, przebiegając wzrokiem po licznych panelach sterowni.

- Jestem „Ryczący Tygrys” - odparł mechaniczny głos.

- Co to jest tygrys? - zainteresował się Dozhin.

- Wielki drapieżny kot pochodzący z Ziemi. Data wygięcia 2109 A. D.

- Tak... - Kosmita wzruszył ramionami. - To by tłumaczyło, dlaczego nigdy o nim nie słyszałem.

- Komputer - odezwał się znów Cole. - Podaj mi przybliżony czas przybycia na Stację Singapur.

- Dotrzemy do celu za osiemdziesiąt trzy minuty.

Wilson spojrzał na ekran.

- Chyba powinniśmy ją już widzieć...

- Zgodnie z moimi bazami danych stacja ma średnicę siedmiu mil. Nie zobaczymy jej, dopóki nie zbliżymy się na odległość dwóch minut lotu.

- Widzę za to coś innego - mruknął Cole, wpatrując się w pięć jednostek zajmujących centralny ekran. - Chcę wysłać wiadomość na wszystkich częstotliwościach. Załącz do niej tak-

że przekaz wideo.

- Gotowe.

- Mówi Wilson Cole. Przejąłem okręt Republiki noszący nazwę „Ryczący Tygrys”. Podaję hasło: Cztery Oczy. Czy możecie mnie eskortować do Stacji Singapur?

- Mówi Miguel Flores, kapitan „Złotego Świtu” - odpowiedź nadeszła od razu. - Nic mi nie wiadomo o żadnych hasłach. Co więcej, spotkałem kiedyś kapitana Cole'a i pan nim na pewno nie jest.

- O czym pan mówi, do cholery? Ustaliliśmy hasło. Brzmi ono: Cztery Oczy.

- Nikt mi nie przekazał żadnego hasła - powtórzył Flores.

- Niech zgadnę. Przyłączył się pan do nas w tym tygodniu?

- Zgadza się.

- Zanim zrobi pan coś nierozsądnego, proszę skomunikować się z „Teodoreem Rooseveltem”. Jego załoga potwierdzi panu moją tożsamość i hasło.

- Oby tak było - odparł Miguel.

Minutę później jego twarz pojawiła się znów na ekranie.

- W porządku, kapitanie Cole. Ma pan swoją eskortę.

Połączenie zostało przerwane.

- A gdyby strzelili pierwsi? - zapytał Dozhin.

- Ten problem mamy już za sobą - uspokoił go Wilson.

- Nie ma pan nic więcej do powiedzenia? - nie odpuszczał kosmita.

- A co mam powiedzieć? - zdziwił się Cole. - Sam ogłosiłem otwarcie sezonu polowań na okręty Republiki. Mam winić moich ludzi za to, że wykonują rozkazy?

- Doszedłem do wniosku, że nie jest pan żadnym bohaterem wojennym - oświadczył Dozhin po chwili zastanowienia.

- Sam ci to mówiłem od dłuższego czasu.

- Pan jest szaleńcem - ciągnął dalej czerwonooki - pragnącym śmierci!

- Skoro tak mówisz.

- Ha! Więc nie próbuje pan nawet zaprzeczać.

- Czy zaprzeczanie zmieniłoby cokolwiek w tej sytuacji? - zapytał Cole. - Masz już wyrobione zdanie. Nie zapomnij tylko, proszę, że ten szaleniec uratował ci życie, i to dwukrotnie. Raz, gdy zatrzymano do kontroli statek Lafferty'ego, i drugi teraz.

- Łut szczęścia.

- Istoty inteligentne nie polegają na szczęściu - stwierdził kapitan. - A głupcy nie rozumieją, na czym ono polega.

Kosmita wpatrywał się w niego, ale nie odpowiedział. Siedemdziesiąt minut później „Ryczący Tygrys” przycumował do doku Stacji Singapur. Cole opuścił pokład, stając oko w oko z

sześcioma uzbrojonymi po zęby osobnikami.

- Nie mam przy sobie broni - poinformował wszystkich.

- Zakładam, że nie będzie mi miał pan za złe, jeśli nie uwierzę na słowo - odparł Flores i skinął na jednego ze swoich ludzi, by tamten przeszukał dokładnie obu przybyszy.

- To niedorzeczne - wybuchnął Wilson. - Przecież potwierdzono panu moją tożsamość.

- Nie do końca - odparł Miguel. - Dowiedziałem się jedynie, że człowiek przypominający z wyglądu kapitana Cole'a podał prawidłowe hasło. Będzie pan traktowany z należnym szacunkiem, ale najpierw musimy uzyskać pełną identyfikację.

- Albo jest pan najbardziej sumiennym oficerem, jakiego w życiu spotkałem, albo fanatykiem, który sprawi nam więcej kłopotów, niż jest wart - stwierdził Cole. - Mam nadzieję, że okaże się pan tym pierwszym. Proszę mnie odstawić na pokład „Teodora Roosevelta” albo do kasyna „U Księcia”. Tam na pewno znajdą się ludzie, którzy za mnie poręczą.

- Jedziemy do kasyna - zdecydował Flores. - Nie dopuszczę pana w pobliże „Teodora Roosevelta”, dopóki nie zyskam całkowitej pewności, że jest pan Wilsonem Cole'em.

Kapitan nie protestował, zabrano go więc razem Dozhinem do Księcia. Zaraz po wejściu na salę Cole dostrzegł Wal przy jednym ze stołów.

- Widzi pan tę rudowłosą kobietę? - zapytał Flolesa.

- Tę, którą nazywają Walkirią? Tak, widzę.

- Wie pan także, że jest trzecim oficerem na pokładzie „Teodora Roosevelta”?

Miguel skinął głową.

- Proszę ją zawołać.

Flores skinął na dwóch podkomendnych.

- Ta wielka ruda. Przyprawadźcie ją tutaj.

- Tylko grzecznie - poprosił Cole. - Ona nie lubi, kiedy jej rozkazują.

- Spokojnie, jesteśmy ubezpieczeni - odparł jeden z nich, wskazując na palnik.

- Spróbuj jej nim pogrozić, a wsadzi ci go w sam środek dupska - ostrzegł go Wilson. - Powiedziałem, poproście ją grzecznie.

- Zróbcie, jak wam radzi.

- Dobra decyzja - uznał Wilson. - Nie miałbyś z nich pościechy, gdyby ją naprawdę wkurzyli.

Flores zaśmiał się cicho, a moment później obaj wystąpiły wrócili, prowadząc ze sobą Wal, i postawili ją przed Cole'em.

- Witaj, kapitanie - powiedziała. - Sharon zamartwiała się o ciebie, ale ja wiedziałam, jakim jesteś kutym sukinsynem i że na pewno znajdziesz drogę ucieczki. - Spojrzała na Dozhina. - A

to co takiego?

- Jeśli już, to kto, a nie co - odparł wyniośle kosmita. - Nazywam się Dozhin i jestem najbardziej lojalnym z przyjaciół kapitana Cole'a. - Tu Wilson spojrzął na niego dziwnie, więc zaraz dodał tonem usprawiedliwienia: - W pewnym sensie.

- No, myślę - odparła Wal, przyglądając się twarzy kapitana. - Będziesz mnie do czegoś jeszcze potrzebował, skoro już wszyscy wiedzą, że nie jesteś admirał Garcią w przebraniu? Mogę wracać do gry?

- Jesteś wolna - odparł Flores.

- Nie ciebie pytałam, kurduplu.

- Wracaj do gry - Cole uspokoił sytuację.

- Nazwała mnie kurduplem - powiedział Miguel, gdy Wal usiadła przy stole do gry. - Przecież ja mam sześć stóp i trzy cale wzrostu!

- Z jej punktu widzenia to niewiele - zauważył Wilson.

Na sali pojawił się Ośmiornica, zauważył Cole'a i natychmiast do niego podszedł.

- Właśnie przybyłem - poinformował. - Jak poszło?

- Całkiem nieźle - odparł kapitan. - Później opowiem panu o wszystkim.

Ośmiorniki wskazał kciukiem na Floresa.

- Sprawiał panu jakieś problemy?

- Nie, nie miałem żadnych problemów.

- Jego szczęście - warknął watażka i ruszył w stronę stołu Księcia.

Miguel spojrział na Cole'a.

- Proszę wybaczyć, jeśli postawiłem pana w niezręcznej albo dwuznacznej sytuacji - usprawiedliwił się. - Ja tylko wykonywałem wydane mi rozkazy.

- Prawdę powiedziawszy, zamierzam wyróżnić pana za wyjątkową sumienność - odparł Wilson, starając się rozluźnić sytuację.

- Dziękuję za zrozumienie, sir. - Flores zasalutował i oddalił się.

- Chyba powinniśmy znaleźć ci jakiś statek, którym wrócisz do domu - powiedział Cole do Dozhina.

- Po co taki pośpiech? - odparł kosmita, przyglądając się kolorowym stołom do gry i jeszcze barwniejszym postaciom stojącym wokół nich. - Ta stacja to niezwykle miejsce. Może na niej zostanie.

- Powitamy cię z radością - stwierdził Cole. - Pamiętaj jednak o jednym: to niezwykle miejsce stanie się celem ataku sił Republiki, i to już wkrótce.

- Ale macie tutaj lepszą obronę niż ja na farmie.

- Dlaczego flota miałaby atakować republikańską far-

mę?

- A dlaczego atakuje inne miejsca? - odparł Dozhin. - Muszę jeszcze rozważyć decyzję, a nie zrobię tego, dopóki nie obejrzę dokładniej całej Stacji Singapur.

- W takim razie oglądaj do woli.

- Taki mam zamiar.

- Dolne trzy poziomy dostosowano specjalnie do potrzeb obcych ras, jeśli jednak czujesz się dobrze przy standardowej grawitacji i atmosferze, równie dobrze możesz zamieszkać na poziomach przeznaczonych dla ludzi.

- Najpierw się rozejrzę, potem zdecyduję.

- Świetnie - powiedział Cole. - Baw się dobrze.

- Jest tylko jeden problem - stwierdził Dozhin z pewnym wahaniem.

- Tylko jeden?

- Nie mam pieniędzy.

- Nawet kredytów Republiki?

- Nawet ich.

- Nie oczekujesz chyba, że uwierzę, iż pracowałeś na tej farmie za darmo - rzucił Wilson.

- Moje pieniądze zostały w kasetce ukrytej pod łóżkiem.

- No tak. Ja też nie ufam tamtejszym bankom.

- Ale ja nie mam przy sobie ani grosza. W żadnej walucie.

Cole sięgnął do kieszeni i wyjął dziesięć dolarów Marii Teresy.

- Masz - powiedział. - Tylko nie wydaj wszystkiego od razu. Jak już się zabawisz, podejź do tego dużego stolika na końcu sali. Powiedz człowiekowi w platynowej masce, że proszę, aby znalazł dla ciebie pracę.

- Ale ja nie chcę pracy.

- W takim razie rób, co chcesz. Mam nadzieję, że ty i te dziesięć dolarów będziecie ze sobą szczęśliwi przez wiele lat. - Cole ruszył w stronę stolika Księcia.

- Ja chcę walczyć z Republiką.

- Jeśli zajdzie taka konieczność, na pewno skorzystam z twoich usług. A póki co, jeśli uważasz, że cię na to stać, możesz oddać połowę niedawno uzyskanych funduszy jako darowiznę dla naszej sprawy.

- Jakiej sprawy? - zdziwił się kosmita. - Nie widzę tutaj żadnego poruszenia.

- I o to chodzi. Jeśli ty tego nie zauważasz, tym bardziej nie powinna tego zrobić Republika. Idź, zabaw się, zanim przyjdzie mi ochota odebrać ci te pieniądze.

To oświadczenie zmusiło kosmitę do podjęcia bardziej zdecydowanych ruchów, wypadł z kasyna, kierując się w stronę wind jadących na niższe poziomy, zanim ktokolwiek zdążył to

zauważyć. Wszyscy spoglądali za to na Cole'a, gdy szedł nieśpiesznym krokiem w stronę stolika Księcia. Oprócz właściciela kasyna siedzieli tam jeszcze Dawid Copperfield i Ośmiornica.

- Napij się - zaprosił go watażka. - Napędziłeś nam stracha, kiedy usłyszeliśmy o zamieszaniu na Chambon V.

- Skoro o tym mowa. - Cole wyjął z kieszeni niewielki sześćcian. - Oto nasz przedwczesny prezencik urodzinowy.

- Co to jest?

- Pańska kopia rozkładu lotów okrętów stacjonujących w bazie na Chambon V.

- Jaki okres obejmuje?

- Dwa miesiące.

- W takim razie będzie bardzo pomocny - ucieszył się Ośmiornica.

- Bardziej, niż pan przypuszcza - rzucił Cole.

- Doprawdy?

- Zmieniłem w nim kilka tras. Sądzę, że nie zostawiłem przy tej okazji żadnych śladów, więc nie powinni tego wykryć i anulować poprawek.

Watażka rozpromienił się.

- Możemy liczyć na udane łowy w tym miesiącu!

- Mamy też dwa okręty Republiki, które mogą nam służyć za wabiki - dodał Dawid Copperfield.

- Racja - przyznał Cole. - Zupełnie zapomniałem o tym pierwszym okręcie.

- Nic dziwnego, zważywszy na ostatnie pościgi i strzelaniny podczas ucieczki z terytorium Republiki - zauważył Ośmiornica.

- Dowiedziałem się tam też paru ciekawych rzeczy - stwierdził kapitan.

- Proszę powiedzieć, że admirał Garcia zmarła na jakieś naprawdę odrażające choróbsko - wtrącił Książę.

- Żyje, ma się dobrze i zapewne życzy panu tego wszystkiego, czego pan jej. Oczywiście w tych rzadkich momentach, kiedy przypomina sobie o pańskim istnieniu.

- Rozumiem. - Radość człowieka z platyny zgasła. - Czego jeszcze się pan dowiedział?

- Jeśli znajdę jakiś sposób na skontaktowanie się z pewnym człowiekiem, być może uda mi się sprowadzić kolejnych czterysta, jeśli nie pięćset jednostek do naszej floty.

- Pięćset okrętów? - zdziwił się Ośmiornica. - Skąd pan je weźmie?

- Z Republiki.

- Zrobi się z tego poważna sprawa - zauważył Książę.

- Co pan ma na myśli? - zapytał Cole.

- Dopóki Republika użera się z panem i kilkoma innymi

okrętami spoza jej rejestrów, mamy do czynienia z bandyckimi napadami, ale jeśli w sprawę będą zamieszane okręty należące do drugiej strony konfliktu, władze mogą to uznać za jawną rebelię.

- Semantyka - prychnął Wilson.

- Ale jakże użyteczna - odparł człowiek z platyny. - Dzięki temu łatwiej będzie gromadzić fundusze i rekrutować kolejnych bojowników dla pańskiej sprawy.

- Nie ma czegoś takiego jak moja sprawa.

- W takim razie pod pańskie sztandary.

- Zatem nasze szanse zmieniają się z pięciu milionów na dwa miliony do jednej - podsumował Copperfield.

- A nawet mniej - rzucił Cole. - Te pięćset okrętów nie będzie pochodziło z całej Republiki. To siły znajdujące się w okolicach Piccoli III. Idę o zakład, że zdobędziemy kolejnych kilkaset jednostek w pobliżu każdej innej bazy floty.

- Czy ludność planet znajdujących się w pobliżu wielkich baz wojskowych nie powinna być bardziej patriotycznie nastawiona? - zapytał Dawid.

- Ludzie mieszkający najbliżej są najbardziej narażeni na kontakty z flotą - odparł Cole - a ostatnimi czasy te do najprzemniejszych nie należą.

Rozmawiali w tym tonie jeszcze przez kilka minut, potem

Ośmiornica wrócił na pokład swojego okrętu, aby zapoznać się z rozkładami lotów, a Wilson w towarzystwie Dawida udał się w stronę doków i „Teddy’ego R.”.

- Powiedz mi prawdę, Steerforth - poprosił Copperfield. - Jakie mamy szanse w tym starciu?

- Nieco lepsze niż w zeszłym tygodniu - zapewnił go Cole.

- Tylko tyle?

- Dawidzie, to i tak wielki krok do przodu, jeśli zważymy, jak potężna jest Republika.

- Tak, chyba masz rację - przyznał kosmita. - A skoro mowa o takiej przewadze, nie czujesz się nią czasem przytłoczony?

- Nie myślę o takich rzeczach - mruknął Wilson.

- A o czym myślisz?

Cole zatrzymał się na moment.

- Myślę o Czterech Oczach - powiedział. - I tysiącach innych, którzy pójdą w jego ślady.

- Nie mogłeś go uratować.

- Nie. Nie mogłem. Ale może uda nam się ocalić kolejny tysiąc istnień. Musimy spróbować.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Gdy do kasyna zajrzeli Ośmiornica z synem, Cole siedział przy stole Platynowego Księcia ze szklanką piwa w rękach i nieodłącznym Dawidem Copperfieldem u boku.

- Nie będziecie mieli nic przeciwko temu, żebyśmy się dosiedli? - zapytał watażka.

- Zapraszam - odparł Wilson. - A raczej zapraszam w imieniu Księcia.

Odsunęli krzesła i zajęli wskazane im miejsca.

- Jak się czujesz, chłopcze? - zapytał Cole, spoglądając na Jonasza.

- Lepiej - odparł młodzieniec. - Mam przed sobą jeszcze długą terapię, zanim odzyskam pełną sprawność w kończynach, ale powinno być dobrze.

- Cały czas mu powtarzam, że proteza nie będzie bolała i od razu przestanie utykać, ale nie chce mnie słuchać, uparciuch jeden - wtrącił ośmioręki.

- Protezy można zmieniać bez końca - stwierdził jego syn.
- A jeśli pozwolę sobie odciąć moje własne kończyny, te, z którymi się urodziłem, już nigdy ich nic odzyskam.

- Chłopak ma rację - uznał Cole. - Jak widzę, pan nigdy nie pozbył się tych dodatkowych rąk.

- A po co miałbym to robić? - zdziwił się Ośmiornica. - Gdybym je pousuwał, musiałbym doprawić sobie coś innego, żeby wyróżniać się z tłumu.

- Może skończymy już to wzajemne wylewanie żalów i przejdziemy do prawdziwego powodu waszej wizyty w kasynie?
- zaproponował Wilson.

- Dopięktł mi pan do żywego - odparł watażka, rozprostowując wszystkie ręce. - Nie pierwszy raz zresztą. Może wpadliśmy tutaj tylko z towarzyską wizytą?

- To jest kasyno. Stawiam furę dolarów przeciw czapce nakrętek, że są inne powody.

- Skoro stawia pan sprawę w ten sposób... - powiedział Ośmiornica i odwrócił się do syna. - Mów, w końcu to twój pomysł.

- Jest takie miejsce, tuż za systemem Hayakawa - zaczął Jonasz - w którym może pan przekroczyć granicę, mając przynajmniej siedem lat świetlnych do najbliższej planety leżącej w przestrzeni Republiki.

- Dobra rada, chłopcze - przyznał Cole. - Masz łeb na karku.

- Już pan to rozgryzł? - zapytał zdziwiony chłopak.

- Strategię tak, miejsca nie. Nigdy nie słyszałem o systemie Hayakawa.

- To mniej więcej w połowie drogi pomiędzy stacją, a gromadą Peryklesa.

- Jesteś pewien co do tych siedmiu lat świetlnych?

Chłopak skinął głową.

- Przeprowadziłem skrupulatne badania, kiedy leżałem w szpitalu. Dokładnie siedem przecinek dwanaście setnych roku świetlnego.

Cole zamyślił się.

- To może zadziałać.

- O czym wy mówicie? - zainteresował się Copperfield.

- Mamy dwa okręty Republiki - wyjaśnił Wilson. - „Spadającą Gwiazdę” zdobytą na Pamiątce i „Ryczącego Tygrysa”, na którym właśnie wróciłem, Możemy ich użyć jako przynęty, a zwłaszcza „Spadającej Gwiazdy”, ponieważ jest o wiele większą jednostką. Możemy wysłać wezwanie o pomoc i zacząć się na nadlatujące siły ze wszystkim, czym dysponujemy. Na jej pokładzie także umieścimy kilku ludzi, aby otworzyli ogień do nadlatujących okrętów Republiki, jak tylko zjawią się na miejscu. - Cole pociągnął łyk piwa. - W chwili gdy przeciwnik zorientuje się, że jest atakowany, wezwie posiłki. Sztuka polega na tym, by uderzyć w takim miejscu, aby nie przybyły z odsieczą, zanim

zdołamy wygrać tę bitwę. - Spojrzał na Jonasza. - Najbliższa planeta leży w odległości siedmiu lat świetlnych, a gdzie znajduje się najbliższy tunel czasoprzestrzenny?

- Tamten rejon granicy jest bardzo niestabilny, wszystkie tunele poruszają się w nim, ale dwa tygodnie temu najbliższy znajdował się mniej więcej o rok świetlny od wybranego przeze mnie miejsca.

- Dobrze - ucieszył się Wilson. - Nawet przy maksymalnej prędkości posiłki nie zdążą na czas.

- Zatem zgadza się pan? - zapytał poruszony Jonasz.

- Warunkowo. Najpierw mój pilot sprawdzi wszystkie tunele, nie zaszkodzi też wysłać kilku jednostek na zbadanie całej okolicy, choćby po to, żeby się upewnić, iż nie ma tam zamieszkałych planet, które mogłyby podzielić los Braccio II. Republika za tydzień, góra dwa wyśle na miejsce bitwy korpus ekspedycyjny.

- O tym nie pomyślałem - przyznał Jonasz.

- Nikt od ciebie tego nie wymaga - odparł Cole. - Moja flota nigdy nie uczyniłaby czegoś podobnego, ale okręty Republiki nie należą już do mojej floty. Następną rzeczą, jaką musimy się zająć, będzie sprawdzenie w rozkładzie lotów, który przywozłem, kiedy pojawi się tam odpowiedni patrol.

- Dlaczego?

- Dlatego, że naszym celem jest niszczenie okrętów, które znajdują się na terytorium Wewnętrznej Granicy. Wolałbym, aby na sygnał SOS nie odpowiedziały jednostki znajdujące się po stronie Republiki. Te okręty, które zniszczymy, zakładając, że uda nam się tego dokonać, powinny znajdować się na naszym terenie.

- Flota to flota! - zagrzmiął Ośmiornica. - zniszczmy ją całą!

- Próbując wykopać ją poza terytorium Wewnętrznej Granicy, i tak odgryzamy znacznie większy kawałek tortu, niż zdołamy przełknąć - uspokoił go Cole. - Nie ma sensu wypowiedzieć otwartej wojny komuś, kto dysponuje milionami okrętów.

- Dobrze, już dobrze - mamrotał ośmioreki.

- Wyślę kilka jednostek, aby zbadały teren i upewniły się, że znajdziemy tunele tam, gdzie wskaże mój pilot. Wydam też polecenie, by Śliski zajął się „Spadającą Gwiazdą”.

- Kim jest Śliski? - zapytał nachmurzony Ośmiornica. - I co, u licha, chcecie zrobić ze „Spadającą Gwiazdą”?

- Śliski to Tolobita... - zaczął Cole.

- Co to jest Tolobita, do jasnej cholery?

- To humanoidalny członek mojej załogi - wyjaśnił Wilson.

- A ściślej rzecz ujmując, jest z symbiontem.

- Z czym?

- Z bardzo śliską, lśniąca powłoką pokrywającą jego skórę, która nosi imię Gorib. Wątpię, aby była inteligentna, ale Śliski nie narzeka na nią. Gorib chroni go przed zimnem pustki kosmicznej i dostarcza zapas tlenu wystarczający na całe godziny oddychania, więc za każdym razem, gdy przebywamy w przestrzeni i trzeba wykonać jakieś prace na zewnątrz, wysyłamy tam Śliskiego i jego symbionta.

- A nie ma pan przypadkiem drugiego osobnika jego gatunku, którego mógłbym pożyczyć? - zapytał watażka.

- Niestety, to bardzo rzadko spotykana rasa. Nie słyszałem o jej istnieniu, dopóki nie zamustrowałem się na „Teddym R.”. Gdyby mnie pan zapytał, kto jest najcenniejszym członkiem mojej załogi, odpowiedziałbym, że w zależności od sytuacji są to Wal albo Śliski. Nie wiemy, czy flota potąpała się już w tym, że przechwyciliśmy „Spadającą Gwiazdę”, więc lepiej będzie zmienić jej nazwę i numer identyfikacyjny. Śliski załatwi to od zewnątrz. Malcolm Briggs sprawi, że okręt zyska nową tożsamość dla komputerów.

- Czy flota przybędzie na ratunek jednostce, której nie będzie miała we własnych bazach danych? - zapytał Jonasz.

- Zapewniam cię, że ten okręt będzie w nich figurował - odparł Wilson. - Na Piccoli III jest człowiek nazwiskiem Lafferty,

on nam dostarczy dane jednostki figurującej w archiwach floty.

- Czy to zadziała? - zastanawiał się nadal chłopak. - To znaczy, czy okręty zareagują na takie wezwanie, zanim otrzymają rozkaz rozpoczęcia misji ratunkowej? Co będzie, jeśli otrzymają potwierdzenie z prawdziwej jednostki, że wszystko jest w porządku?

- To byłoby możliwe, gdyby ten okręt mógł wysłać i otrzymywać wiadomości - stwierdził Cole. - Ale pan Lafferty ma do dyspozycji więcej okrętów niż my. Jeśli nawet nie zdołają zniszczyć celu wystarczająco szybko, by nie nadał wiadomości o ataku, mam nadzieję, że będą mogły zagłuszyć jego łączność.

- Ma pan nadzieję?

- Tak - przyznał Wilson. - Gdyby to było takie proste, ktoś już dawno wykurzyłby flotę z terytorium Wewnętrznej Granicy.

Rozmawiali jeszcze przez chwilę, a potem Cole w towarzystwie Dawida Copperfielda wrócił na pokład „Teddy’ego R.”. Poprosił Briggsa, by ten przekazał wszelkie dane, jakie posiadali na temat systemu Hayakawa, na jego osobisty komputer oraz do systemów nawigacji na jednostkach dowodzonych przez Władimira Sokołowa i Braxytę.

- Jak duża flotylla odpowie, twoim zdaniem, na ten sygnał? - zapytał Dawid.

- Nie mam wystarczającej ilości danych, więc nie odważę

się nawet zgadywać - odparł Wilson. - Ile okrętów zdąży się zbliżyć do „Spadającej Gwiazdy”, czy jak ją tam nazwiemy, by uratować jej załogę? Zależy, co wymyślimy. Utrata kontroli nad silnikami to jedno, wyciek tlenu to coś zupełnie innego. Jeśli wyuczają podstęp, przybędą w wielkiej sile albo wcale. To, co im powiemy, też będzie robiło wielką różnicę. Czy to zwykła awaria, czy efekt ataku „Teddy’ego R.”, czyli najbardziej poszukiwanej jednostki w galaktyce.

- No tak, powinniśmy rozpuścić pogłoski, że „Teddy R.” znajduje się gdzieś w pobliżu - rzucił Dawid. - To powinno przyciągnąć znacznie większe siły.

- Tym bym się akurat nie ekscytował - odparł Wilson. - Mogą ściągnąć okręty wojenne klasy M. A my dysponujemy tylko jedną jednostką tej klasy, czyli „Teddy R.”, od którego będą nowsze o całe dziesięciolecia. Może mamy największy i najpotężniejszy okręt na Wewnętrznej Granicy, ale w porównaniu z tym, czym dysponuje flota, jesteśmy niczym.

- Czasami zaczynam się zastanawiać, dlaczego to robisz - stwierdził Copperfield.

- Ktoś musiał się tym zająć.

- Moglibyśmy wrócić do bycia najemnikami.

Cole pokręcił głową.

- Jeśli zignorujemy działania floty, będziemy mieli kolejne

Braccio II każdego roku. Wiesz, ilu chłopców i dziewcząt uprowadzono z domów, aby wcielić ich do służby? Ile farm zbankrutowało, gdy odebrano im całe plony, nie płacąc ani grosza? Ile kopalń opustoszało, ponieważ nie były w stanie zarobić grosza, gdy flota zaczęła konfiskować połowę urobku? Twierdzą, że mają do tego prawo, ponieważ chronią nas wszystkich przed wrogami, i dopóki walczyłem na pierwszej linii frontu, nigdy nie negowałem tych argumentów, ale teraz, gdy znalazłem się na Wewnętrznej Granicy, zauważam wyraźnie, że potrzebujemy kogoś, kto będzie nas bronił przed naszymi dobroczyńcami. - Skrzywił się. - Chociaż mogłem się tego domyślić wcześniej. I powinienem był, zważywszy, że spośród wszystkich szarż, od admirał Garcii poczynając, najbardziej honorowym oficerem okazał się komandor Jacovic walczący po drugiej stronie barykady.

- Czeką nas prawdziwe piekło, przynajmniej do momentu rozpoczęcia tej operacji - wtrącił bezosobowy głos Sharon.

- Możliwe - odparł Cole.

- Jeśli to w czymś pomoże, pan Briggs przesłał już do komputerów Władimira Sokołowa i Braxyty wszystkie dane, jakie posiadamy na temat systemu Hayakawa.

- To dopiero początek - odparł Cole. - Lepiej skontaktuję się z Laffertym i powiem mu, czego będziemy potrzebowali.

- O ile będzie w stanie to wykonać - zauważyła. Wielu ludzi obiecuje cuda tylko dlatego, by przypodobać się wielkiemu Wilsonowi Cole'owi, ale to wcale nie znaczy, że będą w stanie dotrzymać słowa.

- Po stacji krąży mały kosmita zwany Dozhinem, on na pewno ma z nim kontakt.

- Ufasz temu paskudnemu stworowi?

- Nie musiał odlatywać ze mną z Piccoli III - odparł kapitan. - Nikt by go do tego nie zmusił.

- Rozumiem. Mam nadzieję, że się nie mylisz.

- Chociaż raz przejmujesz się tym, co trzeba.

- Czyli czym? - wtrącił się Dawid. - Bo ja przejmuję się wyłącznie ilością i wielkością okrętów, które przybędą na ratunek.

- Powiedz mu, Sharon.

W końcu pojawił się przed nimi jej hologram.

- Jedyną rzeczą, którą przyjmujemy na wiarę, Dawidzie, jest to, że Lafferty może uciszyć lub zniszczyć okręt, który zamierzamy udawać. Jeśli skłamał albo się mylił, znajdziemy się w poważnych tarapatkach.

- Dlaczego? - zdziwił się kosmita. - Jeśli zorientują się, że to pułapka, nie przylecą.

- Kochany, jeśli zorientują się, że to pułapka zastawiona

przez człowieka stojącego tuż obok ciebie, przylecą tam w takiej liczbie, że przesłonią wszystkie gwiazdy w okolicy.

- O tym nie pomyślałem - przyznał Copperfield.

- Nie przejmuj się, Dawidzie - uspokoił go Cole. - Lafferty zniszczy tamten okręt i wszystko zadziała jak w zegarku. *Mam nadzieję*, dodał w myślach.

- Sir? - Christine zwróciła się do niego znad głównej konsoli. - Właśnie dostałam raport od pana Moyera. On i trzy okręty należące do Ośmiornicy przechwycili właśnie trzyosobową jednostkę w pobliżu systemu Kronos. Pyta, czy ma pan jakieś instrukcje.

- Nie rozumiem, o co mu chodzi - zdziwił się Cole. - Przecież już zniszczył ten okręt.

- Uważa, że da się go jeszcze naprawić, i pyta, czy ma go odholować, abyśmy mieli jeszcze jedną przynętę.

Wilson pokręcił głową.

- Mamy już dwie przynęty. Nawet flota nie jest tak głupia, by dać się zrobić trzy razy z rzędu na ten sam numer... - przerwał. - Czy ta jednostka nadała jakiś sygnał, zanim została przechwycona?

- Pan Moyer twierdzi, że raczej nie.

- Dobrze. Niech się upewni w takim razie, że w jego kierunku nie leci żaden pancernik Republiki. Jeśli na pokładzie

uszkodzonego okrętu znajduje się broń przynajmniej drugiej generacji, ma go odholować na stację. Będziemy mogli zainstalować ją na którejś z naszych jednostek.

- Tak jest - powiedziała Christine i przerwała połączenie.

Cole poczekał, aż porucznik Mboya skończy rozmawiać, i rozpoczął transmisję na Piccoli III, do Lafferty'ego.

Staruszek gapił się przez chwilę na jego hologram.

- Wygląda pan znacznie młodziej - stwierdził w końcu.

- Zmarszczki już znikają, włosy też zaczęły odzyskiwać naturalny kolor.

- Gdzie mój statek?

- Prawdopodobnie na Chambon V - powiedział Cole i zrelacjonował pokrótce, co wydarzyło się po zatrzymaniu go przez trzy jednostki floty.

- Cholera! - syknął księgarz. - Muszą już wiedzieć, że był zarejestrowany na moje nazwisko.

- Wystarczy, że powie im pan, iż ukradłem go, grożąc bronią. Do diaska, udało mi się porwać znacznie lepiej strzeżony okręt z ich własnej bazy. Na pewno panu uwierzą.

- No tak, to ma sens - przyznał Lafferty.

- A teraz chciałbym poprosić pana o przysługę.

- Chciał pan powiedzieć: kolejną przysługę.

- Niech będzie. Kolejną przysługę.

- O co chodzi?

- Chciałbym, aby dostarczył mi pan nazwę okrętu i wszelkie kody operacyjne, a potem zniszczył albo uszkodził go tak, by nikt nie mógł go uruchomić w ciągu tygodnia. Musi pan także zadbać, aby nie zdążył wysłać najmniejszego sygnału o ataku. Może pan zrobić coś takiego?

- Jaki byłby ze mnie rewolucjonista, gdybym nie potrafił! - Lafferty aż prychnął z pogardą. - Kiedy mam panu dostarczyć te dane?

- Im szybciej, tym lepiej. Chcę zrobić wabik z innej jednostki, podrabiając jej dane, ale nie mogę ruszyć z tym projektem, dopóki pan nie dostarczy mi nazwy i kodów.

- Będę potrzebował dwóch dni.

- Dobrze.

- I przygotujcie miejsce dokowania dla pięciuset okrętów - ciągnął dalej księgarz. - Po dokonaniu ataku nie pozostanie nam nic innego, jak przyłączyć się do pańskiej floty.

- Jest pan pewien? - zapytał Wilson. - U siebie jest pan bardziej bezpieczny.

- Planowaliśmy tę rebelię od wielu lat. Zebraliśmy tak wielką ilość statków i ludzi. Teraz zyskamy wodza, którego imię zna cała Republika. Jeśli dzisiaj nie uczynimy tego kroku, nigdy go nie zrobimy.

- Przyjmiemy was z otwartymi rękami - zapewnił go Cole.
- Zna pan koordynaty Stacji Singapur?
 - Ktoś z moich ludzi zna je na pewno - stwierdził Lafferty.
- Niedługo otrzyma pan wiadomość ode mnie, a chwilę później wyruszymy na drugą stronę Granicy.
 - Transmisja została przerwana.
 - Widzisz, Dawidzie - powiedział Cole - właśnie podwoiliśmy liczebność naszej floty.
 - Będziemy dysponowali niemal tysiącem jednostek - stwierdził Copperfield. - Zaczynam wierzyć, że twój plan wypali.
 - Nie potrzebujemy tysiąca okrętów do zaatakowania patrolu idącego na ratunek.
 - Myślałem o szerszej perspektywie, o wykurzeniu ich na dobre z całej Wewnętrznej Granicy. - Mały kosmita spojrzał na kapitana. - Nie sądzisz, że to możliwe?
 - Wszystko jest możliwe - odparł Cole.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Lafferty dopadł okręt floty już po trzynastu godzinach, chwilę później przesłał wszystkie informacje na jego temat Cole'owi. Ośmioosobowa jednostka nosiła nazwę „Głodny Raptor” - Wilson nawet nie pytał, co stało się z załogą; Śliski w ciągu jednego dnia przerobił „Spadającą Gwiazdę”, upodabniając ją do zniszczonego okrętu. Wymalował opalizującą nazwę i numery identyfikacyjne na obłym dziobie i burtach. W tym czasie Malcolm Briggs usunął z komputerów wszelkie ślady oryginalnych numerów rejestracyjnych i wprowadził na ich miejsce dane przetransmitowane przez buntowników.

Flota Lafferty'ego zdążyła przybyć na Stację Singapur, zanim ukończono ostatnie prace na pokładzie okrętu wabika. Cole powitał przybyłych już w dokach, dokonując przy okazji pobieżnej inspekcji sprzętu, który zasilił jego flotę.

- Dziewięć stukaczy czwartej generacji - stwierdził z wyraźnym uznaniem, gdy zakończył przegląd. - Jest znacznie lepiej, niż się spodziewałem.

- To jeszcze nie wszystko - zapewnił go Lafferty.

- Doprawdy?

- Mamy działo laserowe piątej generacji.
- Nie widziałem go tutaj - zdziwił się Cole.
- Nie zdążyłem go jeszcze zainstalować - wyjaśnił starszek. - Do wczoraj znajdowało się na pokładzie „Raptora”. Dzisiaj spoczywa w mojej ładowni.

- Chciałbym, aby znalazło się na nowym „Głodnym Raptorze” - stwierdził Wilson. - Wyślę po nie ludzi i powiadomię moich mechaników. Powinniśmy wyruszyć najdalej jutro.

- Mnie to pasuje.

- Wezmę też te pięć okrętów, które mają działa pulsacyjne czwartej generacji - dodał Cole.

- A co z resztą?

- Nie zdołamy ukryć w tamtym rejonie tysiąca jednostek - wyjaśnił kapitan. - A to ma być pułapka. Jeśli nadlatujący przeciwnik zauważy tak wielkie zgrupowanie, podwinie ogon i ucieknie. Weźmiemy co najwyżej tuzin okrętów i postaramy się ukryć je jak najlepiej, ale główne uderzenie musi zadać nasz „Głodny Raptor”. Wątpię, aby jednostki, które zostaną wysłane z misją ratunkową, mogły przetrzymać ostrzał z palnika piątej generacji. Nawet przy aktywnych osłonach.

- Pozwoli pan, że powtórzę moje pytanie: co z resztą jednostek? Nie opuściliśmy naszych domów tylko po to, żeby teraz przyglądać się wszystkiemu z boku.

- Wrócimy z tej akcji najdalej za trzy dni. Wtedy dokonamy podziału terytorium Wewnętrznej Granicy na, powiedzmy, dziesięć sektorów i przydzielimy po sto okrętów do pilnowania każdego z nich. Do ich zadań będzie należało pozyskiwanie nowych rekrutów i jednostek oraz atakowanie każdego okrętu wroga, który będą miały szansę pokonać. Na razie proszę pozwolić ludziom na chwilę odpoczynku. Po rozpoczęciu służby będą mieli niewiele okazji do nacieszenia się atrakcjami stacji.

Lafferty skinął głową.

- Proszę przysłać ludzi na mój okręt. Wydam im ten palnik piątej generacji.

- Świetnie - ucieszył się Cole. - Rad jestem, że przyłączył się pan do nas. Potrzebna nam jest każda pomoc.

Zostawił starego księgarza przy jego jednostce, skontaktował się z Jacovicem i kazał mu wyznaczyć ludzi do przeniesienia dział. Gdy wszystko zostało ustalone, skierował się do kasyna.

- Słyszałem, że mamy gości - powiedział Platynowy Książę, gdy Wilson zasiadł przy jego stoliku.

- Nie gości - sprostował Cole - tylko sojuszników.

- Kiedy wyruszacie?

- Jutro.

- I dobrze. - Ludzkie usta ułożyły się w uśmiech na platy-

nowej masce. - Pańska rudowłosa przyjaciółka wygrywa ostatnio raz za razem. Straciłem przez nią prawie czterdzieści tysięcy funtów Dalekiego Londynu.

- Proszę ją zachęcać do dalszej gry - poradził Wilson. - Wkrótce odzyska pan pieniądze.

- Zna pan kogoś, kto odciągnąłby ją od gry, kiedy wpadnie w szat wygrywania? - zapytał Książę.

- Niespecjalnie.

- Cóż, skoro do stacji przybiło kolejnych pięćset jednostek, które powinny pozostać tutaj jakiś czas, może odkują się na ich załogach.

- Jeśli pan Odom zdoła zakończyć w najbliższym czasie inspekcję stacji, sensowniej byłoby zatrudnić ich do przeprowadzenia prac przy wzmocnieniu instalacji obronnych.

- Ale póki co nie będzie pan miał nic przeciwko temu, że bym wysłał do doków kilka wagoników, które przewiozą nowe załogi do mojego kasyna?

- To dorośli ludzie, nie zamierzam odciągać ich od stołów do gry, jeśli będą mieli ochotę na chwilę rozrywki.

- Cóż, mam nadzieję, że są wśród nich też dorośli kosmici - odparł Książę. - Do diaska, połowa mojego kasyna jest dedykowana miłośnikom storta i jaboba.

- Na pewno są wśród nich kosmici - zapewnił go Cole. -

Oni mają jeszcze mniej powodów do kochania Republiki niż ludzie.

Wilson spędził jeszcze kilka minut na rozmowie z Księciem, popijając antareską brandy, a potem udał się do doków sprawdzić, jak idą prace przy montażu nowego dział.

- Instalacja to najłatwiejsza część tego zadania - powiedział Mustafa Odom, gdy Cole o to zapytał. - Zamaskowanie go to już zupełnie inna sprawa. Jednostka tej wielkości nie powinna mieć na pokładzie niczego większego od palnika albo stukacza drugiej generacji. Jeśli nadlatujące okręty zauważą broń piątej generacji, natychmiast otworzą ogień albo zawrócą i uciekną.

- Ufam pańskim ekspertyzom - zapewnił go kapitan. - I dlatego płacę panu tak wysoki żołd.

- Przecież ja nie dostaję żołdu.

- Ale dostawałby go pan, gdybyśmy mieli na to pieniądze.

Cole wrócił na pokład „Teodora Roosevelta” i skierował się od razu na mostek, na którym służbę pełniły Rachel Marcos i Domak.

- Czy Władimir Sokołow albo Braxyta złożyli już meldunki?

- Tak, sir.

- Słucham zatem.

- Pan Sokołow potwierdza, że w promieniu ośmiu lat świetlnych nie ma żadnej skolonizowanej planety.

- To powinno wystarczyć, flota nie przeprowadzi uderzenia odwetowego w tak wielkiej odległości - stwierdził Cole. - Chociaż z nimi nigdy nic nie wiadomo... A co z Braxytą?

- Jego zdaniem, jeśli w pobliżu nie będzie żadnego patrolu, okręty ratunkowe zostaną wysłane z Nowej Patagonii.

- Zatem znamy kierunek, z którego powinny nadlecieć. Wyślij Sokołowowi i Braxycie rozkaz powrotu do bazy. Jutro wyruszamy do systemu Hayakawa i wolałbym mieć ich przy sobie.

Opuścił mostek, zjechał windą i wszedł do swojej kabiny niespełna minutę później. Wszystko szło zgodnie z planem. Jego wysunięci zwiadowcy rozpoznali teren. Nowi sprzymierzeńcy ofiarowali mu potężną broń. Ekspert komputerowy i Tolobita zamaskowali „Spadającą Gwiazdę”. Pozostała już tylko decyzja, której nie mógł i nie powinien dłużej odwlekać.

Musiał ustalić, kto będzie pilotował podrobionego „Głodnego Raptora”, a co ważniejsze, komu powierzy zadanie walki z niewiadomą ilością nadlatujących okrętów.

Najwłaściwszym kandydatem na to drugie stanowisko wydawała się Wal, ale nie był pewien, czy rudowłosa piratka nie podnieci się za bardzo i nie zacznie strzelać zbyt szybko. Najlepszymi pilotami, jakimi dysponował - oczywiście oprócz Wxakgi-

niego, którego połączono z systemami „Teddy’ego R.” tak bardzo, że nie dałoby się go przenieść - byli Władimir Sokołow i Dan Moyer. Za bardzo ich jednak cenił, by ryzykować takie przeniesienie.

Gdy zasypiał, miał już pewność, że jest tylko jedna osoba, której może powierzyć wykonanie tak ważnego zadania.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

- Niech cię szlag, Wilsonie! - wydarła się Sharon, gdy powiedział jej o swojej decyzji podczas śniadania w mesie. - Wydawało mi się, że ten temat już przerobiliśmy, i to nie raz. Kapitan nie opuszcza pokładu na terytorium wroga!

- Przecież nie będziemy na terytorium wroga - zaprotestował. - Walczymy po tej stronie Granicy.

- Nie wciskaj mi takich kitów! - darła się dalej. - Terytorium wroga jest wszędzie tam, gdzie pojawiają się siły zbrojne Republiki.

- Zanim się zbuntowaliśmy, służyłem we flocie piętnaście lat. Wiem wszystko o okrętach i ich uzbrojeniu. Mam największe kwalifikacje do wykonania tej roboty.

- Jasne - prychnęła kpiąco. - Strzelasz lepiej niż Wal.

- Nie - odparł. - Ale jestem od niej o wiele spokojniejszy i rozważniejszy.

- A co z Bykiem Pampasem? Był naszym zbrojmistrzem na długo przed tym, zanim pojawiłeś się na pokładzie „Tedy’ego R.” Nie powiesz mi, że widziałeś go kiedyś wkurzonego. Jesteś lepszym, spokojniejszym strzelcem niż on?

- Nie, ale on nie umie pilotować okrętu, a wszystko wskazuje na to, że nasz „Głodny Raptor” będzie zmuszony do wykonania kilku naprawdę ostrych uników.

- Dlaczego ciągle mi to robisz? - zapytała Sharon. - Zawsze wiesz wszystko najlepiej! Masz już swoje lata. I Żołnierzy takich jak Wal i Pampas, którzy mogą za ciebie odwalać podobne roboty. Stoją pod rozkazami tysiące ludzi i kosmitów, którzy poszliby za tobą aż do piekła, gdybyś im kazał, więc nie musisz im już niczego udowadniać.

- Daj spokój, Sharon - poprosił poirytowany Cole. - Podjąłem decyzję i jej nie zmienię.

- A ja mówię, że to głupia decyzja.

- Możliwe - przyznał Wilson. - Nie jestem chodzącym ideałem.

- Naprawdę nie wyślesz tam Wal albo Byka?

- Nie.

- W takim razie pozwól, że to ja tam polecę.

Spojrzał na nią, jakby postradała zmysły.

- Nadal nie rozumiesz? - zapytała Sharon. - Jesteś dla nas niezastąpiony.

- Nie wierzę w samobójcze misje - stwierdził Cole. - Zawsze rozważam wszelkie rozwiązania i ani myślę umierać.

- Forrice też nie zamierzał - przypomniała mu Blacksmith.

- Zgadza się - wycedził naprawdę już rozwścieczony. -
Temat zamknięty.

Wstał od stolika, udał się do najbliższej windy i wjechał na mostek.

- Wszystkie okręty gotowe do akcji? - zapytał Jacovica.

- Uzbrojone i gotowe - potwierdził Teroni. - Pan Briggs wprowadził już wszystkie dane potrzebne do osiągnięcia systemu Hayakawa, pozostało nam już tylko odcumowanie, komputery zajmą się całą resztą.

- Wszystkie tunele czasoprzestrzenne zostały namierzone?

- Tak.

- Christine, czy Byk jest już w przedziale bojowym?

- Tak, sir.

- Połącz mnie z nim... - Zaczekał na pojawienie się hologramu. - Byku, przetestowałaś to nowe działko laserowe?

- Tak, sir - odparł Pampas. - Skuteczny zasięg ognia to sto trzydzieści tysięcy mil, a może nawet nieco więcej.

- Ile strzałów można z niego oddać?

- Czterdzieści osiem dziesięciosekundowych impulsów na własnych zapasach energii, ale pan Odom podpiął je do reaktora, by miało dodatkowe zasilanie.

- Brzmi niezłe - stwierdził kapitan. - Dziękuję.

- To cud, nie broń - rzucił rozentuzjasmowany Pampas. -

Czy jest jakaś szansa, abyśmy przenieśli je po tej akcji na pokład „Teddy’ego R.”?

- Niezły pomysł - uznał Cole. - Zwłaszcza że raczej nie będziemy już korzystali z „Głodnego Raptora”.

Skinął na Christine, nakazując przerwanie połączenia.

- Dobrze, panie Jacovic - powiedział. - Dowodzi pan „Teddym R.” i pozostałymi jedenastoma okrętami. Wie pan, jak je rozmieścić po dotarciu do systemu Hayakawa. Tylko proszę pamiętać o jednym, nie przerywamy ciszy radiowej, dopóki nie padnie pierwszy strzał.

- Rozumiem, sir - odparł Teroni.

- Świetnie - rzucił Wilson. - W takim razie do zobaczenia na miejscu.

Poszedł do wind, zjechał na sam dół, do hangaru wahadłowców. Po wyjściu na zewnątrz wszedł do pierwszego wolnego wagonika i udał się na „Głodnego Raptora”.

Na jego pokładzie najpierw zaznajomił się z nowym działem, aby sprawdzić, czy potrafi je obsługiwać równie sprawnie jak starsze modele, a potem zasiadł w fotelu kapitana.

- Aktywacja komputera.

- Komputer aktywowany.

- Odcumuj.

- Wykonuję... Odcumowaliśmy.

- Zostałeś zaprogramowany, aby dostarczyć mnie w konkretne miejsce w systemie Hayakawa - ciągnął Cole. - Przyspiesz i melduj jedynie w przypadku natrafienia na problemy.

„Głodny Raptor” osiągnął dość szybko prędkość świetlną i skierował się na wylot tunelu czasoprzestrzennego, który dla niego i pozostałych dwunastu okrętów wybrał Wxakgini. Cole postanowił uciąć sobie krótką drzemkę, jako że nie miał nic do roboty podczas przelotu, poinstruował więc komputer pokładowy, aby obudził go, gdy wejdą w przestrzeń wewnętrzną systemu Hayakawa.

Rozkazał fotelowi rozłożenie do pozycji poziomej i zasnął niespełna minutę później. Gdy komputer zaczął go budzić, wydawało mu się, że dopiero co zamknął oczy, ale mechaniczny głos poinformował, że do orbity Hayakawa IX, najdalszej planety tego systemu, pozostało zaledwie trzydzieści milionów mil.

Jakiś czas później minęli gazowego giganta posiadającego aż jedenaście satelitów, pozostawiając w jego pasach i w pobliżu księżyców siedem z dwunastu jednostek. Pozostałe, w tym „Teddy R.”, miały się ukryć w znajdującym się kilkaset milionów mil dalej polu asteroid przypominającym nieco Obłok Oorta z Układu Słonecznego. Cole nie miał pojęcia, gdzie Ośmiornica schował swój okręt, ale uznał, że skoro jego instrumenty pokładowe nie potrafią wykryć jego obecności, na pew-

no dobrze wywiązał się ze swojego zadania.

Po dotarciu na wyznaczoną pozycję odczekał jeszcze godzinę, na wypadek gdyby któryś z tuneli spowodował niewielkie opóźnienia w przybyciu pozostałych jednostek, następnie odwrócił okręt dziobem w kierunku Nowej Patagonii, a raczej miejsca, w którym powinna się znajdować, jako że blask gwiazdy uniemożliwił jej dostrzeżenie, wyłączył silniki, uruchomił awaryjne systemy podtrzymywania życia, upewnił się raz jeszcze, że działo laserowe ma zasilanie z głównego reaktora, i na sam koniec wysłał sygnał SOS, nadając go na wszystkich częstotliwościach. Na wszelki wypadek nie dołączył do niego wezwania słownego, obawiając się, że po akcji na Chambon V flota rozesała próbki jego głosu do wszystkich jednostek operujących w pobliżu Wewnętrznej Granicy.

Nie pozostało mu nic innego, jak czekać. Minęło pół godziny, godzina, a potem kolejna. Właśnie zastanawiał się, czy nadać powtórne wezwanie, gdy radio ożyło.

- Uwaga, „Głodny Raptor”. Odbieramy cię głośno i wyraźnie. Czy możesz podać nam koordynaty wszystkich trzech wymiarów? - Przerwa. - „Głodny Raptor”, czy nas odbierasz?

Cole wolał nie odpowiadać, znów na wszelki wypadek, polecił więc, by komputer wygenerował automatyczną odpowiedź.

- „Głodny Raptor”, czy okręt został unieruchomiony?

Wilson znów nie odpowiedział.

- Powtórz, proszę - odezwał się nieznajomy głos.

Transmitter pozostawał cały czas czynny, aby okręty floty mogły go bez trudu namierzyć.

- „Głodny Raptor”, jeśli możecie odpowiedzieli, uczynicie to natychmiast. Jeżeli nie otrzymamy odpowiedzi, uznamy, że padliście ofiarą ataku. Gdyby tak było, zapewniamy, że przybędziemy na miejsce w wystarczającej sile, by was obronić, zniszczyć jednostki wroga i ewakuować rannych do szpitali na Nowej Patagonii.

Cole pozwolił komputerowi na wysłanie potwierdzenia odbioru przekazu, a potem wyjęczał kilka niezrozumiałych słów, aby nikt nie mógł zidentyfikować jego głosu. Sprawdził raz jeszcze stan działa, marząc o łyku prawdziwej kawy, a potem znów zasiadł w fotelu i czekał. Nie po raz pierwszy dotarła do niego myśl, że wojna to ciąg długich okresów oczekiwania, przerywanych jedynie od czasu do czasu niesłychanie brutalnymi walkami. Nudził się, i to bardzo, ale miał świadomość tego, że jak tylko zacznie się strzelanina, zatęskni za tym momentem, w którym siedząc wygodnie w fotelu, nie musiał stawiać czoła wrogowi.

Jak mogło do tego dojść? - zastanawiał się, spoglądając

w bezkresną pustkę widoczną na ekranach. *Byłem przecież kimś więcej niż dobrym oficerem. Byłem lojalny. Nigdy nie pomyślałem nawet o uczynieniu czegokolwiek przeciw flocie. Do cholery, ja byłem flotą!*

I nadal czuję się tym samym człowiekiem, którym byłem w przeszłości, ale kim się po drodze stałem? Buntownikiem, piratem, najemnikiem, a teraz siedzę tutaj, w pułapce zastawionej na okręty i załogi republikańskiej floty. I nie czuję się wcale winny zaistniałej sytuacji Wydaje mi się, że to usprawiedliwione działania, psychiatra miałby na mnie używanie. Po kwadransie nadeszła kolejna wiadomość.

- Wykryliśmy cię, „Głodny Raptor”. Nie widzimy w pobliżu nawet śladu wroga. Dostaniemy się na twój pokład i podejmiemy cię za trzy minuty.

Spojrzał na ekrany, ale nie zobaczył okrętów.

Sprawdził monitory działa, ale tam też ich nie było. Komputer pozostawał w uśpieniu.

Niech to szlag! Nic dziwnego, że nie mam niczego na monitorach. Zasilanie zostało wyłączone.

Nie odważył się włączyć zasilania. Okręty floty zorientowałyby się, że coś jest nie tak, i podchodziłyby znacznie ostrożniej. Rozważył pozostałe opcje. Nie miał ich zbyt wiele. Bez zasi-

lania ekrany działały jak zwykłe iluminatory, co oznaczało, że nie dostrzeże w nich nadlatujących jednostek, dopóki nie zbliżą się na dwie, trzy mile. Znaczyło to także, że podejdą bez obaw, gdyż bez zasilania nie mógł włączyć tarcz energetycznych. Dysponował bronią, którą mógł razić wroga z odległości stu czterdziestu tysięcy mil, a nie mógł z niej skorzystać, dopóki nie zobaczy tych okrętów gołym okiem. Tyle tylko, że skoro miał celować ręcznie, dystans mili czy jej ćwierci znacznie zwiększał szanse na trafienie.

Cieszyło go to, że przekazał dowodzenie „Teddym R.” w ręce Jacovica. Gdyby Wal stała teraz na mostku, już dawno wywiązałyby się strzelanina, ale Teroni zachowywał się ostrożnie, o wiele lepiej znał się na taktyce. Nie wiedział, dlaczego „Głodny Raptor” nie rozpoczął akcji, ale domyślał się, że Cole miał jakiś powód, aby tak postępować, i spokojnie czekał na rozwój wydarzeń.

Jedyną niewiadomą było zachowanie Ośmiornicy. Nadal nie miał pojęcia, gdzie znajduje się okręt watażki, a teraz, kiedy przybyły jednostki wroga, nikt nie odważył się wysłać komunikatu nakazującego mu powstrzymanie się od działania, dopóki on nie odda pierwszego strzału. Po chwili zastanowienia Cole stwierdził jednak, że głupek nie doszedłby do stanowiska dowódcy floty liczącej ponad trzysta sześćdziesiąt jednostek, a

człowiek posiadający choć odrobinę rozsądku poczeka z rozpoczęciem akcji, widząc, że pozostali wstrzymują ogień.

- Do „Głodnego Raptora”, jesteśmy już na miejscu - powiedział głos z radia. - Mamy kontakt wizualny. Potwierdź, jeśli możesz, odebranie tego komunikatu.

Cole czekał w milczeniu, wpatrując się w czerń ekranu.

Nagle zobaczył nadlatujące okręty. Było ich sześć, wszystkie klasy L, w tym jednostka szpitalna. Wybrał najbliższy cel i ręcznie naprowadził nań działo. Był niemal pewien, że nie mieli podniesionych osłon, ale bez włączonych przyrządów mógł tylko zgadywać. Nagle dwa okręty wykonały ostry zwrot i zniknęły mu z pola widzenia. Był to oczywisty manewr, stosowany na wypadek pułapek. Dowódcy rozdzielali siły, zajmując pozycje z różnych stron, aby móc ostrzelać źródło zagrożenia z kilku kierunków, podczas gdy jednostka ratunkowa podchodziła do uszkodzonego obiektu, łączyła się z nim i zaczynała ewakuację.

Wróg znajdował się już o pół mili od niego. W tym samym momencie wydawało mu się, że uchwycił kątem oka jakiś błysk, jakby blask tutejszej gwiazdy odbił się od wypolerowanej powierzchni kadłuba. Niech cię szlag, Ośmiornico. - pomyślał. Siedź na tyłku jeszcze przez dwadzieścia sekund!

Chciałby, i to bardzo, móc wycelować działo w któryś z

dwóch oskrzydlających go okrętów, choćby dlatego, że one otworzą ogień o wiele szybciej niż te jednostki, które wciąż się do niego zbliżały, ale przy ręcznym naprowadzaniu było to niemożliwe. Nie widział nawet, w którym miejscu się zatrzymały i chociaż mógł skierować lufę także w stronę burt, musiałby strzelać na ślepo. A miał możliwość oddania jednego, góra dwóch strzałów.

Okręty nadal się zbliżały. Gdy dotarły na odległość ćwierć mili, przygotował się do akcji. Uznał jednak, że skoro podstęp wypalił, może poczekać jeszcze trochę, aż znajdą się bezpośrednio przy nim. Jeśli będzie miał czas tylko na jeden strzał, nie może chybić.

Prowadząca jednostka znajdowała się dwieście jardów od niego, potem już tylko sto, pięćdziesiąt...

...i wtedy Cole wypalił z działła laserowego, jednocześnie aktywując wszystkie systemy obronne okrętu. Gdy tylko podniósł tarczę, usłyszał głośny huk, wiedział, że został trafiony. Sensory wskazywały na szybką utratę powietrza, więc nie oglądają się na nic, zaczął zakładać kombinezon próżniowy. Gdy po raz kolejny spojrzął na ekran, dwa widoczne na nim okręty - ten, który sam trafił, i sąsiednia jednostka - wisały nieruchomo w przestrzeni. Instrumenty pokładowe wykryły obecność innych jednostek, zbliżających się od strony pierścieni i księżyców dzie-

wiątej planety, a także z pasa asteroid. Widać było wyraźnie, że przygotowują manewr okrążający, ale żaden z nich nie otworzył ognia. Cole zdał sobie nagle sprawę, że nie strzelają, bojąc się, że i rafią uszkodzonego „Głodnego Raptora”.

Zmarszczył brwi. Kto w takim razie zniszczył tę drugą jednostkę i dlaczego okręty znajdujące się poza polem widzenia nie prowadziły ostrzału, aby przebić się przez pozostałe tarcze energetyczne?

- Ma pan zamiar siedzieć tam jak ta trusia - z radia podprzestrzennego dobiegł znajomy głos - czy zacznie pan robić w końcu użytek z tego cholernego działła?

- Ośmiornica! - wrzasnął Cole. - Gdzie pan jest?

- Tuż za panem. Jak pan myśli, kto strzeże pańskiego tyłka?

- Jakim cudem oni pana nie dostrzegli?

Ośmioręki roześmiał się.

- Zamontowałem kilka stukaczy trzeciej generacji na asteroidzie i pchnąłem ją w pańskim kierunku, jak tylko wynurzyliście się z tunelu czasoprzestrzennego. Od tamtej pory stanowią naszą niewidzialną straż tylną.

- Na asteroidzie? - powtórzył Wilson.

- Na bardzo małej i bardzo martwej.

Cole namierzył okręt, który oddał pierwszy strzał do

„Głodnego Raptora”, i wypalił w jego kierunku, promień lasera przeciął wielką jednostkę na dwie części.

- Zdjąłem już tego z drugiej strony - zameldował Ośmior-nica. - Zostały jeszcze dwa.

Minutę później, gdy do walki włączyły się działa pulsacyj-ne „Teddy’ego R.”, pozostał tylko jeden przeciwnik. Okręt szpi-talny.

- Jakie są pańskie rozkazy? - zapytał Jacovic. - Ta jed-nostka nie jest uzbrojona.

- Cole, tu Wal - w eterze pojawił się kolejny znajomy głos.
- Pamiętasz, co się stało, kiedy pozwoliliśmy odlecieć temu pierwszemu statkowi medycznemu?

- To i tak nie ma już znaczenia - wtrącił ośmioręki, który przysłuchiwał się tej wymianie zdań.

- Co pan chciał przez to powiedzieć?

- Okręt, który został wyeliminowany przez „Teodora Roo-sevelta”, zdążył wysłać zaszyfrowany przekaz. Okręt szpitalny nadaje je bez przerwy. Moi ludzie nie zdołali jeszcze złamać tych kodów, ale wydaje mi się, że na Nowej Patagonii wiedzą już doskonale, co tu zaszło i kto jest za to odpowiedzialny.

- Dobra - podsumował Cole. - Zostawcie tego medyka w spokoju.

- Uważaj! - wrzasnęła Wal.

Nagle poczuł silny wstrząs i zdał sobie sprawę, że okręt szpitalny staranował „Głodnego Raptora”, celując w sam środek kadłuba. Siła uderzenia cisnęła go na gródź, a z niej poszybował pod powałę, gdy wysiadło sztuczne ciężenie.

- Nic ci się nie stało? - zapytał Ośmiornica.

- Przed uderzeniem nie miałem już tlenu na pokładzie. A teraz nie mam także grawitacji. Lepiej wyślijcie wahadłowiec i zabierzcie mnie stąd.

- A co z działem?

- Mechanizm spustowy się zaciął, ale sporo wody upłynie, zanim trafi nam się kolejny egzemplarz piątej generacji - rzucił szybko Cole. - Lepiej wyślijcie dwa wahadłowce. Zabierzemy je i naprawimy później.

- Wysyłam natychmiast „Kermita” i „Edith” - powiedział Jacovic. - Przybędą za około cztery minuty. Wystarczy panu tlenu?

Ciekawe, czy sprawiłoby to jakąś różnicę, gdybym powiedział „nie”? Cole wahał się, czy nie zadać tego pytania, ale po chwili namysłu ograniczył się do suchego potwierdzenia.

- Ci medycy mają jaja, trzeba im to przyznać - wtrącił Ośmiornica.

- Możemy ich załadować na „Kermita”, kiedy po mnie przyleci.

- Możemy, o ile chce im pan wyprawić pogrzeby, ich okręt rozpadł się na kilka części po tym zderzeniu. Nie mieli czasu założyć kombinezonów próżniowych.

- Może mieli je na sobie już przed zderzeniem? - zasugerował Wilson.

- Może pamiętaliby o tym, gdyby byli żołnierzami, nie lekarzami - stwierdził ośmioręki. - Moje przyrządy nie wykrywają żadnych śladów życia, ale może pan to sprawdzić z bliska.

- Powinienem - odparł Cole. - Nie możemy ich zostawić na pastwę losu w rozerwanym kadłubie.

- Oni zamierzali zafundować panu podobną śmierć. Ci lekarze staranowali pański okręt.

- To był samobójczy atak - zgodził się Wilson. - Widzieli, co zrobiliśmy z resztą zespołu, uznali, że się nie wywiną, więc postanowili zabrać ze sobą do grobu przynajmniej kilku wrogów.

- Cokolwiek zamierzali, to było naprawdę głupie - podsumował Ośmiornica. - Pan przeżył, oni zginęli.

Cole przesiadł się na pokład pilotowanego przez Idenę „Kermita” natychmiast po jego przybyciu, a zanim odleciał na „Teddy’ego R.”, upewnił się, że na okręcie szpitalnym nikt nie przeżył.

- Lepiej wracajcie szybko na pokład - odezwała się Wal, gdy odbili od szczątków medyka.

- Co się dzieje? - zapytał kapitan.
- Chyba nie musimy czekać na rozszyfrowanie wiadomości, które przechwyił Ośmiornica.
- Dlaczego?
- Właśnie dostaliśmy przekaz od Księcia. Trzysta okrętów floty zbliża się do Stacji Singapur... - zamilkła na moment. - Mówi, że na pewno nie przylecieli zabawiać się przy stołach gry.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Gdy wszystkie okręty pokonywały drugi z tuneli czasoprzestrzennych, Cole zebrał wszystkich oficerów na naradę. Nie chciał, by odbyła się ona na mostku, który był miejscem zbyt publicznym, nie pomieściłby ich wszystkich w zagraconym gabinecie kapitańskim, więc zaanektował na czas rozmowy mesę. Wywalił z niej wszystkich załogantów i zamknął drzwi na klucz. W mesie oprócz niego znaleźli się Jacovic, Christine Mboya, Wal, Sharon Blacksmith i Mustafa Odom.

- Panie Odom - zagał Cole - przed wylotem zajmował się pan projektowaniem linii obrony stacji, jakie były postępy prac?

- Zdołaliśmy wykonać jedną trzecią zakładanych robót - odparł mechanik. - Większość broni pozyskaliśmy od nielegalnych handlarzy operujących na terenie stacji. Uznali oni, że taki będzie ich wkład w naszą sprawę.

- Ale zdążyliśmy zamontować tylko trzecią część potrzebnego uzbrojenia - przypomniał mu Wilson. - Które elementy stacji są najbardziej zagrożone?

- To zależy głównie od tego, jakiego rodzaju jednostki są do niej przycumowane.

- Proszę mi to wyjaśnić.

- Jeśli na stacji są duże jednostki, typu „Teddy’ego R.” albo jednostki pana Ośmiornicy, wtedy najłabszym odcinkiem obrony będą trzy poziomy dla kosmitów.

- Czyli spód stacji - uściślił Cole.

- W przestrzeni pojęcia dołu i góry nie mają zastosowania - przypomniał mu Odom.

- Dajmy spokój takim gadkom. Wie pan, o co mi chodziło.

- Kontynuując - mechanik od razu podjął temat - jeśli w dokach nie ma ciężko uzbrojonych jednostek, to one stanowią najłabszy element.

- Wiem, że zamontowaliśmy na kadłubie stacji wiele potężnych palników i stukaczy, a co z instalacjami defensywnymi?

- zapytał kapitan. - Mamy tam jakieś tarcze albo ekrany?

- Takie urządzenia są niepraktyczne - odparł Odom. - Ta stacja ma średnicę siedmiu mil. Największe okręty floty z trudem osiągają długość ćwierć mili, a pobór mocy dla ich ekranów jest wprost niewyobrażalny.

- Ile stacja ma stanowisk ogniowych czwartej i piątej generacji?

- Po ubiegłobroczej bitwie z Csontim zostało ich niewiele. Ale sumując je z nowymi nabytkami, powiedziałbym, że będzie około osiemdziesięciu pięciu.

- Aż tak wiele? - zdziwił się Cole.

- Niech pana nie zmyli ta liczba - zastrzegł się Odom. - Stacja nie stanowi zwartej konstrukcji, składa się z setek mniejszych obiektów. Jej zewnętrzny kadłub nie jest jednolity, a działa są tak poumieszczane, że mogą odpowiadać ogniem wyłącznie na atak danej sekcji stacji.

- Dziękuję, panie Odom. Christine, czy dysponujemy jakimiś kanałami łączności, których nie zna flota?

- Wątpię, sir - odparła porucznik Mboya. - W końcu latamy okrętem należącym do tej floty.

- A kodami, które Księżę może odczytać, a flota nie da rady złamać?

- Nie sądzę, sir. Nigdy nie mieliśmy potrzeby skrytego komunikowania się z Platynowym Księciem albo kimś na stacji, więc nawet nie przekazaliśmy im naszych zwykłych kodów.

- Zatem tym razem nic nam nie sprzyja? - zapytała Wal.

- Niekoniecznie - odparł Cole.

- Ale jeśli oni będą potrafili odczytać nasze transmisje...

- ...to pozwolimy im posłuchać tego, co będziemy chcieli.

- Oszukując ich, zmylisz też Księcia - przypomniała mu Wal.

- A co jest w tej sytuacji ważniejsze? - zapytał kapitan. - Zmylenie floty czy skołowanie Księcia?

- Dobra - zgodziła się rudowłosa. - Masz rację.

Cole spojrział na Jacovica.

- Mamy około tysiąca okrętów do obrony stacji, a przynajmniej tyle ich mieliśmy, zanim pojawiły się jednostki floty. Ja dowodziłem tylko raz podobnymi siłami, rok temu, ale wtedy wróg wystraszył się nas i zwiął. Pan ma wieloletnie doświadczenie w tej materii. Proszę ocenić sytuację, gdy dotrzemy na miejsce. Będę polegał na pańskich ekspertyzach.

- Wiedza, jak użyć takiej siły, to jedno - zauważył Teroni.

- A sprawienie, że tak wielka masa jednostek zareaguje zgodnie z rozkazami, to coś zupełnie innego. Nigdy nie przećwiczyliśmy podobnych manewrów. Ci ludzie nie wiedzą, jak formować szyki zaczepne i obronne, nie mają pojęcia...

- Jestem pewien, że mógłby pan napisać całą książkę o rzeczach, których oni nie potrafią zrobić - przerwał mu kapitan.

- Będziemy improwizować, ale sądzę, że powinien pan stać u mojego boku i służyć mi radą, kiedy zacznę wydawać rozkazy tym, którzy pozostali.

- Jak wielkie straty może im zadać flota przed naszym przylotem? - zapytała Sharon.

- Nie mam pojęcia - odparł Cole. - To z pewnością nie będzie atak zaskoczenia, bo Książę już wie, że nadlatują. Mam też nadzieję, że ktoś przejmie dowodzenie pozostałymi

jednostkami naszej floty.

- Może Lafferty? - zasugerował Jacovic.

Kapitan pokręcił głową.

- Nie, on nie jest wojskowym, tylko politykiem Ale nie powinniśmy się zamartwiać, kto przejmie dowodzenie podczas pierwszego ataku, tylko czy będzie tam ktokolwiek zdolny do wykonania tego zadania.

- Sądzę, że poniesiemy ogromne straty w początkowej fazie - stwierdził Teroni.

- To możliwe - przyznał Cole. - Ale mamy nad nimi przewagę liczebną, i to mniej więcej trzy do jednego, a Księżę z pewnością zdąży obsadzić wszystkie działa. Nie tylko my poniesiemy straty.

- Zdecydowana większość naszych jednostek nie zasługuje nawet na miano okrętów wojennych - przypomniała Sharon.

- Mają silniki, uzbrojenie i biorą udział w wojnie - odparł Wilson - a to czyni z nich okręty wojenne. - Spojrzał na Walkirię.

- Jeśli uda nam się podejść wystarczająco blisko do stacji, żeby dokonać bezpiecznego transferu, zostaniesz przeniesiona na jej pokład.

- Powinam być tutaj, na okręcie, razem z tobą - zaprotestowała.

- Byk da sobie radę w przedziale bojowym, przydzielę mu

Jabola do pomocy. Flota prędzej czy później, a znając ich, pewnie prędzej, dokona desantu na stację, aby zniszczyć, co tylko się da. Tam przydasz się bardziej niż my wszyscy razem wzięci.

Na jej twarzy pojawił się niespodziewanie szeroki uśmiech.

- No popatrz, o tym nie pomyślałam.

- Jakoś mnie to nie dziwi - stwierdził kapitan. - Jeśli będziemy mieli szansę wystania wahadłowca na któreś z ramion dokujących, zrobimy to. Chociaż zwrócimy o wiele mniej uwagi przeciwnika, jeśli skorzystasz z kombinezonu próżniowego i plecaka odrzutowego. Ale o sposobie dotarcia do celu zdecydujemy po dokonaniu oceny sytuacji. - Zmarszczył brwi. - A skoro mowa o dotarciu, kiedy będziemy na miejscu?

Christine natychmiast włączyła komunikator.

- Panie Wxakgini, kiedy dotrzemy do celu?

- Opuściliśmy tunel czasoprzestrzenny dwanaście minut temu, zostało więc jeszcze siedem minut i czterdzieści sekund.

- Świetnie, koniec narady - rzucił od razu Cole. Wracajcie na stanowiska. Panie Jacovic, proszę się trzymać blisko mnie. Wal, przygotuj kombinezon i plecak, na wypadek gdybyśmy nie mogli podejść zbyt blisko stacji. - Otworzył drzwi. - Do roboty.

Odom wrócił do maszynowni, Sharon zasiadła w centrali

sekcji bezpieczeństwa, Wal zeszła do hangaru wahadłowców, by przygotować sobie sprzęt, reszta podążyła na mostek, Christine przejęła tam od Rachel wachtę przy głównej konsoli komputera.

- Może pan wrzucić nam na ekrany jakieś obrazy, panie Briggs? - zapytał Cole.

- Jeszcze nie, sir - zameldował Malcolm. - Wiem, że toczy się tam regularna bitwa i stacja otrzymała wiele trafień, ale czysty przekaz wizyjny będzie możliwy dopiero za minutę albo dwie.

- Christine, spróbuj skontaktować się z Księciem i zapytaj o aktualną sytuację.

- Nie odpowiada, sir. Chyba zniszczono transmitery stacji. Cole pokręcił głową.

- Wątpię, aby im się to udało. Było ich od cholery. Księżę raczej sam je powyłączał. Nie może wydawać rozkazów naszym okrętom, nie chce też, by flota słyszała, co ma do powiedzenia swoim ludziom, dlatego przeszli na systemy łączności przewodowej.

Wal wróciła na mostek, niosąc skafander i plecak.

- I co tam słychać?

- Jego pytaj. - Wilson wskazał głową Briggsa.

- Ciężko powiedzieć. Obie strony wciąż prowadzą ostrzał.

Okręty zgromadziły się tak blisko stacji, że nie jestem w stanie powiedzieć, które zostały zniszczone, a które wciąż walczą.

- Lepiej zacznijmy ustalać plan działania - rzucił Cole. - Christine, połącz mnie z Ośmiornicą i resztą naszej eskadry.

- Na pewno chce pan przerwać ciszę radiową, sir? - zapytała.

- Jeśli nasze sensory wykrywają ich obecność, oni też już o nas wiedzą - odparł kapitan. - A im więcej z nich wyłamię się z szyku, żeby ruszyć na nas, tym lepiej dla stacji.

- Mamy połączenie, sir.

- Mówi Cole. Sądzę, że już wiecie, co się dzieje, Pan Jacovic wprowadzi was zaraz w szczegóły.

- Dziękuję, kapitanie - powiedział Teroni. - Nie ma sensu, abyśmy się rozdzielali i walczyli z nimi w pojedynkę. Stacji broni około tysiąca okrętów, które mogą się tym zająć. Na pokładach naszych jednostek mamy wystarczającą ilość dział czwartej generacji, by przebić osłony każdego okrętu oprócz pancerników, a w tej bitwie nie biorą one udziału. Wybierzemy cel ataku, prześlemy go do wszystkich jednostek eskadry, a potem zaatakujemy go jednocześnie. Nie przeciwiczyliśmy jeszcze takich skoordynowanych manewrów, więc nie będziemy kombinowali. Postawimy na ogromną siłę ognia skupionego na pojedynczym celu.

Cole przyjrzał się ekranom na stanowisku Briggsa.

- Naszym pierwszym celem będzie okręt klasy M „Wesoły Roger” numer 38259 coś tam, coś tam.

Eskadra natychmiast skierowała się prosto na wybrany cel, szybko stało się też jasne, dlaczego Wilson wybrał akurat ten okręt. „Wesoły Roger” trzymał się z dala od wiru bitwy, ostrzeliwując te z jednostek Lafferty’ego i Cole’a, które wyłamywały się z szyku i próbowały uciekać. Aby wykonać to zadanie, musiał się oddalić od głównych sił, dzięki czemu mogli podejść do niego, nie narażając się na zbyt wielkie niebezpieczeństwo.

Najpierw dopadł go Władimir Sokołow, zaraz po nim był Ośmiornica. Zanim „Teddy R.” wszedł w zasięg strzału, „Wesoły Roger” otrzymał już cztery trafienia z dział pulsacyjnych. Miał potężne wgniecenia wzdłuż kadłuba i tracił tlen.

- Już po nim - zameldował Moyer. - Proszę podać następny cel.

- Najpierw go wykończcie - rozkazał Cole. - Do obsługi działa laserowego wystarczy jeden człowiek w kombinezonie próżniowym, nie możemy pozwolić, by ktokolwiek tam przetrwał i strzelał do nas z tyłu.

Jacovic skinął głową na znak, że się zgadza.

- Słyszeliście, co powiedział kapitan.

Moyer oddał dwa kolejne strzały ze stukaczy i uszkodzony

okręt eksplodował, zmieniając się w oślepiającą kulę światła. Cole w tym czasie wybierał następny cel.

Wal podeszła do niego.

- Nie ma szans na to, by wahadłowiec mógł przedostać się do doków. Wydaje mi się, że powinnam założyć skafander.

- Ostrzał jest zbyt intensywny - stwierdził Wilson. - Poczekaj moment, aż walki nieco osłabną.

- Jeśli oni wyładują pierwsi, nie zdołam przygotować komitetów powitalnych.

- Jeśli każe ci czekać, będziesz podchodziła co chwilę i pytała, czy już możesz lecieć?

- Prawdopodobnie - oświadczyła.

- W takim razie daję ci wolną rękę.

- Już lecę! - wrzasnęła przez ramię, biegnąc w stronę wind.

- Połączcie mnie z przedziałem bojowym - poprosił Cole.

Hologram Pampasa pojawił się tuż przed jego twarzą.

- Byku, twoja ruda sparingpartnerka zakłada właśnie skafander próżniowy, by udać się na stację. Zapomnij o celach wskazywanych przez Jacovica, mamy jednaście innych okrętów, które mogą się nimi zająć. Masz eskortować Wal. Jak tylko nabierzesz podejrzeń, że któraś z wrogich jednostek bierze ją na cel, strzelaj w nią, dopóki wystarczy ci energii.

- Tak jest!

Cole spojrzął na główny ekran. Przez moment widział tylko masę strzelających do siebie okrętów. Potem w polu widzenia pojawiła się maleńka postać lecąca prosto na właz najwyższego poziomu stacji.

- To ona! - zawołał Briggs.

- Wiem. Byku, lepiej postaraj się obronić jej tyłek!

Niewielki okręt Republiki zbliżył się do Wal, ale został natychmiast ostrzelany licznymi impulsami energii. Otrzymał sześć albo siedem trafień, a potem zniknął.

- Sir, zgłasza się pan Lafferty - zameldowała Christine.

- Dawaj go tutaj.

Na mostku pojawiła się twarz siwowłosego księgarza.

- Witam ponownie. Zdaje się, że to panu zawdzięczamy całe to zamieszanie?

- Nie chciałem, by czuł się pan pomijany - odparł Cole. - Jaka jest sytuacja?

- Straciłem około stu okrętów, pan pewnie z siedemdziesiąt.

- A Republika?

- Około czterdziestu.

- Czy któryś z nich przebił się na stację?

- Nic mi o tym nie wiadomo.

- Wal powinna być na pokładzie za niecałą minutę - powiedział Wilson. - Jeśli któryś z pańsku ludzi zauważy próbę dokonania desantu, proszę ją o tym zawiadomić.

- Nie znam żadnej Wal.

- Racja, nie zna pan jej jeszcze - przyznał Cole, zaskoczony tym, że jest ktoś, kto o niej nie słyszał. - W takim razie proszę powiadomić mnie, zadbam, aby wiadomość dotarła gdzie trzeba. Ile amunicji wam zostało?

- Tym nie musi się pan martwić, sądzę, że flocie zabraknie jej prędzej niż nam.

- Próbujcie wybierać pojedyncze cele i atakujcie je kilkunastoma jednostkami jednocześnie - poradził mu Wilson. - Wątpię, abyście mogli toczyć z nimi pojedynki.

- Mam tu pięć setek marudnych indywidualistów - odparł Lafferty. - Trzeba sporo czasu, żeby nauczyć ich walki w drużynie.

- Albo będą działać zespołowo, albo zginą jako marudni indywidualiści - stwierdził kapitan.

- Świetnie.

- O czym pan mówi?

- Nagrałem tę wypowiedź - wyjaśnił starszek. - Zaraz nadam ją na wszystkie nasze jednostki.

- Jeśli to może w czymś pomóc... - Nagle kadłub „Ted-

dy'ego R." zadrżał mocno. - Rozłączam się. Trafiliśmy pod ostrzał.

- Ośłony przetrwały, sir - zameldował Briggs.

- Panie Odom, czy uszkodzono nam silniki?

- Nie - odparł mechanik.

- Kadłub zachował szczelność?

- Na razie tak.

Okręt zadrżał jeszcze dwukrotnie. Cole spojrzął na ekran. Wokół aż się roilo od okrętów floty. Podchodziły do „Teddy'ego R.” ze wszystkich stron.

- Zdaje się, że w końcu zrozumieli, z kim mają do czynienia - odezwała się Sharon.

Jakby na potwierdzenie jej słów, „Teddy R.” zadrżał od trzech kolejnych trafień.

- Jak tam nasze ośłony, panie Odom?

- Póki co nieźle - zameldował pierwszy mechanik - co daje nam jakieś czterdzieści pięć sekund na wymyślenie czegoś.

Dwa kolejne impulsy dotarły do celu niemal w tym samym czasie.

- Teraz już tylko czterdzieści - wymamrotał.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Cole nie spuszczał wzroku z ekranu. Naliczył piętnaście okrętów Republiki, ale czuł, że mógł przynajmniej kilka pominąć.

Przez moment chciał wydać pilotowi rozkaz zawrócenia, ale zdał sobie sprawę, że za nim też z pewnością czai się wróg. Potem przyszło mu na myśl, by zapytać Jacovica o zdanie, ale doszedł do wniosku, że gdyby Teroni miał jakieś pomysły, już by się nimi podzielił.

- Byku?

- Słucham, sir?

- Wystrzelcie wszystkie miny, jakie nam pozostały.

Na moment zapanowała cisza.

- Zrobione, sir.

- Po tym jak pierwszy okręt nadzieje się na którąś, pozostałe znacznie zwolniły podchodzenie - powiedział do Jacovica.

- Spójrzcie na to! - wrzasnął nagle Briggs, wskazując na ekran. - Mina nie mogła zrobić czegoś takiego.

Gdy przenieśli wzrok na wielki ekran, zobaczyli kadłub sporej jednostki rozrywany na strzępy uderzeniami impulsów

energetycznych. Nagle eksplodował drugi okręt Republiki, a zaraz po nim trzeci.

- Co się dzieje? - zdziwił się Cole. - Nie widzę, by którykolwiek z naszych strzelał w ich kierunku.

- To ostrzał ze stacji - zameldowała Christine.

- Wal wzięła się do roboty - mruknął Wilson, gdy kolejny wróg przeszedł do historii.

- Dlaczego uważa pan, że to ona? - zapytał Briggs.

- Choćby dlatego, że nie chybiła ani razu.

Gdy kolejne trzy jednostki zostały rozerwane na strzępy, reszta formacji porzuciła „Teddy’ego R.” i skupiła się ponownie na ostrzeliwaniu stacji.

- Pilocie! - zawołał Cole. - Zabieraj nas stąd w diabły, zanim znów ktoś zacznie do nas walić.

Wxakgini, istota połączona bezpośrednio z mechanizmami okrętu, natychmiast wycofał go na pozycję oddaloną o kolejne pięćset mil.

- Coś mi tu nie gra - powiedział Wilson, przyglądając się ekranom. - Wydawało mi się, że flota wysłała tu trzysta okrętów.

- Tak było, sir - zapewnił go Briggs.

- My dysponowaliśmy tylko tysiącem jednostek, wliczając w to wszystkie siły ściągnięte tutaj przez Lafferty’ego.

- Tak, sir.

- W takim razie albo źle widzę, albo tam jest ze trzy tysiące walczących jednostek!

- Kazałam komputerom obliczyć ich liczbę, sir - wtrąciła się Christine. - W tej bitwie bierze udział trzy tysiące sześćset dwadzieścia siedem jednostek.

- Połącz mnie z Laffertym - poprosił kapitan.

Skinęła głową, gdy udało jej się nawiązać kontakt z przywódcą rebeliantów.

- W okolicach stacji znajduje się ogromna liczba okrętów. To nasi czy posiłki floty?

- Nasi - odparł Lafferty. - Nie sądził pan chyba, że flota wysłała trzy tysiące jednostek do zniszczenia zwykłej stacji kosmicznej.

- W takim razie z kim mamy do czynienia?

- To ludzie i kosmici, którzy albo mieszkają na stacji, albo byli na niej w chwili ataku - wyjaśnił księgarz. - To jest ich dom. Skoro został zaatakowany, bronią go na równi z nami. - Na holograficznej twarzy pojawił się szeroki uśmiech. - Dzięki temu flota może się zadławić tym kąskiem.

- Niech mnie piekło pochłonie - mruknął Cole.

- Trafi pan tam, ale za jakiś czas - odparł rebeliant. - Najpierw pošlemy diabłom kilka okrętów floty, żeby grzały dla

nas miejsca tuż przy ogniu.

Połączenie zostało przerwane. Cole spojrzął na Jacovica.

- Flota schrzaniła to tym razem. Kiedy wysyła się ekspedycję karną, lepiej atakować tych, których chce się zlikwidować, a nie pierwszych ludzi z brzegu.

- Przypominam, że nasze siły są wciąż zbyt mało zorganizowane, by stawić im zdecydowany i skuteczny opór - zauważył Teroni.

- I na dodatek nasi ludzie są zbyt wściekli - dodał Cole. - Wydaje mi się, że powinniśmy zostać tutaj, gdzie jesteśmy, i ściągnąć do pomocy ze dwadzieścia naszych okrętów i tyle samo należących do Ośmiornicy, aby zabezpieczyć tyły pola bitwy, chociaż nie wiem, czy można w tym wypadku użyć takiego określenia. Odetnijmy wrogowi wszystkie możliwe drogi ucieczki.

Jacovic skinął głową z uznaniem.

- Zaraz przekażę ten rozkaz. - Podszedł do stanowiska Christine i zaczął przeglądać listę, wybierając jednostki odpowiedzialnie do wykonania tego zadania.

- Otrzymałem wiadomość - zameldował Briggs.

- Przyszła do ciebie, nie do Christine?

- Przekazała łączność na moje stanowisko, dopóki nie roześle rozkazów od pana Jacovica.

- Dobra, dawaj ją tutaj.

- Hej, Cole! - wydarła się Wal. Jej rude włosy były w nieładzie, zęby szczyrzyła jak jakaś wariatka. - Załatwiłam już dziesięć okrętów! Czy dasz mi za to całą butelkę tej szkockiej, którą kiedyś zaczęliśmy?

- Książę ci ją postawi - odparł Wilson. - A ja dorzucę drugą za kolejnych dziesięć okrętów.

- Stoi!

- Jak mocno uszkodzili stację?

- Te ściany mają bardzo dobre wiązania molekularne - odparła. - Wydaje mi się, że przebili je w nie więcej niż trzech miejscach, ale ekipy remontowe już pracują nad załatwianiem dziur. Jedyny problem, jaki mam, to mrowie naszych jednostek, przez nie trudno trafić wroga.

- Lepsze to, niż gdyby ich w ogóle nie było - zauważył Cole.

- Ludzie są naprawdę wkurzeni - ciągnęła dalej. - Widziałam, jak ty się wściekałeś kiedyś na działania floty, ale uwierz mi, to było nic w porównaniu z tym, co tu się dzieje. Wydawać by się mogło, że wszyscy na stacji doszli nagle do wniosku, że nie można dalej ignorować działań tych bękartów, więc powiadali na swoje stateczki, by ich pozabijać.

- Żeby jeszcze dysponowali odpowiednią bronią - wes-

tchnął Cole.

- To ich, jak widać, nie powstrzymało - odparła. - starałam się wpoić im zawołanie „Zabij za Cole’a!”, ale oni wolą walczyć pod hasłem „Ocalić Stację Singapur”.

- Wcale im się nie dziwię - stwierdził Wilson. - o nią właśnie walczą.

Nagle rozległ się huk eksplozji i połączenie zostało przerwane.

- Co się stało?

- Stacja otrzymała bezpośrednie trafienie w pobliżu miejsca pobytu Wal - zameldował Briggs. - Nic miała szans na przeżycie.

- Jej nic nie zabije.

Sir, widziałem trafienie impulsem energii, za którym posłano torpedę.

- Wiem, co pan widział - zapewnił go kapitan. - Proszę szukać sygnału od niej. Ta dama jest niezniszczalna.

Briggs spojrzał na niego, jakby myślał, że dowódca postradał zmysły, a potem wzruszył ramionami i przeniósł wzrok na ekrany.

- To było naprawdę potężne trafienie, Wilsonie odezwała się Sharon. - Ja też nie daję jej większych szans.

Zanim Cole zdążył odpowiedzieć, usłyszeli znajomy kobie-

cy głos:

- ...i żadna pieprzona torpeda nie jest w stanie mnie powstrzymać!

Ujrzeni hologram Wal wyłaniający się powoli z szumów. Miała podbite oko, krew ciekła jej po policzku, mundur na jej ramieniu był mocno poszarpany i też zakrwawiony, ale poza tym zachowywała się równie żywotnie jak przed chwilą.

- Pieprzony gnój ma szczęście, że siedzi na swoim stateczku, bo już bym mu wszystkie kości połamała.

Wilson uśmiechnął się.

- Moja dziewczynka - powiedział.

- Słuchaj, Cole, muszę tu ściągnąć ekipy naprawcze. Sama pójdę na najwyższy poziom, mają tam cztery palniki czwartej generacji. Może znajdę po drodze kilku ludzi do ich obsługi.

- Wiesz lepiej ode mnie, co trzeba robić - odparł kapitan.

- Skontaktuję się z wami po dotarciu na miejsce - rzuciła i nagle spojrzała gdzieś w bok, poza pole widzenia kamery. - Ej, ty! Strzelałeś kiedyś z działa? - Zamilkła na moment. - Nie szkodzi, dzisiaj jest dobry dzień na naukę. Zabieraj dupsko na najwyższy poziom stacji.

Rozłączyła się.

- Pozwólcie, że powtórzę to raz jeszcze. Dajcie mi pięćdziesiąt takich jak ona, a podbiję całą galaktykę.

- Czterdzieści pięć nie wystarczy? - zapytał Jacovic, obdarzając wszystkich niezwykle rzadkim w jego wykonaniu uśmiechem.

Cole spojrzął na monitory Briggsa. Czterdzieści okrętów wycofało się już na pozycje wskazane przez Teroni, ale bitwa wokół stacji wciąż nie traciła na sile.

- Wszyscy są już tam, gdzie trzeba? - zapytał.

- Tak - odparł Jacovic.

- Jest pan pewien, że to optymalny szyk?

- Tak - powtórzył komandor.

- Zatem wracajmy do walki - rozkazał kapitan.

- Właśnie zajęliśmy najbardziej strategiczną pozycję - powiadomił go Teroni.

- Tak, ale te trzy tysiące okrętów walczy tam tylko dlatego, że podjąłem decyzję o wypędzeniu floty z terytorium Wewnętrznej Granicy. Może kilku z nich, widząc nas tutaj, zrozumie, co chcemy zrobić, ale dla reszty będziemy dupkami, którzy przyglądają się z boku, jak inni za nas giną.

- Dlaczego miałoby tak pomyśleć? - zdziwił się Jacovic.

- Bo ja na ich miejscu tak bym pomyślał - odparł Cole. - Pilocie, porozum się z komputerami nawigacyjnymi na jednostkach panów Sokołowa i Moyera. Może uda nam się wspólnie opracować jakąś strategię.

W chwili gdy „Teddy R.” podchodził do Stacji Singapur, jedno z liczących niemal pół mili ramion dokujących nie wytrzymało, odłamało się i poszybowało w przestrzeń z przynajmniej pięćdziesięcioma statkami wciąż przytwierdzonymi do stanowisk postojowych. Wielka metalowa konstrukcja odbiła się od jednego z republikańskich wraków i majestatycznie zaczęła oddalać się od pola bitwy.

- Proszę uważać na siebie, sir! - ostrzegł Sokołow.

- Z jakiego powodu? - zapytał Cole.

- Jeden z wraków nieomal otarł wam się o burtę. Robi się tu ciasno.

- Gdzie jest Moyer?

- Nie widziałem jego okrętu od dobrych dwudziestu minut, sir - stwierdził Władimir.

- Ja widziałem - wtrącił Braxyta. - Dostał się pod ostrzał jednej z naszych jednostek. Nie wiem, czy udało mu się przeżyć. Okręt wyglądał na poważnie uszkodzony.

- A widzieliście okręt flagowy tej floty? - zapytał Cole.

- Wal zdjęła go, jak tylko dostała się na stację, sir.

- Zatem my mamy trzy tysiące jednostek latających bez sensu, a wróg stracił centrum dowodzenia - wymamrotał pod nosem Cole. - Zaraz zrobi się tu niezłe bagno.

Stało się, jak mówił. Nie można było oddać strzału w po-

bliżu stacji, żeby w coś nie trafić. Równie dobrze mógł być to przyjaciel, jak i wróg. Okręty i ich szczątki latały wokół kadłuba stacji, zderzając się z innymi jednostkami, których załogi zbytnio koncentrowały się na walce z wrogiem. Nieco później w przestrzeni pojawiły się ciała, najpierw nieliczne, potem całe ich setki, przesuwane się leniwie bądź wirujące jak oszalałe, gdy uderzył w nie przelatujący okręt albo promień lasera.

- Hej, Cole, szukaj tę flaszkę - kapitan usłyszał znajomy głos. - Mam już piętnaście zestrzeleń na koncie.

Wilson spojrzał na hologram Wal. Miała na sobie tyle krwi, że nie mógł uwierzyć, iż mogła wciąż stać na własnych nogach.

- Najpierw trafisz do szpitala - powiedział. - Na poziomie pod kasynem Księcia jest całkiem sensowna placówka medyczna. Lepiej udaj się tam od razu, póki możesz jeszcze chodzić.

- Nie wykręcisz się tak łatwo od postawienia tej flaszki! - wydarła się do kamery.

- I tak ci ją kupię - odparł. - Wolałbym jednak, żebyś dożyła jej otwarcia.

- Będę się trzymała na nogach jeszcze długo po tym, jak ty padniesz na... cholera!

- Co się dzieje?

- Siedmiu albo ośmiu drani dostało się jakimś cudem na pokład stacji!

- Masz na myśli żołnierzy Republiki?

- A są tu jeszcze jacyś dranie? - zapytała, wyciągając palnik i strzelając w kogoś, kogo nie mogli zobaczyć. Spojrzała w stronę kolejnych napastników. - Wygląda na to, pajace, że wybraliście sobie złą stację do zajmowania!

Połączenie zostało przerwane.

- Nie chciałbym należeć do tego desantu - stwierdził Cole.

- Jest zadziwiająca - przyznał Jacovic.

- Cieszymy się, że mamy ją po naszej stronie.

Okrętem zarzuciło tak mocno, że Cole wylądował na grodzi.

- Co to było, do cholery? - zapytał. - Na pewno nie trafienie impulsem energii.

- Otarł się o nas okręt klasy L - zameldował Briggs.

- Celowo czy przypadkiem?

- Zdaje się, że to był wrak.

- Panie Odom?

- Słucham, sir?

- Odnieśliśmy uszkodzenia po tym zderzeniu?

- Nie.

- Żadnych wgnieceń kadłuba?

- Przy tej strukturze materiału nie ma mowy o odkształceniach - zapewnił go pierwszy mechanik. - Można go zdezinte-

grować, ale nie wygiąć.

- Skoro już rozmawiamy, proszę powiedzieć, co z zapasami amunicji?

- Zużyliśmy dopiero osiem procent stanu - zameldował Odom. - Prawdę powiedziawszy, do tej pory prawie wcale nie strzelaliśmy.

- Świetnie, dziękuję. - Mechanik wyłączył się. - Czy ktoś może przeliczyć okręty przeciwnika? Zarówno sprawne, jak i zniszczone?

- Nie jestem w stanie podać dokładnej liczby - stwierdziła Christine - ale do tej pory zniszczyliśmy albo uszkodziliśmy poważnie około stu sześćdziesięciu jednostek.

- Więcej niż połowę? - zdumiał się Cole.

- Mamy dziesięciokrotną przewagę - przypomniała mu Sharon. - A przynajmniej mieliśmy ją, gdy ta bitwa się rozpoczęła. Straciliśmy dotychczas około siedmiuset jednostek.

Cole spojrział na kolejny ekran. Ten, podobnie jak poprzednie, wypełniały okręty. Sprawne, zniszczone i uszkodzone. Co kilka sekund pole widzenia rozświetlała eksplozja po trafieniu promieniem lasera albo impulsem energetycznym. Po chwili kapitan dostrzegł też unoszące się wszędzie drobinki - ciała poległych i umierających członków załóg.

- Nie do takiej walki nas szkolono - wymamrotał, wpatru-

jąc się w ekran jak zahipnotyzowany.

- Kiedy to się skończy? - zapytał Jacovic.

- Kiedy polegnie ostatni z nas albo z nich.

- Pytałem, kiedy to naprawdę się skończy?

- Przecież panu odpowiedziałem.

- Chodziło mi o to, kiedy Republika odpuści sobie Wewnętrzną Granicę i zostawi jej mieszkańców w spokoju?

- Kiedy splądruje ostatnią planetę, na której znajduje się coś wartościowego - odparł Wilson - i wcieli do floty ostatniego człowieka, który będzie się nadawał. - Zmusił się do bladego uśmiechu. - Czyli skończy robić to, przeciw czemu teraz walczymy. Nagle panele grodzi rozsunęły się i na mostek wszedł Dawid Copperfield. Z jego nozdrzy ciekła pomarańczowa posoka.

- A tobie co się stało? - zapytał Briggs.

- To, co się stać musiało - odparł Cole, odwracając się do małego kosmity. - Ile razy ci powtarzałem, żebyś się tam nie chował?

- Ale tam zawsze było tak bezpiecznie - upierał się Copperfield.

- Bo do tej pory nie zostaliśmy staranowani przez żaden wrak - rzucił Wilson, przyglądając się uważnie Dawidowi. - Czy zostałeś poważnie ranny?

- Nie - zaprzeczył kosmita, szybko kręcąc głową i spryskując wszystko wokół pomarańczową krwią.

- Leć do ambulatorium, niech ci zatamują to krwawienie - poprosił Cole. - Po opatrzeniu możesz zostać w izolatce, wrócić tutaj albo udać się do swojej kabiny. Tylko nie włącz już nigdy więcej między grodzie!

- Nie wejdę - obiecał Copperfield, kierując się w stronę wind.

- Byku! - zawołał kapitan. - Chcesz, bym cię zmienił?

- Nie, sir! - odparł Pampas. - Mamy tyle celów, że przydałoby się parę rąk do pomocy, ale zostaniemy na stanowiskach do końca tej bitwy, jakkolwiek miałyby być.

- Dobrze, pošlę wam tam kogoś do pomocy. Spojrzał na Christine. - Powiedz Idenie, żeby zeszła do przedziału bojowego.

Wielki impuls energii trafił w kadłub, ale został całkowicie pochłonięty przez tarcze energetyczne. Na mostku natychmiast pojawił się hologram pana Odoma.

- Wytrzymamy jeszcze dwa podobne trafienia, sir - zameldował pierwszy mechanik. - Potem możemy się pożegnać z lewymi osłonami dziobu.

- Na jak długo? - zapytał Cole.

- Na zawsze. - Odom pokręcił głową. - Daleko mi do tego, żeby pouczać pana, jak prowadzić okręt albo dowodzić w

czasie bitwy, ale sugerowałbym, żeby unikać kolejnych trafień.

- Zanotowałem i dziękuję za pańskie uwagi - odparł kapitan.

Po mechaniku na mostku pojawił się hologram Domak, która pracowała wciąż na komputerze w gabinecie Cole'a.

- Sir, wydaje mi się, że namierzyłam miejsce, w którym żołnierze Republiki przedostają się na pokład stacji.

- Słucham?

- Nie korzystają z włazów, te zostały zaminowane przez ludzi Księcia. Wykorzystują wyloty kanałów wentylacyjnych na trzecim poziomie dla ludzi, zaraz powiększę panu obraz.

Chwilę później zobaczyli to miejsce w sporym powiększeniu. Wcześniej wylot przewodów miał osłonę z masywnej tytanowej kraty, ale wybuch wyrwał ją z zawiasów i pewnie szybowała teraz gdzieś w przestrzeni. Otwór był na tyle duży, że mógł się w nim zmieścić dorosły człowiek. Cole, wpatrując się w mroczne wnętrze rury, dostrzegł w niej jakiś ruch. Chciał poinformować o tym Wal, ale jej transponder umilkł wkrótce po tym, jak spotkała pierwszą falę desantu.

- Możemy podejść nieco bliżej tych przewodów? - zapytał.

- O ile nikt nie będzie do nas strzelał - odparł Wxakgini, wprowadzając okręt w ruch.

- Tak, to właśnie wtedy wchodzi na stację. Musimy się upewnić, że nikt inny nie skorzysta już z tej drogi.

Pilot zatrzymał „Teddy’ego R.” około ćwierć mili od wylotu szybów.

- Jeśli podejdziemy bliżej, będziemy ryzykowali nie tylko ostrzał wroga, ale i możliwość zderzenia z którymś z wraków.

- Byku, użyj palnika, nie stukaczy, tylko palnika, i postaraj się zamknąć wyloty tych rur na drugim poziomie stacji.

- Nie da rady - odparł Pampas. - Tam nie ma żadnych klap ani fragmentów kadłuba stacji, który mógłbym stopić.

- Wokół krążą miliony szczątków ze zniszczonych okrętów - podrzucił mu Cole. - Nie dasz rady zepchnąć tam jakiegoś elementu, grodzi, czegokolwiek i zaspawać otworów? To nie musi wyglądać pięknie ani być funkcjonalne, ludzie Księcia naprawią wszystko po bitwie.

- Nie dam rady przyspawać tam fragmentu kadłuba, ale gdyby trafiła się jakaś prosta gródź albo fragment ściany... Spróbuj - poprosił Cole.

Pampas wymierzył w coś, co mogło być kiedyś drzwiami do kabiny. Wspólnie z Ideną obniżyli moc lasera i wymierzili prosto w stację, dopychając fragment wraku do wylotu rury. Byk przyspawał go promieniem lasera.

- To powinno wystarczyć - uznał, gdy skończyli.

- Wygląda nieźle - przyznał Cole.

- Dopóki ktoś tego znów nie wysadzi - mruknął Briggs.

- Nikt tu niczego nie wysadzał - przypomniał mu Wilson. - To szyby wentylacyjne, nie włązy. Wal już zadba o to, by nikt nie przekazał przez radio, gdzie znajduje się idealne wejście do wnętrza stacji.

- Sir, musimy natychmiast reagować - wtrąciła Christine. - Chłopcy Lafferty'ego i ochotnicy ze stacji rozwalili już niemal tyle samo naszych okrętów co Republikanie.

- Nie wiem, czy będziemy w stanie odwołać tych wszystkich ochotników albo chociaż pokierować ich ruchami - stwierdził Cole. - Ale mogę porozmawiać z Laffertym o wycofaniu jego ludzi. Połącz mnie z nim.

- Nie mogę, sir. Albo jego komputer został uszkodzony, albo ma wyłączony transponder.

- Cudownie - mruknął kapitan. *Pomyśl!! Jak możesz odwołać dwa tysiące ludzi, którzy na dodatek nie walczą dla ciebie?* - Christine, połącz mnie z Księciem.

Zaraz potem zobaczył oblicze platynowego człowieka.

- Jak wam idzie obrona? - zapytał Cole.

- Na razie całkiem nieźle, głównie dzięki pewnej walecznej kobiecie.

- Musi pan coś dla mnie zrobić - powiedział Wilson. - Nie

mam pojęcia, kim są ci samozwańczy obrońcy stacji, ale robią tutaj więcej złego niż dobrego. Pan jest szefem i pewnie posiada rejestry jednostek, które wystartowały tuż przed pojawieniem się floty. Niewielka część z nich pewnie podwinęła pod siebie ogony i zbiegła, ale większość włączyła się do bitwy. Proszę wynotować ich kody i przesać je na „Teddy’ego R.”.

- To zajmie mi chwilę - uprzedził go Książę. Muszę najpierw dotrzeć do moich komputerów.

Nie trudził się wyłączeniem kamery. Cole wpatrywał się w puste krzesło przez kolejne dwadzieścia sekund, a potem znów ujrzał szefa stacji wydające go jakieś rozkazy.

- Już je wysyłam - obwieścił człowiek z platyny.

- Kody dotarły - zameldowała Christine.

- Dzięki. Proszę sprawić, żeby Wal trafiła do któregoś z waszych szpitali.

- Nie mógłby pan prosić o coś prostszego? Na przykład podbicie Delurosa VIII?

Cole rozłączył się.

- Christine, czy możesz nadać to, co teraz po wiem, na wszystkie jednostki, które namierzył dla nas Książę?

- Tak.

- Zaczynaj. - Poczekał na skinięcie głowy oznaczające, że jest gotowa. - Uwaga! Mówi Wilson Cole, dowódca „Teodora

Roosevelta”. Doceniamy wasze poświęcenie, ale w tej chwili niszcycie równie wiele naszych okrętów co wróg. Nie mamy czasu na demokratyczne przepychanki, więc wydaję wam rozkaz podporządkowania działań dowódcom okrętów klasy J i wyższych. Zgromadźcie się wokół nich w grupach po około trzydzieści jednostek, wybierzcie najbliższy okręt wroga za cel i uderzcie na nie wspólnymi siłami. Jeśli nie wiecie, jak wygląda okręt klasy J, poczekajcie chwilę i sprawdźcie, wokół których jednostek grupują się pozostali bojownicy. Przyłączcie się do najbliższej. Gdyby któryś z dowódców potrzebował wskazówek taktycznych, teraz albo podczas dalszej walki, niech kontaktuje się z komandorem Jacovicem. Jego prywatna częstotliwość zostanie przesłana do waszych komputerów... - spojrzał na Christine - w tym momencie. - Przesunął palcem po krtani, pokazując, aby zakończyła połączenie. - Teraz połącz mnie z Ośmiornicą.

Wielkolud pojawił się przed nim niemal w tym samym momencie.

- Chyba wygrywamy - oznajmił. - Ale tam lata tyle wraków i odłamków, że trudno to ocenić.

- Właśnie wydałem kilka podstawowych rozkazów dwóm tysiącom ochotników - powiedział Cole. - No, może nie ma ich teraz więcej niż półtora tysiąca. Powinni uważniej wybierać kolejne cele ataków, chociaż niemal na pewno nie uda nam się

zsynchronizować ich działań na większą skalę. Ruszą na te okręty, które będą najbliżej nich. Ale kiedy już zbiorą się w grupy i zaatakują, będzie pan wiedział, które jednostki wroga wybiorą. Powiedzmy, że uda im się zneutralizować te okręty albo przynajmniej związać je walką na dłuższą chwilę. Chciałbym, żeby pan wybrał spośród pozostałych te, które są najlepiej uzbrojone, i przypuścił na nie atak.

- Proszę dać mi chwilę na przegrupowanie sił - odparł Ośmiornica. - Wiem, że kilka moich najlepszych jednostek zostało już zniszczonych.

- Ochotnicy nie zdołają się zorganizować w krótkim czasie. To zwykli rozrabiacy, złodzieje i rabusie, którzy nigdy nie uczyli się walczyć w zwartej formacji. W tej chwili pewnie połowa z nich stara się zrozumieć, o co mi chodziło, a reszta wyklóca się z pozostałymi.

Ośmioręki roześmiał się.

- Chciał pan przecież walki z flotą.

- Niezupenie. Chciałem, by zostawiła nas w spokoju.

Okręt zadrżał od kolejnej kolizji i stracili łączność.

- Wszystko w porządku, panie Odom?

- Proszę dać mi minutkę na sprawdzenie, sir - poprosił pierwszy mechanik. - Otrzymaliśmy trafienie w tę samą tarczę... - zamilkł na moment. - Tak, moim zdaniem, powinniśmy

się postarać, aby już nic więcej nie trafiło w to miejsce.

- Dziękuję.

- Hej, Cole - usłyszał znajomy głos.

- Któregoś dnia będę musiał cię nauczyć, jak oficer zwraca się do dowódcy - powiedział Wilson.

- Ośmiu weszło na pokład, ośmiu zginęło.

- Ale chyba jeszcze nie dzisiaj - dokończył kapitan. - Dlaczego nie mamy podglądu?

- Ponieważ masz słaby żołądek i miękkie serce, a ja nie zamierzam odwiedzać szpitala, dopóki ta bitwa się nie skończy. Zaliczyłam już siedemnaście zestrzeleń. Jeszcze trzy i lecis mi flaszkę szkockiej ze starej Ziemi.

- Nie bój się, nie zapomniałem o tym. A teraz pokaż się.

- Ostrzegałam cię, jakby co.

Zobaczyli jej hologram.

- Jezu! Jesteś jeszcze bardziej pokrwawiona niż przedtem!

- Krew tak pięknie konweniuje z kolorem moich włosów - stwierdziła i roześmiała się niespodziewanie. - Powinieneś zobaczyć, jak oni wyglądali.

- Wystarczy mi to, co widzę.

Rozłączył się.

- Jak nam idzie? - zapytał Jacovica. - Zaczęli już tworzyć grupy?

- Nawet nieźle im poszło. Nie nazwałbym tego wprowadzie formacjami, ale jeśli zaatakują w trzydziestu albo czterdziestu jednostkę dysponującą trzema działami na krzyż, jakość szyku nie będzie miała wielkiego znaczenia. - W chwili gdy to mówił, dwa okręty floty eksplodowały w pobliżu „Teddy’ego R.”. - Nigdy nie popierałem wojny na wyczerpanie - stwierdził Teroni - ale jeśli uda nam się zniszczyć jednostkę wroga, nie tracąc przy tym więcej niż siedem niewielkich stateczków, wygramy tę bitwę.

- Teraz powinienem skontaktować się z okrętami Lafferty’ego i zorganizować je w podobne grupy - stwierdził Cole.

- Nie znamy kodów, których używają, prócz osobistych Lafferty’ego, a on nie odpowiada - przypomniała mu Christine.

- Musi istnieć jakiś... - Wilson odwrócił się raptownie do Christine. - Połącz mnie z Księżciem.

Człowiek z platyny pojawił się przed nim parę sekund później.

- O co chodzi? - zapytał.

- Gdzieś na stacji powinien być kosmita imieniem Dozhin, ten, który przywiózł mnie z Piccoli III. Straciliśmy kontakt z Laffertyem. On będzie wiedział, w jaki sposób porozumieć się z jego ludźmi.

- Zaraz zaczniemy go szukać.

- Jest mniej więcej tak bohaterски jak Dawid, więc za-
pewnijcie go, że chodzi wyłącznie o kody komunikacyjne i nie
będzie musiał opuszczać stacji.

- Rozumiem. Już się za to biorę.

Kilka minut później Christine poinformowała Cole'a, że
może się połączyć z siedmioma jednostkami sprowadzonymi
przez Lafferty'ego.

- Zakładając, że wciąż istnieją i walczą - wtrącił Briggs ze
swojego stanowiska.

- Zaraz się przekonamy - mruknął Wilson.

Uzyskał połączenie z pięcioma okrętami i przekazał im te
same sugestie co ochotnikom.

- To działa! - ucieszył się jeden z buntowników. - Po
śmierci Lafferty'ego, Grabowskiego i McMullena nie potrafiliśmy
odtworzyć łańcucha dowodzenia, ale dzięki pańskiemu syste-
mowi wszystko wróci do normy.

- Powodzenia - pożegnał go kapitan i przerwał połącze-
nie. Rozejrzał się po mostku. - Czy jest coś, co przeoczyłem?

- Nie sędzę, sir - uspokoiła go Christine.

- W takim razie pozwólcie, że zacytuję Walkirię: Czas
wracać do zabijania drani!

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

Bitwa toczyła się jeszcze przez pięć godzin. Ośmiornica stracił w niej ponad dwieście pięćdziesiąt okrętów, ludzie Lafferty'ego kolejnych trzysta, spośród ochotników ze stacji nie wróciło do doków prawie tysiąc jednostek. Zgodnie z tym, co wyliczyła Christine, zniszczono także dwieście osiemdziesiąt okrętów floty.

Przestrzeń otaczająca Stację Singapur zastana była ciałami poległych i wrakami zniszczonych okrętów. Szczątki szybowały we wszystkich kierunkach, a zderzenia z wrakami powodowały w ostatniej fazie walki znacznie więcej szkód niż ostrzał przeciwnika. Gdy pewien ranny marynarz padł na mechanizm spustowy działa, które obsługiwał, a jego uszkodzony okręt wszedł w ciasny koryciąg, zasypując laserowym ogniem walczących po obu stronach, Władimir Sokołow i dowódca republikańskiego okrętu podjęli wspólny wysiłek, by wyeliminować zagrożenie, zanim pozbawiona kontroli maszyna narobi zbyt wielkich szkód.

- Zdaje się, że mimo wszystko wygraliśmy - ogłosił pan Briggs, gdy kolejny okręt floty eksplodował.

- Z czego pan to wnosi? - zapytał ponurym tonem Cole.

- Wróg dysponuje już tylko dwudziestoma okrętami - wyjaśnił Malcolm.

- A ile my ich straciliśmy? Tysiąc pięćset? Dwa tysiące? Pozwoli pan, że posłużę się cytatem z klasyka: Jeszcze jedno takie zwycięstwo i zostaniemy pokonani.

- Sir! - zawołała nagle Domak. - Stacja! Proszę spojrzeć na stację!

Cole spojrział na ekran tuż przed tym, gdy wielki okręt floty wbił się w najwyższy poziom Stacji Singapur. Moment później zniknął w oślepiającej kuli ognia.

- Chyba już trochę za późno na zabawy w kamikaze - mruknęła Christine.

- Wal tam jest - powiedział kapitan. - Książę też. I ze czterdzieści tysięcy innych istot. Panie Odom, czy stosując taką taktykę, uda im się rozszczelnić korpus stacji?

Hologram pierwszego mechanika pojawił się tuż przed nim.

- Wątpię, sir. Sprawdziłem to podczas wizytowania stacji w czasie planowania nowych inwestycji obronnych. Jej pancierz został zaprojektowany tak, by wytrzymywać uderzenia meteorów, a nawet małych komet.

- Jest pan tego pewien?

- Tak, sir.

- Dziękuję - powiedział Cole i hologram mechanika zniknęła. - To znaczy, że nie musimy otaczać stacji kordonem i poświęcać życia, aby powstrzymać kolejnych samobójców.

- To i tak byłoby niewykonalne - zauważył Jacovic. - Ta stacja ma siedem mil średnicy i bardzo skomplikowaną strukturę.

- Leci następny okręt Republiki - zameldowała Christine.

- To już dwudziesty siódmy! - oznajmiła Wal, gdy jej wizualizacja pojawiła się tuż przed ekranem. - Ale wątpię, żebyś mi zapłacił za wszystkie.

- Już zarobiłaś na swoją szkocką - odparł Cole. Resztę zaliczę ci na poczet przyszłego leczenia.

- Nie widziałam jeszcze faceta, który tak rozczulałby się nad paroma sińcami i otarciami - prychnęła Wal. - Zestrzele jeszcze z sześć stateczków i wracam na „Teddy’ego R.”. Tutaj lata za dużo śmieci, nie ma jak celować.

- Zostań tam, gdzie jesteś. Nie zdołamy cię ochronić przed flotą i wrakami jednocześnie.

- A jak sobie radzi mój protegowany?

- Byk? Całkiem nieźle mu idzie.

- Obyś miał rację. Powiedz mu, że mam na niego oko - tu padła cała seria obscenicznych uwag. - Stąd widać tylko tru-

py i szczątki zniszczonych okrętów. Nie mogę celować. Idę do Księcia na kielicha. Zobaczymy, czy będzie tu czyściej, kiedy wrócę.

Rozłączyła się.

- Dzięki Bogu, że ona jest po naszej stronie - powiedziała Christine.

- Dwadzieścia siedem - mruknął Briggs. - Całkiem niezły wynik.

- Sir! - usłyszeli głos Władimira Sokołowa. - Właśnie otrzymałem poważne trafienie. Nie odniosłem żadnych ran, ale utraciłem kontrolę nad okrętem. Wchodzę w korkociąg, wydaje mi się, że uderzę w stację za dwie, najdalej trzy minuty.

- Czy systemy podtrzymywania życia działają? - zapytał Cole.

- Nie, sir. Założyłem skafander próżniowy. Jestem już na zapasowym zbiorniku tlenu. Wytrzymam jeszcze osiem do dziewięciu godzin. Sądzę, że... - Transmisja została przerwana w pół zdania.

- Panie Briggs, proszę namierzyć jego pozycję. Chcę mieć pewność, że podejmiemy go, zanim skończy mu się tlen.

- Tak jest!

- Otoczyliśmy pięciu z nich - zameldował Ośmiornica. - Sam zobacz.

Ekranu rozjaśniła gigantyczna eksplozja.

- Tak strzela mój syn! - wydarł się ośmioręki, a na jego twarzy pojawił się tryumfujący uśmiech.

- Ilu ich jeszcze zostało? - Cole spojrzał na Christine.

Sprawdziła odczyty na komputerze, potem spojrzała na niego z widocznym zdziwieniem.

- Dziewięciu, sir.

- Jesteś pewna?

- Całkowicie, sir. - Uśmiechnęła się. - My naprawdę wygrywamy, sir. Naprawdę pokonaliśmy flotę!

- Tym razem nam się udało - przyznał kapitan.

- Nie wygląda pan na specjalnie zadowolonego zauważyła.

- Pani liczy straty po ich stronie - wyjaśnił - a ja po naszej.

Spojrzał po raz kolejny na dogasającą bitwę, sześć okrętów floty znajdowało się pod naprawdę ciężkim ostrzałem. Starzał się dostrzec pozostałe trzy, ale zbyt wiele złomu unosiło się w przestrzeni, by mógł je odnaleźć. Moment później w oddali coś błysnęło, widomy znak, że ktoś inny miał więcej szczęścia w tych poszukiwaniach.

Po kolejnych dziesięciu minutach szeregi przeciwnika stopniały o dalsze pięć jednostek.

- Mają jaja, trzeba im to przyznać - powiedział Briggs,

komentując zachowanie załóg ostatnich trzech okrętów. - Wiedzą, że są bez szans, a mimo to się nie wycofują.

W tym momencie jedna ze wspomnianych jednostek odpowiedziała ogniem, niszcząc dwa statki Lafferty'ego.

- I są wciąż groźni - dodał Jacovic.

- Mamy większy problem niż to, co oni mogą nam zrobić - odparł Cole. - Ciekawe, jakie szykany przygotowuje po tej bitwie Republika, skoro flota za zestrzelenie jednego okrętu zabiła dwa miliony istot na Braccio II.

- Kolejny okręt zestrzelony, sir - zameldowała Christine. - Zostały już tylko dwa.

Dosłownie kilka sekund później eskadra Ośmiornicy otoczyła następną jednostkę Republiki i na polu walki pozostał ostatni okręt wroga. Statki Lafferty'ego dopadły go całym mrowiem, rozszarpując w okamgnieniu na strzępy.

- To już koniec - stwierdził Cole i odwrócił się do Christine. - Wyślij wszystkim rozkaz przerwania ognia.

- Tak jest.

- Panie Briggs, proszę spróbować namierzyć ich okręt flagowy. Jeśli kadłub nadał się trzyma, może uda nam się zdobyć jakieś nowe kody. Mogą się przydać w kolejnej bitwie.

- Sądzi pan, że dojdzie do następnego starcia?

Cole spojrzął na niego, nic nie mówiąc, a zdenerwowany

porucznik natychmiast wrócił do wpisywania komend. Po kilku minutach zameldował, że znalazł wrak okrętu flagowego, który został zniszczony w pierwszych minutach bitwy.

- Pilocie, odbierz koordynaty od pana Briggsa i zabierz nas na miejsce. Musimy dostać się na pokład tej jednostki.

Byli przy jej burcie po niespełna minucie.

- Sir! - odezwała się Domak. - Proszę tam nie iść, na pokładzie jest ktoś żywy.

- Christine, możesz dać mi podgląd ich mostka?

- Spróbuję, sir - odparła i zaczęła wydawać komputerom serię poleceń. - To może być trudne, ich transmitery nie działają, ale... proszę, mam połączenie.

Ujrzeni na ekranie wewnątrz mostka okrętu flagowego floty. Wokół widać było ciała zabitych. Pięciu ludzi, Molarianin, Mollutei i Polonoi leżeli bezwładnie pokryci zaschniętą krwią.

- Gdzie on, u licha... - zaczął Cole, ale w tym momencie dostrzegł ocalonego.

To był młody chorąży, z zakrwawioną twarzą, lewą rękę miał wykrzywioną pod nienaturalnym kątem, tunikę w strzępach, całe ciało pokryte posoką.

- No, wchodźcie! - wydarł się żołnierz w chwili, w której Wilson dostrzegł, że zaciska mocno prawą powiekę. - Gdzie jesteście? - W drżącej dłoni trzymał pistolet laserowy.

Jezu, pomyślał Cole. On jest taki młody. Mógłby być młodszym bratem Rachel. Albo Chadwicka. Umiera, powinien być przerażony, powinien wiedzieć, że flota przegrała na całej linii, ale wciąż się nie poddaje. Nie potrafił oderwać wzroku od tego młodzieńca. On się nie podda. Przypomniał sobie pierwszą maksymę, jaką wpojono mu zaraz po wstąpieniu w szeregi floty: Wyrażenia „poddaję się” nie ma w naszym słowniku. Moment później dotarła do niego kolejna prawda. To nie jest brat Rachel. To ja sam sprzed dwudziestu lat

- Wracaj do domu, synu.

- Kto to powiedział? - wydarł się chorąży.

- Masz na pokładzie funkcjonujący wahadłowiec. Jeśli rzucisz broń, wyślemy do ciebie sanitariuszy, którzy cię opatrzą. Potem pozwolimy ci odlecieć. Gwarantuję ci nietykalność.

Młodzieniec zakręcił się wkoło, próbując namierzyć źródło głosu. Zbyt szybki ruch sprawił, że zatoczył się i upadł. Z jego ust wydobył się nieludzki skowyt bólu. Pistolet poleciał w drugi koniec mostka. Zaczął się czołgać w jego stronę, ale w połowie drogi stracił przytomność.

- Rachel!

- Tak, sir? - Jej hologram natychmiast pojawił się przed kapitanem.

- Załaduj naszego doktoraka do „Kermita” i lećcie na okręt

flagowy. Znajdziecie tam na mostku młodego chorążego. Opatrzcie go, wsadźcie do czynnego wahadłowca i wprowadźcie koordynaty bazy na Chambon V.

- Tak jest.

Cole odwrócił się do obecnych na mostku.

- Dobrze. Zajmijmy się teraz naszymi ludźmi i naprawą zniszczeń. Koniec ze strzelaniem. Na jakiś czas, dodał w myślach.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

Minął tydzień.

Ciała poległych - wszystkie te, które przetrwały w dobrym stanie i dały się zidentyfikować zostały pochowane na Durstanie IV, najbliższej planecie tlenowej.

Księżę ogłosił, że będzie stawiał gorzałkę wszystkim, którzy brali udział w bitwie, i to przez siedem kolejnych dni, ale zrezygnował z tego pomysłu, gdy przed jego kasynem zebrał się tłum jedenastu tysięcy ludzi i kosmitów twierdzących, że znajdowali się na pokładach walczących jednostek.

Cole zwołał kolejną naradę na pokładzie „Teddy’ego R.”, tym razem wzięli w niej udział nie tylko oficerowie, ale i pozostali członkowie załogi. Christine transmitowała obraz i dźwięk do każdego po mieszcznia na okręcie.

- Święty Paweł doznał swojego objawienia w Tarsie - zaczął Cole - ja doznałem swojego tutaj, niespełna tydzień temu, gdy ujrzałem na pokładzie okrętu flagowego młodego chłopaka, który do końca odmawiał złożenia broni. Wiedział, że bitwa została przegrana i że reszta jego załogi już nie żyje, mógł się też domyślać, że cała reszta floty liczącej trzysta okrętów zosta-

ła unicestwiona. Został poważnie ranny wiele godzin wcześniej, a mimo to nie chciał oddać okrętu w ręce kogoś, kogo przedstawiono mu jako śmiertelnego wroga... - przerwał na moment. - Zacząłem podziwiać postawę tego młodzieńca. Nie wiedział, co wydarzyło się na Braccio II. Nie miał pojęcia o żadnej ze zbrodni popełnionych przez flotę. Jeśli atakował jakiś świat, to tylko dlatego, że dowódcy wmówili mu, iż robi to w słusznej sprawie. Jestem pewien, że admiralicja poinformowała załogi tych okrętów, jakoby celem ich misji było pomśzczenie załóg poległych w serii zdradzieckich ataków. Gdy spojrzałem na tego młodego człowieka, zdałem sobie sprawę, że on nie był naszym wrogiem. Robił to samo co my przez lata naszej służby. Wykonywał rozkazy, ponieważ wierzył w ich słuszność. - Spojrzał na Jacovica, Christine, Wal, a potem na pozostałych członków załogi tłoczących się na mostku. - A skoro ten chłopak nie był naszym wrogiem, flota też nie może nim być. - Zauważył zdziwione spojrzenia, gdy wypowiedział te słowa. - Flota jest narzędziem w ręku prawdziwego wroga. Sądzę, że wszyscy wiecie, o kim mowa. To Republika jest naszym wrogiem. Nie kierowałem mojego ultimatum do floty, tylko do rządu. Ale to nic nie dało. Te okręty przybyły tu, by ukarać nas za bezczelność, i chociaż tym razem udało nam się zwyciężyć, nie odpuszczą. Wrócą tutaj i o tym chciałem z wami pomówić. Możemy bronić się na

tych pozycjach, ponosząc kolejne straty, aż za którymś razem poniesiemy ostateczną klęskę, albo możemy przenieść walkę na ich teren.

- Do Republiki? - zapytał Pampas.

- Na Delurosa VIII - odparł Cole.

- No wreszcie! - ryknęła Wal. - Najwyższy czas!

- Wiem, że Walkiria poczuje się tym zawiedziona, ale nie planuję frontalnego ataku na stolicę - ciągnął Cole. - Jak niby moglibyśmy to zrobić? Wezwałem was do przeciwstawienia się najpotężniejszej sile w historii galaktyki. Nawet komputery Christine nie są w stanie obliczyć naszych szans w tej walce. Dlatego daję każdemu z was standardowy dzień na spakowanie się i przeniesienie na stację.

- Rozmawiał pan już o tym z Ośmiornicą? - zapytała Rachel.

- Jest z nami. Podobnie jak ludzie Lafferty'ego. Nie polecimy tam w pojedynkę. Zorganizujemy się tutaj, na Wewnętrznej Granicy, potem zaczniemy gromadzić buntowników z Republiki.

- Z Republiki? - powtórzył któryś z członków załogi.

- Z Republiki - potwierdził raz jeszcze Cole. - Cekał na kolejne pytania ze strony oniemiałej załogi, ale to było ostatnie.
- Dobrze - powiedział po chwili. - Zamykam naradę. Macie

standardową dobę na podjęcie decyzji.

Ludzie zaczęli się rozchodzić, a on zjechał do mesy, aby napić się kawy. Tam przyłączyła się do niego Sharon.

- Wybierasz same grube cele, to muszę ci przyznać - stwierdziła.

- Ten cel sam się wybrał - odparł. - Służyłem mu lojalnie niemal przez całe życie. - Skrzywił się. - Czuję się teraz jak skończony idiota.

- Zobaczymy, czy poczujesz się lepiej, stając przeciw trzem milionom okrętów wojennych.

Cole roześmiał się.

- Trzy tysiące, trzy miliony, przy naszych siłach liczebność nie ma najmniejszego znaczenia.

- O tym właśnie mówię - odparła, również się uśmiechając, a potem nagle spoważniała. - Naprawdę uważasz, że mamy jakieś szanse?

- Zawsze jest jakaś szansa.

- Ale nie w walce z całą Republiką!

- Słyszałaś kiedyś o świętym Jerzym?

- Tak - odparła Sharon. - Dlaczego pytasz?

- Sądzisz, że byłby sławny, gdyby zabijał jaszczurki?

- On przynajmniej miał zbroję i zaczarowany miecz.

- A my mamy „Teddy’ego R.” - odparł Cole. - I to musi

wystarczy!

ANEKSY

ANEKS PIERWSZY

JAK POWSTAŁ WSZECHŚWIAT PIERWORODNYCH

Zacząło się w latach siedemdziesiątych ubiegłego stulecia. Oglądałem w towarzystwie Carol w miejscowym kinie jakiegoś koszmarnego gniota i gdzieś tak w połowie wymamrotałem: „Dlaczego marnuję czas na siedzenie tutaj, skoro mógłbym robić coś naprawdę interesującego, na przykład opisać historię rodzaju ludzkiego od jego narodzin aż po wyginięcie?”. Po chwili Carol szepnęła w odpowiedzi: „Właśnie, dlaczego tego nie zrobisz?”. Zebraliśmy się natychmiast, wyszliśmy z kina i jeszcze tej nocy rozpisałem plan nowej powieści noszącej tytuł: „Birthright: The Book of Man”, w której zamierzałem zarysować losy ludzkości od momentu, w którym człowiek zdołał przekroczyć prędkość światła, aż po jego wyginięcie osiemnaście tysięcy lat później.

Miałem przed sobą masę pisania. Podzieliłem odległą przyszłość na pięć epok politycznych – Republikę, Demokrację, Oligarchię, Monarchię oraz Anarchię – i osadziłem w nich akcję dwudziestu sześciu opowiadań (nazwanych potem w „Analogu”, nie bez racji zresztą, „demonstracyjnymi”), w których zająłem się wszystkimi najważniejszymi aspektami ludzkiej rasy, zarówno

dobrymi, jak i złymi jej stronami. Nie było w nich jednego bohatera – głównie za sprawą tego, że akcja każdego rozgrywała się w odstępach co najmniej kilkuset lat (o ile nie uznacie za niego Człowieka przez duże C, z czym akurat moglibyście polemizować – ja przynajmniej tak bym zrobił – bowiem moim zamierzeniem było przedstawienie studium zachowań jednostki).

Sprzedalem ten pomysł wydawnictwu Signet, razem z powieścią „The Soul Eater”. Pomysł „wszechświata Pierworodnych” tak spodobał się mojemu ówczesnemu wydawcy, Sheili Gilbert, że natychmiast poprosiła, abym wprowadził do książki parę zmian i umieścił jej akcję właśnie w tej przyszłości. Zgodziłem się, a same zmiany nie zabrały mi więcej niż jeden dzień. Podobną prośbę Sheila wyraziła także, ale niejako awansem, do powstających właśnie tetralogii „Tales of the Galactic Midway” i „Tales of the Velvet Comet” oraz powieści „Walpurgis III”. Z perspektywy czasu zauważam, że tylko dwie z trzynastu powieści, jakie napisałem dla Signetu, nie dotyczyły tych realiów.

Kiedy przeniósłem się do wydawnictwa Tor Books, mój nowy wydawca, Beth Meacham, także zapalała chęcią kontynuacji uniwersum Pierworodnych i większość książek złożonych u niej – nie wszystkie, ale naprawdę zdecydowana większość – mieściła się w tych ramach: „Santiago”, „Ivory”, „Paradise”, „Pur-

gatory", „Inferno", „A Miracle of Rare Design", „A Hunger in the Soul", „The Outpost" i „The Return of Santiago".

Gdy Ace wyraził chęć wydania „Soothsayer", „Oracle" i „Propheta", prowadząca go Ginjer Buchanan także założyła, że dostarczę jej teksty umieszczone w rzeczywistości uniwersum Pierworodnych – i tak też się stało, gdyż w tym okresie wiedziałem już znacznie więcej o osiemnastu tysiącach lat historii człowieka w kosmosie i dwóch milionach światów, które odwiedził. Dlatego pisało mi się o tych wydarzeniach o wiele szybciej i prościej.

Prawdę mówiąc, zacząłem także umieszczać w tym uniwersum akcje moich opowiadań. Dwa z nich, te, które zdobyły nagrody Hugo („Seven Views of Olduvai Gorge" i „The 43 Antarean Dynasties"), także dotyczyły świata Pierworodnych, jak i z piętnaście innych tekstów opublikowanych w tamtych latach.

Także Bantam, do którego przenieśliem się po jakimś czasie, gdy doszło do rozmów z Janną Silverstein (choć odeszła z firmy do innego wydawnictwa, zanim zamówione przez nią książki się ukazały), liczył na to, że trylogia „Widowmaker" zostanie wpleciona w mój wielki projekt. Potraktowałem więc słowa Janny jak klasyczne zamówienie i zrealizowałem je.

Ostatnio wręczyłem Meishy Merlin kolejną książkę – nie

zgadnicie – także osadzoną w tych realiach.

A gdy zasugerowałem powstanie serii klasycznego science fiction w wydawnictwie Pyr, nawet przez myśl mi nie przeszło, że ich akcja nie będzie się rozgrywała we wszechświecie Pierwotnych.

W ciągu tych niemal czterdziestu lat napisałem tak wiele tekstów dotyczących tej wersji przyszłości, że nie pamiętam już dokładnie, kto i kiedy nakłonił mnie do rozwinięcia mojego pomysłu. A szkoda, bo chciałbym mu gorąco podziękować.

ANEKS DRUGI

HISTORIA WSZECHŚWIATA PIERWORODNYCH

Najgęściej zaludnionym sektorem wszechświata Pierworodnych (a mówię tutaj zarówno o ilości systemów, jak i ich mieszkańców) jest twór polityczny ewoluujący od Republiki przez Demokrację i Oligarchię do Monarchii. W jego granicach znajdują się miliony zamieszkałych i nadających się do zamieszkania planet. Ziemia okazała się zbyt mała i za bardzo oddalona od galaktycznych szlaków, by pozostać stolicą człowieka, i dlatego właśnie kilka tysięcy lat po rozpoczęciu ekspansji centrum geopolityczne zostało przeniesione na Delurosa VIII, ogromną planetę o powierzchni niemal dziesięciokrotnie większej od tej, którą dysponowaliśmy na Ziemi, ale o niemal identycznej grawitacji i składzie atmosfery. W środkowym okresie, zwanym Demokracją, powiedzmy, że za około cztery tysiące lat, wszystkie lądy tej planety pokryje jedno ogromne miasto. Natomiast w czasach Oligarchii nawet taki gigant jak Deluros VIII stanie się zbyt ciasny dla miliardów biurokratów zarządzających galaktycznym imperium i aby temu zaradzić, dojdzie do rozbicia innego gigan-

ta, Delurosa VI, na czterdzieści osiem ogromnych planetoid, aby na każdej z nich umieścić jeden z departamentów rządowych (z czego cztery przypadną wojsku).

Ziemia tymczasem stanie się przyjaznym zadupiem gdzieś na końcu spiralnego ramienia galaktyki. Nie sędzę, bym umieścił na niej akcję zbyt wielu utworów.

Przestrzenie na skraju galaktyki zyskały miano Obrzeży, na tym obszarze niewiele jest zamieszkanych planet, a jeśli już, to posiadają nielicznych mieszkańców. Tereny te nie mają żadnej wartości militarnej, zatem ich patrolowanie można powierzyć pojedynczym niewielkim jednostkom, takim właśnie jak „Teodor Roosevelt”, które chronią czasem nawet setki rozszianych po Obrzeżach światów. W późniejszych erach terytoria te staną się własnością wojowniczych władców feudalnych, ale ich szaleństwa ze względu na odległość i małą wagę Obrzeży ujdą uwadze rządzących centrum galaktyki albo zostaną wręcz zignorowane.

Mamy tu jeszcze Wewnętrzną i Zewnętrzną Granicę. Zewnętrzną Granicą nazywa się terytoria rozciągające się pomiędzy skrajnymi sektorami Republiki, Demokracji, Oligarchii i Monarchii a Obrzeżami, natomiast Wewnętrzna Granica to o wiele mniejszy (ale wciąż olbrzymi) obszar w samym centrum galaktyki, rozciągający się pomiędzy masywną czarną dziurą leżącą w

jej  rodku a granicami Republiki etc.

Na terytoriach Wewn trznej Granicy rozgrywa si  akcja wi kszości tekstów, jakie napisałem o wszechświecie Pierworodnych. Lata temu znakomity pisarz R. A. Lafferty zadał znaczące pytania: „Czy w przyszłości, gdy nad wszystkim panować b dzie duch nauki, znajdzie si  miejsce dla mitologii? Czy wielkie czyny b dą opisywane po epicku, czy tylko liniami kodu komputerowego?”. Stwierdziłem,  e gotów jestem poświ cić sporą cz ść  ycia zawodowego, by stworzy  taką mitologię przyszłości, doszedłem te  do wniosku,  e takie opowieści, w których mamy wybitne postaci i barwne tło, wymagają umiejscowienia na terenach słabiej zamieszkanych, gdzie trudno o rzetelnego kronikarza, który spisałby dokł dnie wszystkie fakty, za to łatwo o r dzących, którzy zrobią wszystko, aby prawda o tych wydarzeniach nie wyszła na jaw. I tak dość arbitralnie wybrałem Wewn trzną Granicę za miejsce narodzin mojej mitologii i zaludniłem ją ludźmi o charakterystycznych nazwiskach, takich jak Catastrophe Baker, Widdowmaker, Cyborg de Milo czy wiecznie młody Forever Kid. Dzięki takim zabiegom mogę snuć opowieści o wielkich bohaterach (a czasami i antybohaterach), ale te  i bardziej realistyczne historie rozgrywające si  o tysiące lat świetlnych od Granicy, w sercu Republiki czy Demokracji albo ich kolejnych wcieleń.

Przez dziesiątki lat wypełniałem galaktykę treścią. Mam w niej dobrze znane gromady gwiazdne, jak Albion, Quinellus czy też im podobne, oraz kilka nowych, które pojawiają się dopiero na kartach tej książki, jak na przykład Feniks czy Kasjusz. Są pojedyncze planety, niektóre nawet okazują się na tyle ważne dla opowieści, że trafiają do tytułów książek (Walpurgis III), niektóre przewijają się w kilku okresach historycznych i poświęconych im tekstach (Deluros VIII, Antares III, Binder X, Keepsake, Spica II), a wiele innych, setki (a teraz już chyba tysiące nawet) planet (a także ras, co sobie teraz uświadomiłem) wspomniane są jeden jedyny raz.

Mam też w tym świecie jeśli nie krainy zła, to przynajmniej nielojalną opozycję. Niektóre z tych tworów, na przykład imperium Sett, rozpoczną wojnę z ludzkością i na tym koniec. Inne, jak Bliźnięta Canphor (czyli Canphor VI i VII), zostaną podzielone i częściowo będą służyć po naszej stronie przez niemal dziesięć tysięcy lat. Ale już taki Lodin XI nie będzie tak stabilny, zaś jego poparcie dla ludzkości zależeć będzie od aktualnej sytuacji politycznej.

Wciąż jeszcze konstruuje mój wszechświat, rozbudowuję go politycznie i geograficznie od ponad trzydziestu pięciu lat i z każdym opowiadaniem czy powieścią staje się on coraz pełniej-

szy, przynajmniej dla mnie. Dajcie mi jeszcze trzy dekady, a będę święcie wierzył w każde słowo, które o nim napisałem.

ANEKS TRZECI

CHRONOLOGIA WSZECHŚWIATA PIERWORODNYCH

Rok	Era	Epoka	Tytuł
1885	A.D.		„The Hunter" (Ivory)
1898	A.D.		„Himself" (Ivory)
1982	A.D.		<i>Sideshow</i>
1983	A.D.		<i>The Three-Legged Hootch Dancer</i>
1985	A.D.		<i>The Wild Alien Tamer</i>
1987	A.D.		<i>The Best Rootin' Tootin' Shootin' Gunslinger In the</i>
			<i>Whole Damned Galaxy</i>
2057	A.D.		„The Politician" (Ivory)
2988	A.D. = 1 G.E.		
16	G.E.	Republika	„The Curator" (Ivory)
264	G.E.	Republika	„The Pioneers" (Birthright)
332	G.E.	Republika	„The Cartographers" (Birthright)

346	G.E.	Republika	<i>Walpurgis III</i>
367	G.E.	Republika	<i>Eros Ascending</i>
396	G.E.	Republika	„The Miners" (Birthright)
401	G.E.	Republika	<i>Eros at Zenith</i>
442	G.E.	Republika	<i>Eros Descending</i>
465	G.E.	Republika	<i>Eros at Nadir</i>
522	G.E.	Republika	„All the Things You Are"
588	G.E.	Republika	"The Psychologists" (Birthright)
616	G.E.	Republika	<i>A Miracle of Rare Design</i>
882	G.E.	Republika	"The Potentate" (Ivory)
962	G.E.	Republika	„The Merchants" (Birthright)
1150	G.E.	Republika	"Cobbling Together a Solution"
1151	G.E.	Republika	"Nowhere in Particular"
1152	G.E.	Republika	„The God Biz"
1394	G.E.	Republika	„Keepsakes"
1701	G.E.	Republika	"The Artist" (Ivory)
1813	G.E.	Republika	„Dawn" (Paradise)
1826	G.E.	Republika	<i>Purgatory</i>
1859	G.E.	Republika	„Noon" (Paradise)
1888	G.E.	Republika	"Midafternoon" (Paradise)
1902	G.E.	Republika	„Dusk" (Paradise)
1921	G.E.	Republika	<i>Inferno</i>

- 1966 G.E. Republika *Starship: Mutiny*
- 1967 G.E. Republika *Starship: Pirate*
- 1968 G.E. Republika *Starship: Mercenary*
- 1969 G.E. Republika *Starship: Rebel*
- 1970 G.E. Republika *Starship: Flagship*
-
- 2122 G.E. Demokracja „The 43 Antarean Dynasties"
- 2154 G.E. Demokracja „The Diplomats" (Birthright)
- 2275 G.E. Demokracja "The Olympians" (Birthright)
- 2469 G.E. Demokracja „The Barristers" (Birthright)
- 2885 G.E. Demokracja „Robots Don't Cry"
- 2911 G.E. Demokracja "The Medics" (Birthright)
- 3004 G.E. Demokracja "The Policitiations" (Birthright)
- 3042 G.E. Demokracja The Gambler" (Ivory)
- 3286 G.E. Demokracja *Santiago*
- 3322 G.E. Demokracja *A Hunger in the Soul*
- 3324 G.E. Demokracja *The Soul Eater*
- 3324 G.E. Demokracja „Nicobar Lane: The Soul Eater's
Story"
- 3407 G.E. Demokracja *The Return of Santiago*
- 3427 G.E. Demokracja *Soothsayer*
- 3441 G.E. Demokracja *Oracle*

- 3447 G.E. Demokracja *Prophet*
- 3502 G.E. Demokracja „Guardian Angel"
- 3719 G.E. Demokracja „Hunting the Snark"
- 4375 G.E. Demokracja "The Graverobber" (Ivory)
-
- 4822 G.E. Oligarchia "The Administrators" (Birthright)
- 4839 G.E. Oligarchia *The Dark Lady*
- 5101 G.E. Oligarchia *The Widowmaker*
- 5103 G.E. Oligarchia *The Widowmaker Reborn*
- 5106 G.E. Oligarchia *The Widowmaker Unleashed*
- 5108 G.E. Oligarchia *A Gathering of Widowmakers*
- 5461 G.E. Oligarchia "The Media" (Birthright)
- 5492 G.E. Oligarchia "The Artists" (Birthright)
- 5521 G.E. Oligarchia "The Warlord" (Ivory)
- 5655 G.E. Oligarchia "The Biochemists" (Birthright)
- 5912 G.E. Oligarchia "The Warlords" (Birthright)
- 5993 G.E. Oligarchia "The Conspirators" (Birthright)
-
- 6304 G.E. Monarchia *Ivory*
- 6321 G.E. Monarchia "The Rulers" (Birthright)
- 6400 G.E. Monarchia "The Symbiotics" (Birthright)
- 6521 G.E. Monarchia "Catastrophe Baker and the Cold

Equations"

6523	G.E.	Monarchia	<i>The Outpost</i>
6599	G.E.	Monarchia	"The Philosophers" (Birthright)
6746	G.E.	Monarchia	"The Architects" (Birthright)
6962	G.E.	Monarchia	"The Collectors" (Birthright)
7019	G.E.	Monarchia	"The Rebels" (Birthright)
16201	G.E.	Anarchia	"The Archaeologists"
(Birthright)			
16673	G.E.	Anarchia	"The Priests" (Birthright)
16888	G.E.	Anarchia	"The Pacifists" (Birthright)
17001	G.E.	Anarchia	"The Destroyers" (Birth-
right)			
21703	G.E.		"Seven Views of Olduvai
Gorge"			

ANEKS CZWARTY

PLAN STACJI SINGAPUR

AUTORSTWA DEBORAH OAKES

1. Główny korpus stacji – z rzutu od góry widać cztery najwyższe poziomy stacji, zaopatrzone w standardową atmosferę.

2. Główne doki handlowe – jeden z najnowszych elementów stacji, może przy nim cumować jednocześnie niemal trzysta jednostek. Jak większość doków rozmieszczonych wokół korpusu stacji, są niezależną konstrukcją połączoną ze stacją torami kolejki i magnetycznymi tunelami rozładunkowymi.

3. Doki towarowe – infrastruktura umożliwiająca sortowanie towarów dostarczanych z doków handlowych. Tutaj można je przeładowywać bez wprowadzania towarów na stację.

4. Wewnętrzne doki – tutaj trafia większość towarów mających pozostać na stacji.

5. System magnetycznych tuneli transportowych – tą drogą przemieszczane są wszystkie towary przeznaczone dla stacji oraz te, które przechodzą przez nią tranzytem.

6. Doki metanowe – te dwie konstrukcje przeznaczone są

dla pasażerów oddychających metanem.

7. Bezpośredni dok poziomów metanowych – dla bezpieczeństwa i wygody istot oddychających metanem dobudowano dok pozwalający statkom pasażerskim na bezpośrednie cumowanie przy poziomach metanowych.

8. Prywatne doki – jak na każdej stacji, także na Singapurze znajdują się miejsca wynajmowane najbogatszym obywatelom. Mogą przy nich cumować wyłącznie jednostki należące do nich.

9. Stacja paliw dla dużych jednostek – największe statki odwiedzające stację, głównie frachtowce, przybywają tutaj, aby uzupełnić paliwo. W tej strefie nie dopuszcza się obrotu towarowego.

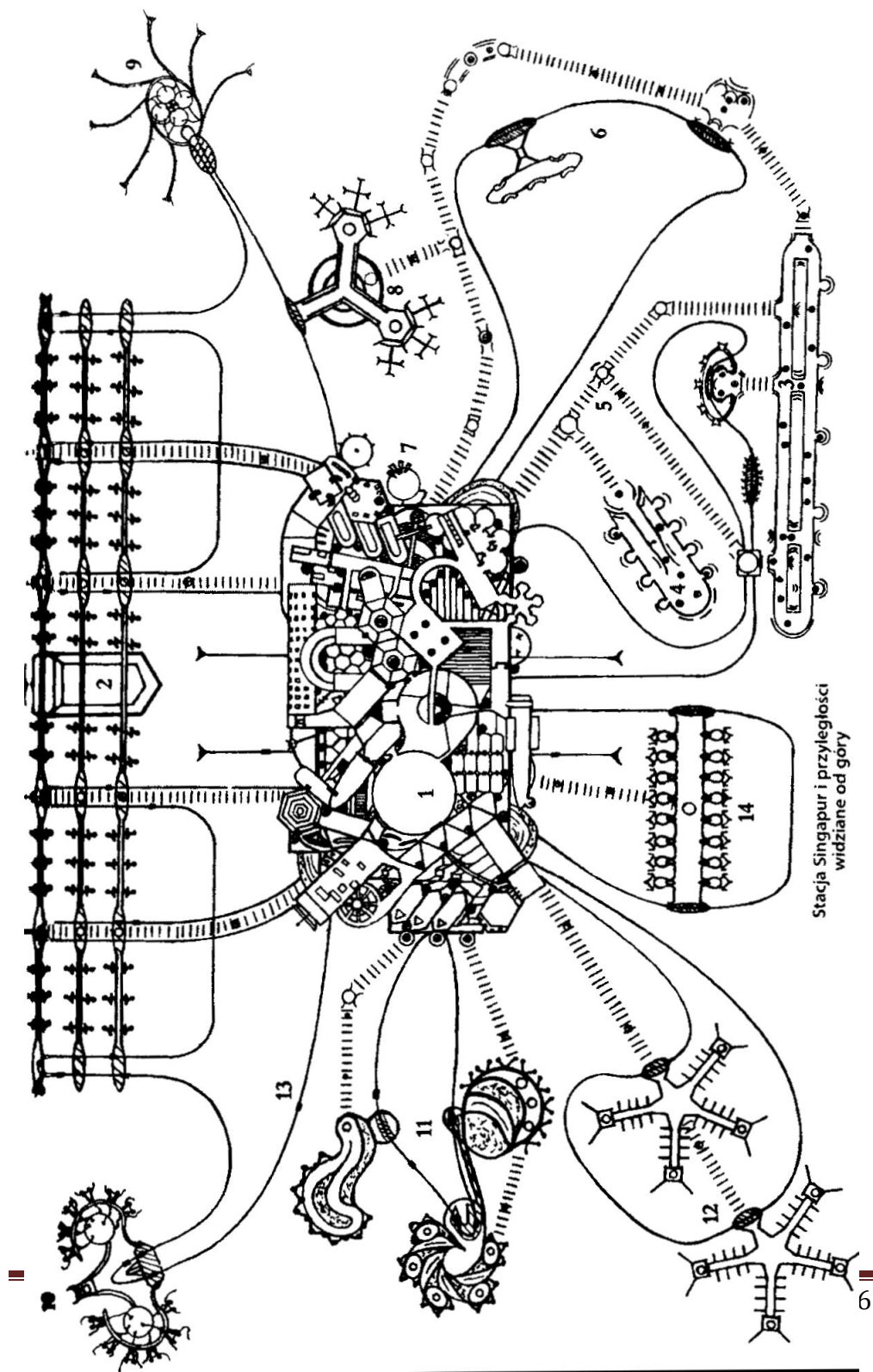
10. Stacja paliw dla standardowych jednostek – tutaj tankować mogą statki mniejsze i średnie.

11. Doki chlorowe – trzy dawne stacje przystosowane dla istot oddychających chlorem zostały przekształcone w doki przylegające do poziomów o chlorowej atmosferze. Są połączone systemem kolejek z korpusem stacji oraz innymi jej instalacjami.

12. Doki firmowe – te struktury są przeznaczone dla firm działających oficjalnie w obrębie Stacji Singapur.

13. Kolejka jednoszynowa – podstawowy i niezwykle wy-

dajny system komunikacji pomiędzy wszystkimi częściami stacji oraz dokami.



Stacja Singapur i przyległości
widziane od góry

14. Dok amoniakowy – korzystają z niego istoty przebywające na amoniakowym poziomie stacji. Ze względu na ogromną różnorodność atmosfer opartych na tym gazie każda ze stacji składających się na ten poziom posiada własne minidoki.

15. Bezpośredni dok poziomu siódmego – to jeden z czterech punktów dostępu do pozbawionego atmosfery poziomu siódmego. Każdy z nich ma połączenie z komorami, które mogą być napełniane dowolnymi mieszankami gazów. Z każdej z nich można przejść śluzami powietrznymi do głównego poziomu negocjacyjnego.

16. Poziom metanowy – nowszy i większy z dwóch metanowych poziomów przytwierdzonych do Stacji Singapur. Posiada własne doki umieszczone bezpośrednio przy stacjach.

17. Oryginalny poziom metanowy – to pierwsza metanowa stacja, którą przyłączono do kompleksu Singapur. Służy aktualnie jako centrum handlu i wymiany towarów i jest połączona z głównym poziomem metanowym za pomocą indukcji magnetycznej. Ma też połączenia z oboma dokami na poziomach amoniakowych.

18. Pozbawiony atmosfery poziom siódmy – pomieszczenia stacji przystosowane do różnych atmosfer, służące do celów negocjacyjnych. Wejść na ten poziom można albo przez jeden z

czterech dedykowanych doków, albo którąś ze śluz połączonych z systemem transportowym stacji. Wszystkie doki zostały przystosowane do każdej znanej atmosfery i mają połączenia śluzowe z salami negocjacyjnymi.

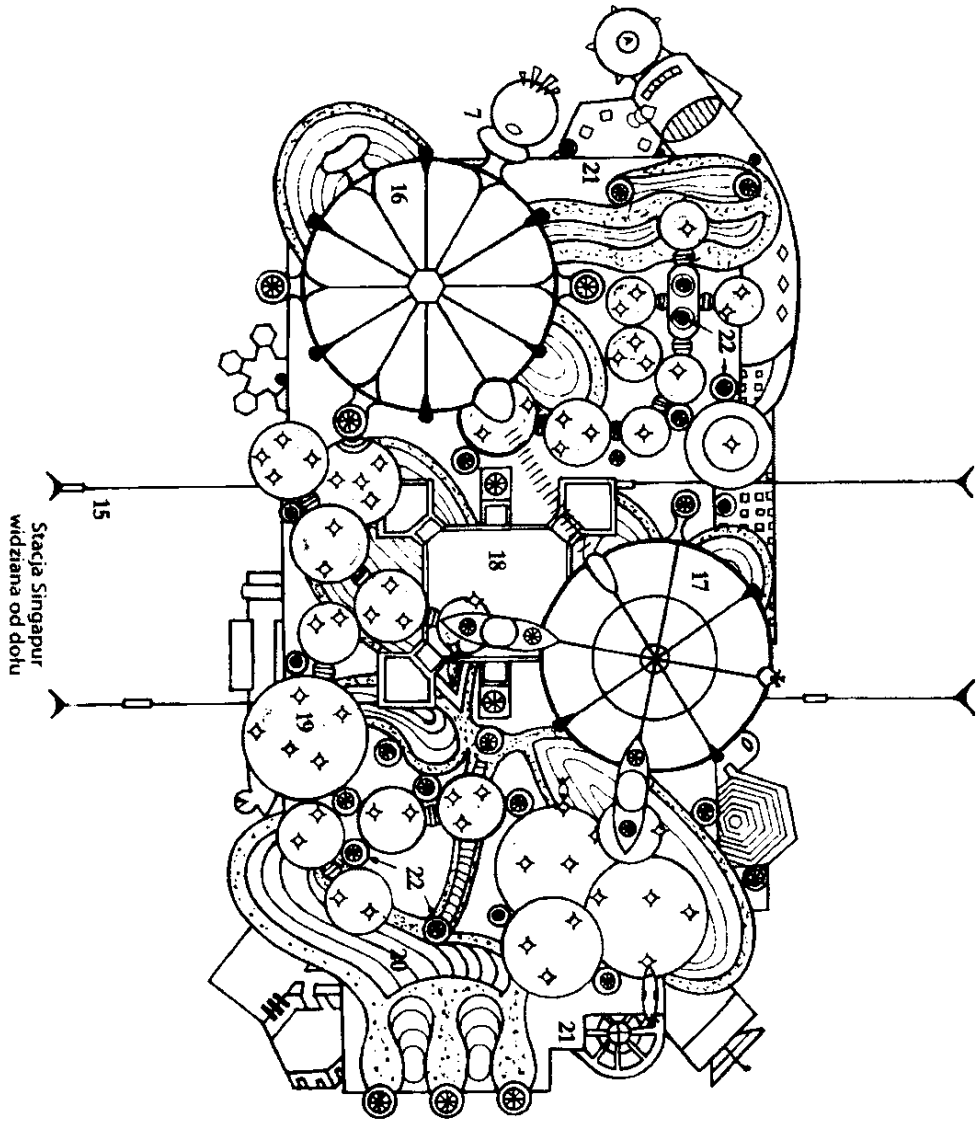
19. Habitaty amoniakowe – z nich zbudowany jest ósmy poziom Stacji Singapur. Zostały połączone ze sobą szeregowo, aby umożliwić szybszą wymianę atmosfery. Posiadają bezpośrednie połączenia z habitatami metanowymi. Są otoczone sporą ilością niewielkich statków.

20. Poziom szósty – połączone habitaty metanowe stanowią osobny poziom Stacji Singapur. Są charakterystyczne ze względu na kabłąkowate kształty.

21. Poziom transportowy – ten poziom łączy doki z szybami wind, liniami kolejek jednoszynowych i systemem tuneli transportowych. Posiada połączenia z pozostałymi poziomami stacji. Rozrasta się w miarę przyłączania kolejnych elementów do korpusu stacji. Jest bardziej widoczny od spodu stacji, głównie za sprawą nieregularnych kształtów habitatów z atmosferami niestandardowymi.

22. Szyby wind – system wind zewnętrznych łączących poziom transportowy z pozostałymi częściami stacji. Każdy poziom z atmosferą standardową wyposażony jest także w system

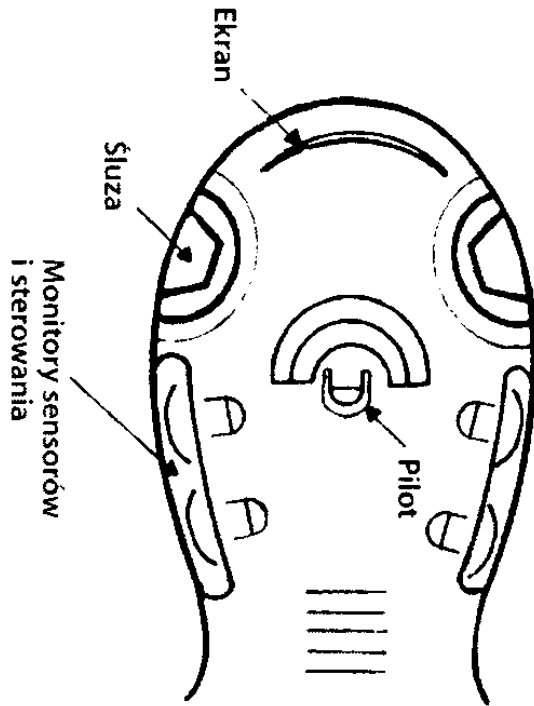
wind wewnętrznych.



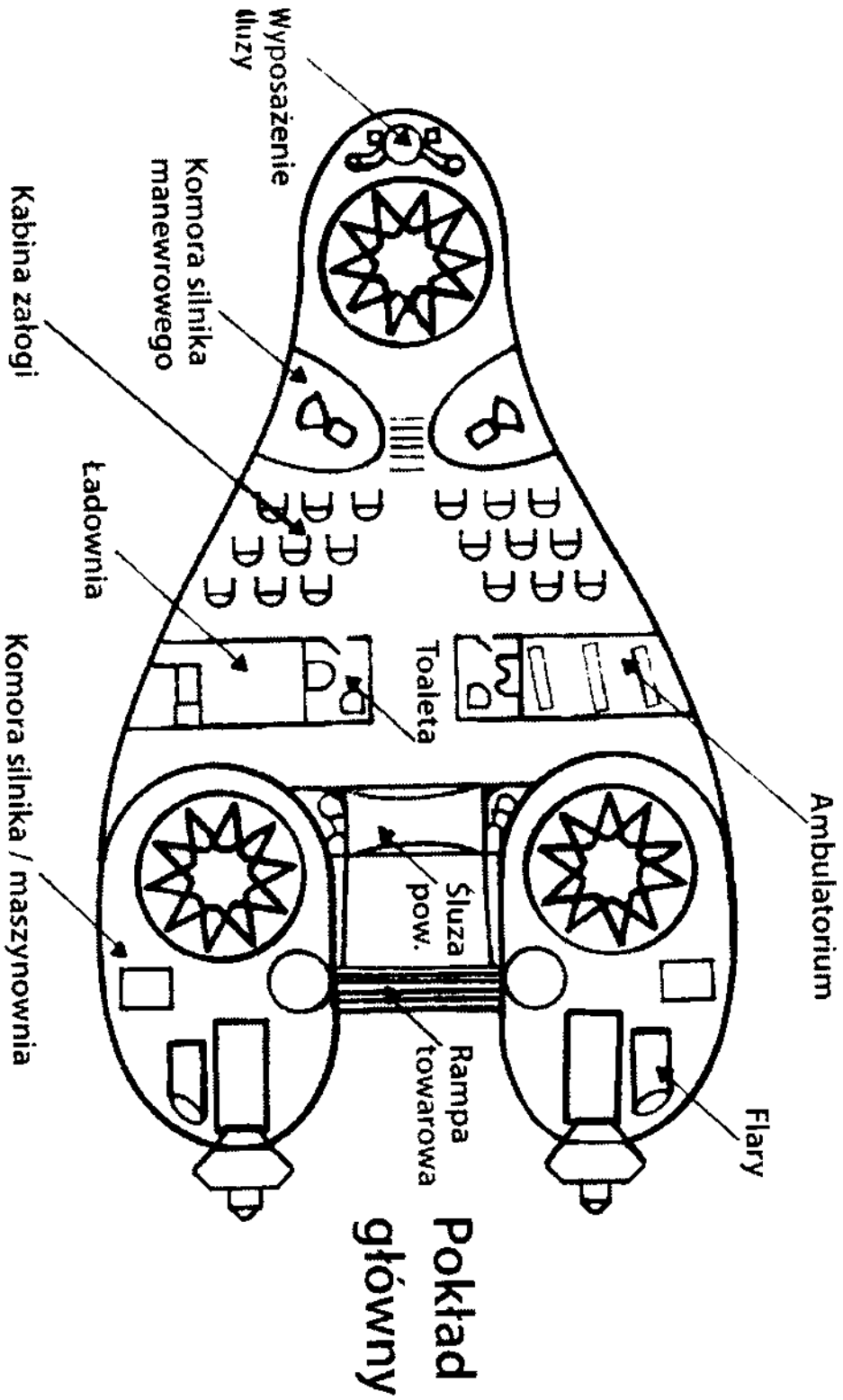
Aneks piąty

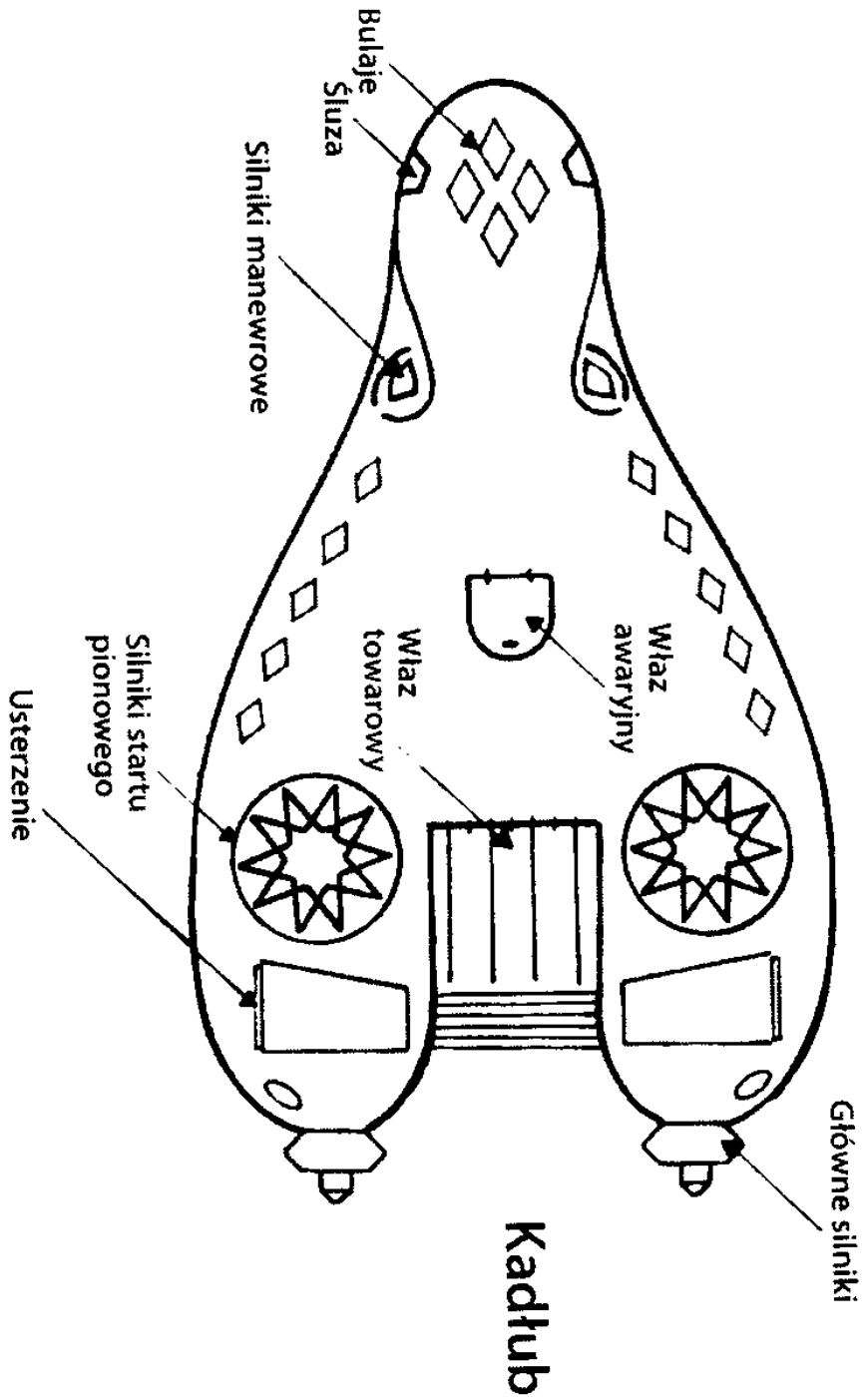
PLAN WAHADŁOWCA „KERMIT”

„Kermit”, wahadłowiec z pokładu „Teodora Roosevelta”



Sterówka





ANEKS SZÓSTY

MILITARNA SCIENCE FICTION

KRÓTKI RYS HISTORYCZNY

AUTORSTWA MIKE'A RESNICKA

Nie ma niczego niezwykłego w tym, że ludzie zastanawiają się, jak będzie wyglądał sprzęt wojskowy w przyszłości. Już dzisiaj uzyskaliśmy możliwość zniszczenia całego życia na Ziemi, zatem czym będziemy dysponowali za kolejny tysiąc lat (o ile przetrwamy do tego czasu)? Jak będziemy negocjowali zawieszenie ognia z wrogiem oddychającym amoniakiem, wydalającym cegły albo wywączującym kolory? Z jakimi stratami musimy się liczyć w konfliktach, w których całe planety będą niszczone w okamgnieniu? Jakie obciążenia gospodarcze przyniesie wojna toczona na terenach rozciągających się na przestrzeni tysięcy lat świetlnych?

Na te pytania może odpowiedzieć jedynie science fiction.

Historia międzyplanetarnych konfliktów zaczyna się około roku 1859 – chyba wszyscy mieli okazję przeczytać albo przynajmniej słyszeli o „Wojnie światów” Herberta George'a Wellsa – ale prawdziwe początki gatunku zwanego fantastyką militarną

łączone są z wczesnymi dziełami E. E. „Doca” Smitha.

„Doc”, wielka gwiazda w latach trzydziestych i czterdziestych minionego stulecia, był człowiekiem równie pożądanym przez wydawców, co wielbionym przez fanów. Pierwszy jego cykl, „Skylark”, opowiadał o przygodach dwóch młodych ludzi, którzy wyruszają, by poznać galaktykę, i przeżywają po drodze niesamowitą masę przygód. Wiele lat później Harry Harrison sparodiował tę serię w książce „Star Smashers of the Galaxy Rangers”. Książki z tego cyklu, a były trzy wydane w pierwszej połowie lat trzydziestych i czwarta, dopisana kilkadziesiąt lat później, ustaliły reputację „Doca”, ale na wyżyny wyniósł go zupełnie inny cykl – „Lensman”.

Seria składała się początkowo z tomów: „Galactic Patrol”, „The Gray Lensman”, „Second Stage Lensman” oraz „Children of the Lens” (dopisano do nich potem jeszcze dwa prequelowe tomy „Triplanetary” i „First Lensman”, ale historia opisana w czterech pierwszych jest kompletna i zamknięta). Kimball Kinnison i jego towarzysze Lensmani stanowili niezapomniane trio całkowicie różniących się od siebie kosmitów. Wydawać się mogło, że walczą przeciw imperium Boskonu, ale po lekturze kilku tomów czytelnik orientował się, że chodzi tu o odwieczną walkę dobra ze złem, tyle że w skali galaktycznej. Gdybym miał dokonywać

porównań, powiedziałbym, że to taka kosmiczna wersja „Władcy pierścieni”, ale w nieporównywalnie większej skali. Była to też space opera, ale w najczystszej militarnym wydaniu. Mieliśmy w niej kosmiczne bitwy, oblężenia planet, a okręty były zawsze idealnie skalibrowane (cokolwiek to miało znaczyć). Kinnison albo prowadził potężne floty do boju, albo samotnie wyruszał na obce planety, by prowadzić tajne szpiegowskie operacje, przy okazji wywołując salwy gromkiego śmiechu i dostarczając znakomitej rozrywki.

„Doc” Smith rządził w latach trzydziestych, ale miał też sporą konkurencję. Mówiono nawet, że Jack Williamson i Edmond Hammilton pracowali w tandemie. Jeden niszczył system słoneczny w nieparzyste miesiące, drugi miał do tego prawo w miesiące pozostałe (a obaj bronili go równie zaciekle, gdy nie musieli niczego niszczyć). Williamson stworzył w tamtym czasie serię, która niewiele ustępowała popularnością „Skylarkowi”. W jej skład wchodziły: „The Legion of Time”, „One Against the Legion” i „The Legion of Space”. Hammilton napisał serię „Interstellar Patrol”, aby potem w naprawdę krótkim czasie zalać rynek niemal dwudziestoma tomami przygód Kapitana Future dla czasopisma o tym samym tytule.

Wszyscy oni tworzyli w starych, dobrych czasach, gdy re-

dakcje pulpowych magazynów płaciły pół centa od słowa (albo coś koło tego). Na ich okładkach na ogół widać było prześliczne dziewice w różnych stadiach nagości (dzisiaj więcej golizny można zobaczyć na zwykłej plaży, ale przed sześćdziesięciu czy siedemdziesięciu laty była to najprawdziwsza erotyka, zwłaszcza dla nastoletnich czytelników) koniecznie w mackach wszelakich POR-ów (potworów o oczach robali), które zdawały się bardziej zainteresowane pożeraniem ubrań niż samych kobitek.

Ale wszyscy dorosłają z czasem, nawet pisarze science fiction. Co wcale nie znaczy, że wyrosliśmy z militarnej science fiction – a w każdym razie nie bardziej niż nasi dowódcy wojskowi z marzeń o podboju świata – ale nasze opowieści stały się bardziej poważne. A. E. Van Vogt nadał gatunkowi nowego przyspieszenia, wydając „Wojnę z Rullami”, a inni starali się dotrzymać mu kroku w tym wyścigu – na przykład tandem Cyril M. Kornbluth i Judy Merrill, którzy pod pseudonimem Cyril Judd napisali „Gunner Cade” – ale były to czasy, kiedy świat lizał rany po „wojnie, która miała zakończyć wszystkie wojny” i potrzebował jeszcze dwudziestu lat na pozbycie się tej traumy. Militarnej science fiction ukazywała się w latach czterdziestych i pięćdziesiątych, ale nie była już tak popularna wśród młodzieży jak kiedyś przygody Skylarka (chyba tylko seria „Lensman” oparła się

zapaści, ukazując się aż do 1948 roku, ale było to najbardziej cenione dzieło gatunku).

Kiedy druga wojna światowa odeszła w zapomnienie, a wojna koreańska okazała się mniej krwawa i krótsza, niż przypuszczano, militarna fantastyka zyskała szansę powrotu – stała się też o wiele poważniejsza. Gordon R. Dickson stworzył cykl „Dorsai”, który święcił tryumfy przez trzy kolejne dziesięciolecia, dostarczając całą masę przygód galaktycznych najemników. W latach pięćdziesiątych powstało wiele wybitnych dzieł tego gatunku – tu przychodzi mi na myśl „Uller Uprising” Beama Pipera – ale dopiero na końcu tej dekady pojawił się prawdziwy klasyk gatunku „Kawaleria kosmosu” Roberta A. Heinleina, która do dzisiaj pozostaje jedną z najbardziej dyskusyjnych pozycji militarystycznych (aczkolwiek nie wiążcie jej z wysokobudżetowym filmem o tym tytule, który powinno się raczej nazwać „Ken i Barbie lecą na wojnę”). Heinlein nie tylko pokazał nam wojnę, ale i kazał o niej pomyśleć w zupełnie nowy sposób. W jego świecie prawo głosu mieli wyłącznie ci, którzy służyli w wojsku. Wiele powieści koncentrowało się na opisywaniu szkolenia kadetów, ale kontrowersje zawarte w opisanych przez niego systemach szkolenia przetrwały całe dziesięciolecia.

Także w latach pięćdziesiątych na polu fantastycznym po-

jawił się sam Horatio Hornblower C. S. Foreстера, sportretowany przez A. Bertrama Chandlera pod postacią admirała Johna Grimesa. Chandler spędził większość dorosłego życia, służąc na okrętach, w tym nawet na lotniskowcu, był też przez jakiś czas kapitanem jednostki handlowej, potrafił więc nadać swoim dziełom cechy ogromnego prawdopodobieństwa. Spędził niemal ćwierć wieku na opisywaniu przygód klona Hornblowera, ale prócz niego było też kilku innych epigonów tej postaci.

W tym miejscu należy wspomnieć Davida Webbera, twórcę cyklu „Honor Harrington”, żeńskiego odpowiednika nieustraszonego żeglarza z kart powieści Foreстера. Ta seria zdołała się wdrzeć na listy bestsellerów „New York Timesa”, i to niejednym raz.

Potem rozpętano niezwykle długą, krwawą i niepopularną wojnę w Wietnamie, co miało także ten skutek, że militarystyczna fantastyka zaczęła zyskiwać nowy wymiar i przesłanie. Pierwszym zwiastunem tych zmian była seria „Kuźnia” Davida Drake'a. Była militarna, fantastyczna i niezwykle ekscytująca, ale pokazywała nie tylko blaski, lecz i cienie wojaczki.

Kolejnym weteranem z Wietnamu, który chwycił za pióro, był Joe Haldeman, którego powieść „Wieczna wojna” zdobyła nagrody Hugo i Nebula w roku 1976. Według wielu krytyków

strąciła z piedestału „Kawalerię kosmosu” (jedyną militarną książkę, jaka zdobyła wcześniej nagrodę Hugo).

W ciągu trzydziestu lat ten podgatunek fantastyki rósł w siłę, opisano w nim chyba wszystkie rodzaje konfliktów przyszłości. Jerry Pournelle dał nam „The Mercenary” i „A Spaceship for the King”, Elizabeth Ann Scarborough otrzymała Nebulę za „Healer's War”, Fred Saberhagen stworzył popularną serię „Ber-serker”, „Armor” Johna Seakleya była wyraźnie inspirowana „Kawalerią kosmosu”, także Piers Anthony wprowadził na rynek cykl „Bio of Space Tyrant”, Keith Laumer napisał „Bolo”, Walter Jon Williams uraczył czytelników „Upadkiem imperium strachu”, Barry Malzberg wyrobił sobie nazwisko, publikując „Final War”, Orson Scott Card zebrał chyba wszystkie nagrody branżowe za „Grę Endera”, w której mały chłopczyk musi wygrać wielką wojnę, Larry Niven stworzył cykl o wojnie ludzi z Kzinami, David Drake dołożył do swoich rozlicznych dzieł serię „Northworld”, Bob Asprin z kolei opisał losy Kompanii Phule, Elizabeth Moon zajęła się cyklami „Sarrano Legacy” i „Wojna Vatów”, „Stacja podspodzie” C. J. Cherrych zdobyła nagrodę Hugo, Harry Turtledove i Eric Flint opanowali do perfekcji historie alternatywne, zwłaszcza te dotyczące wielkich konfliktów, G. Harry Stine zaprezentował cykl „Warbots”. John Ringo osiągnął nie-

samowite nakłady, publikując książki tego gatunku, John Scalzi ujął temat w bardzo unikalny sposób na kartach „Old's Man War” i „The Ghost Brigades”. Ja również, mając na koncie niemal pięćdziesiąt wydanych książek, postanowiłem dodać coś od siebie.

Ale militarna fantastyka nie istnieje wyłącznie na kartach powieści. Jerry Pournelle wydał cykl dziewięciu antologii poświęconych temu gatunkowi zatytułowany „There Will Be War”, wkrótce po śmierci Keitha Laumera powstała także antologia tekstów o Bolo. Antologia tematyczna Davida Drake'a i Billa Fawceta liczy już sześć tomów.

Wystarczy tego rysu historycznego, choć przedstawiłem wam dopiero czubek góry lodowej. Dzisiaj każdy wydawca ma w ofercie serie militarnej fantastyki, a nie wydawano by jej, gdyby nie było czytelników takich historii. W tej kategorii przoduje chyba Baen Books, który ma w swojej stajni cały tabun popularnych autorów uprawiających ten podgatunek.

Podaję, że znam źródło popularności tego akurat rodzaju opowieści – literatura science fiction z natury rzeczy kierowana jest do młodszego czytelnika, a wiemy przecież, na czym jest wychowywana dzisiejsza młodzież. To pokolenie ogląda „Gwiezdne wojny”, w których trwa galaktyczna wojna, i „Star

Treka" prezentującego losy załogi okrętu wojennego, więc nic dziwnego, że gdy sięgają po książki, chcą w nich znaleźć podobną tematykę.

Czy militarna fantastyka gloryfikuje wojny?

Cóż, niekiedy ma to miejsce.

Czy militarna fantastyka pokazuje okropieństwa wojen?

Cóż, czasami ma to też miejsce.

Taktykę?

Czasami.

Szlachetność, odwagę, a nawet tchórzostwo?

Tak, w ogromnych ilościach, a w każdym razie usiłuje je pokazać.

Ciężar władzy?

Tak, choć rzadko.

I tak właśnie powinno być. „Stąd do wieczności”, „Nadzy i martwi”, „Bunt na okręcie” czy „Paragraf 22” pokazują to samo. W każdej z tych powieści znajdziecie przykłady tego, co przeżyli ludzie z danej nacji podczas trwającej wiele lat wojny, ale każda z nich ukazuje temat w zupełnie odmienny sposób i w całkowicie innym celu.

To samo dotyczy militarnej fantastyki, podgatunku, który może przeciwstawić wcześniej wymienionym pozycjom „Kawa-

lerię kosmosu", „Kuźnię", „Wieczną wojnę", cykl „Honor Harrington", „A Spaceship for the King", „Old's Man War" oraz przygody „Teodora Roosevelta" i jego załogi.